



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000296957

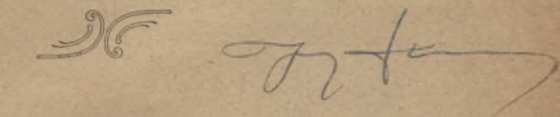
WYDAWNICTWO „NIWY POLSKIEJ.”

POLSKA

W ROKU 1793.

WEDŁUG PODRÓŻY.

FRYDERYKA SZULC'A.



WARSZAWA.

Druk Leppera i S-ki, Elektoralna 8.

1899.

ZWIĄZEK STUDENTÓW ARCHITEKTURY
PRZY AKADEMII GÓRNICZEJ
W KRAKOWIE

A/872



I 25177

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Мая 1899 года.

Акц. Nr. _____ 39 / 52

Słowo wstępne.

Literatura historyczna w latach ostatnich wzbogaconą została poważnie, bądź przez cenne opracowania, bądź też przez ogłoszenie drukiem materyałów, dotychczas kryjących się w archiwach i księżnicach, więc dla szerszego ogółu niedostępnych. Baczną zwłaszcza uwagę zwrócono na wszelkiego rodzaju pamiętniki, spisywane zarówno przez swoich, jak i przez obcych—i bardzo słusznie, gdyż materyał z pierwszej ręki, dostarczony przez świadków naocznych wypadków i stosunków danej epoki, posiada dla historyka, poety, powieściopisarza, dramaturga i artysty wartość nieocenioną, a nie mniejszą również dla czytelnika przeciętnego. „Poznaj—co twoje“, o tej zasadzie każdy winien pamiętać, inaczej minie się z obowiązkiem. I przyznać trzeba, że ogół nasz o tym obowiązku nie zapomina; rzeczy historyczne cieszą się poczytnością, nietylko dawane w formie ponętnej, ale i całkiem poważnej.

Oczywiście, że forma ponętna, treść zaciękawiająca, dostępna, ma i będzie miała wziętość największą. Pamiętniki naprzykład Paska, nie po-

święcone na suchy zbiór samej tylko treści wypadków, lecz ciągle pełne szczegółów, scen i dowcipnych spostrzeżeń, zakrawające niejako na romans historyczny, znaleźć można w każdym niemal domu. Ale bo Pasek umie wyjątkowo przykuć uwagę czytelnika. Szlachcic ten — powiada o nim Mickiewicz — pisząc, jak mówił, bez wymusu od niechcenia, rzucając na papier okresy bez troski, co się z nimi stanie, nie spodziewał się ani myślał, że będzie kiedyś policzony do wzorowych pisarzy polskich. Nigdy nie brakowało mu słów i treści; słuchał tylko natchnienia, a kiedy natchnienie go opuszczało, to i on opuszczał swój przedmiot, brał inny, albo rzucał pióro. Często wśród opowiadania najżwawszej bitwy, gdy mu z powodu jakiej osoby, co się tam nawinęła, przyjdzie na pamięć jaka sprawa, choćby mała kłótnia sąsiedzka, zaraz poważnie wyklada cały proceder. Jestto niby ziemiańska część ówczesnej historii polskiej.

Z równym interesem czyta się Kitowicza, Ochockiego, Matusewicza i wielu innych pamiętnikarzy, swoich i obcych. Do ostatnich zaliczamy Fryderyka Schultza. Pisarz ten niemiecki urodził się w Magdeburgu, w r. 1762. Skończywszy uniwersytet w Halli, nauczał w tem mieście języków nowożytnych, pracował następnie w Dreźnie, Wiedniu, Berlinie, Wejmarze, Paryżu, zanim ostatecznie zamieszkał w Mitawie gdzie też w r. 1798 zmarł. Ogłosił drukiem: powieści dla dzieci: „Moritz“ i „Leopoldine“, nadto: „Kleine prosaische Schriften“, „Kleine Romane“, „Paris und die Pariser“, „Geschichte der Revolution in Frankreich“,

„Reise eines Livländers durch Polen“. Dzieło ostatnie posiada, dla nas osobliwie, znaczenie bardzo ważne. Schultze w latach ostatnich ubiegłego wieku bawił w Warszawie, jako poseł ze stanu mieszczańskiego na sejm, a poznawszy dokładnie stosunki ówczesne, opisał je właśnie w dziele cytowanym. Opis jest barwny, ścisły, czyta się niemal tchem jednym, ze wzrastającym do ostatniej karty zajęciem. Autor nie zaleca się przyjaznem dla nas usposobieniem, lecz na rzeczy patrzy zdrowo i umie się utrzymać na stanowisku obserwatora bezstronnego. Większą część książki swojej poświęcił opisowi Warszawy, a rzeczoznawcy zgodnie przyznają, że jest ona znakomitym przyczynkiem do historyi ówczesnych zwyczajów i obyczajów, oraz, że może posłużyć do wyjaśnienia niejednej ze spraw społecznych. O Warszawie pisał w swoim czasie Desnoyers, sekretarz królowej Maryi Ludwiki, nieoszacowany Jarzemski: Schultz stanowi ich dopełnienie, z nim historyk drugiej połowy XVIII stulecia liczyć się musi, jeżeli chce być sumiennym.

Wiek XVIII — są słowa Wł. Zawadzkiego — w drugiej swej połowie, tworzy przełom całkowity w dziejach Polski, w naszym życiu politycznem, społecznem i domowem, wywołuje zupełne przeobrażenie obyczajów i zwyczajów.—Nie słusniejszego. Panowanie Sasów a czasy Stanisława Poniatowskiego są to dwie zupełnie różne, odmienne od siebie epoki i mało znajdziemy w dziejach przykładu tak szybkiego przeobrażenia jak to, któremu Polska w owym czasie uległa. Począwszy od re-

formy Konarskiego, sięgającej w sam rdzeń edukacyi narodowej, aż do wyników sejmu czteroletniego, w krótkim, niespełna pięćdziesięciu lat przeciągu, wszystko się przekształciło do niepoznania. Pod wpływem szybko krzewiących się wyobrażeń Zachodu, której to propagandy ogniskiem był pierwotnie dwór Stanisława Leszczyńskiego, na wygnaniu swoim serdecznie miłującego ojczyznę i nieustannie troszczącego się jej losami, — otóż pod wpływem tych wyobrażeń, Polska nową przybrała postać. Reforma, wychodząca ze szkół, ogarnęła całe społeczeństwo, zmieniła kierunek myśli, odświeżyła ducha narodu, stworzyła nową literaturę. Styl makaroniczny ustąpił miejsca klasycyzmowi, który był wprawdzie tylko naśladownictwem francuskiego, ale mimo to posiadał w sztywnej swej posągowości wiele podniosłego ducha i piękna. Z zagranicznymi wyobrazeniami i pojęciami, wciśka się też cudzoziemczyzna w Polskę we wszystkie zakąty życia społecznego, przekształca obyczaje. Z Francyi napływa moda, wersalski obyczaj napływa na dwór Stanisława Augusta, a za przykładem króla, zwolna francuzieje Polska, najpierw w warstwach arystokratycznych, w najbliższej z dworem styczności będących, następnie przejmują się cudzoziemczyzną szersze warstwy społeczne, znika strój narodowy, miejsce kontusza zajmuje frak jedwabny i atlasowa kamizola z żabotami i koronkami. Ze zmianą stroju zmieniają się też z gruntu obyczaje i zwyczaje, całe społeczeństwo przybiera inną fizyognomię, staje się powierzch-

wnie, a pod wielu względami i moralnie, całkiem niepodobne do dawnego.

Bylibyśmy może, my, późniejszego pokolenia potomkowie, nie mieli wyobrażenia, jak ongi wyglądało społeczeństwo dziadów naszych i jakim żyło obyczajem, gdyby nie pisarze spostrzegawczym uposażeni darem, tego rodzaju jak Kitowicz i Schultze. Pożytecznem było zadanie, które przedsięwzięli i które z tak trafnem zrozumieniem rzeczy wykonali. Bez niepotrzebnych dodatków oratorskich, bez czczych upiększeń stylistycznych, z prostotą i wiernością dali wizerunek, przedstawiający wszystkie wybitniejsze rysy czasu i obyczaju, a pisma ich stały się nieocenionej wartości źródłem dla historyków, archeologów, poetów, powieściopisarzy, którzy też czerpali z nich obficie.

Schultz jest niejako dalszym ciągiem Kitowicza. Ostatni dał nam wizerunek czasów Augusta III — pierwszy Stanisława Augusta. Kitowicz pisze bezpretensjonalnie, lecz szczerze, z wielką swobodą, tu i owdzie gorzką rzucą uwagę; Schultz ma pogląd bystrzejszy, dalej i głębiej widzi. Sądźmy, że ofiarując dzieło jego czytelnikom, zaspokoiliśmy ich pewną potrzebę moralną. Dodamy nadto, że i nadal będziemy ze skarbca historycznego wyciągać cenne rzeczy, a w czasie najbliższym rozpoczniemy druk „Pamiętników Hansa Schweinichena“, stanowiących nadzwyczaj ważny przyczynek do dziejów i obyczajów Szlązka i Polski w okresie od 1552 do 1602 r.

Redakcja „Niwę Polskiej.“

I.

Ostatniego Kwietnia r. 1793 wyjechałem z Rygi. Droga stąd do Mitawy, półsiódmej mili, bardzo nudna. Jedzie się częścią piaskami, to po trzęsawiskach, z obu stron obrosłych krzakami sośniny i jałowcu. Szczęściem inflantscy pocztyljoni jadą tak szybko, że te puste okolice pomija się wkrótce. — Bliżej ku Mitawie, kraj coraz staje się żyzniejszym, ziemia urodzajniejszą. Mitawa z tej strony wcale dobrze się wydaje. Zamek i wiele domów, z tej strony rzeki Aa położonych, porządnych i obszernych, dają jej pozór niemal wspaniały. Wnętrze miasta tem gorzej potem wygląda. Wprawdzie ma ono długie, szerokie, w większej części proste ulice, ale te albo żadnego nie mają bruku, lub zły, albo zamiast niego tylko grabem i kłodami są wymuszczone i otoczone drewnianymi domostwami o jednem piętrze. Mieszkańców ma mieć od 10 do 12,000, ludność na swą rozległość nie wielką. Dnia 1-go Maja ruszyłem z Mitawy do Kalmiowa, mil 4. Grunta po większej części żółtoczerwonawe gliukowate, niezmiernie żyzne. Około Sessowa (Sessau), przez który droga prowadzi, jedna z najobfitszych okolic Kurlandyi. Droga

równa, wysadzana drzewkami z obu stron, dość jednostajna. Drzewa najwcześniej puszczające były dopiero w pączkach, wiatr zimny przeszywał mimo futra i przypominał, że był jeszcze w Kurlandyi. Zboża dopiero zielenieć się poczynaly i ubogą krasą swą pola ożywiały. Trawka świeża walczyła jeszcze z po-
żółkłą przeszloroczną. Zresztą mil tych cztery zrobi-
łem w półczwartej godziny, na tutejsze poczty był to
pośpiech umiarkowany.

Kalm, pierwsza osada litewska, jest tylko wioską, u której wjazdu stoi roгатka od Kurlandyi, i tu się od-
bywa rewizja. Gdym przed półtora rokiem tę samą
drogę przejeżdżał, pomimo wcale przyzwoitego trink-
geldu, byłem ostro rewidowany, gdyż celnicy musieli
się obawiać odpowiedzialności; teraz za połowę tego
datku, otworzono mi tylko kufer, nie w nim nie ru-
szając. W istocie niema teraz komu karać i przed kim
odpowiadać, gdyż w Polsce wszystkie władze albo są
zwichnięte lub zupełnie zniszczone. Dzieje się tylko to,
co wedle dawnych rozporządzeń odbywać się powinno,
dla tego że nikt jeszcze przeciwnych nie wydał roz-
kazów. W Kalm zmieniają się konie. Tu już wszyst-
ko inaczej, choć tylko pół mili dzieli od Kurlandyi.
Krzyże z wizerunkami Chrystusa oznajmują katolików,
wioski porządne zwiastują inne urządzenia; język jest
odmienny, fizjognomja ludu różna; nawet pocztowi urzęd-
nicy i służba nie tak już spełniają swe obowiązki, —
kurlandski pocztyljon był porządnie odziany, konie jego
rosłe i silne; litewskiego zaś okrywała stara kapucyńskiego
koloru siermięga, nie miał butów, a łokcie jego przez
słabe sukno, a raczej przez wełnianą tkań, na wylot
przechodziły; przebiwszy wprzód grubą koszulę. Kur-

landczyk miał na sobie zwyczajny, duży róg do trąbienia. Litwin małą trąbką przykrego głosu; tamten konie swe oszczędzał, ten małe swe chude szkapy bez miłosierdzia pędził. Szły zwykle galopem, a odpoczywały w klusie. Dziesięć groszy polskich więcej zadowalniały Litwina, niż Kurlandczyka dwa złote. Zaprząg, sznury odpowiadały reszcie ubóstwem. Od Kalm zaczyna się ziemia piękna, czarna, żyzna; gościnniec bieży po równinie, w koło zbliżka i dalej poprzerywanej laskami i krzewami. Równina ciągnie się aż do pierwszej stacyi pocztowej, — do Janiszek. W półtorej godziny przebiegliśmy tę przestrzeń. Janiszki są osadą mało znaczącą, chociaż nazywają się miasteczkiem. Domy wszystkie drewniane, ani śladu kamieni lub cegły, czołami obrócone ku ulicy. Żydzi stanowią znaczniejszą część ludności i są tu tem, czem nigdzie na świecie—to jest znakomitą jej częścią. Domy wszystkie o jednym piętrze z podziurawionemi słomianemi dachami. Miasteczko sławi się swemi targami na konie, odbywającemi się tu parę razy do roku. Zresztą Pan Bóg równie biednie się tu mieści jak ludzie, gdyż domy modlitwy, które mijałem, wyglądały niskie i niepozorne, jak pospolite domy, były drewniane i z dachami dziurawemi, stare, i odarte.

Niektóre domy miały na sobie liczby, większa jednak część była nienumerowana. Policja, którą w czasie trwania ustawy 3. Maja ustanowiono, nie żyła dość długo, by ten porządek wprowadzić; domy więc pozostały nieliczbowane. Zdaje mi się, że miasteczko nie ma więcej nad 350 domów, a mieszkańców w nich nie będzie więcej niż półtrzecia tysiąca.

Z Janiszek do Mieszkuć półtrzeciej mili, droga

była równą, a grunta żyzne i twarde. Przejeżdżałem przez wiele wiosek, o których można sądzić z powyższego opisu miasteczka. W każdej z nich znajdowałem po kilka cudownych obrazów i krzyżów, około których dzieci w koszulach się uwijały; ale i te przedmioty czci były opuszczone, stare, pogniłe, a z niektórych rzeźby poodpadały. Uważałem też, że przechodzący około nich, nie wiele na nie zważali. Może być, że w okolicy brak gorliwych zakonników, by pilnowali, aby żaden obraz Chrystusa z krzyża nie spadł; może też ludzie ubodzy, nie mieli za co nowych sprawić. W Czechach naprzykład nie widziałem nic podobnego. Krzyże są dobrze utrzymywane, a ludzie zwykli zdejmować przed nimi czapki i kapelusze. Mieszkucie jednakże zgodnie odpowiadają Janiszkom.

Z Mieszkuć do Szawel, poczty najbliższej, półtrzęcej mili; kraj trochę się podnosi, a gościniec przebiega kolejno małe wzgórza i doliny; pierwsze z nich okrywają zarośla, w drugich zielenieją młode zasiewy. Lasy w części były w pączkach, częścią już liśmi okryte; wogóle wiosnę znalazłem tu bardziej widoczną niżeli w Inflantach i Kurlandyi. Szawle między miastami litewskimi się odznaczają, a z daleka nawet wyglądają dosyć pozornie; kościół mają murowany z wieżą i kilka murowanych domów prywatnych i rządowych. Wjeżdża się porządną ulicą, która nawet jest brukowana i z obu stron otoczona domkami kolonistów, zamieszkanemi w części przez rzemieślników, częścią przez żydów. Że jednak w Polsce nie nigdy *całkiem* porządnego niema, domy te od ulicy tylko pokazują front z cegieł, ale tylna ich część jest

drewniana. Reszta domostw miasteczka jest z drzewa i stoi nieporządnie rozrzuciona.

Rynek targowy, jest stosunkowo bardzo rozległy i z jednej strony opasują go wspomniane domy murowane: kościół i odwach. Na lewo stoi podwójny szereg żydowskich bud i kramów, w których się sprzedają wyroby bawełniane, sukna, szkło, chleb i inne rzeczy dosyć tanio. Ponieważ żydzi rodzaj drugiej ojczyzny znaleźli w Polsce, wyglądają też tu wogóle czystiej i przyzwoiciej, więcej są wykształceni niż gdzieindziej; szczególnie między kobietami wychowanie przechodzi zwykłą miarę wschodniego. Włosy czarne, nosy krogulcze, piękne czarne oczy — są prawie powszechne a, cera ma pewną, prawie chorobliwą delikatność, której między chrześcijańskimi mieszkańcami Litwy nie znaleźć. Samo przez się rozumie się, iż tłum tych ludzi kręcił się około mojego powozu, ofiarując swe posługi. Znalazłem też niektórych, zajętych ręcznymi robotami, ale tych rzadko się podejmują. Nawet pocztyljon, który mnie wiozł, był żydem. Powiadają, że w mieście być może jakie trzysta domów i chat, a mieszkańców około 3500.

Z Szawel do Radziwiliszek — trzy mile. Drogę znalazłem, choć wcale nie urządzoną, z wyjątkiem kilku miejsc, a jednak doskonałą. W półczwartej godziny przebyłem ją, jakkolwiek konie moje i woźnica biednie wyglądali. Ten wygodnie się instalował. Na głowie miał prostą, bawełnianą szlafmycę, z pod której włosy czarne wyglądały rozczochrane, a mimo zajęcia koźmi, kiedy niekiedy poprawiał je i czesał cienkimi palcami. Sam odziany był w kożuszek krótki, smołą i innymi ingrediencjami poplamiony, pokrywający spodnie podar-

te i niezupełnie żółtą pierś obnażoną, na której resztki brudnej koszuli postrzegać się dawały. O buty lub trzewiki nie dbał, — koszt zbyteczny Bicz nawet na palec nie miał długiego rzemienia. Końcem długiej chustki, obwiązanej około szyi, nos uciebrał, — z tem wszystkiem powoził bardzo zręcznie, prędko i ostrożnie.

Poczta mieści się w odosobnionym murowanym domu, nieopodal od miasteczka Radziwiliszek. Tu zostałem na noc, w trzynaście godzin, zrobiwszy tęgich mil szesnaście. Proszę porównać ten pośpiech z tak zwaną ekstrapocztą saską lub pruską, gdzie podróżni zdają się stworzeni dla woźnic i koni, a nie oni dla nich. Nie opisuję swojego noclegu, zapewne wszystkie litewskie będą do niego podobne, znajdę więc na to jeszcze dość czasu. Zresztą Radziwiliszki są mało znaczącą miejsciną, gorszą i mniejszą od Janiszek, podobną do Mieszkucia.

Nazajutrz rano, dnia 2-go Maja, jechałem dalej do Szadowa, mil dwie, drogą dosyć przyjemną, przez lasy, pagórki i doliny na przemiany. Lasy przedstawiały nie do opisania i nie do wiary straszne zaniedbanie, albo raczej brak najzupełniejszy wszelkiego dozoru. Uczynię poniżej kilka uwag w tym przedmiocie, które zapewne mieszkańcom okolic Frankfurtu nad Menem, Drezna i Lipska lży z oczu wycisną. Droga właściwie rzekłszy, taką jest, jak ją Pan Bóg stworzył, wszelako po obu stronach są niby kopane rowy. Szadow, — to miasteczko w rodzaju poprzedzających. Główni mieszkańcy są żydzi, w ich rękach cały handel i kupiectwo. Na większej części domów, kominów niema; zatem podymne płacą domy a nie kominy.

Z Szadowa do Bejsagoły dwie mile, droga po piasku, piasek nie tak głęboki i czysty jak około Potsdamu i Berlina. Jedzie się po wzgórzach i przez lasy. Drzewa, szczególniej wierzy i brzozy, były już liśćmi okryte, wszystko okazywało łagodniejszy już klimat. Bejsagoła osada około dwóchset domów, których obrazu na nowo kreślić nie ma potrzeby.

Stąd droga do Montwidowa, trzy mile, dosyć jeszcze przyjemna, acz miejscami piaszczysta. W prawo rozciąga się dolina dla przybywających z Inflant i Kurlandyi, wydająca się dosyć znaczną, jedzie się jej brzegiem. Droga poprawiana, a nawet dosyć starannie, w niektórych miejscach wysadzana drzewami. Jeden z większych posiadaczy musiał ją zrobić dla swojej wygody. Montwidów to wioska.

Kiejdany leżą o trzy mile. Dojechałem do nich po dość dobrej drodze, przebiegającej kilka znaczniejszych wzgórzów. Miasto z daleka dość porządnie wygląda, ma kilka kościołów i wież kilka. Jest to pierwsze większe miasto litewskie, pod względem rozległości raczej niż budowli. Nie naliczyłem w niem więcej nad trzy czy cztery domy murowane, reszta, obyczajem litewskim, — z drzewa. Tu spotkałem pierwszych Rosjan, mianowicie huzarów, których opalone twarze i wyszarżane mundury o świeżo ukończonej wojnie świadczyły. Ludzie są mniej więcej nadzwyczaj małego wzrostu, ale silnej, barczystej budowy, prawdziwe wizerunki wytrwałości. Wejrzenia i postawy w najwyższym stopniu żołnierskie. Tu już znalazłem porządek, gdyż przy wjeździe i wyjeździe z miasta, musiałem podać nazwisko. Żywność i pasza, jak się uskarżano przedemną, nadzwyczaj były drogie i trudne do nabycia.

Kiejdany w przybliżeniu mają do 450 domostw i około 5000 mieszkańców.

Z Kiejdan gościniec wspina się po dość stromem wzgórzu, a potem zbiega w żyzną dolinę, przez którą płynie Wilja. Rzeka niewielka, ale brzegi piękne, żyzne i lasem okryte. Trawy i drzewa okrywała już wiosenna, młoda zieloność, a słońce przyjemnie przygrzewało.

Z Kiejdan do Bopt, wioski, trzy mile. Droga zupełnie równa, miejscami lesista, biegnie w prawo, okrążając głęboką dolinę, przez którą wyżej wspomniana rzeka przepływa, to szerzej to wężej kręcąc się przy drodze.

Romantycznie (proszę darować to wyrażenie podróznemu, przybywającemu z Inflant) wygląda dolina od Bopt, gdy się w nią zjeżdża z góry, a widok jej opasany wyżynami rozszerza się wieńcem gęstych lasów objęty. Gościniec po lewej stronie doliny idzie pod górę, na dół, w niektórych miejscach po niebezpiecznych wyrwach, gdzieś powóz podtrzymywać musieli, aby się nie wywrócił. Na ostatek w lewo znowu wjeżdża się na górę i znajduje na piaszczystej równinie, zajmującej dość znaczną iglastym lasem pokrytą przestrzeń, skąd znowu widok ładny na dolinę u stóp opasaną lasami. Okolica ożywiona w części wioskami, częścią pojedynczemi dworami. Tak się dojeżdża do Kowna (trzy mile) po znacznem wzgórzu piaszczystem, spuszczając się następnie w opisaną dolinę.

Część drogi była wyłożona dylami, a druga jej połowa pozostawała w stanie naturalnym. Urządzenie to, jakiegom jeszcze nigdzie nie widział, jest wygodne,

o niem wspominać dlatego, że w okolicach piaszczystych naśladowania jest warte.

Dojeżdża się wkrótce z góry nad Wilją, którą przebyć potrzeba, ażeby się dostać do Kowna. Wkrótce po dziewiątej godzinie byłem u brzegu rzeki, od godziny szóstej rano, zrobiwszy mil siedemnaście. Znalazłem i tu Rosjan przed sobą, rozkwaterowanych w żydowskiej części miasta. Nazywam stojące do koła domy, stanowiące porządne miasto z rynkiem w pośrodku dlatego żydowskimi, że zamieszkane są całkiem przez żydów; ci mają tu własną porządną synagogę, i liczba ich tu dosięga 2000 pewnie. Miło mi widzieć tych ludzi, zajętych czemś innem, nie małym handlem i szacherką; tu zajmują się wszelkimi rzemiosłami, jakich do życia i wygod potrzebują. Nawet nocni stróże byli żydzi, ale (proszę się nie śmiać) chodzili wszyscy po dwóch, śpiewając tę samą piosnkę nocną, i nie bez przyczyny zapewne, gdyż zdaje się, że z dwóch tchórzów, można stworzyć jednego dość śmiałego człowieka.

Tu uczuć mi się dały pierwszy raz pewne niedogodności żołnierskiego porządku, do których w Kurlandji i Litwie nie byłem nawykły. Stojący z tej strony rzeki Rosjanie mieli rozkaz nie wpuszczania nikogo po dziewiątej godzinie. Oznajmiono mi o tem i wprowadzono do czarnej, od gorąca i różnych wyziewów cuchnącej izby żydowskiej, gdzie, z powodu że mało rozumiem po rusku, a żydzi do koła stojący niewiele niemieczyzny mojej zrozumieć mogli, z trudnością potrafiłem wytłumaczyć, skąd jadę i dokąd, i kapralowi dowodzącemu, podać imię, nazwisko byłem zmuszony. Lepiej mnie dopiero zaczął rozumieć, gdym

mu parę tuzinów polskich groszy ofiarował. Następnie przedstawiłem mu swój interes gestami i z pomocą żydowskiego dragomana usiłując dać do zrozumienia, że chciałbym się do Kowna jeszcze przewieść, ale wiedziałem z góry, znając surowość rosyjskich praw wojskowych, że to będzie niemożliwem. Już miałem zamiar powóz mój kazać wtoczyć do drugiego żydowskiego domu, gdy oficer, który dowodził tym oddziałem, zajechał z Kowna. Ten mówił po niemiecku i po francuzku, miałem więc środek porozumienia się z nim, z początku się opierał, ale w końcu mi oświadczył z prawdziwą grzecznością, że widząc we mnie poddanego rosyjskiego, weźmie odpowiedzialność na siebie i dozwoli mi się przeprowadzić. Zdawało mi się tedy, że wygrałem sprawę i byłbym ją wygrał, tylko nie tu, gdzie żydzi byli majtkami i sternikami na promie. Wiatr się zerwał niewielki, oświadczyli mi więc, że przewieść nie mogą, jeśli im w czwórmasób przewozu nie zapłacę. Można z tego wnosić o ich strachu, przypomniałem sobie zwyczajną gadkę o żydach, którzy dla wyrażenia swej obawy mówią, że pod wodą belek nie ma.

Byłem więc zmuszony zajechać do żydowskiej karczmy i pozostać w towarzystwie, którego nie opisuję, składającym się z ruskich żołnierzy, gołych Litwinów, pół pijanych Polaków, i licznej rodziny izraelskiej, aż do godziny trzeciej. Grupy tych gości karczemnych godne były pędzla Fieldinga i Hoggarth'a. Wszystkie zmysły moje zbyt się niemi przesyciły, bym chętnie po raz drugi szukał podobnego towarzystwa.

Rzeka, przez którą nakoniec przeprowadzać się miałem, aby do Kowna się dostać, zowie się Wilja, wpada

ona do Niemna, i rzekę tę o jedną trzecią część powiększa. Stąd płynie tak, że mając Kowno za sobą, trzeba się jeszcze raz przez nią przeprowiać. Dwie te rzeki opasują miasto do koła.

Kowno jest jednym z najstarszych miast na Litwie. Ślady jego wieku widoczne są w niektórych starogotyckich domach, które się, mimo spustoszeń, jakim miasto w wojnach szwedzkich i innych ulegało, utrzymały. Domy te są z rodzaju szczytowych, czołem do ulicy obrócone. Szczyty są albo podwójne i zaostrzone, albo pojedyncze, spiczasto zakończone i ozdobne. Kilka kościołów zbudowane są w tymże smaku, później wzniesione domy mają świeższy styl, a niektóre z nich zdały mi się wcale ładne. Tak na przykład dawne kolegium Jezuickie w rynku. z kościołem swym, chociaż jest niezbyt wielkie, ale zato wcale zręcznie zbudowane i najpiękniejsze ze wszystkich gmachów publicznych w mieście. Ratusz ma piękną wieżę w dawnym guście, najwyższą w mieście, która dosyć rynek przyozdabia. Przyczyniały się na inny sposób do okraszenia go dwadzieścia ruskich armat z należącymi do nich wozami prochowemi. Zewnętrzne części miasta całe się składają z domów drewnianych, wśród których gdzieś ukazują się szczątki starych murów, dowodzących, że miasto niegdyś było daleko większe, ludniejsze i więcej kwitnące niż dzisiaj. Burmistrz i poczthalter miasta, który, wedle własnego swego zeznania, nazywał się pan *von Essen*, podawał liczbę domów na 400, a mieszkańców od 4 do 5,000.

Położenie Kowna jest wcale piękne. Mówiłem już, że leży w dolinie, a otoczone jest Wilją i Niemnem. Ostatni płynie po za dużym, lasem okrytym wzgó-

rzem, wznoszącem się wyżej nad najwznioślejsze domy miasta — widać to wzgórze z każdej prawie ulicy. Dolina przedstawia się zaokrągloną, świeżą i żywną.

Naostatek miasto się sławi swoim miodem, który jest wyborny i zowie się Lipiec. Jest to napój z miodu przasnego sycony, około pięćdziesięciu lat stary, który z powodu, że go trzymają w beczkach i fiaskach od wina węgierskiego i jego smak umieją mu łądawać, tak to wino przypomina, iż kto nie jest znawcą, może być łatwo oszukany. Najlepszy powinien być zupełnie biały, a miłośnicy tego napoju płacą go po dukacie, dwa i półtrzecia za butelkę. Przypisują szczególną jego dobroć temu, iż pszczoły w okolicy miód na kwiecie lipowym zbierają. Przyczynia się do tego zapewne i sposób wyrabiania.

W odległości około pół godziny od Kowna, trzeba się, jak mówiłem, przez Niemen przeprawiać. Na promie spotkałem ruskiego kaprała, który stał tu dla pilnowania porządku i czynności ludzi. Porządny kij mu do tego dopomagał, a spełniał swe obowiązki tak gorliwie, iż nawet gdy ludzie pracowali dobrze, naganiał ich, by lepiej jeszcze robili. Gorliwość dochodziła do tego stopnia, iż nawet kilku podróżnych, (żyda i Litwina) do roboty napędził, i tak się dobrze koło nich zawijał jak koło właściwych przewoźników żydów.

Nierychło postrzegłem, iż przy każdym czynnem przypomnieniu obowiązków tych, z podelba uśmiechając się, spoglądał na mnie, dając do zrozumienia, iż to jedynie czynił dla przyspieszenia mojej przeprawy, spodziewając się, iż tę grzeczność przyzwoitym tryngieldem uwzględnić zechce. Ale że mi to odkrycie niebardzo

było przyjemne, postanowilem go wcale nie wynagradzać; jednakże radość po przeprawie z dostania się na brzeg zmiękczyła me serce i dałem mu kilka polskich groszy, które przyjął tak pokornie, jak dumnie wprzód porywał się do ludzi.

Od Niemna jedzie się pod górę lasem, dosyć jednostajnym, i dwie mile trwającym, który w końcu co raz się przerzedza i odkrywa widok piękny na Niemnową dolinę. Widać stąd było żyzne łąki, poprzerywane rzeką i pasące się na nich trzody.

Tu jest najbliższa stacya Gog, mil trzy, *wolna* wieś, niezmiernie różniąca się od innych litewskich, czego się z jej nazwiska domysleć można. Osada to tak zwanych niemieckich kolonistów, którzy w dawnych czasach, mając sobie zapewnione pewne swobody, do Litwy i Polski się przenosili. Swobody te im zachowane zostały, z czego właściciele ziemi też korzystali. Osadnicy ci od dawna po niemiecku już nie umieją. Domy w tej wsi były większe, dłuższe, porządniej pobudowane, ogrody przy nich lepiej uprawne i poogrodzane; szopy miały dachy całe, droga przez wieś wiodąca była twarda i bez kałuż. Mieszkańcy wyglądali swobodniej, porządniej, nie z tą unizonością słowiańską, która w innych chłopach litewskich przykre czyni wrażenie. Zbliźali się do mnie bez obawy, oddalali się nie wiele zważając. Wstępowałem do kilku domostw i znalazłem we wszystkich ład i czystość. W jednym z nich młody człowiek częstował mnie chlebem, masłem i mlekiem w sposób najgrzeczniejszy. Mieszkania ich dzielą się na dwie połowy, jedną stanowi rodzaj jadalni, z długim stołem dla całej rodziny i czeladzi, drugą — izba robocza, gdzie się znajdują krosna,

warsztaty w ruchu itp. Jedno to tylko litewskie mają w sobie izby, że je oświeca otwór mały, na stopę wysoki, stopę i pół długi, nieregularnymi szybkami założony, oprawnymi w drzewo, w skutek czego skąpo się światło przeciska. Zaledwie konie któremi przybyłem odprężono, już świeże u powozu stały. Nikt z ludzi wcale nie okazywał po sobie jakby odemnie za to trinkieldu oczekiwał. Osada ta składa się z osób około trzechset. Wójt, czyli ojciec, który ma nadzór nad pocztą, ma u nich, jak widać, wielkie poszanowanie. Był to starzec, lat sześćdziesięciu, bardzo wesoly i grzeczny.

Z Gogu droga jeszcze milę bieży doliną; w końcu na prawo się podnosi i Niemen ginie z oczów. Gościńiec, jak wszystko w Litwie, zostawiony naturze, zszedł w nizinę tak zalaną wodą, iż po próbie okazało się że, chcąc ją przebyć, miałbym najmniej stopę wody w powozie. Byłem zmuszony wypakowywać wszystko, przenosić na drugą stronę, a powóz wplaw przeprawić. Dwóch Litwinów dobrej woli pomagało mi, trzeci także przechodził tam i nazad. Ten, jak tylko w oddali ujrzał coś podobnego do huzara ruskiego, przerażał się straszliwie. Natychmiast wdrapywał się na prawo na pagórek, wciskał w las i niepowracał, dopóki się nie przekonał, iż obawiać się nie było czego. O ile dowiedzieć się mogłem o przyczynie strachu, powodem być miało, że go posłano szukać zgubionej w Niemnie szabli jednego huzara i kazano mu niepowracać dopóki by jej nie znalazł. A że mandatu spełnić nie mógł, stąd owa obawa.

W przeciagu godziny nareszcie mogliśmy się w dalszą wybrać drogę. Wiodła ona ku górze na żyzną

równinę, na której kilka wsi widzieć się dawało. Na wyjeździe w jednej z nich spotkałem napilego ruskiego muszkietera, w całym uzbrojeniu i rynsztunku. Pozwolił sobie w sposób niegrzeczny, ledwie władając językiem, spytać mnie kim jestem. Niechcąc z nim długo rozmawiać, dałem mu do zrozumienia, że jestem Niemiec i języka jego nie znam; pomimo to utrzymywał, że byłem Polakiem, począł się cisnąć i chciał zająć miejsce na przodzie. Po świeżym deszczu błoto było wielkie i ziemia śliska, rycerz niebardzo mocno na nogach się trzymał i chcąc powóz dogonić — upadł, z całym swym pakunkiem twarzą na ziemię. Nie chcąc mieć do czynienia z pijanym tryumfotorem, kazałem pocztylionowi pospieszać i skończyło się szczęśliwie na tem, że szanowny ziomek mój, podniósłszy się, tylko zdaleka, poczęstował mnie kilka razy polskim łuncwotem. Biegł jeszcze czas jakiś bardzo prędko jak na stan w jakim się znajdował, gonił powóz, alem go nareszcie z oczów stracił. Nie groziła mi większa strata nad parę kieliszków francuzkiej wódki i kilka polskich groszy.

Żyzna dolina kończyła się lasem, za którym rozciąga się znowu piękna łąka, a jej zieloność przypomniała mi że się ku wiosnie przybliżam. Jedna z najpiękniejszych trzód, jakie w Litwie spotkałem, tu właśnie była, i pasła się prawie aż do Pren, najbliższej poczty, gdzie czarna, tłusta ziemia zmieniła się na piasek głęboki. Preny są podobne do innych litewskich miasteczek, mają co najwięcej około 300 domów. Tu spotkałem oddział polskiej piechoty, cały prawie składający się z młodych, zdrowych, porządnie i świeżo przyodzianych ludzi.

Z Pren do Balwierzyszek dojechałem w sześć kwadransów, zrobiwszy dwie tęgie mile, wspominam o tem dla pokazania, że pocztyljoni litewscy wszędzie jadą jednakowo. Parę razy musiałem ich prosić, żeby nieco wolniej jechali. O klusie nie było co myśleć, chyba jadąc pod górę. Wzgórzów było kilka za lasem, a droga coraz wyżej wspinała się po nad Niemen.

Z najwyższego punktu widok się przedstawiał, jakiego w Litwie spodziewać się nie było można. Oko ledwie mogło objąć dolinę, wśród której między lasami i żyznemi łąkami Niemen wstęgą się wielką zakręcał. Przyznam się, iż widok ten tak miłe na mnie uczynił wrażenie, jakiegom nie doznał oddawna; nie opisuję obrazu, bom się przekonał, że wszelkie tego rodzaju drukowane malowidła nie dają pojęcia o pierwowzorze.

Stąd zjeżdża się wreszcie w dół nieco ku Balwierzyszkom; miasteczko to jest do innych podobne, a za niem za wzgórzem stoi stacja pocztowa.

Jechałem stąd dalej do Olity, dwie mile, dokąd o godzinie dziesiątej wieczorem przybyłem, z powodu trzygodzinnego zatrzymania się w Kownie, zrobiwszy tylko mil dziesięć i pół. Do samej Olity się nie wjeżdża, gdyż dom pocztowy stoi za miastem, Naprzeciw niego nieboszczyk Tyzenhaus począł był ładny dom wiejski budować, ale śmierć jego tak jak i wiele innych przedsięwzięć rozbiła. Smak tej budowy, która jest teraz w ruinie, wcale niezły, a widok z niej bardzo miły. Z przodu widać szeroko rozłożoną dolinę, wysokiem lesistem wzgórzem opasaną, na wierzchołku którego stoi klasztor Olita, zaś po jej bokach i z tyłu najżyźniejsze pola ją otaczają. Następnego poranka, d. 3 Maja około godziny szóstej, wyjechałem z Olity

do Kryksztan, półczwartej mili. Droga i okolica były podobne do poprzedniej stacyi: piaszczyste wzgórza, żyzne łąki, lasy. O milę prawie od poczty, ukazuje się znowu Niemen i piękna dolina jego, ale powiększona. Wiele płytkich i szerokich bark płynęło Niemnem obładowanych belkami, w dół rzeki; tu i owdzie nad brzegami nagromadzone drzewo obrobione świadczyło o ożywionym handlu tym wyrobem... Ale niewysłowienie niszczące gospodarstwo leśne tutejsze nastęczyło mi uwagi, które poniżej opiszę.

Z Kryksztan do Lejpun, następującej poczty o dwie mile, droga równa, ciągnie się przez piaszczyste z małemi wyjątkami lasy. Tak samo z Lejpun do Przewałk, trzy mile, gdzie w odkrytych miejscach, piasek pomieszany z gliną czerwoną, zielonemi zasiewy był okryty. Niemen, który na drodze od Kowna to ukazywał się to znikał, o godzinę od tego miejsca na nowo mi się zjawil ze swą doliną i musiałem posłuszny jego dziwacznemu biegowi jeszcze się raz przezeń przewozić. Tu znalazłem pierwszy przewóz, na który bezpiecznie sięść było można: obszerny i mocno zbudowany, do niemieckich podobny i ciągnięty na linie. Te, które dotychczas spotykałem, składały się z dwóch czółen, na które rzucone były belki lub wprost tarcice, a przez nie przeglądała woda.

D. 4 Maja z Przewałk do Krynicznej, mil trzy, gdzie nocowałem, stąd do Grodna półtrzeciej. Kraj na przemiany lesisty i płaski, ciągle piaszczysty, mało urozmaicony, aż pod same Grodno, położone wspaniale w dolinie Niemnowej. Widok na nie z góry jest wcale piękny. Wiele kościołów z wieżami, znaczna liczba w nowym smaku zbudowanych, ale bardzo roz-

sypanych pałaców i domków, występują na tle czarnem drewnianych chałup, właściwie miasto stanowiących. W pewnem oddaleniu od miasta znalazłem znaczną ilość dział odprzodkowanych, wycelowanych ku niemu, co na nieszczęście tłumaczyło się wkrótce mającym zgromadzić Sejmem. Wjazd do miasta dość poważny, zdobią królewski zamek i wiele domów pańskich, które tu ściśnięte razem stoją. Minawszy je, dojeżdża się do nowego mocnego mostu i miasta samego, w którym najrozmaitsze budowle, jak zwykle po miastach polskich w dziwny sposób stoją skupione. Obok jednego porządnego domu wznoszą się dwie lub trzy rządowe, upadkiem grożące chałupy drewniane, za nimi pałac; dalej kościół, obwiedziony brukiem, który ledwie się może nazwać tem imieniem, bo po najmniejszym deszczu, strumienie błota go zalewają.

Zresztą Grodno przedstawiało się teraz ludne i ożywione. Oprócz silnej załogi rosyjskiej, znajdowało się wielu posłów ze swemi dworami, główny sztab wszystkich wojsk konsystujących do koła i ci magnaci polscy, którzy na przyszłym Sejmie odwagę mieli występować. Nie widać było wcale po mieście, aby się tam miał król znajdować; żył on na zamku, ze swym małym dworem, całkiem odosobniony i zamknięty. Przed zamkiem nie postrzegłem żadnego powozu, ale mnóstwo przed mieszkaniem posła naszego. Nasi sztaboficerowie przepysznie, poszóstno i czterma końmi zaprzężonemi powozy przebiegali ulice; polscy magnaci w skromnych bardzo ekwipażach trzymali się, przesuując bokami. Wiele sklepów modniarek z Warszawy; znaczna też liczba najpiękniejszych i najślą-

wniejszych *dziewcząt* tu się przesiedliła wedle zwyczajaj, aby przykładem swym, (tak się domyślam przynajmniej) stronnictwa różne i narodowości do powolności i wyrozumiałości nakłonić. Z powodu stosunkowej szczupłości miasta na zjazd taki i niewielkie żywności okolicy, mieszkania i żywność były niezmiernie drogie. Pokoik i łóżko kosztowało dziennie jeden, dwa i trzy dukaty, a znośny obiad, ośm do dwunastu złp. Fura siana jednokonna, płaciła się trzy do czterech dukatów. Stosunkowo tak wszystko.

Nie miałem czasu oglądać, ani ruin fabryki sukiennej, którą tu był król przed laty założył, ani Akademij chirurgicznej i ogrodu botanicznego. Z powrotem przypatrzyć się temu.

Za Grodnem musiałem jeszcze raz przebrać się przez Niemen i drapać pod górę, która się później w szeroką równinę rozwinęła. Znalazłem drogę sypaną, przestronną, dosyć starannie utrzymaną, z obu stron opasaną rowami i wysadzaną drzewami. Ten gościniec sypany jest także dziełem niez mordowanego Tyzenbauza; szkoda że kraj przez który prowadzi, dosyć smutny. Nie widać nic prócz nagiego, żółtawego, piaszczystego gruntu, gdzieniegdzie małemi wzgórkami, laskami i zaroślami urozmaiconego. Pocztylioni mogli się ze swą ręczością popisywać. W półpiątej godziny przebiegłem dwie poczty, do Kuźnicz i Sokółki, czyli mil niemieckich sześć. Częściami małym galopkiem, resztę czasu lecieliśmy w całym pędzie. Ale to pewna, że tylko polskie konie tak się pędzić dają...

Kuźnicze są nic nieznaczącem, nie wiem miasteczkiem czy wioską, gdyż litewskiej miary w tym wzglę-

dzie zrozumieć nie mogę. Sokółka zaś jest porządniejszą miejsciną w rodzaju jak Janiszki. Odznacza się szczególniej targowisko, otoczone do koła fabrycznemi domami i fabrykami, zapewne założonemi przez Tyzenhauza i ze śmiercią jego upadłemi. Wyżej wspomniana fabryka sukna w Grodnie, która przez czas jakiś zdawała się prosperować, była także jego dziełem, upada ona z dniem każdym, a i wspomnienie tego męża wkrótce zniknie. W Grodnie zapewniał mnie pewien fabrykant, którego ze Szwajcaryi był sprowadził na dozorcę, iż największym błędem Tyzenhauza było, że cierpliwości nie miał wyczekać nigdy, by mu się jedno powiodło, a zaraz coś drugiego rozpoczynał. To ściągnęło niefąd w interesach jego, a nakoniec — wstrzymało wszystko. Był on Podskarbin litewskim, w wielkich u króla łaskach i byłby polepszył finanse, zwiększył dochody państwa, stworzył przemysł w kraju, gdyby go zazdrość nie obaliła. Wierzyście się rzucili nań i wszystko przepadło.

Z Sokółki do Buksztal trzy mile ciągnęła się ta droga wysadzana, z wielką dla podróżnego przyjemnością, a stąd do Białego stoku. Sześć tych mil zrobiłem w cztery godziny. W obu wspomnionych miejscach znalazłem w pocztowych domach potomków dwóch familij saskich, które od czasów Augusta drugiego zajmują te posady, a dziś rodziny te do czterdziestu czterech głów liczą. Stanowią one towarzyskie kółko, związane węzłami krwi z sobą, dzieci na przemianę z sobą żenią, krwi polskiej ani kropelki jeszcze nie wmięszwały (o ile się to uniknąć dało) i obyczaję, a mowę Saską zachowały, chociaż mężczyźni w części się po polsku poprzebierali. Czystość

i porządek odznaczają te domy, i ludek ten wśród Litwy wyróżnia się niemi korzystnie. Białystok, do którego o siódmej wieczorem, po szesnastu milach podróży, przybyłem, jest najświeższem i najpiękniejszem z widzianych dotąd miasteczek. Leży on już na Podlasiu. Ulice proste, w środku bardzo dobrze brukowane, domy wszystkie niemal regularnie budowane z cegły, stoją od siebie w pewnych odległościach, prawie w jednakim stylu wzniesione, z frontami na ulice, o jednym piętrze. Rynek obszerny, wyróżnia się swą budową i wieżą wysoką. — Miasteczko było ożywione. We wszystkich niemal domkach słychać było muzykę, przez wszystkie okna patrzyły, przed domkami stały kupki ludzi z wesołemi rumianemi, niedzielniemi twarzami, z rozpromienionemi obliczami, wyrażającemi zadowolenie. Znaczny oddział piechoty polskiej stał tutaj, a panowie wojskowi kręcili się około pań i panienek kuchennych i szynkowych, i wesołe te kupki zabawiały się bez ceremonij, praktycznie bardzo, nie tak skrycie i przyzwoicie jak podobni im z wielkiego świata. Miasteczko należy do siostry królewskiej, pani Krakowskiej, wdowy po hetmanie Branickim. Jest tu zamek i obszerny, pięknie utrzymywany ogród. Budowa w stylu regularnym włoskim, bez tego mnóstwa kolumn, które od lat dziesięciu lub piętnastu wszystkie prawie pałace nowe podpierają zwykły. Całość wygląda wesoło, swobodnie, chociaż nowsze budownictwo nazwać je może nieco naga: wysokość, rozmiary są tak zastosowane do położenia, iż nie w tem najmniej razi. Ogród niewielki, francuski, chłodny, ale okolicy wydają się tem bardziej ożywionemi. Wychodzi się z niego na obszerną łąkę pięknemi drzewami za-

sadzona, sztucznemi pagórkami i Colinami poprzerzynaną i gęstym, romantycznym zwierzyńcem zakończoną, gdzie mnóstwo sarn i danieli igra, nie czując nawet na półczwartej mili rozległej przestrzeni, że swobodę utraciły. Sztuka prawie niepostrzeżenie dopomogła tu naturze, i oboje w tem połączeniu zyskują. Między innymi spotyka się tu wysadzaną aleję, nad którą piękniejszej nie przypominam sobie bym widział; mówię to, nie sądząc abym się mrokiem uroczym, w którym ją oglądałem, i śpiewem słowików, który mnie zachwycał, był ujęty. Uczulem tu serce moje, po długim pasmie wrażeń ostudzających, ścieśniających je po raz pierwszy znowu otworzone i bijące wolniej; po stracie części zdrowia znacznej i mniejszej części wesela.

Wnętrze pałacu jest dosyć puste i dosyć zaniedbane od czasu jak właścicielka mieszka w Warszawie: nie zhywa wszakże na pięknych pokojach i salach, o jakie w tych krajach między Warszawą a Petersburgiem, trudno.

Wyjechałem tegoż wieczora jeszcze dalej do Wojszk i Bielska (pięć mil), drogę wszędzie znajdując jednostajną, niekiedy piaszczystą, leśną, ale niezbyt ciężką. W Bielsku, stolicy Podlasia, dokąd d. 5 Maja rano przybyłem, stał oddział polskiej kawalerij narodowej, która właśnie ciągnęła, by generałowi swemu po żołniersku w dzień imienin złożyć powinszowanie. Może nie od rzeczy będzie tu o tem wojsku coś powiedzieć.

Polacy rodzą się na jeźdźców. Że muszą dobremi być jeźdźcami, to wynika z natury ich koni. Ogień ich, szybkość, narowistość wymagają od jeźdźca sztuki,

odwagi i zęczności; wytrwałość ich i wstrzemięźliwość, czynią je najdoskonalszemi do wojny. Ostatni przymiot czyni hodowlę niekosztowną i dozwala ich trzy mać mnóstwo, tak że cała niemal ludność mogłaby się na koń. Ponieważ trudni się ona głównie (przynajmniej dwie trzecie jej) rolnictwem i rozsiana jest po kraju na wielkich przestrzeniach, potrzebuje więc koni zarówno ku wygodzie własnej, do pracy i do zabawy, aby się zbliżyć ku sobie. Może z tych powodów w polskich wojskach zawsze jazdy było więcej niż piechoty, a kawalerja przechodziła ją porządkiem, karnością i wprawą. Od wieków tak było w Polsce, i w roku przeszłym w wojnie przeciw naszej Cesarzowej.

Gdy ostatni Sejm od 1788 do 18 Maja 1791 r.— rozpoczął swe czynności, oprócz obu gwardyj, pulki piechoty były mało znaczące i niewprawne, ale kawalerja na dobrych koniach i porządnie odziana, starannie dobrani ludzie, każda chorągiew do czterdziestupięciu głów. Sejm stosownie do swych widoków, uznał właściwem ją zwiększyć i każdą chorągiew do stu pięćdziesięciu ludzi podniósł. Do pulków tych więcej się znalazło ochotnika niż do piechoty. Bardzo politycznie sobie postąpiono, dając kawalerji piękne mundury, i szlachecka młodzież cisnęła się na oficerskie miejsca; ja sam w sali sejmowej widywałem trzecią część posłów w mandurze kawaleryi. Mundur ten stał się cechą patriotyzmu. Stara bogata szlachta dawała synów na towarzyszków, posłowie nawet nie znajdowały niegodnem siebie należyć do rich. Różnili się towarzysze od prostych żołnierzy, noszeniem akselbandów i chorągiewek i mieli rangę oficerską. Przy każdej chorągwi była równa ich liczba oznaczona.

To jądro wojska polskiego składało się z najmłodszych i najpiękniejszych ludzi, których dwie trzecie dopiero się od roku zaciągnęło, i nadzwyczaj szybko poruszeń i manewrów wojskowych się wyuczyło. Widziałem był pod Warszawą część ich, odbywającą manewra, które nie miały może dokładności i równości kawaleryi pruskiej i austryjackiej, ale szybkością, gotowością, zręcznością pojedynczego żołnierza przechodziły je pewnie. Wszyscy w ostatniej wojnie spełnili swe obowiązki bardzo dobrze. Nawet oficerowie nasi zgodnie to poświadczali.

Mundur kawaleryi składa się u prostych żołnierzy, z ciemnoszafirowej kurtki (krótkiego surduta) z czerwonymi wyłogami i długich węgierskich spodni sukiennych, tego koloru co wyłogi, krótkich butów i okrągłego, wysokiego, czarnego kaszkietu. Bronią ich, —szabla, para pistoletów, karabin, a u towarzyszków, lanca z chorągiewką. Oficerowie ubrani podobnie, ale daleko wytworniej, z aksebandami, pasami, szarfami, torebkami, bogato srebrem przyozdobionemi. Spodnie wszakże noszą szafirowe, tylko z boku lampasem czerwonym wyszyte. Na głowie zwyczajna polska, rogatywka, karmazynowa z białem piórkiem, srebrnymi sznurami i kutasami i poehwy pałasza, po huzarsku długo spuszczonego, srebrem wykładane; rękojeść z pięknej stali. Całość ta ubiera ludzi przystojnych, o których tu nietrudno, według mojego przekonania, bardzo pięknie.

Przepyszne to wojsko, ma być wkrótce, jak mówią, jeśli nie całe, to w części zniesione, a w części przez państwa dzielące do własnych armij wcielone.

Wspomniany oddział, w Bielsku stojący, szedł winszować swojemu generałowi, ale pieszo. Dla tych centaurów para nóg nie starczyła. Stali, maszerowali i szeregowali się tak niezręcznie, jak sobie tylko wyobrazić można; nabijanie broni i dawanie ognia wzbudziłyby śmiech w ośmiodniowym pruskim rekrucie. Po manewrach przystąpił pan pułkownik hr, St... do mnie, (znałem go wprzód w Warszawie) i rzekł mi: *Monsieur, mon monde n'est pas sur ses terres.* (Lud mój nie w swoim żywiole). Potwierdziłem to, — w istocie był sędzią kompetentnym, alem zapewnił, że tych ludzi widziałem w ich właściwym żywiole.

Tu już znajdowałem się w Polsce właściwej i mogłem dostrzedz różnicę jej od Litwy, o której niżej przy zręczności wspomnę.

Z Bielska pośpieszyłem dalej na Brańsk (3 mile), Polbikrow (3 mile), Krzemień (3 mile), Sokołow (3 mile) i Węgrów (2¹/₂ mili) miasteczka lub osady, podobne do wyżej opisywanych. W Węgrowie stało 2000 Rosjan, i od wjazdu musiałem się poddać konwojowi ruskiego kaprała do kancelaryi pułkowej, gdzie tylko się o nazwisko moje zapytano. Ponieważ urodziłem się w kraju, w którym porządek żołnierski nie uważa się za niewolę, nie zdało mi się to, jak inne podobne ostrożności przykrem; w Polsce uważają to za niesłychany ucisk, i rachują do postępków, któreby ledwie otwarta wojna usprawiedliwić mogła. Z tego wyobrazić sobie można, jakie tu do wolności przywiązują pojęcie. Jakże ma być inaczej tam, gdzie mała garstka panów za zasadę wzięła *być wolną za resztę narodu*, i biczem między swemi tę zasadę utrzymuje?

Droga z Węgrowa, skąd tegoż wieczora wyjecha-

łem, na Makow, Stanisławów i Okuniew do Warszawy, jak poprzednia do Węgrowa, mało jest urozmaiconą. Piaski i laski towarzyszyły mi do Warszawy, dokąd d. 7 rano o dziewiątej przybyłem. Tym sposobem w sześć dni i dwie noce, zrobiłem mil 96 i pół. Wątpię bym w krajach innych, które ten świat za dziki poczytują, równie szybko mógł przebyć przestrzeń tak wielką.

To mnie prowadzi do niektórych uwag nad stanem poczt w Litwie, o których tem bardziej uważam nadmienić, iż zwykle Litwę i drogi litewskie uważają za pustynie. Cena koni extrapocztą, jak wszędzie, od jednego po dwa złote na milę, to jest po groszy osiem; pocztylion dostaje od stacyi czy dłuższej czy krótszej dwa złote, które się płacą pocztmajstrowi razem. Oddaje on je pocztylionowi dopiero po powrocie, aby posiadając ten skarb nie pił po drodze, gdyż dla tu-tejszego ludu jedyną przyjemnością jest wódka. Jeśli mu się oprócz tego da trzy do pięciu polskich groszy dojechawszy, całuje ręce i suknie.

Konie są w całej Litwie małe, ale niemniej do użycia dobre. Mówiłem, jakie niemi codzień robiłem podróże. Największą ich enotą, że biegają, wiele razy stację przejeżdżałem w dwóch trzecich częściach galopem, a resztę wyciągniętym klusem. Ciągną niezbyt dobrze, dla tego pocztmajstrowie przyprzegają bezpłatnie czasem parę lub więcej koni. Na niektórych pocztach płaciłem za trzy, a dawano mi po pięć koni, zwykle zaś po cztery. Na kształt, na uprząż, na przybory nie trzeba zwracać uwagi. Wszystko to tak nędznie wygląda, że zdaje się, iż wytrzymać nie potrafi. Na każdej stacyi pocztyljon parę razy wysiąść musi, żeby coś koło uprząży poprawić.

Pocztylioni, chociaż po większej części, a zwłaszcza w głębi Litwy, nie mają sukmany, spodni, butów, są wybornymi woźnicami, a choć lecą, powożą zręcznie i nad zwyczaj ostrożnie, co nieraz podziwiałem. Grzeczni są, dobrej woli i niewymagający. Dwa razy mi się trafiło podczas drogi do Warszawy, że się pocztyljon zatrzymał, ale nigdy dłużej nad pięć minut. Upał go zmuszał ochłodzenia się napojem. Nie przyjdzie na myśl biedakom, natrętnie poprosić, aby im podróżny napój zapłacił, jak się trafia pruskim i saskim pocztyljom. Między litwinami ani jednego pijanego nie spotkałem.

Pocztmajstrowie są ludźmi najgrzeczniejszymi w świecie i przeprząg nie trwa dziesięciu minut.

Konie pasą się dokoła poczty po dwadzieścia i trzydzieści, przybывая pocztyljon zatrąbi tylko, a już pilnujący je wiedzą o co idzie. Wprost z pastwiska pędzą je do powozu, a że tu chomąt nie znają tylko szleję na łeb zarzucają — w moment gotowe wszystko i jedzie się dalej.

Nie nie szkodzi, że się języka nie rozumie. Trzeba się tylko nauczyć, jak się koń nazywa i parę liczb, to starczy. Pieniądze się zwykle i bez dykcjonarza najlepiej zna i cenić umie.

Po pocztach wszędzie są łózka albo dobre posłania ze słomy; w wielu znajdzie się napój i jadło, a nawet jak na kraj ten, tanio. Nie zaszkodzi wszakże tu jak i wszędzie mieć z sobą mały zapas jada i coś do wypicia. W Kejdanach, Kownie, Kryksztanach, Grodnie, Białym stoku, Węgrowie, na kilku innych przestankach litewskiej drogi, znajdzie się wszystko, czego się żąda.

Właściwych dróg sypanych w Litwie niema tylko kawałkami, o czem wyżej wspominałem; po drodze trafiłem na cztery lub pięć miejsc, w których ziarna lub w słotny czas zagrzeżnąć można. Reszta gościńca idzie piaskami i lasami i tu się o to obawiać niema potrzeby. Kraj wogóle dosyć piękny, w niektórych miejscach wdzięczny i przeważnie żyzny, o czem już z moich chorograficznych notat wiadomo.

Ratując sławę poczt litewskich, o których z ogólnych wyobrażeń i opisów *Cox'a* fałszywe powzięć można wyobrażenie, rozписаłem się umyślnie, i podróżni jadący do Kurlandyi, Inflant, Rosyi powinni być wdzięczni, jeśli sobie przypomną, albo usłyszą, jak nudną i jednostajną jest droga na Berlin, Królewiec i Memel. Ze środkowych Niemiec droga ta wypada o niewiele mil dłuższą od Berlińskiej, ale odbywa się z mniejszym kosztem, prędzej, wśród ludu uprzejmego, przez kraj żyzny w większej części i miły. Wierzyć też nie należy temu co mówią o niebezpieczeństwie podróży. Ja sam ją przebyłem trzy razy, i wielu z moich znajomych, a nigdy ani dniem ni nocą nie podejrzanego nas nie spotkało.

Pozwolę tu sobie przytoczyć jeszcze kilka uwag o Litwie i tej części Polski, przez którą teraz przejeżdżałem.

Litwa jest raczej równą niż wzgórkowatą, grunta orne i lasy na pół ją rozdzielają. Rolnictwo, jak na te kraje, jest starannie prowadzone, miejscami natrafiałem na ślady prawdziwie saskiego i czeskiego gospodarstwa. Wogóle jest ono wyborne, a łagodniejszy klimat wielce mu do tego pomaga. W Inflantach i Kurlandyi zasiewy ledwie się z ziemi dobywały i o mil dziesięć do piętnastu dalej ku Litwie, zboża już niemal kłósować mia-

ły. Toż samo z drzewami. Brzozy były zielone, gło-
gi kwitnące; łąki w najpiękniejszą odziane barwę. Licz-
ne trzody bydła rogatego pasły się po nich rozrzucone.
W tych miejscach widoki są wesołe, ale tem smutniej-
sze w okolicach lesistych. Tu się dopiero widzi co zby-
tek i lenistwo za spustoszenie wyrządzają.—Milami całe-
mi przejeżdżałem lasy, w których po obu stronach
drogi najpiękniejsze drzewa leżały, albo świeżo podpa-
lane (rąbać ich nawet sobie pracy nie zadają) w części
już poczerniały od sloty, lub rozpadające się w zgniliz-
nę i proch. Całe pasy lasów widziałem spustoszone,
pozostałe pnie, poopalane do korzeni, te poosmalane
i czarne stały, najsmutniejsze czyniąc wrażenie. W nie-
których miejscach przejeżdżałem przez palące się jesz-
cze lasy i zarośla, o które nikt się nie troszczył;
w Litwie się trafia często, że całymi tygodnia-
mi płoną bory i w popiół idą bez dozoru. Pastusi,
z największem niedbalstwem, podpalają pierwsze lepsze
drzewo i grzeją się przy niem; nie chce się im zebrać
suchych gałęzi, z którychby prędzsy i lepszy ogień mieć
mogli. Komu potrzeba węgla, zapala drzewo jedno lub
więcej, daje mu się wypalić i resztę zabiera.

Przedsiębiorstwa kupieckie niszczą niemniej szko-
dliwie te lasy, i z najbujniejszych drzew odcinają tylko
część grubszą, dwanaście lub piętnaście stóp długą,
reszta zostaje na miejscu i gnije. Widziałem w kilku
wsiach, około pól i ogrodów z takich wierzchołków
porobione płoty, a ci co zużytkowali je, jeszcze mi się
na zwykłe tutejsze leśne gospodarstwo wydali bardzo
oszczędni. Co powiecie na to, żem znajdował czę-
sto ogromne drzewa, leżące w poprzek drogi i wyrą-
bane tylko tak szeroko jak było potrzeba, ażeby po-

wóz mógł przejechać, z obu zaś stron korona i pień gniły nietknięte.

Te rysy zaniedbania i lenistwa dowodzą w litwinach opuszczenia się i opieszalności, ale są one zwyklemi u narodów, u których wieśniak nie jest wolny. Tak jest w Inflantach, Kurlandyi, Rossyi, w Polsce i w Węgrzech. Chłop ile mu na jego nędzne utrzymanie potrzeba, znajdzie sobie zawsze, jeśli nie we własnem gospodarstwie, to u swojego pana, z którym go łączy taki stosunek, jaki wiąże nasze konie i zwierzęta pracowite z nami; za pracę należy mu się pożywienie. Na cóż ma oszczędzać i o zapasy się starać? Jeśli swą własność spożył i stracił, zażąda od pana na swą potrzebę, aby nie umarł, a za to grzbiet pod kańczug nastawia. Woli być bitym niż pracować, bo wie, że jedna praca do drugiej jeszcze cięższej go prowadzi. Ale w ten sposób spada na pana nie tylko jego niedbalstwo, ale zepsucie włościanina, którego charakter wyrabia się na wzór innych niewolników z fałszu, przebiegłości, oszukaństwa i chęci odemszczenia szkodą za szkodę. Nie jestem za nagłem zniesieniem zależności włościan, bo żyję w kraju, gdzie się o niebezpieczeństwie jego łatwo przekonać można; ale należy zrobić początek, wielce pożyteczny, oddając na własność i dziedzictwo wieśniakowi ten kawałek ziemi, który on trzyma.

Posiadając rodzaj własności, nie lękając się przesadzenia z niej na gorszy kawałek, gdy ten pracą swą użyźni—wieśniak pracowałby inaczej, wiedząc, że wyrugowanym być nie może.

Wioski litewskie są do najwyższego stopnia nędzne. Materiałem ich budowy jest drzewo i słoma; o kominach mowy niema. Ponieważ każdy pojedyn-

czo i samowolnie domostwo swe kleci, wsie przedstawiają obraz nieładu i zniszczenia. Ściany pogniłe, dachy dziurawe są rzeczą pospolitą. W niektórych szopy znajdowałem plecione z gałęzi (plotu) i pokryte nędznym dachem. Wnętrza już opisywać nie będę. Pomi-mo to, Litwini są narodem zbudowanym zdrowo i silnie, szerokich ramion i wzrostu wielkiego. A że noszą po większej części brody, nadające im postać wojskowa, że się odziewają w szaty długie, spodnie szerokie i postoly plecione około nóg okręcane,—mają w sobie coś wschodniego. Głowę pokrywają czapką, okrytą futrem, coś prawie nakszałt staroświeckiej peruki ze zwieszonymi końcami. Kobiety ubierają się również w długie suknie i długą także spódnicę, na głowę zaś zawijają kawał płótna, którego koniec na ramiona spływa. Sukno na odzież, raczej tkaninę wełnianą, robią własnymi rękami, nie farbując wcale; najczęściej jest ono brunatne lub białe, jak wełna się zdarzy. Dzieci latem i zimą chodzą w jednej koszuli. Weselość naturalna, dobry humor rzadko się u nich spotyka; ale za to obudzone wódką, są bardzo pospolite. Panowie starają się o to, ażeby jej zawsze po szynkach było podostatkiem; a dawcy tego wesela ostatni grosz i ziarno zboża zabierają. Karczmy są w części żydom arendowane, lub trzymają je szynkarze na dziesiątym groszu. Jeżeli dodamy do tego, że małe zbytkowne potrzeby włościanin zaspakajać musi u żydów, a nadzieję szczęśliwości wiecznej nabywa od mnichów—każdy sobie wyobrazi stan tego ludu i dopowie to, co ja bym o jego obyczajach, gospodarstwie, religiji, mógł dodać.

Skoro tylko minie się litewską granicę i wjedzie do właściwej Polski, ukazują się zaraz małe różnice,

zwiastujące naród inny. Niemniej od samego języka zewnętrzne różne okoliczności uderzają. Nawet ubranie ludu jest inne; nie tak ubogie jak litewskie, sukno często farbowane, płótna cieńsze, krój odmienny. Znikają kurpie i chodaki, a miejsce ich zajmują buty; polak prędzej pójdzie boso, niżby miał wdziać łapcie. Suknie kobiet i mężczyzn mają kształt, zdradzający krawieckie nożyce; upodobanie polskie w guzikach i pętlicach już się tu pokazuje. Ponieważ chłop w Polsce nie tak jest uciśnięty jak w Litwie właściwej, wiadać po nim zamożność większą; domy są porządniej budowane, konie lepsze trzyma, je chleb bielszy i soli ma podostatkiem.

II.

Warszawa leży w szerokiej dolinie, na samym brzegu Wisły, który się tak podnosi, iż gdy przybywamy od Litwy, wydaje się jak gdyby zbudowaną na górze. Właściwie jednak tak nie jest, bo wyniosłość rozciąga się równo na wsze strony, i nigdzie nie widać pochyłości. Jak się tylko do miasta wjedzie, widać że stoi na równinie, żadna z jego ulic nie spada i nie podnosi się do góry. Jedyne przedmieście Solec leży niżej od innych części Warszawy, ale też ono nie zbudowane jest na wyniosłym brzegu, ale nad samą Wisłą. Żadne miasto z dołu nie wydaje się tak wspaniale jak Warszawa, gdy się na nią patrzy z niezbyt wielkiej wyniosłości. Warszawa od strony Wisły wygląda jak nieforemnie zbity kupa domów, przyciśniętych do boku góry, po nad którą gdzieś wystają wierzchołki wież, nieodznaczające się ani budową, ani formą. Z tej strony też całej długości miasta objąć nie można. Najlepiej się ona daje ocenić z wierzchołka luterańskiego kościoła, który leży prawie w samym środku miasta. Stąd też i właściwą jej fizjonomiję najlepiej się ocenia.

Kształt miasta podobny jest prawie do foremnego półkola, na wysokiem wybrzeżu Wisły rozciągniętego. Tuż przy rzece wznosi się wysoka domów massa, gęsto przy sobie stojących, przeciętych dość wązkami uliczkami; dalej już rzędami stoją drewniane, niskie, czarne gątami kryte, budynki, otaczające ulice szerokie... a te coraz maleją, drobnieją, i jak kretowiska wydają się na odleglejszych polach.

Całość Berlina, gdy się na nią spojrzy z wyso-ka, przedstawia w środku niby rdzeń wysokich gmachów, z którymi łączą się coraz mniejsze i najmniejsze na przedmieściach. Warszawa nie ma takiego ogniska, w niej mieszają się bezładnie wielkie i małe budowle, białe, szare i czarne; mało jest, lub niema prawie ulic, przy którychby domostwa były miernej wysokości i wszystkie porządnie wyglądały. Tylko Stare Miasto ukazuje się jako zbiorowisko miernie wyniosłych, razem przy sobie stojących, ściśniętych gmachów.... tak że w pośród nich ulicy dostrzedz nie można.

Do koła miasta rozciąga się po obu stronach aż do Wisły niezmierna okiem, żadnym pagórkiem i laskiem nie przzerwana piaszczysta równina, którą tylko w samej okolicy miasta, wysadzone ulice nieco ożywiają. Aleje te po większej części są jeszcze młode i otaczają gościńce, prowadzące do stolicy. Piasek tu tak głęboki jak około Berlina i tak ciężki do przebycia, ale mniej szkodliwy dla oczu i piersi, niż wapnem przejęty pył Wiednia i Paryża. Po za Wisłą i Pragę ta równina piaszczysta jest sosnowemi lasami otoczona, wśród których bliżej i dalej stoją pojedyncze domy.

Wisła jest mniej więcej tak szeroka jak Elba pod Wittenbergiem. Most na łyżwach prowadzi z Pragi do Warszawy, ułożony z balów, poruszających się jak pedały organów.—Galerja, go opasująca nie starszej wybudowana.

Wyżej i poniżej miasta widać kilka ław piaszczystych, które rzekę dzielą, utrudniają żeglugę i dość znacznym Wisły wodom, spadek i szybkość tamują, rozrzucając je. Wstrzymują także bieg wody pływające młyny, podobne budową do młynów pod Magdeburgiem, przy moście na Elbie i równie dziwnego pozoru.

Pałace i nowo wzniesione domy Warszawy, w większej części są smakowne, trwałe i wygodnie zbudowane — według przymiotów i wad dawnym gmachom właściwych. Pierwsze z nich zwykle składają się z obszernego podwórza z kształtnym *corps de logis*, z dwu bocznych skrzydeł i foremnej kraty od wjazdu; drugie mają charakter swej epoki, prostotę, trwałość, wyniosłość i podobne są do zamków po części klasztorów. Rodzaj budowli murowanych przypomina berlińskie, drewniane są podobne do chat po wsiach czeskich lub dworów w altemburskich lasach. Cegła i wapno składają się na pierwsze; na drugie belki grube, kładzione na glinę i mech. Warszawskie pałace ze swemi kolumnami, także są ceglane, a wiele kościołów na przedmieściach caluteńkie z drzewa bez odrobiny cegły lub kamienia.

Warszawa cała zbudowaną była, jak widać w tych czasach, gdzie jeszcze bardziej niż dziś zdawało się, iż oprócz szlachcica nie było w Polsce człowieka. Magnat, który mógł zostać królem, łatwo sobie pozwa-

łał zbudować pałac królewskiemu podobny. Nietrudno mu to było wykonać, królewskie mając dochody, a z poddanymi obchodząc się jak mu się podobało: mógł ich gnać i pędzić wedle woli. Stolica kraju, mającego taką konstytucję jak Polska, składać się musiała z samych pałaców, ale też ktoś je budować musiał i ręce do tego były potrzebne. To też obok pałaców stawały chaty dla robotników, co te mury wznosili. Nie można ich było zbyt daleko odsadzić, gdyż raz wraz byli potrzebni. Tak samo działo się z zaspakajającymi inne wymagania. Wszyscy musieli tu mieszkać, bo powinni byli dla panów pracować. Były to zwierzęta do noszenia ciężarów, które najmowano, a którym stajnię i paszę dać należało. Tym sposobem wyrosły pałace i chaty, książęta i żebracy — fizyczna i moralna podstawa bytu Warszawy. Duma pańska, która fundamenta te stworzyła, w duchowieństwie miała przeciwwagę. Magnaci dumni byli sobą, mnisi z udaną skromnością, Bogiem się zastawiali, któremu świątynie i klasztory budowali, będące Jego mieszkaniem.

Tak obok pałaców powyrastały kościoły, przy nich wyciągnęły się klasztory. Kapitał na pierwsze i drugie z jednego musiał płynąć źródła, z pracy i dobrej woli ubogich, których pocieszano błogosławieństwami, polewką, jałmużną, świecącymi obrazami, woskowymi świecami i przyrzeczeniami największego szczęścia w przyszłym życiu.

Gdzie są pałace i kościoły, tam powstają też wkrótce inne gmachy, których właściciele głową i piórem dla władzy świeckiej i duchownej pracują jeśli nie głoskami to cyframi. Około pałaców i panów, lubiących zbytek, rozsiedli się spekulanci i kupcy, zasta-

wiając w biały dzień sieci na bogaty, złotodajny polów, stokroć wynagradzający trudy. Nie dziw, że ich budy co rok stawały się większe i wspanialsze; i tak za pałacami panów, za świątyniami duchownych rosły domy bankierów, mnożyły się domostwa większych i mniejszych kupców. W istocie też najznacześniejsze pałace i domy Warszawy należą do panów, do księży i do bankierów. Liczą z zamkiem królewskim i innymi publicznymi gmachami, do osiemdziesięciu wspaniałych i skromniejszych, starych i nowych pałaców, więcej trzydziestu większych i mniejszych kościołów, świątyń, klasztorów, do dwudziestu wielkich domów, któreby za pałace uszły, gdyby do magnatów należały; brakuje im tylko nazwiska... A że często w tych domach, w mahoniowych ich biurkach i dębowych szafach, leżą całe te pałace — dziwić się tylko potrzeba szybkości, zręczności i biegłości artystycznej, z jaką je tam wpakować umiano.

Oprócz domów, zamieszkałych przez te trzy klasy, jest wiele w Warszawie takich, których powierzchowność, niemniej się odznacza rozmiarami i wytwornością, ale wewnątrz są one w większej części nędzne. Do tych należą, szpitale i koszary. Ostatnie wyglądają nazewnątrz bardzo wspaniale: a jedno z nich, świeżo wzniesione Ujazdowskie, są może najpiękniejszymi koszarami na świecie. Dom kadetów i arsenał są także bardzo poważnymi publicznymi gmachami; mniej piękna jest Mennica i biblioteka Załuskich. Nie wydaje się to tak bardzo dla tego, że są albo w odległych częściach miasta położone, lub wśród czarnych chałupek, jakie je otaczają.

Inne klasy mieszkańców, od facyendarzy aż do żydów, od generała do kuglarza, od adwokata do rzeźnika, od modnego kupca do zalotnicy ulicznej, od uczonego artysty do wstydzącego się żebrać nędzarza i t. p. — wszystkie, wedle rozmaitej przemożności mieszkają po domach, które w lepszych częściach miasta mają loszki, suteryny, sklepy, poddasza, i drugie piętra jasne i wysokie, a stoją wśród licznych zabudowań i czarnych domostw rozsiane. Najubożsi mieszczą się w nich właśnie, a im dalej od środka miasta tem budowy są gęstsze. Dach podziurawiony, porwany, pogarbiony, ledwie osłania wewnątrz od deszczu, śniegu i wiatru, a łachmany połataney odzieży okrywają źle biednego, co się tu chroni — to stanowi właśnie charakter najwydatniejszy miasta tego, że największe bogactwo ociera się tu o najostateczniejszą nędzę i najwykwintniejszy zbytek o niedostatek najdolegliwszy.

W starych częściach miasta — ulice są krzywe, ciasne i ciemne; w nowszych już szerokie, ale zawsze jeszcze nie proste, w odległych wyciągnięte pod sznur i najszersze. Tym ostatnim jeszcze brak bruku, a w czas słotny tworzą one jedną kałużę błota, ulice tylko bo so przebrnąć można lub z pomocą wysokich wozów i remiz, które się tu zabląkują. Podczas upału i dnie słoneczne błoto zmienia się na pył, którego żadne oczy, gdy wiatr nim powionie, znieść nie potrafią. Może stąd pochodzi, że się na nędzę tyle oczów zakrywa i widzieć jej nie chce. Warszawa wedle planu*)

*) Plan ichonographique de la Ville de Varsovie — Residence des Rois de Pologne, Majora Hennequin, wydany przez Mich. Grölla 1779. — Cały plan 16 cali, nadto ściśnięty i niedość wyraźny.

który tu mają za najdokładniejszy, bo jest najnowszy, liczy sto dziewięćdziesiąt dwie ulice, z nich może dziesięć świetnie, może pięćdziesiąt znośnie, reszta bynajmniej przyjemnie nie wygląda.

Najświetniejszą częścią Warszawy jest główna jej ulica, zwana Krakowskim przedmieściem. Na niewielkiej rozległości zawiera ona jedenaście pałaców,— a niektórych z nich nie powstydzil by się panujący książę—i sześć kościołów, wszystkie prawie wielkie i pięknie pobudowane; mnóstwo domów murowanych od dwóch do pięciu pięter.

Ulica Senatorska także dobrze wcale wygląda, prócz trzynastu pałaców, ma trzy kościoły, i domy prywatne w większej części wysokie.

Ulica Miodowa należy też do najlepszych i zawiera, oprócz sześciu pałaców, wiele kościołów i klasztorów; także ulica Długa, oprócz pięciu pałaców, trzech kościołów i klasztorów, ozdobiona jest poważnym cekhauzem Rzptej.

Stare miasto jest najciaśniej zabudowane i najciemniejsze; w jego wązkich błotnistych uliczkach, ostawionych domami wysokimi, czarnymi, przypomina się Wiedeń i Paryż. Niektóre przedmieścia, wogóle wzięwszy, są nowsze, czystsze i szersze, — szczególnie się to stosuje do Nowego Miasta, Krakowskiego przedmieścia, Aleksandryi i Leszna; inne jak Nowy Świat, Włopotole, Solec, Bielino, są to pojedyncze jeszcze nowo założone ulice, ostawione małemi domkami, gorszemi i lepszemi, wśród których stoją letnie pałace i ogrody. Nie oddziela ich od miasta właściwego ani mur żaden, ani bramy. Do koła całą stolicę otaczają wały i nie

głęboki rów, który dotąd się utrzymuje. Zamiast bram są proste szlabany.

Za Wisłą leży, dość obszernie rozciągająca się, Praga, miasto, mające radę osobną, które gdy zimą most zdejmą wcale się nie łączy z Warszawą, i fałszywie bywa podawane za przedmieście. Pragę składają w większej części domy drewniane, niskie, zamieszkałe przez żydów, kilka wśród nich klasztorów, nieco mnichów, którzy zarówno pono z innymi mieszkańcami przemycanym towarem handlują i nie najlepszej używają sławy.

O prywatnych pałacach i gmachach podaję tylko niektóre wiadomości: królewski zamek leży pomiędzy Starem Miastem i Krakowskim przedmieściem prawie zakryty i nie ma pozoru wspaniałego. Ze wszystkich bowiem stron tylko część jego jedna widzieć się daje. Na tem się nie wiele traci. Starsze części zamku są czarne, niepozorne, połamane, a nowych nie widać. Pranie każdy z królów go rozszerzał, każdą przybudówkę w smaku epoki, bez względu na całość niższą lub wyższą, szerszą lub węższą stawiano. Zamek jest wcale obszerny, a liczba sal i pokojów do stu dochodzi. Wielkie podwórze (dziejnec), otoczone mocnymi budowlami, najgodniejsze widzenia. Gdy się tu od krakowskiego wchodzi, na prawo jest odwach główny i wniście paradne do pokojów, w których król mieszka, z oknami wychodzącymi na Wisłę, w lewo wchodzi się do sali sejmowej i na drugie podwórze, ku Staremu Miastu zwrócone; wprost zaś jest przejście pod jednym ze skrzydeł na trzeci dziedziniec, prowadzący do kolegiaty i parafialnego kościoła św. Jana. W ezasach sejmu, lub gdy są przyjęcia na dworze, dziedzi-

niec bywa cały nabity najprzepyszniejszymi powozami, tłumem wspaniale przyodzianej służby.

Opis pokojów, zamieszkałych przez króla, odkładam do chwili, gdy o jego osobie mówić będę; gdyż powierzchowność ich i przybór cały w ścisłym jest z nią związku. Inne pokoje i sale są w części próżne i pozamykane, albo służą za miejsca zgrómadzenia senatu, za kancelarye urzędnikom, składy archiwów, przejścia lub dla straży wojskowej. W wielu z nich niema żadnych sprzętów oprócz zwierciadeł i pary starych krzesel; w innych wiszą obrazy, popiersia królów polskich, sławnych uczonych, wodzów dawnych i nowszych czasów, a te stale są pewnie ze wszystkich w zamku najciekawsze. Obrazy prawie wszystkie zawdzięczają królowi teraźniejszemu, który je skupił, kazał kopjować, a część uczonych, wodzów i tp. otrzymał w darze od klasztorów, kolegów i rodzin.

Część zamku, która wychodzi na rzekę, jest niezapreczenie najweselsza. Stąd rozległy jest bardzo widok na Wisłę, na Pragę i przytykającą do niej, lasami otoczoną dolinę; druga strona, zwrócona ku miastu, nie ma widoku żadnego, zasłania ją wspomniany kościół i czarne wyniosłe, kamienice Starego miasta. Ponieważ królowej niema, właściwie niema też królewskiego dworu, wyjąwszy uroczystości wielkich i zamek dosyć pusty i zamarły. U stóp jego, ku Wisłę stoją w większej części nędzne drewniane chaty, otoczone ogromnemi wysokimi kupami śmiecia, które się tu ściągają z miasta—słomy, gnojów, zrynek i gałganów aż pod mury zamkowe się wznoszące. Kupy te wyrosły by jeszcze wyżej, gdyby pewne stworzenia nieczyste nie udeptywały ich i nie rozrywały. Chcąc się

pięknemu oddalonemu widokowi przypatrzeć, oko musi sięgać po za te bliższe przedmioty.—

Pałac prymasa leży przy ulicy Senatorskiej i po zamku jest najrozleglejszy ze wszystkich w Warszawie—wygląda dobrze, tylko na długość swoją, jest za niski; składa go główny korpus i dwa boczne skrzydła, z przodu dziedziniec obszerny i piękny, który do trzechset powozów objąć może. Od ulicy dzieli go krata, a w pośrodku jej brama wjazdowa. W jednym skrzydle stoi straż, która Prymasowi królestwa jest przynależną. Wnętrze oprócz kilku pokojów, w dawnym francuzkim smaku zawiera: obicia morowe, adamaszkowe, aksamitne, tak samo pokryte krzesła i fotele; wielkie zwierciadła w ramach złotych, stoły wykładane; krucyfiksy ze wszelkiego na świecie materiału, kępczniki i tp. ubierają pokoje. Pokoje mieszkalne księcia są w lepszym smaku, z meblami nowymi angielskimi i innymi wygodkami,—wiele obrazów nowszych mistrzów, godnych widzenia.

Pałac Rzeczypospolitej, dawniej Krasińskich (inny jest przy ulicy Mazowieckiej), wśród innych się wyróżnia. — Jest to gmach jeden bez skrzydeł, zajmujący część znanego placu, naprzeciw którego stoi teatr. W lewo budowa porządna, długa, która z tej strony plac zamyka, i po większej części urządzoną jest na mieszkania artystów i artystek. Z drugiej strony u wniścia na plac, przy gmachu Packhauzu, naprzeciw komory stoi wcale niepozorna figura drewniana. Pałac ten przez Rzeczypospolitą przeznaczony został na komisję skarbową. Część pierwszego piętra zajmował, trzymany tu w więzieniu za podżeganie do rzezi i powstania chłopskiego na ukrainie,

biskup grecko-unicki. Wiadomo że aresztowanie jego rząd rosyjski zarzucał sejmowi konstytucyjnemu, jako krzywdę sobie wyrządzoną, w wypowiedzeniu wojny d. 18 Maja 1792 r. Przy pałacu znajduje się ogród piękny, o którym wspomnę słów kilka, mówiąc o rozrywkach mieszkańców Warszawy.

Jednym z najnowszych i najsmakowniejszych pałaców jest ten, który Rzeczpospolita przeznaczyła dla naszego poselstwa. Stoi on przy ulicy Miodowej, składa się z korpusu znacznego, z dwóch obszernych także pawilonów i dziedzińca wielkiego, oddzielonego kratą od ulicy.

Nasze poselstwo mieści się tu stale, używając swobód i praw, nad które rozleglejszych i większych nie mogłoby być w samym Petersburgu. Nasi posłowie są bardziej rzeczywistszemi królami polski niż sam król polski; nie byli tak potężni w czasie trwania sejmu konstytucyjnego od r. 1788 do połowy 1792, dziś znowu władzę tę odzyskali i silniejsi są niż dawniej. Nie tylko rozkazują i rozporządzają politycznemi państwa stosunkami, ale mają nieograniczoną sądowniczą władzę nad wszystkim, co tu zamieszkuje w Warszawie i w Polsce, rusinów i mówiących ruskim językiem, a co się do nich odwoła. Dziedziniec pałacu ambasady roi się zawsze od powozów magnatów, którzy często pokornie bardzo godzinami czekają w przedpokojach, by z posłem albo w interesie się rozmówić lub złożyć mu uszanowanie. Ponieważ poseł nasz teraz jest w Grodnie, jemu należna cześć i wpływ spada na generała Igelströma.

Z gmachów publicznych, będących własnością rzezypospolitej, odznaczają się jeszcze, Cekhaus, Menni-

ca, Biblioteka Żaluskich, koszary Ujazdowskie i korpus kadecki. O koszarach mówiłem już wyżej, że mogłyby być najpiękniejszymi w świecie: prawo do tego daje im położenie na wysokim brzegu rzeki Wisły, acz teraz już nieco oddalonej; porządne utrzymanie zewnętrzne; piękna architektura w nowo przybudowanych skrzydłach, widok przyjemny na ogród i pałacyk Łazienkowski, z tyłu na Wisłę, a z przodu na piękne aleje i żyzne pola.

Kurfurst Saski ma tu także pałac, i do koła place do niego należące. Położenie jego ze wszystkich pewno najpiękniejsze; leży w środku miasta, ma bardzo obszerny dziedziniec i wielki ogród z tyłu, który zawsze jest przez publiczność tłumnie zwiedzany. Dziedziniec opasują budowle piękne, w części wynajęte, w części przez służbę zamieszkane i mały oddział dragonów i oficerów, dotąd jeszcze przez Saksonię utrzymanych. Wnętrze pałacu w znacznej części puste, a niewiele pokoiów mieszkalnych ma sprzęty zjedzone przez robactwo lub żadne. Obicia poodzierane. Pokazywano mi tu jeszcze pokój, z którego okna, August drugi, dla zabawki do psów strzelał, przywabionych tu rzucaniem umyślnie mięsem. Nie zabijał ich jednak na śmierć od razu, aby mieć przyjemność do kulawych i postrzelonych znowu, przy nowem padle celować i dobijać kaleki. A że (ktoby o tem wątpił?) dowcipnym tym wynalazkiem, uczył się poznawać naturę zwierząt (może nawet ludzi, do nich podobnych) — nie należy, go winować więcej nad badaczów natury, którzy psy, koty, szczury, żaby żywe rozcinają dla doświadczeń i zdobycia wiadomości o roli nerwów i mięśni. Z prywatnych pałaców, które każda

znaczniejsza rodzina, przynajmniej po jednym posiada, odznaczają się.

Na Krakowskiem przedmieściu: pałace Czartoryskich, Ogińskich, Radziwiłłów, Lubomirskich, Czapskich-Poniatowskich.

Przy Aleksandryjskiej ulicy: Karasia, Dłuskich, Grodzkich.

Na Nowem Mieście: Branickich i Sułkowskich.

Przy Mazowieckiej—Kraśnińskich.

Przy Królewskiej; Ostrowskich, Małachowskich.

Przy Senatorskiej: Zamojskich, Dembińskich, Jabłonowskich, Pocijów, Czartoryskich, Ogińskich, Potockich, Ponińskich.

Przy Miodowej — Radziwiłów, Młodziejowskich, Branickich, Mniszców.

Przy Długiej: Ogińskich, Mycielskich.

Na Lesznie: Ossolińskich i nakoniec przy Zakroczymskiej ulicy—Sapieżyńskich.

Zmarły bankier Tepper (o którym poniżej więcej) posiadał przy Miodowej ulicy bogato urządzone pałac, chociaż nie z najlepszym wybudowany smakiem, przy Długiej drugi, a trzeci przy ulicy Ludne. Bankier Blank ma pałac z dziedzińcem i wejściem od Senatorskiej.

Prócz wymienionych pałaców istnieje jakie sześćdziesiąt jeden, większych i mniejszych, mniej lub więcej bogato urządzonych, gorzej lub lepiej utrzymanych, bardzo lub miernie odłużonych, bez smaku lub gustownie ozdobionych, których posiadacze pobudowali je, pokupowali, odziedziczyli lub na ostatek — powyrywali.

Do nabytych tym sposobem należy pałac Gurowskich przy ulicy Zakroczymskiej, który przez właściciela został w karty przegrany. Kościołów, jak się domyśleć łatwo, liczba jest znaczna, a niemniej i klasztorów. Pierwsze odznaczają się po większej części obszernością swoją i dobrym smakiem budowy; drugie zaś zwłaszcza dwa lub trzy użytecznością.

Kościół parafijalny Ś. krzyża jest gmachem wielkim, odznaczającym się raczej trwałością i mocą, niżeli lekkością i smakiem. Rzadko bardzo nowsi architekci jedno z drugim połączyć umieją; sztuka ta wraz z Grekami i Rzymianami, lub później z gotyckimi budowniczymi zupełnie upadła... Wnętrze kościoła raczej ciemne niż jasne, ciężkie słupy, na których się wspiera sklepienie, ścieśniają je i cień na boczne nawy rzucają. Szczególny smak i upodobanie robienia dwóch kościołów z jednego i tu się objawia; pod kościołem górnym jest podziemny, tak drobnych rozmiarów jak zwykle tego rodzaju próbki bywają. Długie a wąskie sklepienie, którego stropu ręką prawie dosięgnąć można, zawiera pod sobą Ołtarz, a po bokach kilka ław dla widzów czy słuchaczy. Dwa lub trzy razy do roku kościół ten otwierają i msza w nim się odprawia; szczególnież zaś zdaje się przeznaczony na obchody świąt wielkanocnych, gdyż grób Zbawiciela w nim ubierają.—Naówczas tysiące ludzi przesuwają się przez to podziemie, które od zaduchu i upału, świec gorejących i wyziewów ludzi napelnia się nieznośnem powietrzem; mimo to naciskają się tu tłumy, chciwe pokazania się, zobaczenia lub — spotkania z milemi osobami. Ostatnie spostrzeżenie uniewinni

mnie z tego, że odwiedzenie grobów wielkanocnych zaliczył niżej do przyjemności Warszawian. Kościół Pijarów przy ulicy Długiej, zbudowany w tym samym smaku, nieco jest mniejszy. Przytykające doń budowle, na większą zasługują uwagę; są to prawdziwe pałace, zajmujące znaczną część ulicy Miodowej i Długiej. Od czasu zniesienia Jezuitów, zakon ten ma sam prawie mnóstwo szkół pod sobą, i dla tego potrzebuje tak rozległych lokalów. Od elementarniej nauki do uniwersyteckiej wszystkich tu udzielają; a szlachta, która dzieciom chce dać pewne literackie wykształcenie, znajduje tu wszelką do tego łatwość. W jednym skrzydle jest konwikt szlachecki. (Collegium nobilium) w którym synowie książęcy ze swemi marszałkami dworu zamieszkują, jedzą i piją, a nawet tak zwanych sztuk wyzwolonych i talentów się uczyć mogą.

Kościół parafijalny Ś. Jana tylko starożytnością swą godzien uwagi; budowa gotycka z wadami i przymiotami stylowi temu właściwemi. Oprócz zwykłego nabożeństwa przeznaczony jest na obchody politycznych i narodowych uroczystości, ku czemu położenie przy zamku, połączenie z nim, i obszerność sama go sposobnym czyni; równie jak starożytność, znaczenie kapituły i zajmowane przez nią w duchowieństwie stanowisko. Wyjątkiem jedynym był 3 Maja 1792 r. gdy rocznicę nowej konstytucyi, w kościele Ś. Krzyża obchodzono, aby mieć dość obszerne miejsce, amfiteatr dla muzyki, dla posłów, dla deputowanych z prowincyi, cudzoziemców, dam i widzów wszelkiego rodzaju... Papież z tego powodu przełożył święto jedno

z d. 7 Maja na 3 dla czegożby nie miano obchodu przenieść od Ś. Jana do Ś. Krzyża—?

Dwa pozostałe kościoły parafijalne: Ś. Andrzeja (niegdyś należący do Jezuitów) i N. Panny, stać mogą w rzędzie nowszych i piękniejszych kościołów miasta Warszawy. Te z kościołami klasztorów i konwentów między którymi są wcale ładne, jak na przykład kościół XX. Augustjanów i Karmelitanek przy Krakowskiem przedmieściu, dochodzą do liczby trzydziestu i trzech. Oprócz tego jest wiele kaplic prywatnych.

Mnichów i zakonnic prawie wszystkich reguł liczba wielka w Warszawie się osiedliła. Wszystkie klasztory mają byt dobry, ale prawdziwie użytecznych, na osiemnaście jest dwa lub trzy. Do tych należą Pijarzy, o których wspomniałem, dalej Bonifratrzy, i Siostry Miłosierdzia. Bonifratrzy mają tu szpital dla chorych na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu łóżek, i tyleż dla obłąkanych.

W tym ostatnim znajdował się jeden nieszczęśliwy, którego los godzien wspomnienia. Przed kilku laty przybył on do Warszawy w pięknym powozie, czterma końmi pocztowymi i zajął mieszkanie na Marywili. Natychmiast po przybyciu posłał najętego lokaja na pocztę dla dowiedzenia się czy by nie było listów do niego adresowanych. Ten znalazł tylko jeden list z czarną pieczęcią, który przyniósł przybyłemu. Spojrzawszy na pieczęć nieznajomy błędnie, rozpieczętuje go drżącemi rękami, czyta, rzuca w komin przed którym siedział, pada na wznak i dostaje straszliwych konwulsyj, które z nadzwyczajną wściekłością trwają więcej godziny.

Gdy te ustały, chory ogłuchł, oniemiał i niedawał najmniejszej oznaki, żeby mu cokolwiek przytomności zostało. Służącego nie miał z sobą, w papierach nie znaleziono żadnego śladu kimby był. W worku miał tylko 120 dukatów. Odesłano go do Bonifratrów i oddano im na utrzymanie te pieniądze, pochodzące ze sprzedaży powozu. Wedle wszelkiego podobieństwa jest to francuz, gdyż z lokajem mówił po francuzku, a list był adresowany pod nazwiskiem: *Monsieur Boisblanc*. Chorobą jego jest katalepsja przerywana silnemi bardzo konwulsjami.

Bracia ci corocznie częstują chlebem i piwem, co dla wielkiej części mieszkańców Warszawy jest pewnego rodzaju uroczystością, na drugi dzień Zielonych Świątek przypadającą. Przed ich kościołem stawiają naówczas budy i kramy ze wszelkiego rodzaju żywnością i drobnym towarem. Między temi najwięcej jest szynków z piwem i wódką. Lud dopija i dojada pragnieniom i głodowi gwoili, których Bonifratrzy nasycić i ugasić nie mogli. Osoby klas wyższych przechadzają się wpośród straganów lub przyglądają się przez okna wrzawie i tłumowi.

Siostry Miłosierdzia utrzymują w swym klasztorze 20 do 25 łóżek chorych, których bardzo troskliwie doglądają.

Stosownie do obyczaju miejscowego, ażeby majestatu panującego kościoła nie obrazić, musiałem domy Boże obu wyznań protestanckich, tu dysydentami zwanych, którzy są cierpianemi w Rzeczypospolitej, ale dzwonów używać nie mają prawa, pomieścić osobno; wspomnę o nich nietylko dla uzupełnienia wiadomości, ale że luterski kościół budową swą a reformowany małością na uwagę zasługuje.

Luterski dopiero od miesięcy kilku jest skończony. Zawdzięcza on wzniesienie swe składkom tutejszej gminy luterskiej i innych w Polsce i Europie, a wreszcie ofiarom kapitalistów warszawskich. Król nawet i niektórzy magnaci znaczne dość złożyli nań ofiary.

Budowa powierzona została architektowi imieniem Zugh'owi, który już znanym był ehlubnie a gmachem tym podniósł jeszcze sławę swoją. Kościół ma kształt okrągły, a tak lekki, że Rotonda Berlińska i kościół N. Panny Drezdeński ciężkimi się przy nim wydają. Wnętrze nadzwyczaj wesołe i bez wszelkich niepotrzebnych ozdób. Galerje spoczywają na kolumnach dobrych proporcyj. Niżej siedzenia na sposób amfiteatru urządzone, tak, że trzy części koła zajmują i z obu stron kończą się tam, gdzie oltarz się zaczyna. Wśród siedzeń wznosi się ambona a pod nią organy. Trzy te części jedynie skromnie kolorami i złotem przyozdobione. Ściany są białe, siedzenia szare. We wgłębieniach, ponad amfiteatrem siedzeń, są dwie czy trzy łoże osobne dla osób dostojniejszych (w kościele?!); reszta gminy zasiada dołem bez różnicy stanu, płci i wieku, na ławach. Na pochwałę budowniczego zapominać nie trzeba i o tem, że po zbudowaniu kościoła niektórzy starzy gderacze obejrzawszy go, znaleźli podobniejszym do teatru, niż do kościoła. Kościółek reformowany mieści się w maleńkiej, ciasnej, bocznej uliczce na Lesznie. Nie ma ani wieży, ani dzwonna, nie widać go nawet, póki się doń nie przyjdzie. Wnętrze nadzwyczaj ciasne, a gdy pastor mówi kazanie, zdaje się jakby wśród gromadki przyjaciół jeden z towarzystwa, wystąpiwszy parę stopni wyżej, coś

towarzyszom opowiadał. Że tutejsi reformowani po większej części są majątni a niektórzy z nich bogaci,— zdawać się nawet może, iż się jest w bardzo przyzwoitem towarzystwie.

Z budowli, które nie są ani pałacami, ani kościołami i które zamieszkują ludzie nie należący ani do szlachty, ani do duchowieństwa, ale też i nie do ludu—wiele jest zwracających oczy, obszernością, czystością, wygodą, smakiem w budowie. Najwięcej ich znajduje się na Krakowskim Przedmieściu, na Lesznie, Senatorskiej i Królewskiej ulicy. Kupcy, facjendarze, adwokaci, jak wyżej mówiłem, najwięcej domów kupują i budują, i najznaczniejsze do nich należą. Inne są własnością konwentów, kościołów, klasztorów, szlachty i bankierów, które budują dla zysku i zużytkowania kapitałów. Reszta mieszkańców najmuje u nich lokale i weale nie za tanią cenę. Mieszkania są tu drogie, droższe niż w Wiedniu, choć tam drożej niż w całych Niemczech; w czasie Sejmu w Warszawie lokale ceną stoją obok londyńskich. — Poniżej dam o tem lepsze wyobrażenie.

Placów publicznych w Warszawie prawie niema, lub nadużyciem jest nazywać tem imieniem znajdujące się tutaj. Żaden z nich nie jest nim właściwie i nie przyozdobiono go jak należy. Wspomniałem plac przed Komisją Skarbu, dodam, że nie jest ani wysypany, ani brukowany, i na przemiany wypełnia go pył lub błoto.

Między Starem Miastem a Krakowskim Przedmieściem jest jeszcze plac, któryby mógł się tak nazwać, ale to jest górna część ulicy. W pośrodku jego stoi wyzłacany posąg króla Zygmunta III. na słupie

marmurowym na 23 stopy wzniesionym; proporcjonalnie do posągu za wysokim, tak, że posąg prawie zupełnie znika.

Za trzeci plac możnaby policzyć u wnijscia do ogrodu Saskiego znajdujący się, a rozciągający do koszar gwardyi konnej, ale obrzydliwie jest brudny i nędznie wygląda. Jest to zarazem rodzaj targowicy, rynku, na którym zboże, siano i różną żywność sprzedają w kramach częścią przewożonych, częścią stojących w miejscu, odartych, lichych. Niektóre z tych szop są najnędzniejszymi dziurami, dającymi przytułek rozpuście najostatniejszej klasie ludu. Jeśli kilka godzin deszcz padał, n.a. placu z powozem i końmi się grzęźnie.

Czwarty plac jest przed klasztorem wspomnianych Sióstr Miłosierdzia. Jest to właściwie część Krakowskiego Przedmieścia, gdzie także sprzedają siano, owies i mąkę. *)

Piątym placem mógłby się zwać między pałacem hetmana Ogińskiego a księcia Adama Czartoryskiego, ale i ten nie odpowiada warunkom publicznych placów. Dziedzińców Kadeckiego korpusu i Saskiego pałacu tu nie liczę.

Stare Miasto ma tak zwany Rynek, czyli targowicę, samą z siebie małą, Ratuszem, który środek zajmuje, jeszcze zmniejszoną. W każdym czasie jest to miejsce najżywszego ruchu w Warszawie.

Zresztą na całej przestrzeni miasta i przedmieść, otaczających Stare Miasto, niema żadnego placu han-

*) Autor za *Siostry Miłosierdzia*, jak się zdaje bierze *Wizytki*.

dłowego, gdzie by razem potrzeby życia codzienne znaleźć można; wszystko to rozsiane w sklepach, budach, straganach, na stołach, w koszach i w kupach po ulicach. Przed kościołem Ś. Krzyża sprzedają ryby świeże i solone wszelkiego rodzaju, owoce, chleb, warzywo, mięso, zupę, kielbasy i t. p. na ciągle kurzących się patelniach—tanio. U wnijsćia na Stare Miasto od Krakowskiego Przedmieścia znajdziesz cytryny, pomarańcze i innego rodzaju owoce niedrogie; w okolicy między Starem a Nowem Miastem gotują i smażą i pieką także na ulicy, a częstują głodnych bez talerzy, grabek i nożów, obchodząc się palcami i zębami. Tu stają także przekupnie, których w Wiedniu *Greisler'ami* zowią, kupczący suchemi owocami, solą, serem, masłem, jajami i t. p. pod gołym niebem. Po obu stronach, przytykającój tu ulicy Długiej, pełno roznoszących owoce i handlarzy odzienia, którzy także noszą stare książki i sztychy. Dalej pod Tłomackiem idzie żydowski kwartał; wiadomo że żydzi wszelką starzyzną frymarczą, tu zaś w czasie Sejmów mają sobie dozwolonem kupić nowym towarem w sklepach; część Senatorskiej ulicy jest nimi obsadzona. Tu trzymają szczególnie futra, płótno, bawełniany towar; jedwabie, sukna i t. d. Sprzedają je tanio, a sklepy zawsze kupujących pełne.

Warszawa wogóle ma mało albo prawie żadnych fabryk i rękodzielni, któreby dobry byt i powiększenie ludności z sobą wiodły. Ale ma ona za to coś lepszego, co silnie do wzrostu dopomaga, to Sejmy, Rady, zjazdy i zabawy zamożnej i wytwornej stolicy. Kto z członków Sejmu nie ma własnego, wygodnego domu, potrzebuje przynajmniej najętego pięknego lo-

kalu. Przed laty pięćdziesięciu posłowie zadowaliali się stancyjką pod strychem, dziś ich wnuki wymagają po większej części całego pięttra, stajen i wozowni. Ci, którzy są żonaci potrzebują więcej jeszcze miejsca, bo żony jadą z niemi, a toaleta pań—i ich kochankowie, obszerniejszych mieszkań żądają. Rady Stanu i kommissje zatrudniają wiele umysłów i rąk wiele, a że u nich miejsca ważniejsze zajmują ludzie wysoko urodzeni, i zarazem dobrze płatni, aby w towarzystwach odznaczać się i zbytkownie żyć mogli, i ci więc nie obejdą się bez mieszkań stosownych dla siebie, a z każdym nowym urzędem coraz bardziej są wymagającemi.

Że Warszawa jest bogatém i zbytkowném miastem, okaże się to poniżej z uwag następnych; na teraz dodam tylko, że bogactwo, ambicja, chęć zysku, żądza błyszczenia i rozpusta znajdują tu obfite źródła nasycenia; i dla tego ciągną tu one z najodleglejszych stron Polski, a jeśli nie znajdą właściwego teatru, to go sobie budują.

Z tych i innych okoliczności, które następne rozdziały czytelnikowi wyjaśnią samo przez się, okazuje się, że Warszawa z każdym rokiem zyskuje na ludności, rośnie w domy, a place do budowy codzien też droższe się stają. Ten postęp w budowach daje się w niektórych przedmieściach postrzegać, n. p. na Lesznie, na Nowym Świecie, gdzie nowe domy stają jedne obok drugich, w nowym smaku burząc i wycieśniając stare kłębki. Możebne przeto, że Warszawa za jakie lat pięćdziesiąt stanie się jednym z najpiękniejszych miast Europy. Król, który tyle ma ochoty do budowania, tyle smaku i wspaniałości

to gdyby tylko usposobieniu swemu puścił wodze, wkrótce by stolica jego z ruin, pruchna i chałup porozwalanych, w nową się postać przyoblekła. W takim wypadku Warszawa stałaby się, jeśli nie regularnem, to świetnem i pełnem gustu miastem europejskiem.

Ruch ludzi w Warszawie ma swe właściwości, któremi się od innych stolic odróżnia. Sama rozmaitość strojów tłum czyni malowniczym; strój polski, francuski, i pomieszany, złożony z dwóch, ubiera ludność. Od ludu począwszy aż do średniej klasy polskiego pochodzenia, wszyscy się jeszcze po polsku ubierają; kto nie ubiera się po narodowemu, nosi strój francuski, który tu niemieckim się zowie. Średnia klasa nosi się w długiej sukni spodniej, a na niej ma drugą zwierzchnią; cały strój podobny jest nieco do kobiecego. Ulubiona polska, rogata, futrem obszyta czapka, nakrywa głowę latem i zimą; wąsy różnią ich od Niemców. Średnia klasa chodzi po niemiecku, ubiera się jeszcze starym krojem: poły długie, guzy ogromne, stany krótkie. Mieszany strój składa się na poły z polskiego i niemieckiego, a jest bardzo osobliwy. Buty z czerwonego lub żółtego safjanu do fraka, "frak do polskiej czapki, rogatywka i harbejtł i peruki z lokami się używają. Tak samo spotyka się czasem wygolone włosy oprócz wąsa, głowę nagą i okrągłą lub trójgraniastą kapelusz; długą suknię polską, a pod spodem trzewiki i pończochy. Strój kobiet klasy średniej taki sam prawie jak w całej Europie, do tego zimową porą dodają krótkie polskie futerko, z długimi, wiszącymi rękawkami, jakie się jeszcze po miastach niemieckich w niższych Niemczech czasem widywać trafia. Żebracy i ubodzy muszą tu dźwigać da-

leko większą ilość lachmanów, bo długi strój polski tego wymaga.

Dodawszy do tego wlekący się, tysiącnie poplątany, poplątany, długi lachman, czarną długą brodę, zewsząd przegładającą skórę poźółkłą, czarne, brudne nogi bez spodeń i pończoch — można sobie wyobrazić jakie wrażenie czyni kupa takich ludzi, którym chyba tylko żebracy Bologny, Rzymu i Neapolu dorównać mogą.

Bezpośrednio obok nich, co do zewnętrznego pozoru, stoją żydzi. Ponieważ w Polsce znaleźli rodzaj niby drugiej ojczyzny, w Warszawie też jest ich wielkie mnóstwo; mieszkają tu w części na odległych miasta dzielnicach, częścią we własnych domach. Mężczyźni latem noszą zwykłą odzież długą, czarną, która wedle zamożności posiadacza mniej lub więcej jest brudną i poszarpaną. W zimie kładą szerokie polskie futra, kożuchy, najczęściej lisy. Kobiety noszą na głowie wysokie czółka i chusty, a na piersiach równie ozdobne załóżki, spódnice i staniki, wystające z tyłu tak, że głowa i odwrotna część ciała najbardziej są widoczne, zimą do tego futerka, a latem kaftany podobnego do nich kroju. Wspomniane postacie najczęściej się spotykają na ulicach Warszawy; pomięszane z sobą: Mnichy, żołnierze, służba, najdziwaczniejsze figury i stroje, nadające tłumowi pozór najrozmaitszy. Do tego łączą się osoby klas wyższych, możniejszych, które raczą chodzić piechotą mimo godności swojej, ale ubierają się już staranniej i czyściej.

Za tem idzie publiczność konna i powozowa; a ta czasów sejmowych jest tak świetna, jak w innych wielkich europejskich miastach. Począwszy od zamo-

źnego kupca nikt już nie chodzi pieszo, najmniej zaś kobiety, chyba pogoda bardzo piękna, droga krótka a bruk bardzo czysty. Stąd wypływa, że ledwie w którym mieście europejskiem spotyka się tyle powozów w ruchu, co w Warszawie, tak iż bez przesady liczyć można, że jednego dnia czasu sejmu lub wielkiego balu więcej ekwipażów widzi się w Warszawie, niż w przeciągu czterech tygodni w Berlinie.

Toż samo z konnemi. Można ręczyć, że każdy dom, każdy pan, który ma powóz, trzyma także nieu-
niknionego konia. Na ulicach tyle się spotyka konnych co i powozów. Przypuściwszy, iż każdy jeździec możny lub mający kredyt, nie ruszy bez jednego lub dwóch pacholców konnych, — co się zawsze trafia — można sobie wystawić tumult i wrzawę uliczną. Niezawodnie Paryż, Londyn, Neapol, i Wiedeń są najhałaśliwszemi miastami Europy. Bardzobym był skłonny Warszawę po nieb postawić. Niektóre części miasta mogłyby z temi stolicami iść o lepszą. Stare Miasto, Nowe Miasto, Krakowskie Przedmieście i wszystkie bliższe ich ulice wytrzymują porównanie, chociaż bardziej oddalone części już ani cienia ani podobieństwa z niemi nie mają.

Ludność miasta wogóle obszerności jego nie dorównywa. Jakkolwiek w czasie Sejmu konstytucyjnego zyskało ono wiele na ludności (gdyż pięcioletni pobyt najzamożniejszych w kraju ludzi, jako posłów, zmuszonych mieszkać w Warszawie, po większej części z familjami, stworzył i zwiększył wiele przemysłów) jednakże cała liczba mieszkańców ledwie 100,000 przechodzi, a w chwili, gdy to piszę (Maj 1793), oddalenie się najważniejszych i najliczniejszych rodzin szlache-

ekich i wyjście wielu rzemieślników i przemysłowców, co z nich żyli, z nimi przybyli i odeszli, bo się ich zbytkiem żywili; rozproszenie wprzód silnej załogi po prowincyach i wyjazd cudzoziemców, którzy podczas Sejmu często Warszawę nawiedzali, częścią by odrodzeniu Polski się przypatrywać, lub z miłego życia towarzyskiego korzystać; upadek tutejszych wielkich domów bankierskich, który tak wiele rodzin zubożył, że na wieś wyjechać musiały, aby w gospodarstwie oszczędności zaprowadzić — rozmaite powody wogóle musiały wyludnić stolicę znacznie, o wiele zmniejszyć tysiący, a przez to i uliczny tłok i handel i ruch też osłabły. (Później od Maja 1793 do Września 1794 jeszcze się ludność znacznie uszczupliła, — dodaje autor w przypisku).

Zarobek klas pracujących w Warszawie, — od kupca począwszy a skończywszy na najlichszego rodzaju, wyrobnik prawie wyłącznie zasadał się na zbytgownych wymaganiach bogaczów i ograniczał tem co miasto samo spotrzebowywało. Dla zagranicy nikt tu nie produkował, a nawet dla polskich prowincyj bardzo mało. To, czego szlachta na wsi zamieszkała z towarów zbytgownych i do wygody służących potrzebowała, sprowadzała wszystko, jeśli odległość nie była zbyt wielka (wiadomo, że w kraju tym odległym niektóre rodziny o 100 do 200 mil od Warszawy mieszkają) — zwykle z Warszawy tylko, ale towary te nie były w stolicy zrobione, lecz sprowadzone z Niemiec, Francji, Anglii. Na tem zyskiwali tylko przekupnie i handlarze, ale większa część rzemieślników nie a nie; Rzemieślnicy pozostali ubogimi, a tylko ci, których nieodzownie codziennie potrzebowano, stelmasi, kowale, siodlarze, sto-

larze, murarze, cieśle, krawcy, szewcy i fryzjerowie nieco się lepiej mieli. Nawet i tego rodzaju wyrobom szkodziły wiele sklepy znaczniejsze takie, jak Prota Potockiego, Rössler'a, Jaszewicza i Hampli, w których przy najwytworniejszem urządzeniu można było znaleźć francuskie i angielskie wyroby najrozmaitsze, począwszy od powozów do piórek od zębów, całe urządzenia domów i woreczki na listy, żyrandole i okulary, baterje kuchenne i igielki, szory na konie i łańcuszki do zegarków, płótna, muśliny, skóry na buty, podeszwy, lak, papier i piwo angielskie. Co tylko chciało należeć do dobrego tonu, musiało brać wszystko z tych sklepów, w których nie do wiary ogromne ceny płacono; gdy tymczasem krajowi przemysłowcy i zagraniczni, nawet najzręczniejsi, nie mieli utrzymania i zachęty żadnej.

Wyjątek stanowił przedsiębiorca powozów, imieniem Dangel, w którego fabryce wiele krajowców, robotników było użytych. W ogromnym domu i warsztatach swych przy Senatorskiej ulicy, mieścił wszelkiego rodzaju rzemieślników, potrzebnych do budowy powozów; stelmachów, kowali, siodlarzy, lakierników, pasamaników, malarzy, ślósarzy i t. p. Ci, pracując razem byli w stanie postawić powóz w nadzwyczaj—nie do wiary—krótkim czasie, jeśliby żądający nie sobie gotowego nie mógł wybrać, gdyż zawsze było dwadzieścia do trzydziestu ekwipażów na składzie. Najnowsze smaku formy, ozdoby, ulepszenia, różne rodzaje powozów, rzadko kogo nie zadowolniły. Przedsiębiorca otrzymywał z Londynu rysunki wszystkich nowości, jakie w tym rodzaju się ukazywały; zapewne i znaczną część materiałów także, takich, których w kraju

równie by dobrze wykonać nie mógł, większą jednak część robót na miejscu swemi ludźmi wygotowywał. Ceny jego niewiele były mniejsze od londyńskich, ale że towar był pod ręką, a wielu znajdowało kredyt, wolano brać od niego; tym sposobem znaczny dorobił się majątku. W Niemczech nie ma żadnego zakładu na taką skalę, nawet fabryka Kaufmanna w Wiedniu, w porównaniu do tej, mało jest znacząca, chociaż wyrabia powozy smakowe, trwałe, a sprzedaje one o jedną trzecią taniej.

Warszawa z wyjątkiem tej i kilku innych fabryk mało znaczących, nie ma przemysłu; ogranicza się on do drobnostek — a brak jego i ruchu wypełnia zbyt-kowne życie bogatych rodzin, które tu mieszkają; dwór, urzędnicy, wojskowi, z których kramarze i handlarze żyją. Łatwo się domyślić, co niedostatek ten uzupełnia i właściwie żywi i utrzymuje Warszawę i Polskę. Jest to rolnictwo, chów bydła i sprzedaż drzewa; dochody z tych gałęzi stanowią bogactwo całe. Za te towary wzamian daje zagranica angielskie swe powozy, wina, pomady, dowcip francuzki, dziewczęta, (bo i te się z zagranicy wypisują dla szlachty)—ordery, tytuły, nauczycieli domowych, nauki, cywilizację, a w dodatku nawet obronę krajowi, bezpieczeństwo osób i własności. W mieście, które się tym sposobem żywi, którego utrzymanie nie własne siły kraju stanowią, gdzie konsumenci domowemi produktami nie są zadowoleni, musi ostatecznie być drogo. Drogimi są nawet pierwsze potrzeby życia, które równie ubogi i bogaty opłaca; chleb, mięso, sól, drzewo, piwo, światło i mieszkanie. Kraj, który innym tak obficie chleba dostarcza, powinienby własnym dzieciom dawać go darmo prawie;

tymczasem przeciwnie, często tu on droższy niż gdzie indziej. W najmniej żyznych krajach pruskiej monarchji chleb jest większy i lepszy, niż tu, w środku najżyzniejszych prowincyj. Przyczyny jawne. Niema nadzoru nad wywozem, nad handlarzami i nad piekarzami.

Właściciele dóbr tak długo wywożą, póki choć ziarno na własną potrzebę mają; jedna część kraju nie pyta drugiej o to, czy nie braknie jej czego. Dopóki cudzoziemiec choć o złoty wyżej daje na koreu od krajowca, póty bierze co tylko się znajdzie gotowego. Ryga, Libawa, Memel, Gdańsk mogą na południu zapobiedz drożyznie, polska szlachta gotowa to przypłacić głodem w domu; Szląsk, Galicja, Wschodnie i Zachodnie Prusy, z tego właśnie powodu od znacznego podrożenia cen są ubezpieczone.

Gdy się Polska, lub ta część kraju, która leży nad rzekami spławnymi i w pobliżu miast wymienionych wyczerpie, zaczynają się interesa spekulatorów zbożowych. Zakupują oni w tych okolicach, które płodów swych zbyć nie mogły, zboże za stosunkowo niewielkie ceny, a dodawszy do nich koszta przewózki dalekiej nawet, ceny nie dochodzą prawie tak wysoko jak stać zwykły w latach zwyczajnych, póki wywóz ich nie ogołocił. Kupiec oznacza ceny dowolne, i jeszcze mu dziękować potrzeba, że zboże sprowadził. Często bardzo nieostrożni i lekkomyślni u tych handlarzy potem nasienie kupują. Dla piekarzy i innych przemysłowców, którzy zboża potrzebują, piwowarów, gorzelników,—żniwem są czasy drożyzny. Pod pozorem jej uchodzą oni pilności policyi i niezadowolnienia mieszkańców, bezkarnie pieką chleb gorszy coraz a drogi; a zmniejszają jego objętość nawet gdy już niema

niedostatku. Są pewne przepisy dla wagi i ciężaru chleba, ale kiedy one były wydawane? Kiedy zostaną odnowione? kiedy się zastosują do większej lub mniejszej ceny zboża? A gdyby nawet tak było, kto ustrzeże zachowania praw?—Piekarze więc robią, co się im podoba.

Wogóle piekarze w Warszawie i innych miastach polskich są niemcy, stąd chleb, kształt, gatunek jego nie właściwego miejscowego nie ma, jak naprzykład chleb dziurawy paryzki w kształcie ogromnych obwarzanków, Piermoncki; Lombardski gwiazdzisty, Genuński szary, piaszczysty, w kształcie motylów wypiekany.

Powyższe objaśnienia tłumaczą też, dla czego mięso, światło, skóry, przy takiej mnogości bydła i drzewo w takim lasów dostatku, sól mimo ogromnego przywozu z Prus i Galicji, w Warszawie są niepomiarowanie drogie. Ale wkrótce artykuły te jeszcze podrożeć muszą. Przed ostatnim podziałem Polska i Warszawa otrzymywała wielką ilość bydła na rzeź z Wielkopolski, dzisiejszych Prus południowych, albo z Ukrainy, jeszcze w piękne trzody obfitszej; teraz domyślać się można, iż państwa dzielące albo na swoich prowincyj potrzebę obrócą te plody, lub je ciężkiem cłem obłożą.

Drzewa w tych częściach Polski, które jej pozostały, ogólnie wzięwszy, jest jeszcze podostatkiem; ale z najbogatszych lasów jak n. p. Litewskie, Warszawa dla odległości korzystać nie może. Transport na osiach jest w Polsce tak nędznie urządzony, że sprowadzenie drzewa nawet z najbliższych lasów, jest bardzo kosztowne. Miasto się zaopatruje drzewem, splawianem Wi-

słą z Sandomirskiego, Lubelskiego, Chełma, Brześcia, i innych miejsc, leżących albo nieodległe od Wisły brzegów, albo innemi rzekami z nią połączonych. Zresztą drzewo nie przychodzi tu w sążniach i polanach, ale w całości, i wedle gatunku i wartości, sprzedaje się sztukami. W czasach gdy drzewo to przybywa leżą ogromne stopy po ulicach Warszawy wszędzie, tak że podróżny mógł by sądzić, iż to jest budulec na nowe domy i pałace przeznaczony. Wszystko to niknie przed zimą, popiłowane, porąbane i pochowane. O cenie opału w Warszawie z tego wnosić można, że zimą 1792 roku za jedną wiązkę drzewa, która starczyła na dwa kominy w pokoju, zapłaciłem trzy polskie złote. Było to wszakże podczas Sejmu i nie w taniej gospodzie, ale przypuściwszy, iż cena była podwojoną, jeszcze stosunkowo wypadnie bardzo drogo, szczególnie dla biednych ludzi. To też marznie ich wiele.

Sól otrzymuje Warszawa po większej części z Galicyi i z Prus, gdyż pozostałe warzelnie soli jej nie starczą. Zwłaszcza Prusy mają tu wielkie składy czystej, białej soli, i sprzedają po stałej, niedrogiej cenie; ale że się na rozdrób nie sprzedaje, ubogi musi się zaopatrywać u handlarzy soli, którzy mu sprzedają małą miarą i z nadzwyczajnym zarobkiem. Warszawa leży prawie pod tą samą strefą co Drezno; okolice też obfitują w owoce, ale gatunki lepsze przychodzą z odleglejszych prowincyj południowo-wschodnich, a że zdaleka się przywożą kosztują drogo, ale są bardzo dobre. Melony sieją pod Warszawą, w ogrodach też w mieście, a wielką ilość cytryn i pomarańcz mają krajowych (?) ale te nie starczą, i przez Gdańsk,

dostają ich z Portugalji i Hiszpanji bardzo często. Jarzyny i ogrodowina zle nie są, ale stosunkowo trudne do nabycia i drogie.

Towary: jak sukna, jedwabie, muśliny i t. p. dostaje Warszawa z Anglji i Francyi, płótna i pomniejsze wyroby niciane, bawełniane, wełniane—ze Szlązka i Saksonji; stal, drzewo, skóry, szkło i w ogóle zbyt-kowne towary, jak wyżej wspomniałem, więcej z Anglji niż z Francyi. Wina różnego rodzaju przychodzą z Francyi i Węgier; chociaż, jak łatwo się domyślić, na reńskich i hiszpańskich winach wybornych gatunków, w zamożniejszych domach nie zbywa. Wszystko to prawie miasto otrzymuje przez Gdańsk, i w przyszłości innej drogi też mieć nie może; ale koszta przywozu i cło, które muszą być nałożone, cenę jeszcze powiększą. A że kupcy cła opłacane podwójnie kupującym zaliczają, cena towarów dojdzie do nadzwyczajnej wysokości. Są nawet przypadki częste, że państwo samo musi za towar zagraniczny płacić drogo.

Tytuń pod monopolem, a zatem zły i drogi. Nie mogę pominąć niektórych cen warszawskich, ażeby czytelnicy mogli je sobie z innemi porównać. Obiad w najskromniejszym, table d'hôte złożony z zupy, jarzyny, pieczystego i leguminy, kosztował w zimie 1792 r. trzy złote polskie; lepszy nieco o dwa półmiski więcej, cztery do pięciu złotych; w najlepszych garkuchniach złożony z ośmiu potraw i deseru, sześć do dziesięciu. Teraz, gdy Sejm rozwiązany, jedzenie staniało najwięcej o pół złotego lub złoty. Najuboższy człowiek, stołujący się w garkuchni nie dostanie jedzenia mniej niż za złoty lub półtora.

Zwyczajne, stołowe, czerwone wino, Medoc lub Taveller, kosztowało od trzech do czterech złotych; burgundskie pośledniego gatunku siedem; reńskie, miernej dobroci—osiem; węgierskie stołowe—dwa do czterech; lepsze zaś gatunki dziesięć, dwanaście do dwudziestu i trzydziestu, a szampańskie—dziesięć do dwunastu złotych polskich... Piwo angielskie białe lub ciemne było w cenie trzech lub czterech złotych, a saskie (bardzo miłe białe piwo) butelka pół złotego, Piwo to robią w browarze, należącym do Saksonji; inne piwa w Warszawie ledwie się pić dają, a są stosunkowo drogie. Pospolity lud posługuje się na przemianę wodą i wódką.

Sukna i inne cieńsze wyroby na ubranie, płacą się o 25 do 30 procentów drożej niż w krajach sąsiednich; toż samo skórzane. Para trzewików kosztuje 10 do 18 złotych, a para butów dwa do czterech dukatów. Naturalnie do ceny tych rzeczy, zastosowuje się cena pracy, posługi i najemnika. Najlichszy robotnik zarabia na dzień dwa złote; murarz, cieśla—cztery; najęty sługa—pięć do sześciu; lokaj porządny, bez jedzenia—sześć dukatów. Najmniejszym datkiem za posługę, posyłkę, jest złotówka; oprócz tego w hotelach, gospodach, przy stole, daje się wszystkim ludziom zwyczajny tu napiwek.—Podarunki noworoczne, które się dawać zwykło służbie w tych domach, gdzie się jadło, albo miało interesa lub grywało, nie mogą mniej wynosić od dukata. Nawet służba królewska, gdy się otrzymało audjencyę, przychodzi z wymaganiem a na Nowy Rok powtórnie, i to po czterech ludzi niemniej. Nie można dać mniej nad parę dukatów.

Krawiec bierze od fraka 12, od spodni 6, od kamizelki 4 złote za robotę; fryzjer za utrefienie głowy miesięcznie, trzy do czterech dukatów; trzymający powozy dukata za powóz dziennie, a woźnica jeszcze dwa złote na piwo. — Starczą te cyfry, by dać wyobrażenie cen warszawskich. Ogólnie powiedzieć można, że co w Niemczech, Prusach, Saksonji, Austrii dostaje się za pół, tu cały dukat kosztuje. Nawet w naszej drogiej Rydze żyje się lepiej a taniej.

Przy tych tak wysokich cenach niema policyi, która by pilnowała, ażeby ich jeszcze nie podwyższano.

Cierpią na tem szczególnie obcy, gdy wpadną w ręce zdzierey hotelisty, albo nieuczciwego służącego. Że policyjnych przepisów brak, a języka krajowego nie rozumiesz lub mało co, trudno zasięgnąć ci wiadomości o tańszem mieszkaniu. Gdy nareszcie dowiesz się przez stosunki znajomości, to straciłeś już tyle, że późniejsza oszczędność tego ci nie wynagrodzi. A gdy gospodarz się dowie o przenosinach, zniża cenę dla zatrzymania gościa, jeszcze czyniąc ją tańszą niż u innego, bo mu przeszły zarobek to wynagradza. Krótko mówiąc, trzeba sobie wyobrazić, że się jest we Włoszech i wszystko naprzód obrachowywać; naówczas wprowadzie oszukaństwa się nie minie, ale bądź co bądź mniejszego, niż gdyby się człowiek spuścił zupełnie na gospodarza, co zaledwie w niektórych krajach niemieckich bezkarnie uczynić można.

Warszawa ma tylko kilka, a nie więcej między temi nad trzy, cztery dobre hotele. Pochodzi to stąd, że czasu Sejmu całe miasto jest jednym hotelem. W ulicach niezbyt od zamku odległych, można wszelkiego rodzaju pomieszkania dostać dla osób pojedyn-

czych, dla familij całych, nawet dla książęcych dworów, które wielki dom chcą prowadzić. Dla tych znajdują się pałace całkowite z całym przyborem, których właściciele albo w Warszawie nie mieszkają, lub inne posiadają pałace, lub wreszcie są małoletni. Najęcie takiego lokalu na jedną osobę i całą rodzinę, miesięcznie wynosi od pięciu do stu dukatów. We właściwych hotelach kosztuje stosunkowo jeszcze drożej.

Najlepszym hotelem w Warszawie jest pod Białym Orłem na Tłomackiem. Tłomackie składa się z obszernego, bardzo porządnie utrzymywanego, dwoma pięknymi studniami przyozdobionego gmachu i dziedzińca, opasanego pięciu do sześciu nowszemi, większemi i mniejszemi przybudowaniami. Założył go, dopiero od lat kilku na ten sposób urządziwszy, zięć bankiera Teppera, Schultze. Miał taką namiętność do budowania, że oprócz tego hotelu jeszcze sześć pięknych gmachów w Warszawie i okolicy postawił i te potem wynajmował. W pałacowo wyglądającej budowie tej, która stoi wprost biblioteki Załuskich i ozdobiona jest Orłem Białym, Niemiec, imieniem Polz, założył hotel i restaurację, odznaczającą się obszernością pokoi, położeniem ich wesołem i jasnym, a nawet czystością i porządkiem, ale tylko nie taniością. Pokoje od pięciu dukatów miesięcznie, idą aż do sześćdziesięciu; obiad wynosi od czterech do szesnastu złotych i wyżej, według tego, czy się chce stołować za wspólnym stołem, czy u siebie, skromniej lub wytworniej. W tym hotelu w r. 1792 kosztowały mnie trzy pokoje miesięcznie dukatów piętnaście, a teraz dwa pokoje tylko dwa dukaty tygodniowo. Obiad złożony z zupy, mięsa wołowego, jarzyny, pieczystego i deseru

kosztował 4, kolacja o jeden półmisek mniej, trzy złote. Można tu dostać powozu do najęcia, i lżejszego na dalsze wycieczki wedle, wyżej podanej ceny. Usługa dobra, meble i łóżka porządne. Wino także dobre, ale, jak się rzekło, drogie; woda tak czysta i smaczna jak mało której studni w Warszawie. Od nachodzenia żebractwa i włóczęgów trochę tu bezpieczniej niż gdzieindziej, bo w każdej bramie (dwie) dniem i nocą stoi szwajcar, który ma oko na podejrzane figury. W nocy też śpi się tu spokojniej, bo po godzinie dziesiątej żaden powóz w dziedziniec nie za-jeżdża. Tego dobrodziejstwa nie używa się gdzieindziej, bo powozy całą noc nieustannie się włóczą. Naostatek bezpieczniej tu na wypadek pożaru, gdyż stróże nocni obchodzą zabudowania w nocy i co godzina obwo-łują się.

Hôtel de Pologne, przy Senatorskiej ulicy, nieda-leko od Białego Orła, urządził się na wzór, jak się zdaje, hotelu powyższego. Gospodarz także Niemiec, dom nowy, cena obiadu prawie taka sama, tylko jeść trze-ba u siebie w pokoju. Mieszkania są mniejsze niż pod Orłem, i tu można ich dostać pojedynczo, na dzień je-den, na noc, o co w tamtym hotelu trudno. Zresztą położenie tego hotelu, prawie w pośrodku miasta, nie-opodal od Saskiego i Krasińskich ogrodu, od Krakow-skiego Przedmieścia, Zamku i poczty, dosyć przyjem-ne; tylko się trzeba ze wrzawą uliczną obyć, bo tu ona jest najżywszą; a na brudny tłum Żydów nie zwa-żać, którzy się włóczą i licznie zamieszkują w tym kacie.

Na Marywillu, bardzo obszernym gmachu, nale-żącym do pp. Kanoniczek, które od nazwiska jego się

zowią, zawsze jest podostatkiem pokojów do najęcia dla obcych. Dom ten zajmuje znaczną część ulicy Senatorskiej i niemniejszą Wierzbowej; wysoki na trzy, cztery piętra, zbudowany w czworobok, zawiera w sobie dwa mniejsze i większe dziedzińce.

Jest to w istocie jeden z najosobliwszych zakładów w Warszawie, już to obszernością swą, już mnogością a różnorodną ludnością. Na Wierzbową ulicę wychodzi skrzydło, zajmowane przez pp. Kanoniczki. Z tej strony okna wysokie i galerja z kolumnami go otacza, wyróżniając go od reszty gmachu, skromniej pobudowanego. Wewnątrz utrzymany bardzo porządkie, pokoje kanoniczek jasne, obszerne, a w części nawet wspańiale urządzone. Jest ich dziesięć, te chociaż wygodnie i dostatnio żyją, przeżywają zaledwie małą część dochodów, które mają z tego domu i innych posiadłości. Cały dom na ten cel wzniesiony—aby procentował. Najmuje się dla zysku komu zdarzy, nawet dziewczętom, które przyzwycię się zachować umieją.

Hotele, restauracje, księgarnie, artyści wszelkiego rodzaju, rzemieślnicy, żydzi, mieszkają tu razem, nawet Masoni mają tu swoją salę, która na warsztat do budowy świątyni jest wprawdzie za małą, ale stół na półtora sta osób objąć może. Rzadko w tem małym miasteczku pokój zostanie próżny; bo tu mieszkania najtańsze są w Warszawie; na dole sklepy są powynajmowane zwłaszcza żydom. Zewnątrz całego gmachu panuje cień i zieloność, w środku zaś stoi piękna kaplica.

Hotele w Marywillu były dawniej jedynymi w Warszawie, zatem najlepszymi; musiano niedogodności ich znosić. Od czasu, jak wyżej wzmiankowane zostały urządzone, marywilskie wiele straciły i coraz niżej upa-

dają. Parę wypadków zabójstw, dokonanych na cudzoziemcach, których sprawcy w pośród tłumu, kręcącego się i zamieszkującego Marywill odkryć nie było podobna; kradzieże gwałtowane, natychmiast przez żydów, mieszkających na dole ukryte i przepadłe; niezmierna ciżba wszelkiego łajdactwa; brudy w korytarzach i na wschodach; krzyki i hałasy mnóstwa żydowskich bachurów; brak zupełny wozowni na powozy podróżne; te i inne niedogodności sprawiły, że się nikt nielokuje na Marywillu, chyba gdzieindziej niema już mieszkania. A gdy się inne znajdzie, woli każdy kilka dukatów zapłacić drożej, byle od strachu, straty, brudu i wrzawy się uwolnić.

W *Hôtelu d'Allemagne*, można się także pomieścić, ale chociaż zewnętrznie wygląda dobrze, przeznaczonym jest raczej dla furmanów, czeladzi wędrownej i podobnych ludzi, niż dla możniejszych cudzoziemców.

Niech mi wolno będzie tu dołożyć parę słów o dwóch głównych warszawskich szpitalach, które też do publicznych zakładów należą,—gdzie cudzoziemców przyjmują, dając im mieszkanie i stół—zadarmo. Oznaczemy tem różnicę między szpitalem a hotelem, na wieki wieków.

Najwspanialszym szpitalem jest *Dzieciątka Jezus*, założony przez panującego króla, który nietylko na ten instytut stosunkowo znaczną sumę sam ofiarował, ale na jego korzyść umiał poruszyć serca, miłosierdziem, próżnością, modą skłaniając do datków.

Między innemi na korzyść tego szpitala opłacają wszyscy kawalerowie orderu Ś. Stanisława, jeżeli się nie myślą, pó osiem dukatów. Jednakże wielu z nich oddawna nie nie płaci, i wedle wszelkiego prawdo-

podobieństwa nie zapłaci nigdy, gdyż dług z każdym rokiem się powiększa. Przymusowych środków użyć do tego niepodobna; bo do dobroczynności zmuszać nie wypada, ale znając ludzi byłbym za zwyczajnemi w takich razach, bo trudno wiele liczyć na uczucie honoru, na moralność i na religijne obowiązki. Należałoby więc zmuszać panów kawalerów, którzy zalegają; jestem pewny, że przymus więcej by ich bolał niż zawstydził. Szpital służy nietylko dla podrzutków (które w zwykły sposób składane bywają u furty), ale zarazem dla chorych i ubogich. Pewna część dzieci oddaje się na wieś za opłatą na mamki; reszta wychowuje i żywi w szpitalu. Przechodziłem przez kilka sal, ale przyznaję się, że chustką musiał usta zatulić, chociaż nie zwykłem się brzydzić wogóle tem, co ludzkie. Dodam jeszcze, że się to działo właśnie w taki dzień, gdy z powodu odwiedzających starano się wszystko jaknajtroskliwiej oczyścić i przewietrzyć, to jest w W. Piątek, gdy w kaplicy przy szpitalu, ubierają tak zwany grób Zbawiciela. Wiadomości bliższe o tym zakładzie znaleźć można w chirurgiczno-medycznych rozprawach Dr. La Fontaine, a wydanych we Wrocławiu 1792.

Szpital ś. Rocha, zarówno dla chorych jak i ubogich jest przytułkiem; daje im pomieszczenie, lekarstwa, żywność, ale i tu zbywa na porządku, czystości a szczególnie świeżem powietrzu. Dodam tę tylko uwagę, że na miasto, w którym tylu ubogich, żyjących nędznie, chorujących często, dwóch podobnych zakładów za mało. Sejm konstytucyjny zwrócił był i na to uwagę swoją i postanowił założyć jeszcze kilka szpitalów i domów pracy, ale pilniejsze sprawy, urzeczywistnieniu tego projektu, przeszkodziły. Tym czasem weszło

w życie rozporządzenie policyjne bardzo donośne, zawierające wszystko, co tylko najskuteczniejszego obmyślono w tym kierunku w Paryżu, Wiedniu i Berlinie. Żebraków z ulic Warszawy posprzątało, chorych, chromych, kulawych oddano na utrzymanie różnym klasztorom; zdrowi także zostali zajęci i dano im zatrudnienie. Dla osobistego bezpieczeństwa mieszkańców; nocą, szczególnie na odleglejszych ulicach postawiono strażę; a oprócz tego urządzono krążące, konne patrole po wszystkich częściach miasta; wszystko to tem potrzebniejsze było, że miasto dotąd nie jest weale oświetlone. Oprócz tego domy ponumerowano, a gospodarzy zmuszono, ażeby mieszkańców meldowali policyi.

Te i inne rozporządzenia już w. r. 1792 wprowadzono, ale dziś one razem z całą konstytucją, znikły i zarzucone zostały. Żebracy włóczą się kupami po ulicach i kościołach; straży i patrolów niema, a rząd nie wie o przybyłych cudzoziemcach, którzy dłuższy lub krótszy czas w Warszawie przebywają. Ten brak osobistego bezpieczeństwa dotykalnie mi się zwiastował przed samą Warszawą. Na palu, stojącym przy drodze samej, wisiała ćwierć człowieka, który z drugim jakimś zamordował na moście przechodnia dla kilku dukatów. Po moim wyjeździe trafiło się jeszcze kilka zabójstw.

III.

Niżeli skreślę sposób życia, obyczaje, i charakter mieszkańców Warszawy, zda mi się koniecznem, powiedzieć wogóle nieco o stosunkach państwowych i położeniu kraju. Wiele się przez to rzeczy wyjaśni i wytłumaczy krótkimi słowy.

Konstytucja polska, od czasu paktów conventów r. 1572 i ustanowienia rady nieustającej w r. 1776, cała zasada się na tem, że: tylko posiadacze ziemi urodzeni w Polsce, politycznych praw używają, oni jedni są obywatelami Rzptej.

Kto w Polsce ziemię posiada, urodzony jest z polaka, który miał ziemską posiadłość (o matkę nie chodzi tu tak ściśle) na dobrach swych żyje niezależny, a żadnem rzemiosłem się nie trudni, ten zowie się szlachcicem. Waga cała, znaczenie polityczne, obywatelstwo przynależą w Polsce tylko szlachcie.

Każdy taki szlachcic jest wolny i niezawisły w swojej posiadłości, a cała szlachta, razem wzięta społeczność szlachecka wolną i niezależną w kraju.

To społeczeństwo uważa się, co do swobody osobistej i bezpieczeństwa własności swej, jako związane

w całość ku wspólnej obronie. Warunki związku stanowią prawo krajowe. Zawiera ono przepisy tak dobro jednostek jako i ogółu zabezpieczające, i służy pojedynczym osobom i ogółowi. Tylko jego rozporządzeniom poddaje się jednostka, gdyż one od niej i jej równych wypływają: wedle nich też i kraj cały się rządzi. Zagrożoną jest swoboda jednostek i bezpieczeństwo ogółu, gdy obcy narzuca im prawa.

To społeczeństwo, jako węzeł spajający je, wybiera z pośrodku siebie, jednego ze swych, na króla. Król ten strzeże spełnienia woli narodu, to jest praw krajowych, a majestat ogółu na jego osobę się zlewa. Władzy wykonawczej król od ustanowienia rady nieustającej już nieposiada, a majestatu też wiele mu odjęto.

Naród, to jest społeczeństwo *ziemian*, przez swych posłów, prawa stanowi, on też przez zastępców swoich wykonania ich pilnuje. Pierwszem zajmuje się sejm, drugim rada nieustająca; koniecznem następstwem tych dwu władz, jest trzecia sądownicza.

Wszystkie one są wyłącznie w rękach szlachty — a wypływająca stąd swoboda nie przysługuje nikomu innemu w kraju tylko jednej szlachcie. Najważniejszymi przywilejami jej, są:

Szlachciec ma wyłączne prawo do wszystkich świeckich i duchownych dostojęństw, urzędów, najwyższych nawet, niewyjmując godność króla i księcia prymasa.

Michał Wiśniowiecki, Jan Sobieski, Stanisław Poniatowski, przed wyborem byli prostą szlachtą polską. Ale korzyści, płynące z tego przywileju, nie są tak wielkie, a wogóle wybory królów są źródłem najstraszniejszego nieładu. Niepodobieństwem jest, by król z poddanych wybrany, którzy wczoraj

byli mu równi, bardzo był poważany i szanowany i niepodobna, aby zawiść i zazdrość nie powstały przeciwko niemu, gdy krewnych i rodzinę dostojęstw i dobrami obdarza; niepodobna by król taki, który nie może mieć bogactw nadzwyczajnych, dostatecznym blaskiem się otoczył, a kraj na to nie wiele łoży; niepodobna w ostatku, ażeby państwa sąsiednie, w których system Polska wchodzi, nie mieszały się do elekcji wpływami swemi, groźbami, poduszczeniami, by stronictw nie krzewiły; jak tego obficie całe dzieje polskie dowodzą.

Szlachta posiada wyłącznie całą ziemię w Polsce, z wyjątkiem tylko posiadłości, dozwolonej większym miastom. Dobra rządowe oraz stołowe królewskie szlachcie także uważa za swoje, jako współdziedzic państwa, i przy rozdawnictwie ich prawa do nich rości, jako też znaczniejsza ich część w rękach szlachty i duchowieństwa, zostaje, lub na dziedziczne już przerobić je umiano. Posiadanie wszakże dóbr dziedzicznych, innej jest natury niż królewskich duchownych lub wiejskich. Ziemię mając, szlachcic - ziemianin przez nią wszystkie uzyskuje przywileje. Dobra jego stacyj żołnierskich nie ponoszą, na obozowisko zajęte być nie mogą. Wszystko, co się znajduje w ziemi, żelazo, sól, siarka, cobykolwiek wydobył należy do niego, a nie—jak gdzieindziej, do skarbu państwa.

Rzeki, przepływające przez jego ziemię, należą doń na całej przestrzeni posiadłości, z wyjątkiem większych, uznanych prawem za własność publiczną. Dziedziczyć dobra szlacheckie mogą tylko synowie; córki się wyposażają, z czwartej części majątności. Do dóbr, dopóki starczy linii męskiej, rościć żadnych praw nie

moga; gdy linija po mieczu wygaśnie, wówczas dziedziczą córki, dobra wnoszą mężom swoim. Gdy córek niema, spadają dobra, nie wedle prawa naturalnego ale wedle rekadencyi w Polsce się utrzymującego, na rodzinę ojcowską, brata jego lub synów od braci. Dobrami takimi nie ma nikt prawa rozporządzać, ale je musi spadkobiercom zostawić. Jeżeli dobra są zadłużone i musiały być przekazane wierzycielom, w takim razie nie traci ich rodzina. Wierzyciele wedle pierwszeństwa dopuszczeni są do dóbr, i używają ich, ale je trzymają jako zakład, dopóki dług nie zostanie spłacony. Właściciel może je zawsze wykupić, jeśli jest w stanie *Jura crediti* opłacić i wracaznowu do swej własności. Dobra tej natury nie zmieniają jej nigdy i nie przechodzą na własność państwa; należy wprzód ogłosić publicznie czy kto do nich praw nie ma, a jeśliby się znalazł mogący ich dowieść, chociażby rodzina jego od kilkuset lat odszczepiła się od rodziny ostatniego posiadacza — wchodzi w posiadanie. Jeśli się weale spadkobierca nie znalazł; natenczas stosuje się do nich prawo kaduka, ale państwo tych dóbr nie zabiera, tylko je innemu szlachecowi oddaje. W ten sposób majątności ziemskie pozostają zawsze szlacheckimi i w posiadaniu rodzin dawniej je dziedziczących, jeśli się ich formalnie nie zrzekły. Stąd wypływa, że najuboższa szlachta, jeżeli tylko dowieść może, że ojcowie posiadali ziemskie dobra, że ona sama przez handel lub rzemiosło praw szlacheckich nie utraciła—ma, wedle konstytucyi państwa, też same prawa co najbogatsi i będący w posiadaniu majątności. Taki ubogi szlacheć po wielu latach dobra swe dziedziczne nazad wykupić może, chociażby one z rąk do rąk przechodziły, bo prawa odzyskania ich nie traci.

Podatki z tych majątności są małe i mogą być tylko stanowione przez szlachtę, z której się składa ciało prawodawcze. To samo z cłami, których szlachcie albo wcale nie płaci, lub bardzo małe.

Osobista swoboda wielka. Nawet w wypadku przestępstwa kryminalnego, osoba szlachecka wolną jest dopóki prawem go nie przekonają. Uwięzionym być może tylko schwytyany na gorącym uczynku, np. kradzieży, zabójstwie, zranieniu śmiertelnem, gwałcie lub porwaniu niewiasty, rabunku i t. p. Na śmierć skazuje tylko Sąd sejmowy, ale w historii mało jest przykładów wyroku na śmierć i spełnienia go na szlachci-cu. Zabójstwo opłaca się pieniędzmi: za mieszczanina sto grzywien; za szlachecka, jeśliby razy szablą zadane były, 240; jeśli z broni ognistej postrzał, 480 grzywien a dodatkowo więzę od roku i sześciu niedziel odsiedzieć musi winowajca. Jeśliby mieszczanin zabił szlachcica, głowę dać musi.

Prawa te wszystkie polskiej szlachcie są wspólne, starożytność rodzin i ich bogactwa nie nie stanowią. Stąd zupełna równość szlachecka. Pierwszeństwo jednych nad drugimi i przewaga wypływają nie z prawa krajowego, ale z najnowszych urzędów. Szlachcie, który jest senatorem, jako senator tylko przed bracią szlachtą bierze miejsce. Różnice w innych krajach, przez tytuły książąt, hrabiów, baronów oznaczane, w Polsce nie mają miejsca, król nie ma prawa szlachcie tych tytułów nadawać, ani ta ich używać.

Przed przeszło sto laty uchwalone zostało prawo stanowiące, iż pod infamię podpada, kto tytuł cudzoziemski, herb, pieczęć, równości szlacheckiej szkodliwe, przyjmuje. Pomimo to są rodziny, którym prawo do-

zwoiliło, bez nadwężenia równości szlacheckiej, nosić tytuły książęce i hrabiowskie. Są to rody jeszcze tych, którzy z tytułami wymienieni byli przy połączeniu z Koroną, Litwy, Kijowa, Wołynia, Braclawia i t. p. jako to: książęta Ostrogscy, Czartoryscy, Sanguszkowie, Wiśniowieccy, Radziwiłłowie, Zbarazcy, Łuccy (?), Czetwertynscy, hrabiowie Tęczyńscy i Opalińscy. Ostrogscy i Wiśniowieccy wygaśli, Zbarazkich tytuł przeszedł na Woronieckich, tak samo jak Tęczyńskich na Ossolińskich. Niedawno zmarł jeden Opaliński, ale nie wiem dobrze czy z tej rodziny pochodził. Nowszej kreacyi są książęce tytuły Ossolińskich (?), Lubomirskich, Sułkowskich i gałęź rodziny Sapiechów, którą cesarz uczynił książętami imperyi, ale ona tego tytułu w aktach i urzędowych dokumentach nie używa, Najnowszem jest księstwo Jabłonowskich i Poniatowskich, jednakowego pochodzenia. Arcybiskup Gnieźnieński zowie się księciem prymasem państwa, a biskup krakowski księciem Siewierza, ale tytuły te nie do familij ich należą, tylko do godności i przechodzą do następców. Ogińscy i Massalsey mają tytuł kniaziów, bo wywodzą się z ruskich familij. Oprócz tego wielu jest hrabiów imperyj a nawet jeden margrabia (Marchese) Wielopolski, który tytuł ten otrzymał po wygasłej rodzinie Myszkowskich, udzielony jej przez Papieża Klemensa VIII. Prawa wzbraniają, by tytuły te posiadaczom ich dawały jakiegokolwiek pierwszeństwo w osiągnięciu urzędów, dostojenstw, starostw, poselstw i t. p. Na znak równości wszystka szlachta mówi do siebie „Bracie“, najwyższy senator najuboższemu szlachetce, a ten nawzajem, jeśli chce, tak samo do senatora. Jednakże przez—poważanie ubodzy się od te-

go wstrzymywać zwykli. Przyjęte jest także, by w publicznych obradach oznaczać senat imieniem starszej braci, posłów zaś i rycerstwo, jako brać młodszą.

Szlachta cudzoziemska, żyjąca w Polsce lub tu zrodzona z ojca obcego, nie ma praw szlachty urodzonej polskiej; musi wprzód, za pośrednictwem Sejmu, otrzymać *indigenat*, to jest przyjętą być do Rzeczypospolitej. Dawniej tego nie wymagano. Naówczas szlachta przybyła ze Szlązka, Czech, Węgier i Niemiec gdy się stale osiedlili zarówno z miejscowemi praw używała. Z czasem wszakże weszło w życie prawo, by *indigenat* nie przez króla prywatnie, ale za zezwoleniem Stanów Rptej był udzielany. Późniejsze przepisy wymagają, by kandydat do *indigenatu* starał się o zezwolenie i głosy Sejmiku tej prowincyi, w której się chce osiedlić, i żeby go ona Sejmowi zalecała. Nie daje się też *indigenat* bez różnicy każdemu, ale tylko szlachcie i zasłużonym. Kandydaci przed Sejmem zasługi te pokładać muszą, a szlachectwo okazać atestatem króla, w którego kraju się urodzili. Sejm dopiero rozstrzyga, czy godni są nadania *indigenatu*. Jeśli szlachta cudzoziemska nabędzie to prawo, stawia jej za warunek nabycie dóbr w Polsce; czasem jednak uwalniano od tego. Od ostatnich lat trzydziestu przeszłego wieku postanowiono, by *indigeni* pod utratą prawa nabywali dobra do następnego sejmu najdalej; i że *indigenat* służyć miał tylko rodzinom wyznania rzymsko-katolickiego. Oprócz tego, nabywając prawa obywatelstwa, składają królowi i Rzptej przysięgę wierności. Postanowienie Stanów nie starczy samo, kancelarja jeszcze wydaje im patenta. Koszta tego wszystkiego są bardzo znaczne, gdyż ani głosy w sejmikach

i na sejmie ani kancelarja nie przychodzą darmo. Sam stempel na dyplomie indigenatu (?) kosztuje 3350 polskich złotych. Z tego powodu tak rzadko o indigenat kto się stara i mało się on komu udziela, dla czego szlachta polska bardziej od innych bez przymieszania obcej krwi się obchodzi. Jeśli otrzymujący indigenaty ojczyzny orężem lub majątkiem bronili lub bronią, albo ze znakomitych familij obcych pochodzą, mogą natychmiast otrzymywać urzędy publiczne; w innym razie dopiero wnuki ich do dostojenstw w Rzeczypospolitej są przypuszczani. Dla tego w indigenacie stoi: albo że nabywca jego pozyskuje wszystkie prawa szlachty polskiej, lub się to zastrzeżenie opuszcza. Może też i nieszlacheć zarówno polak jak obcy nabyć szlachectwo. Dawniej prawo nobilitacyi miał król; teraz rozstrzygają Stany, za wiedzą Rady i zaleceniem pp. senatorów, posłów, ministrów i generałów.

Prosty dyplom nobilitacyjny królewski nie starczy, musi być confirmowany przez konstytucję. Od kandydatów wymaga się także wyznania rzymsko-katolickiego, zalecenia przez sejmiki prowincjonalne i wykazania swych zasług. Dopiero wnuki ich nabywają wszelkich praw szlachty do urzędów, za wyjątkiem chyba szczególnych wypadków—nadzwyczajnych zasług nobilitowanego. Nie trzeba wszakże sądzić, aby te zasługi tak bardzo ściśle były brane. — pieniędzmi u posłów i Sejmu nabywa się uznania. Powątpiewający o zasługach, daje się o nich nader łatwo przekonać — właściwemi środkami. W ostatnich czasach starczyło nawet polecenie jednego z posłów zagranicznych, ażeby starającego się o szlachectwo zasługi Sejm chętnie przyznał. Prawo wzbrania wyraźnie, by szlacheć nieszlachećca do

swego herbu przyjmował, lub za krewnego i powinowatego przedstawiał; by ktoś nie należących sobie oznak i pieczęci używał, albo się, nie będąc nim, za szlachcica podawał. Jeśliby kto niesłusznie zadał komu nieszlachectwo, a ten się wywiódł; może poszukiwać, na oszczerecy kary śmierci.

Szlachta tak urodzona jak uszlachcona traci prawa swe, jeśli się rzemiosłem lub kupiectwem zajmuje, albo szynk prowadzi, lub w małych miasteczkach urzęda magistrackie pełni. W większych miastach urzędy szlachta zajmować może, gdyż magistratom przysługuje prawo nabywania dóbr i szlachectwo. Dalej utracą prawo szlachectwa, kto kryminal popełni i na infamję jest sądzony, lub komu nadano szlachectwo bez zasługi, ale to wypadek prawie niesłychany. Kto sobie szlachectwo kupił za pieniądze, temu tylko Stany je odjąć mogą, a u nich nabyć je może znowu. Niestety to spotkać by tylko mogło szlachtę i bez zasługi i bez pieniędzy, ale niema przykładu podobnego.

Cała konstytucja państwa, jak widzieliśmy, obraca się około szlachectwa, to też prawa i urzędnictwa wszystkie na korzyść tylko szlachty, do jej zachowania i wyniesienia zmierzają. Tu szlachta sama stanowi właściwie naród, z którego Stany Rptej się wybierają. Konstytucja, którą postanowiono Radę nieustającą (Lengnich), uznaje trzy stany: króla, senatorów i rycerstwo; właściwie tylko dwa ostatnie. Żadne prawo dawniejsze nie zna trzech stanów w Rptej i nie mieśza do nich króla. Prawo chce, by król Sejmzy zwoływał, z niemi się naradzał i stanowił. Postanowienia Sejmów noszą imię króla na czele, z woli i porady Stanów czyniącego. Gdy król umrze, z nim nie umiera Stan, ale

tylko osoba królewska, w miejsce której nową wybierają elektorowie, oddają jej insygnia i wprowadzają. Prawo więc odróżnia króla od Stanów i ten z niemi nie ma nic wspólnego.

Gdy ustanowienie Rady nieustającej wiele dawniejszych konstytucyj w części zniósło, a po części zmieniło, i gdy ta Rada na nowo, jako władza państwa, która była przez rewolucję zniesiona, nazad przywróconą została; pozostawiamy więc on podział na stany jaki był wprzód, gdy go na nowo przyjąć uznano za dobre. Zatem wedle tego prawa:

Król jest głową narodu, pierwszym stanem w Rptej, przedstawicielem jej majestatu, prezydującym w Radzie nieustającej. On zwoluje zwyczajne i nadzwyczajne sejmy; ani Sejm ani Rada nieustająca nie bez niego stanąć nie mogą; w jego imieniu wszystkie prawa i rozporządzenia Sejmu i Rady i wydawane akta się ogłaszają; w jego imieniu wszystkie sądy się sprawują, a na sądach sejmowych i relacyjnych on sam zasiada osobą swą, wydaje nowe prawa i przywileje i potwierdza je, o ile one prawu publicznemu polskiemu i litewskiemu nie są przeciwne; obsadza wszelkie niższe duchowne, mieszczkańskie i wojskowe urzędy; może naostatek uniwersytety i szkoły nowe zakładać.

To są prawa królewskie. Łatwo dopatrzeć, za niema pomiędzy niemi żadnego, któreby mu istotny znaczący wpływ na rząd i sprawy państwa zapewniało. Wprzód miał on władzę większą — on obsadzał sam wyższe dostojenstwa, duchowne, obywatelskie i wojskowe, rozdawał królewszczyzny i starostwa. W tem było źródło jego siły i wpływu na kraj; kto się spo-

dziewał od niego urzędu lub starostwa, był mu oddanym; a dostawszy jedno lub drugie, z wdzięczności się przywiązywał. Znaczniejsi dygnitarze, posiadacze wielkich starostw, biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, senatorowie godnością zaszczytzeni, z większością głosów stali po jego stronie, a część rycerstwa, urzędników, w nadziei starostw i nadań także królowi się akomodowała. Wszystko to ustало, od czasu jak Rada nieustająca dostojęństwa i dobra sama rozdaje, i królowi trzech kandydatów do wyboru przedstawia, z których on jednego oznacza. Tym sposobem król ma ze wszech stron ręce związane i nie ma ważniejszej sprawy żadnej, w którejby załatwieniu albo Sejmowi albo Radzie nieustającej udziału nie potrzebował. Zrozumiemy dla czego rewolucja rozpoczęła od zniesienia tego prawa.

Drugim stanem jest senatorski, składają go arcybiskupi, biskupi, wojewodowie, kasztelani i znaczniejsi ministrowie. Z temi dostojęstwami senatorska godność jest połączoną ściśle i razem z niemi się otrzymuje. Rozumie się, iż tylko krajowcy, szlachta osiadła, równe prawa z obywatelami posiadająca, zasłużona, zdolna, w pewnych latach i rzymsko-katolickiego wyznania, miejsca te otrzymywać może.

Liczba senatorów niezawsze jest równą, czasem mniejszą lub większą. Dwa podziały Polski zmniejszyły ją teraz, jak nigdy nie była. Dawniej senatorów szesnastu, wybranych przez Sejm, stanowiło Radę przy boku króla, przed którą on publiczne sprawy pokładał. Nie mógł on bez jej zezwolenia nic postanowić, a w wypadku, gdyby zdania były podzielone, większość rozstrzygała. W miejsce tej Rady ustanowiono nieustającą, do której składu wchodzi także

rycerstwo (szlachta), a bez której zezwolenia król nie stanowi. W wypadku niezgody następuje tu głosowanie. Ażeby królowi na Radzie nie zbywało, senatorowie nie mogli opuszczać kraju bez zezwolenia Sejmu; teraz, jeśli król zechce wyjechać, potrzebuje na to upoważnienia Rady nieustającej, która przenosi się z nim na miejsce jego pobytu. Jeśli król dobrowolnie Warszawę opuści, wybór urzędników wstrzymuje się na dwa miesiące; po upływie tego czasu jeden z członków Rady udaje się do króla i listownie pośredniczy pomiędzy nią a królem.

Senatorowie mają tytuł Excellencyi. Pensyi właściwie nie pobierają żadnej. Utrzymują siebie i godność swą z innych, własnych dochodów lub ze starostw, które im król nadaje. Pierwsze miejsca zajmują senatorowie duchowni, arcybiskupi i biskupi. W najdawniejszych już czasach mieli oni pierwszeństwo przed świeckimi, częścią jako duchowni, w części dla nauki, która naówczas była ich wyłącznym udziałem. Wprzód składała się ława senatorska duchowna z dwóch arcybiskupów: gnieźnieńskiego i lwowskiego, i biskupów piętnastu. Dwukrotny podział liczbę tę zmniejszył. Od pierwszego już arcybiskup lwowski nie jest senatorem Rzeczypospolitej, a teraz arcybiskup gnieźnieński nim nie będzie, gdy Gniezno pruskiem się stało, chyba jako biskup krakowski (?), ale o tem jeszcze stanowczo nie rozporządzono. Do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego przywiązana była godność i tytuł księcia-prymasa i ten też między duchownymi senatorami przodował. Prawa jego były bardzo znaczne. Arcybiskup był *Legatus natus* Papieża i był *Interrex* podczas bezkrólewia, od śmierci jednego panującego do wprowadzenia na tron drugiego; a miał naówczas wszelkie prerogatywy królew-

skie. Gdyby król się w kraju nie znajdował, a prymas coś niebezpiecznego dla Rptej dostrzegł, winien uwiadomić go; miał prawo czynić mu przedstawienia, jeśliby przeciwko konstytucyi państwa wykraczał i nakazywał to, czemu się ona sprzeciwiała; winien to jednak był czynić ostrożnie, bez rozgłosu i nie na lekko, po naradzie z kanclerzem państwa. Arcybiskup był też *Canonicus natus* katedry plockiej, i miał prawo bicia monety i myśliwstwa w dobrach kościelnych; on i poddani włości jego wolni byli od opłacania cel i podatków wojewodom, których jurydykecyi nie podlegali. W nieustannej Radzie zajmuje prymas miejsce najpierwsze, nawet gdyby między biskupami przytomnymi był kardynał; zasiadając w niem, imię swe podpisuje zaraz po królewskim. Jeśli króla niema, prymas, jak w czasie bezkrólewia, ma dwa głosy, aby, w razie równości ich, rozstrzygał. Nie ustępuje miejsca nunejuszowi papieskiemu, i z tego powodu oba unikają spotkania ze sobą. Wedle statutu Kazimierza W., nie śmie nikt w przytomności prymasa nieprzyzwoitych słów używać, szabli lub noża dobyć, pod grzywnami, które się opłacały na korzyść jego.

Do zewnętrznych oznak dostojenstwa należała kardynalska purpura. Gdy przybywał do miasta, w którym sejm się zbierał, senatorowie pospieszali naprzeciw niego i niektórzy towarzyszyli mu przy pierwszych u króla odwiedzinach. Na dworze marszałkowie wychodzili przeciw niemu; król wstawał i kilka kroków postępował przy powitaniu. Gdy publicznie się okazywał, niósł przed nim marszałkowską laskę jeden z senatorów-kasztelanów pieszo, jeśli prymas szedł, konno jeśli jechał, ale zawsze z lewej strony, gdyż

kanonik krucyfer zajmował prawą.—Krucyfer z krzyżem wszędzie tawarzyszył prymasowi, gdzie się kolwiek znajdował, w senacie czy na sejmie. Marszałkiem prymasa był kasztelan, a marszałkami królestwa tylko ministrowie ze stanu senatorskiego; i gdzie się kolwiek laski marszałkowskie Polski i Litwy ukazywały, prymasowska upadała. Oprócz tego dwór prymasa składał się z kanclerza, referendarza, podkomorzego, koniuszego, łowczego, kuchmistrza, piwniczego, skarbnika i t. d.

Oprócz wszystkich innych praw i przywilejów posiadał jeszcze ten osobliwszy i jedyny, że gdy u niego w Warszawie do stołu siadano, we wszystkie dzwony bito.

Wybaczonem mi będzie, że przywiódł te drobnostki; przytoczyłem je tylko jako próbkę, co naród zupełnie swobodny, całkowicie równy uczynił, aby jednemu ze swych współbraci ową równość wybić z głowy.

Biskupi mają niektóre między sobą odznaczenia, pierwszeństwa krzesel w senacie, precedencye w kościele i pochodach, których tu wyliczyć nie mogę. Dawniej król ich obierał, a Papież potwierdzał; teraz Rada nieustająca przedstawia mu trzech do wyboru. Jeden biskup dwóch razem prelatur trzymać nie może, ale są od tego wyjątki. — Zmieniają się tytuły często, gdyż biskupi postępują na wyższe, donioślejsze i bogatsze biskupstwa, do których bywają przyłączane pewne opactwa i prebendy dla podniesienia blasku i reprezentacyi. Wszyscy mają dochody znaczne, ale największe biskup krakowski. Przed laty mogli wszyscy bez wyjątku otrzymywać urząd kanclerski, teraz wyjęci są przedniejsi lub musieliby rzec się bogat-

szych prebend i zamienić je na pomniejsze, co się nieraz już trafiało; ale też zdarzało się, że biskup będący kanclerzem, wyrzekał się kanclerstwa dla bogatszego biskupstwa. Mogą oni mieć koadjutorów, ale ci senatorami nie są; wyznacza ich Rada nieustająca, gdy biskupi są w podeszłym wieku albo chorobą złożeni; mają także przez siebie mianowanych sufraganów, ale ci do biskupstwa żadnego prawa rościć nie mogą. Trzech z nich (razem z prymasem) mają krzesła i głosy w Radzie nieustającej, ale za to nie biorą żadnej pensyi, równie jak prymas i ministrowie. Zresztą w biskupstwach swych używają wszystkich praw i przywilejów szlachcie należnych.

Najpierwsze po nich miejsce zajmują w senacie wojewodowie. Łacińskie nazwisko ich dostojęństwa *Palatini*, dowodzi, że to był urząd pałacowy, przy dworze panującego sprawowany.

Z Rzymu i Konstantynopola nazwa przewędrowała do Francyi, gdzie panowie do Rady króla wzywani, palatynami się zwali. Stąd to przeszło do Polski, gdzie przedniejsi z baronów nazwę tę otrzymali, i gdzie zarazem prowincye celniejsze palatynatami, a przewodniczący im palatynami się mianowali. Palatyn po polsku *wojewoda* (wojenny wódz), palatynat *województwo*, w niemieckim języku polska denominacya się utrzymała (Woiwode·Woiwodschaft).

W dawniejszych czasach, gdy Polska między wielu książąt panujących była podzielona, z których każdy miał swój dwór i swego wodza, powstała ta mnogość wojewodów. Po złączeniu prowincyj tych pod jednym królem dwory wprawdzie ustąpiły, ale wojewodowie zostali, jako naczelnicy prowincyj, woje-

wództw, których nazwa występuje później w dziejach tyż samych wojewodów. W dawnych aktach są tylko ziemie i księstwa.

Książęta przywoływali do Rady wojewodów, zarówno na dworze ich jak i na prowincyi przebywających. A ponieważ pierwszymi byli na dworach, pierwszeństwo też trzymali w senacie. Najstarsi wojewodowie są koronni; młodszy są późniejsi, gdyż kraje do korony przyłączone potem dopiero na województwa podzielone zostały. Wojewodowie nie są uporządkowani wedle prowincyj, ale zasiadają pomieszani z sobą. — Szczegółnością jest, że kasztelan krakowski siada przed wszystkimi wojewodami, i że do ich rzędu liczą się także dwaj inni kasztelanowie: wileński i trocki, równie jak starosta żmudzki; wszyscy tytułami idący po wojewodach. Dziejopisowicze nie są zgodni, dla czego to pierwszeństwo ma kasztelan krakowski. Niektórzy piszą, że pewien wojewoda krakowski powstał był przeciw królowi, za co skarano następców tak, aby wojewodowie szli zawsze po kasztelanach krakowskich; inni utrzymują, że kara ta domierzoną została za ucieczkę sromotną podczas bitwy. Kasztelanowie wileński i trocki i starosta żmudzki dla tego zdają się policzonymi w poczet wojewodów, że wprzód na Litwie tylko dwóch było wojewodów i tyluż kasztelanów, to jest wileński i trocki, inne zaś ziemie przez królewskich starostów zarządzano. Gdy później obwody te na województwa zmieniono, pozostawiono dawnym kasztelanom miejsce przed wojewodami nowymi. Toż samo ze starostą żmudzkim. Zresztą należy mu to miejsce z powodu, iż w ziemi tej używa władzy wojewodzińskiej — i różni się od nich tylko nazwiskiem. Niektórzy z wo-

jewodów nazywają się jeszcze generałami, ale ten tytuł nie dodaje im nic, i z żadnym szczególnym przywilejem nie jest połączonym. Wojewoda nie może razem dzierżyć dwóch województw, ani być współcześnie kasztelanem i ministrem z senatorskiej izby. Jeśli jest kasztelanem, gdy mianowany został wojewodą, przestaje nim być; jeśli był wojewodą a mianują go ministrem z senatorskiego stanu, [składa województwo; przykładów jest wiele, iż wojewodowie zrzekli się swej godności dla urzędów kanclerskich, podskarbstwa lub marszałkowstwa.

Jednakże wojewodowie mogą być zarazem hetmanami wielkimi lub polnymi, a przyczyna tego nie inna, tylko że hetmaństwo do senatorskich dostojęństw nie należy. Żaden koronny wojewoda, z wyjątkiem krakowskiego, nie może w swem województwie posiadać starostwa sądowego; ale w innych nie jest mu to wzbronione. Wojewodowie litewscy mogą mieć starostwo sądowe w swoim województwie. Oprócz innych przywilejów wojewodowie mają prawo zwoływania sejmików w swojej ziemi, przewodniczą tak zwanym sądom wojewodzińskim, oznaczają ceny żywności, czuwają nad sprawiedliwą miarą i wagą, żydów sądzą i przeciwko uciskom ich bronić obowiązani i t. d. Ale te interesa zdają zwykle na zastępców swych, podwojewodów, których sami wybierają, a ci krajowcami i szlachtą być muszą, i przysięgą się zobowiązują wedle prawa i sumienia spełniać urząd swój.

Właściwym obowiązkiem wojewody, jest, jak sama nazwa wskazuje, w czasie pospolitego ruszenia stać na czele szlachty województwa swego; że zaś takie pospolite ruszenia w terażniejszych czasach

są niemożliwe, wojewodzińska godność jest dziś prostym tytułem, o który tak się teraz stara szlachta, jak gdyby do najświetniejszych czynów otwierał wrota.

Po wojewodach następują kasztelanowie. Imię ich pochodzi od *Castellum*, oznaczającego gród, obwarowany zamek, a nawet obóz warowny. Dowódców zamkowych zwano tem imieniem, a ci nietylko byli przełożonemi nad grodami ale i nad pewnym kraju obwodem, który do nich należał. Z dawnych dziejów okazuje się, iż Polska dzieliła się na takie kasztelanje ale dziś kasztelanij niema, tylko godność kasztelańska pozostała. Kasztelanowie mieli władzę sądową w swych grodach i obwodach, ale sądy ich później ustały a w miejsce ich starościńskie, grodowe (*Judicia castrensia*) zaprowadzone zostały. Jednakże kasztelanowie senatorską godność zachowali, gdyż należeli do baronów, którzy w radzie książąt zasiadali. W jednym starym akcie są nawet pomieszczeni wyżej od wojewodów. Na równi z niemi także nie mogą być ministrami z senatorskiego stanu i razem kasztelanami; chociaż jak oni mają prawo hetmanić.

Kasztelanowie koronni, wyjąwszy krakowskiego, nie mogą w województwie, do którego należą, żadnego posiadać starostwa sądowego, ziemskich także urzędów, ani w województwie, ani w kraju. W czasie pospolitego ruszenia prowadzą szlachtę swego obwodu do wojewody, który dowodzi całą wojewódzką szlachtą. Po nim więc oni są najprzedniejszymi między dostojnikami. Chociaż wszyscy mają znaczenie jedne, kasztelanje dzieli się na większe i mniejsze. Ostatnich liczba jest znaczniejsza. Przed dwoma podziałami Polski pierwszych było 33, drugich 43. Mniejsi kaszte-

lanowie zowią się *powiatowemi*, bo nie od stolicy województwa, ale od jednego z powiatów imię biorą, albo *niekrzesłowi*, gdyż czasu sejmu nie na krzesłach, ale na ławach zasiadają. Wspominam o tych drobnostkach, jako niekonsekwencjach polskiej ustawy o równości.

Do senatorów liczą się niektórzy ministrowie, zwani ministrami ze stanu senatorskiego. Ci zajmują urzęda wyższe około osby królewskiej, jest ich dziesięciu. Dwóch w. marszałków, dwóch w. kanclerzów, dwóch podkanclerzych, dwóch podskarbieh i dwóch podkomorzycy czyli vice-marszałków. Pięciu z nich jest polskich, a pięciu litewskich.

W senacie idą oni po kasztelanach i głosują po nich. W czasie sejmu zasiadają nie obok nich, ale osobno; na relacyjnych sądach mają także senatorskie krzesła po kasztelanach i po nich też w sejmach wotują. Prawa nie pozwalają, aby zarazem byli wojewodami lub kasztelanami; a jeśli chcą niemi zostać, godność swą złożyć muszą.

Tak samo jeden minister dwóch razem godności ministerjalnych mieć nie może, a nawet z jednej rodziny dwóch ministrów współcześnie nie mianują. Natomiast oni mogą we wszystkich województwach posiadać starostwa sądowe, i być starostami jeneralnemi całej Polski (?) Urzędy ich są dożywotnie, dopóki na inne zmienione nie zostaną. Czas cały spędzają przy królu na posługach odpowiednich urzędowi swojemu. W podróżach po Polsce i Litwie mu towarzyszą, jeśli nieszyscy, to przynajmniej z nich niektórzy. W drodze za granicę, jeden z podkanclerzych jedzie z panującym. Często jest bardzo wypadek, iż wojewo-

dowie i kasztelanowie zmieniają swą godność na ministerjalną, już to dla tego, że będąc przy królu mają zręczność rodzinę swą przypominać i polecać, już że ministerstwa znaczne dochody uboczne przynoszą. Tytuł im dają taki, jak wojewodom i starszym kasztelanom.

Tu o ministrach w ogólności, ale o każdym z nich jeszcze osobno wspomniemy. Pierwszemi z porządku są marszałkowie. Wyżej mówiliśmy, iż jest ich czterech; wielki marszałek koronny i marszałek dworu, tak samo dla Litwy. Oznaką godności ich jest laska marszałkowska. Zwyczaj marszałkowie dworu brali wielką laskę po nich, ale prawa na to nie było, a król i Rada nieustająca mianują teraz kogo chcą. Obowiązki ich i prawa są: mianowanie dworskich urzędników, sług, usuwanie nieposłusznych i źle się prowadzących i przyjmowanie królewskich gości i panów Rady, przestrzeganie, aby wedle godności uczeni byli, zapobieganie nadużyciom, gwałtom i karanie obwinionych o nie. Oni prowadzą wszystko, co się tyczy dworu, i co by się okazało złego, za wiedzą króla poprawiają. Dawniej oznaczali ceny na to, czego dwór potrzebował, ale że podobno niektórzy z nich kupcom się na ich korzyść ująć dali, odjęto im ten przywilej konstytucją r. 1768. Jako do dworu przynależący, ich sądom marszałkowskim podlegają nawet oficerowie straży i żołnierze. Sądów marszałkowskich jurydykcyja rozciąga się na mil trzy około królewskiej rezydencyi, towarzyszą mu wszędzie po królestwie, od wyroków ich nie ma apelacyi, ale król karę złagodzić lub darować może. Jeśli król umrze, sądy marszałkowskie około zwłok jego trwają. Od r. 1768 zasiada

w sądach tych sześciu asesorów, bez których oni teraz wyroku wydawać nie mogą. Oprócz tego, pilnują, aby wszelkie zwyczaje i ceremonje około osoby królewskiej i czasu sejmów zachowywane, w niczem naruszone nie były; a w tym punkcie muszą niemniej być pilnemi, jak i marszałkowie monarchicznych dworów. Wedle brzmienia konstytucyi Rady nieustającej, obowiązani są rocznie sześć miesięcy być przy królu, a asesorowie każdy po miesiący cztery. W niebytności w. marszałków, marszałkowie dworu używają ich prerogatyw. W ostatku marszałkowie koronni spełniają wszystko, co się tyczy Korony, a litewscy co do Litwy.

Kanclerzów jest tylu ilu marszałków: dwóch dla Polski i tyluż dla Litwy. Wielki kanclerz i podkanclerzy. Wojewodami lub kasztelanami być zarazem nie mogą. Dawniej mianował ich król na sejmach, ale za zgodą Rady, teraz przedstawia kandydatów Rada nieustająca. Kanclerstwa są jedyną godnością państwa, którą na przemiany zajmują świeccy i duchowni. Dawniej świeccy rzadko bywali kanclerzami, gdyż im zbywało na potrzebnem ukształceniu; od Zygmunta I. postanowiono prawo, aby z kolei jeden z kanclerzów bywał duchownym drugi świeckim. Nawet wielkie kanclerstwo bywa obsadzane na przemiany z duchownego i świeckiego stanu. Gdy więc naprzykład oba kanclerstwa wakują, a ostatni kanclerz był duchownym, miejsce jego zajmuje świecki i tym podobnie. Zwyczaj ten stosuje się do Polski tylko, w Litwie bowiem kanclerze są najczęściej świeccy. W Koronie zwykle biskupów mianują kanclerzami, rzadko ludzi mniejszej godności. Ostatni podkanclerzy Kollątaj, był

wyjątkiem; z referendarstwa koronnego mianowany był podkanclerzym. Wyżej już zaznaczyłem, że dostojniejsi biskupi nie bywają mianowani lecz tylko mniej uposażeni, a bogatsi w takim razie rezygnują, i kto przed nominacją swą na kanclerza nie był biskupem, ma prawo do pierwszego, wakującego biskupstwa, a kto biskupem do pierwszego bogatszego, które będzie opróżnionem. Toż samo jest ze świeckimi kanclerzami do dóbr królewskich, województw i kasztelanij. Wielcy kanclerze i podkanclerze godność i znaczenie mają jednakowe, ta tylko różnica, że kanclerz ma pierwszeństwo, a w jego niebytności zastępuje go podkanclerzy,— i po nim ma następstwo. To ma tylko miejsce w Koronie; w Litwie podkanclerzy nie koniecznie mianowany bywa.

Kancelerstwo ważne jest i przywileje ma wielkie. Występuje kanclerz w imieniu króla na sejmach i w innych wypadkach, gdzie królowi mówić wypada. Odpowiada posłom zagranicznym na ich mowy; umawia się z nimi i pośredniczy między królem a posłami w układach. Przyjmuje prośby do króla podawane, pisze i pieczętuje akta publiczne, mandaty, rozporządzenia, wyroki, przywileje, dyplomy i nadania. W aktach tych, jako też w ustnych przemówieniach, posługuje się językiem łacińskim albo polskim, które w Polsce były z dawna językami urzędowemi.

Każdy z kanclerzów ma własną kancelaryę, osobne archiwa (w polsko-łacińskim języku zwane, metrykami) i pieczęć oddzielną. Ponieważ interesy, któremi zajmować się muszą, potrzebują znajomości prawa państwa, osób i własności, od kanclerzów więc biegłości w nich się wymaga i znajomości zwyczajów. Ma-

ją wprowadzie urzędnika nadzorę (regentem zwanego), którego obowiązkiem jest czuwać, aby nie prawu przeciwnego z kancelaryi nie wychodziło, ale to ich nie uwalnia od odpowiedzialności osobistej; jeśli się trafiło nadużycie.

Pisma, które podpisu króla nie wymagają, kanclerz expedjuje bez jego wiadomości; te które on podpisuje, muszą mu być w treści przedstawiane. Dyplomy na urzędy, dobra i t. p. nim zostaną wydane, wciągają się w akta, na wypadek gdyby zaginęły, ażeby excerptem wydane być mogły. Koszta kancelaryjne, opłacane przez prywatnych, w dawniejszych czasach były określone, ale tylko dla szlachty; nieszlachta, obcy i żydzi są na łasce kancelaryi, co nie zdaje się rzeczą sprawiedliwą. Opłaty od dyplomów, które odbierającemu przyjemność lub korzyść przynoszą, zostawia się zwykle jego wspaniałomyślności, i łatwo sobie wyobrazić, że niemale być muszą, gdy niemi zadowolnić potrzeba kanclerza, regenta, metrykanta, i jeszcze parę skrybentów. (Stempel od poświadczenia pełnoletności kosztuje sam jeden 10,000 pol. zł. ?).

Kanclerze prezydują w sądach asesorskich, mają obowiązek postanowienia sejmowie, po ukończeniu sejmku kazać drukować, i opieczętowane przesyłają na prowincję. Mogą być mianowani posłami za granicę; jeden z nich jest członkiem departamentu spraw zagranicznych w Radzie nieustającej, a jeśli króla nie ma, prezyduje w niej. Zastępują miejsce marszałków w ich niebytności, a nawet hetmania wojsku, jeśli nie ma żadnego hetmana ani marszałka.

Kanclerze świeccy są rocznie płatni, duchowni, jako dostatnio przez kościół opatrzeni, nie pobierają

pensyi. Przez ustanowienie Rady nieustającej niektóre prawa ich ograniczone zostały. Dodano im sześciu asessorów sądowych, bez których nie mogą odbywać sądów; obowiązani są co miesiąc Radzie tej składać wypis przywilejów expedjowanych, każdy z nich (po dwóch) sześć miesięcy rocznie w Warszawie rezyduje.

Z senatorskiego stanu są jeszcze:

Podskarbiowie obu narodów, którzy dla odróżnienia od podskarbiach nadwornych zowią się podskarbiemi wielkimi. Pod ich strażą zostają insygnija królestwa i skarb, oni odbierają dochody publiczne, wydatki opłacają i utrzymują rachunki. Mają nadzór nad mennicą i zasiadają w trybunale zwanym komisją skarbową. Dawniej w swoim departamencie mieli władzę prawie nieograniczoną, co też spowodowało niezmierne nadużycia, ale od konstytucyi 1768 r., od ustanowienia Rady nieustającej przywileje ich i prawa cieśniej określone zostały. Dodana im jest komisja, bez której, nic działać nie mogą, pod którą departament skarbu zostaje, złożony z członków Rady nieustającej. Obowiązani są co miesiąc składać wzmiankowanej Radzie wiadomość o swych czynnościach. Projekta, podawane im, tyjące się ulepszenia, rozszerzenia handlu i dochodów skarbu, zaprowadzenia fabryk, zakładania dróg, kopania kanałów, mają prawo zbadać, ale ani ich przyjmować ani odrzucać prawa nie mają, bez upoważnienia Rady. Za jej wiedzą też wydają ze skarbu pewne sumy, podarki, nagrody i t. p. Jeśli się opierają i nie chcą wyroku komisyi przypieczętować, dosyć jest, ażeby którykolwiek z nich, (podkanclerzy), w miejscu ich pieczęć przyłożył, co nawet wobec nich dopełnionem być może.

Do sądu komisji skarbu należą szczególnie wszystkie sprawy, dotyczące się podatków od szlachty, duchowieństwa, miast; następnie spory o kontrakty, wexle i długi kupieckie, o miary i wagi, rachunki rzemieślników i t. p.

Trzecim stanem Rptej jest stan rycerski, o którym podam niektóre szczegóły, dotyczące się pochodzenia, przywilejów, obowiązków i urzędów szlacheckich.

Stan zowie się rycerskim, gdyż składający go, szlachta, po nad równość rycerską nie wychodzą. Po raz pierwszy w r. 1404 Władysław Jagiełło żądał przyzwolenia szlachty, będąc zmuszonym na wojenną potrzebę uchwalić podatek, czego uczynić nie miał prawa, gdyż król Ludwik uwolnił był szlachtę od wszelkich opłat. Najprzód szlachta zwołała sejmiki, a potem na następującym sejmie, za zgodą prałatów, baronów i rycerstwa (militarium), opłata podatku została postanowioną. Takim był początek zwyczaju zwoływania szlachty, gdy szło o uchwały wydatków na potrzeby publiczne. Większy jeszcze wpływ uzyskała szlachta przywilejem, nadanym przez Kazimierza III iż żadne prawo uchwalone, ani pospolite ruszenie zwołane nie będzie—bez porady szlachty każdej ziemi.

Tenże sam Kazimierz już od szlachty wielko- i mało-polskiej otrzymał odpowiedź na żadaną uchwałę podatku, iż szlachta obu ziem nie da podatku, jeśli nie zostanie powołaną do sejmów. Z każdego województwa wysłano po dwóch posłów do Piotrkowa na sejm i pobór został uchwalony. Od tego czasu, przez deputowanych swych, szlachta uczestniczyła we wszystkich sejmach, nietylko gdy szło o podatki, ale o wszystkie inne sprawy, uzyskawszy prawo, że nie bez niej

i zezwolenia jej postanowionem nie będzie. Za Albrechta i Aleksandra nietylko pozostaje wszystko po dawnemu, ale szlachta uzyskała nowe prawo, iż nie na przyszłość postanowionem być nie może bez zgodnego jednomyślnego przyzwolenia Rady i posłów ziemskich; prawo to utrzymało się; odtąd bez sejmów, bez senatorów i posłów od szlachty nie się już nie stanowiło.

Ta władza, którą w dawniejszych czasach król tylko sam posiadał przeszła na senat i szlachtę, a co wprzód było radą i poddanym, teraz uformowało dwa stany, na których spoczął zarząd kraju, a które prawo miały woli króla się sprzeciwiać. Stany te następnie z wielkiej korzystały zręczności, by jeszcze swą siłę i znaczenie powiększać, ku czemu szczególnie im bezkrólewia dopomagały; tak się w końcu władza króla ścisnęła i zmalała, jak ją dziś widzimy.

Rycerski stan składa szlachta — niesenatorska — wprost bezpośrednio królowi poddana. Chociaż senatorowie nie przestają być szlachtą, jednakże zostawszy niemi już się od niej oddzielają, należąc do drugiego stanu, a do dwóch razem nikt się liczyć nie może. Szlachta dzieli się na *pośrednio* i *bezpośrednio* podległą królowi, to jest naprzykład taką, która w księstwie Siewierskiem przez pośrednictwo swojego księstwa biskupa krakowskiego, wchodzi w zależność od króla, ale do Rady już i spraw kraju wzywana nie bywa.

Bezpośrednia szlachta radzi nad sprawami kraju sama na sejmikach, a przez posłów na sejmach. Posłów na sejm wysyłają województwa i powiaty, które do tego prawo mają. Liczbę posłów z powiatu każdego oznacza prawo albo zwyczaj; jeśli ich przybędzie więcej niż należy, zostają z izby wydalen. Wybór de-

putowanych dopełnia się na sejmikach, które zwoływane bywają na kilka tygodni przed zebraniem się sejmu. Wybraniymi mogą być tylko tacy, którzy w województwie lub powiecie są osiedli. Posłem obranym być nie może, kto sprawę ma przed sądem sejmowym, kto jest sędzią trybunału, kto będąc poborcą podatków, kwitu od komissyi skarbu nie otrzymał, kto ma na sobie kondemnatę, kto nie należy do rzymsko-katolickiego kościoła:

Znaczenie szlachty jest tak wielkie, że bez jednozgodnego jej zezwolenia żadne postanowienie wagi nie ma i do skutku nie przychodzi, jeśli się choć jeden poseł sprzeciwi. Przywilej ten, wszelkiemu rozsądnemu pojęciu przeciwny, jest wszakże bardzo stary; ograniczyło go prawo z r. 1768, ale prawnie zniesionym nie jest, gdyż konstytucja r. 1791, kasująca go, sama unieważnioną została. Wprawdzie stosuje się on tylko do spraw państwa ważniejszych, gdy idzie o pokój lub wojnę, nowe podatki, nowe prawa pomnożenia wojsk i t. d., ale dostrzedz łatwo, iż właśnie dla tego najszkodliwszym jest, że się ich tyczy. Zemsta, egoizm, chęć szkodenia jednego człowieka, oraz posłowie zagranicznych mocarstw w tym przywileju znajdują silne narzędzie do spełnienia swych planów lub przeszkodzenia tym, które im zawadzają. Zowie się to niebezpieczne prawo głosem wolnym, prawem przeczenia, *liberum veto*.

Posłowie powiani w imieniu swych współobywateli czynić i w ich myśl, ale w istocie robią, co się im podoba. Niekiedy wstrzymują obrady, mieszają je, mącą, wtrącają do nich obce rzeczy; często posłowie jednego województwa lub jednego powiatu nie są zgodni, je-

dnymi prywatą, drugim i groźba kieruje; dlatego rzecz można, iż nie wedle instrukcyi, ale samowolnie czynią, co chcą.

Urzędów, które tylko szlachta zajmować może, daleko jest więcej niżeli senatorskich. Można by je podzielić na trzy rodzaje: na koronne, litewskie, prowincjonalne, lub od pojedynczych województw nazwiska mające. Szlachta, posiadająca urzęda, idzie przed tą, która żadnych nie zajmuje. Urzędnicy koronni i litewscy, są dworscy sądowi lub wojskowi.

Do pierwszej klasy należą: oba pisarstwa, dwie referendarje, podskarbstwo dworu, podkomorzowie, chorążowie, chorążowie nadworni, miecznicy, koniuszowie i podkoniuszowie, kuchmistrze i podkuchmistrze, podczaszowie, krajczowie, strukeczaszowie, w. łowczowie, łowiectwa nadworne, rejentowie kancelaryi, metrykanci (archiwisci), notariusze dekretów, w. pisarze, w. pisarze skarbowi, podskarbiowie, instygatorowie i vice-instygatorowie.

Do drugiej klasy należą: hetmani wielcy i mniejsi, pisarze oboźni, w. strażnicy, oboźni, jenerałowie artylerji polskiej i litewskiej.

Wielkich pisarzów urząd jest najwyższym ze szlacheckich; zwyczaj chce, by na nich wybierano zawsze duchownych. Mają oni pierwszeństwo przy obsadzeniu kanclerskich urzędów i rozdawnictwie biskupstw, i prędzej lub później je dostają. Używani są do sporządzania listów i pism, tyczących się spraw tajemnych, a gdy kanclerze są nieobecni, niektóre z ich obowiązków spełniają. Na sejmach czytają *pacta conventa*, postanowienia sejmowe i inne akta publiczne. Bez

ważnych powodów nie mogą się oddalać od dworu, gdyż przytomność ich często jest potrzebną.

Po nich idą referendarze. Tych jest po dwu na koronę i na Litwę: jeden świecki, drugi duchowny. Dawniej, gdy jeszcze królowie sami sądy sprawowali, oni wnosili przed tron skargi, obżalowania i prośby; później sami się stali sędziami i dotąd trwają sądy referendarskie, przed które przychodzą szczególniejsze sprawy, tyczące się posiadania dóbr królewskich, dzierżaw i należących do nich wieśniaków. Oprócz tego zasiadają referendarze w sądach asesorskich, w których mają głosy i zapadłe wyroki stronom objawiają. Także w sądach relacyjnych i sejmowych udział biorą; w pierwszych wprowadzają pozwy wedle porządku, w jakim są w rejestr wpisane, i objawiają swe zdanie po głosach adwokatów i naradzie sędziów; w drugich wywołują sprawy kolejną instrukcyi, podpisują wyroki i przesyłają stronom i bez ważnych powodów od dworu się nie oddalają. Podskarbiowie nadworni rządzą dochodami królewskimi, jeden w Polsce, drugi w Litwie; w razie gdy podskarbiowie wielcy nie są obecni zastępują ich; także gdy ci umrą, sprawiają ich urząd aż do nominacyi następcy.

Podkomorzowie polscy i litewscy są najpierwszymi szambelanami królewskimi. Jest to jedna z najstarszych godności państwa. Obowiązkiem ich—około króla być ciągle, osoby jego strzedz, nie z oka nie spuszczać, co dworu blask i światłość podnieść może, czuwając, aby to, co króla otacza, żadnej nieprzyzwoitości się nie dopuściło. W podróży, obozie, w publicznych obrzędach, pochodach, stoją ciągle u boku króla. Także na sejmach, w radzie i sądach. Jeśli kto żąda posłu-

chania, podkomorzy naznacza najdogodniejszy czas i godzinę, wręczając prośby i żądania królowi.

Chorażowie, miecznicy, koniuszowie, kuchmistrzowie, podczaszowie, strukczaszowie spełniają obowiązki, które ich nazwy wskazują przy koronacjach, pogrzebach, pasowaniach na rycerzy, ucztach i t. p.

O rejentach kancelaryi i metrykantach jużesmy wspominali. W. pisarze skarbowi, z których jeden ze stanu duchownego a drugi świecki, dopilnowują spraw departamentu skarbu, wyroków, indagacyj redakcyi.— Skarbnicy koronni mają nadzór skarbców, instygatorowie Królestwa i W. Księstwa, powołują winnych do prawa, kondemnat spełnienia pilnują za przestępstwa przeciwko rządowi i osobom prywatnym popełnione.

Wojskowi urzędnicy polscy i litewscy mają następujące zobowiązania i prawa:

Wielcy hetmani i hetmani polni, jacy przy wojsku polskim i litewskim są oddzielnie, dowodzą siłami zbrojeniami Rzeczypospolitej. Gdy stałego wojska nie było jeszcze wcale, nie było też i hetmanów, wybierano ich na każdą wyprawę, a po rozpuszczeniu wojska uwalniano. Jan Zamojski był pierwszym w r. 1581 dożywoćnym hetmanem koronnym; w Litwie już pod koniec piętnastego wieku hetmani tacy się znajdują. Wielcy hetmani nie składają swego dostojenstwa w razie otrzymania innego, chyba by, jak Jan Sobieski, wybrani byli na królestwo; po śmierci w. hetmana bierze buławę polny.

W dawniejszych czasach mianowano hetmanów tylko na sejmach, później obchodzono się bez sejmów. Tylko szlachta urodzona w Polsce, osiadła, zasłużona może dołączyć tej godności. Hetmani nie mogą zarazem być innymi

urzędnikami z senatorskiego stanu, ani w jednej rodzinie dwie buławy razem posiadane być nie zwykły.

Hetmani przysięgę składają Rzeczypospolitej. Dowodzą wojskami, ale jeśli król jest w obozie, zwierzchnie dowództwo zostaje przy nim. Król ma prawo wyznaczać także tak zwanych regimentarzów do wojsk, jeśli hetmani są na wojnie. Ci nie są z urzędu swego senatorami, ale się zwykle wybierają z wojewodów i kasztelanów, i jako tacy do stanu senatorskiego należą.

Przed ustanowieniem Rady nieustającej wpływ hetmanów na sprawy wojenne był prawie nieograniczony; teraz mają sobie dodaną komisję wojskową, która z niemi razem Radzie podlegała, i nie bez niej czynić nie może. Teraz też litewski hetman strzeże tylko karności i porządku wojsk litewskich, ale koronny jest zarówno obu naczelnikiem.

Pisarzy obozowych jest dwóch, dla Korony i Litwy. Obowiązkiem ich jest koni i ludzi doglądać, spis znajdujących się i ubyłych utrzymywać i żołd wypłacać. Strażnicy polni i oboźni, których jest dwu przy każdym wojsku, spełniają swe obowiązki w ciągłym przeciw nieprzyjacielowi; prawa ich ściślej nie określają. Jenerałowie artyleryi (Geschützmeister) idą na ostatku w liczbie urzędników wojskowych, gdyż ze wszystkich najpóźniej ustanowionemi zostali. Pod ich nadzorem zostają działa i broń. Dawniej oni także mieli władzę nieograniczoną i odpowiadali tylko przed sejmem; teraz podlegają wojskowemu departamentowi Rady nieustającej i zasiadają w komisji wojny.

Przechodzę teraz do godności, które imiona wybierają od prowincyi; tacy są naprzód wielcy starostowie; jeden wielkopolski, drugi Małopolski. Staro-

sta wielkopolski zwał się dawniej najwyższym sędzią i był nim rzeczywiście. Jako starosta sądowy, przewodniczył sądom grodzkim, a że jego władza sądowa rozciągała się na województwo Poznańskie i Kaliskie, zwano go generałem czyli jeneralnym starostą. Teraz, gdy ta prowincya do Prus odpadła, ustala też jego władza nad nią, i urząd, którego wszakże tytuł zapewne się jeszcze utrzyma. Starosta jeneralny małopolski a starosta krakowski są w jednej osobie wiadomo dla czego mu tytuł ten dają, ponieważ ma tylko jedno województwo krakowskie pod sobą.

Godności noszące nazwy od województw i powiatów, można podzielić na ziemskie i grodowe. Ziemskie urzęda, które się zowią dygnitarstwami, są następujące: podkomorzy, chorąży, sędzia, strukezaszy, podczaszy, podsędek, vice-strukezaszy, vice-podczaszy, łowczy, rotmistrz, miecznik, vice-rotmistrz, skarbnik. Niektórych z nich mianuje król na przedstawienie Rady nieustającej; kandydatów do innych podaje szlachta pojedynczych województw i powiatów, a król za zgodą Rady jednego z nich wybiera. Wiele z tych godności są prostemi tytułami bez żadnych obowiązków. Vice-podkomorzowie (komornicy) używani są do regulowania granic pomiędzy dobrami ziemskimi; sędziowie do zasiadania w sądzie ziemskim, rotmistrze do utrzymywania porządku w razie ciągnięcia na wojnę. W Litwie, oprócz tych dygnitarstw, są jeszcze inne, jak na przykład marszałków, którzy sądy zwołują i sejmikom przewodniczą, ciwunów, od niektórych dóbr rozdawanych szlachcie tak zwanych, horodniczych, strzegących zamków i twierdz i t. p.

Zamkowe czyli grodowe urzędy zajmują starostowie sądowi, podstarostowie, burgrabiowie i pisarze.

Po całym królestwie w Polsce rozsiane są dobra zwane królewskimi. W dawniejszych czasach należały one rzeczywiście do królów, zarządzali nimi rządzący, którzy dochodów doglądali, albo zadzierżawiali prywatni, pewną opłacając summę rocznie. Królowie mieli wszędzie własne spichrze, a rządzący ich wyprzedawali zboża. Teraz dobra te noszą tylko nazwisko królewszczyzn, aby wiadomą pozostała ich natura, ale posiadaczami są osoby prywatne, a summy dzierżawne idą nie dla króla, ale do skarbu Rzeczypospolitej. Należą one w istocie do niej, a król, albo raczej teraz Rada nieustająca, rozdaje one obywatelom, którzy się do tego kwalifikują, to jest są szlachtą osiadłą. Dobra te od dóbr stołowych, ekonomij królewskich, zupełnie są różne.

Dóbr tych są trzy rodzaje: starostwa, tenuty, i wójtostwa (*scultetiae*). Najmniejszemi z nich są wójtostwa, składające się z kilku morgów roli, łąk, młynów, karczem, folwarków, lub jednej albo pary wioseczek. Zdaje się, że powstały w ten sposób, iż starsi książęta i królowie nadawali niewytrzebione ziemie nieuprawne prywatnym, dając władzę sądową nad mającemi się osiedlić na nich wraz z kawałem ziemi do użytku. Tenuty, tak nazwane z łacińskiego, co oznacza dzierżawy, są znaczniejsze od wójtostw, i mogły to być dawniej starostwa, ale bez władzy sądowniczej. Składają się z wiosek i pól gdy właściwe starostwa mają miasteczka i grody czyli zamki, przynosząc też dochody inne.

Starostwa, są dobrami znacznych rozległości i do-

chodów. Są one z władzą sądowną lub bez niej; pierwsze zowią się grodowemi, gdyż zawierają sądy grodzkie (judicia castrensia) na zamku się odbywające, które rozstrzygają w sprawach spornych między szlachtą lub szlachtą a miastami procesa różne mniejszej i większej wagi, ale z wolnością apelacyj do wyższych trybunałów. Starostw bez sądów jest więcej niż sądowych, gdyż wielu tenutaryuszów tytuł ten sobie przyswoiło.

Niepotrzebuję dodawać, iż tylko szlachta osiadła może otrzymywać starostwa; z tem jeszcze, że je biorą tylko bogatsi, pochodzący z rodzin możniejszych, i już piastujący inne godności. Byłoby bardzo sprawnie, ażeby ze starostw korzystali ubożsi, ale ci rzadko do nich przychodzą, gdyż kosztów jakie utrzymanie tego dobrodziejstwa pociąga za sobą, ponieść nie są w stanie. Dawniej starostwa rozdawał król, i nie tyle kosztowało ich utrzymanie, bo do jednego łatwiej było sobie drogę pieniędzmi utorować, lub życzliwość jego w jaki inny sposób zaskarbić; dziś, gdy Rada nieustająca trzech kandydatów przedstawia, a trzeba około dwudziestu dobroczyńców tych sobie pozyskać, nim się większość głosów do kandydatury otrzyma; gdy oprócz tego dwóch jeszcze współzawodników należy przemódz; nie pozostaje nadzieja—ubogim, mało znanym, przez mozną familję nie protegowanym, by tego szczęścia dostąpić mogli. Tak w Polsce wszystko przypada tym, którzy już mają; a prawo jakby na sztyderstwo tylko nakazuje rozdawnictwo godności i dóbr królewskich, bez względu na osoby, na rodziny, na położenie i majątek najzasłużeńszym zostawić.

Dobra królewskie, równie jak godności i urzędy nie mogą wakować, i w przeciągu sześciu tygodni win-

ne być obsadzone. Wedle prawa nie może jeden posiadać kilku, ale prawo to daje się wymijać; wielu panów posiada i starostwa i tenuty i wójtowstwa. Posiadanie nietylko dożywotne jest, ale na żonę i dzieci bywa przelewane. Wiele dóbr na ten sposób i innymi środkami przeszły w posiadanie prywatne i rzeczypospolitej wydarte zostały. Król i rada nieustająca nie mogą dóbr tych odbierać, chyba posiadający popełnił kryminal, za który musi być sądzonym. Starostowie wogóle w dobrach tych są prawie samowolni i niezem nieograniczeni. Sądowe sprawy zdają oni na wspomnianych podstarościch, burgrabiów i pisarzy, a zarząd na komisarzów. Co przepada—to traci skarb. Zwyczajnie dobra się rujnują, chłopi i bydło wyprowadzają, wioski upadają, zamki się rujnują, budowle niszczejają, lasy, padają wycięte lub dziczejają i niema komu się o to ująć lub dopomnieć o szkody. Czwarta część dochodów (kwarta) przypada na skarb, a starostowie wcale się o te majątki nie troszczą i często przez długie lata nogą w nich nie postaną.

Przedstawiłem tu szczegółowe główne prawa, przywileje, swobody, godności, urzędy, dobrodziejstwa i tytuły, których szlachta wyłącznie używa, aby tem dobitniej czytelnikowi wykazać, jaki jest stan reszty ludności w Polsce. Ta reszta składa się z mieszczaństwa, niższego duchowieństwa, żydów i chłopów; i żadnego nie ma udziału w prawach i swobodach narodu; prawo polityczne nie wspomina o niej nawet; konstytucya nie zajmuje się z nią wcale. Mieszczenie i żydzi mają tylko prawa i swobody nadane im, strzegące od niewoli, o których utrzymanie kłopotliwe wiecznie z właściwymi obywatelami kraju

nieustannie pragnącymi ją ukrócić walczyć muszą i ledwie przy ruinach utrzymać się mogą. Chłop wogóle nie ma w państwie prawa za sobą żadnego. Dobra lub zła wola pana rozporządza nimi jest opieką lub męką.

Co jednak nieszlachtę królestwa pocieszać może do pewnego stopnia, to to że większa część drobnej, ubogiej szlachty, równie jest przez majątną i możną uciskaną i równie wzgardzoną. Nigdzie może równość i swoboda wszystkich bardziej mrzonką się nie wydaje jak w Polsce; chociaż na równości i swobodzie cały gmach ustaw rzeczypospolitej spoczywa i z nich ma płynąć. Mało jest krajów, gdzieby tak usilnie starano się o wyróżnienie jakieś i tak namnożono cech, tytułów, imion, dzielących od siebie ludzi. Próżno by było wyobrażać sobie, że to tylko zewnętrzna, obojętna ozdoba człowieka, że tytuł i wstążka orderowa nie wynoszą szlachcica nad ogół, ani poniżają tych, co ich nie mają. Widzi się codziennie, jak tytuł wojewody lub kasztelana, czerwona lub niebieska wstęga prędko drzwi otwierają, które dla nie mającego szlachcica stoją zaparte; jak dygnitarze i urzędnicy wszędzie w sprawach, w sądach górą idą i na swoim stawiają; nie zasługą i sprawiedliwością, ale położeniem zyskując przewagę. Zresztą ubogi polski szlachcic, jako szlachcic, jest wolny i niezawisły, ale że ubogi musi więc u bogatszego służyć brata; głupi wprawdzie rozumnemu—równy, ale mu służy za igraszkę. To też polska arystokracja przedzierzga się to w ochlokrację, to w monarchję, to w kraj zawojowany przez obcego panującego, a to dla tego, że jej członkowie i stronnictwa pojedyncze mają się za zupełnie równe, zupełnie swobodne i uprawnione do sprawowania inte-

resów całego kraju i rozporządzania losami narodu, wedle zachcianek prywaty i osobistych interesów swoich i partyj.

To puszka Pandory.

Niech mi wolno będzie wprost od szlacheica przejść do chłopca. Szlachta i chłopci zamieszkują całą Polskę, słuszną bym o ostatnich mówił przy pierwszych. Wprawdzie dwie te klasy dzieli wyraźnie granica panowania i niewoli, ale po ludzku biorąc, pan nie miał by co jeść, gdyby jego ubogi niewolnik nań nie pracował.

Wyżej wspomniane prawo zasadnicze, że tylko posiadacz ziemi jest obywatelem kraju, stworzyło te wieczne poddaństwo. Prawdą jest, że to nie ciągnie za sobą właściwej niewoli osobistej, ale wszakże zależność w najwyższym stopniu. Umowa pomiędzy ziemskim właścicielem a chłopem może być tylko następująca. Ja, chłop, chcę żyć, nie umiem inaczej na życie zarobić, tylko chodząc około roli. Nie mam roli, gdyż ty szlacheicu posiadasz ją wyłącznie. Daj że mi kawałek gruntu, a ja ci za to będę pracował. Daję ci, odpowiada szlacheic sztukę gruntu, która cię wyżywić powinna. Ty mi za nią odrabiać będziesz pewną postanowioną liczbę dni. Ten grunt nie będzie twą własnością, ale możesz go trzymać, dopóki będziesz mi robił. Z takiej umowy wynika, że chłop nie ma własności, ale nie idzie za tem, żeby osobą swą wolnym nie był, gdy wyznaczoną pracę należnie uiszczy. Jeśli jej nie wykonał, pan może go z gruntu wypędzić, ale mimo woli do roboty zmuszać nie ma prawa, jeśli na przykład lepsze warunki znajdzie u innego pana, lub jeśli przemocą narzucają mu więcej pracy niż od niego należy. Dopiero gdyby mu nad siły pańszczyznę

narzucono i gwałtem go zmuszano do jej odrabiania, stałby się chłop naówczas właściwie poddanym i niewolnikiem, gdy w skutek kontraktu jest tylko sługą i wyrobnikiem.

Już od wieków wieśniak w Polsce postradał w ten sposób osobistą swobodę i stał się towarem, a ten razem z ziemią, na której zamieszkuje, sprzedaje się i oddaje. W polskiem ustawodawstwie niema nic na jego obronę, ale za to istnieje cały szereg praw, które przeciw niemu są wymierzone. Żaden chłop nie może procesować się z panem własnym, nie może bez jego zezwolenia wsi opuścić, ani się żenić, ani bydła zamieniać i sprzedawać, wódki brać gdzieindziej jak w szynku pańskim, towarów kupować gdzieindziej tylko u żyda arendarza; żaden nie ma prawa, jeśli umiera bezdzietny, przekazywać majątku krewnym, bo pan po nim dziedziczy; nie może pracować dla innych, nawet odrobiwszy pańszczyznę; nie może posiadać uzbieranej sumki pieniędzy bez obawy, że mu ona odebraną każdego czasu będzie przez pana; nie zarobi nic w wolnym czasie, do czego by pan nie rościł sobie pretensyi; przeciwko uciskowi niema żadnej obrony, bo uciskający zarazem jest sędzią; dopełnione na nim zabójstwo nawet (chociaż nowe prawo każe je śmiercią), pozostaje bezkarnem, gdyż instygatorowie, sędziowie, będąc w tych samych stosunkach z chłopami, skłonni są naturalnie do pobłażania raczej szlachcie niż im.

W takim położeniu wieśniak może zaledwie życie utrzymać i celu tego w istocie dopina. Wyznaczony mu kawałek roli żywi go, domek daje schronienie, pozostawione mu do użycia konie, krowy, owce, pomagają do pracy, żywią i odziewają. Jeśli co z tego

zdechnie, pan musi dodać, gdy chleba zabraknie (brak ten sprowadza nieurodzaj albo złe gospodarstwo) pan musi się postarać o wyżywienie; jednym słowem, pan nie może mu dać przepaść, gdyż on stanowi mu dochód z dóbr i nadaje im wartość. Chłop wie o tem bardzo dobrze, i stąd pochodzi jego niedbalstwo i lenistwo; jest nawet zadowolniony z tego stanu; i nie bardzo by rad był nadaniu swobody, gdyż musiałby naówczas sam dbać o siebie, gospodarzyć, oszczędzać i z roku na rok robić zapasy.

Trochę znośniejszy jest los tak zwanych chłopów królewskich, to jest tych, którzy do królewskiej i starostw należą. Nie zależą oni tak bezwarunkowo od samowoli starostów i dozwolono im na nich skarżyć się przed sądami królewskimi, jeśli się czują pokrzywdzonymi i uciśnionymi. Wprawdzie ze swobody tej niezawsze korzystać mogą, jak sobie wyobrazić łatwo, ale sama możliwość prawa już do pewnego stopnia od nadużyć strzeże.

Trzeci rodzaj chłopów zbliża się już więcej do mieszczan w miastach szlacheckich. Są to koloniści, chłopci niemieccy czyli wolni, o których w przejeździe przez Litwę wspomniałem. Tu dodam tylko, iż chłopci, należący do duchownych, nie wiele w lepszym są położeniu od szlacheckich. Sędziowie, wójtowie, pisarze, którzy nad nimi mają opiekę, obchodzą się z nimi wedle powszechnego zwyczaju polskiego, a proboszcze i biskupi raczej panami są samowładnemi niż doradcami i nauczycielami. Na uwagę zasługuje, iż chłopci, którzy już są w zupełnym poddaństwie panów, jeszcze do skarbu także podatek w gotowiznie po 4 do 8 złotych polskich opłacają.

Ten stan włościan musi trwać tak długo jak teraźniejsza Ustawa. Los tych chłopów, którzy po pierwszym i drugim podziale dostali się pod panowania państw sąsiednich, polepszył się nieco w miarę ustaw tych krajów, mniej lub więcej, zawsze jednak znośniejszym jest. W oczach monarchy, pod względem praw obywatelstwa chłop tyle waży, co i szlachcie; żyd prosty równo idzie z bankierem, wartość ich mierzy się pożytecznością i wiernością; w monarchicznych państwach nabywa włościanin razem z własnością ojczyznę, razem z panem ojca i opiekuna, a z nimi miłość ku krajowi i zaufanie w sobie; przeciwnie w arystokratycznych—nie ma on tych korzyści, opuszcza grunt swój i pana z równą obojętnością, zamienia oboje z ochotą, gdy mu tylko zaświta nadzieja najmniejsza lepszego bytu. Kraj, w którym włościanin politycznie nie ma znaczenia, nie będzie przezeń broniony; za co by się bił i walczył? Po cóż ma życie stawiać za to, by kto inny z tego korzystał, a jeśli pana zmieni zawsze może coś zyskać. To też arystokratyczne państwa zawsze przez obojętność wieśniaków i mieszczaństwa upadały; jedno tylko, rzeczpospolita wenecka utrzymuje się, gdyż ludowi nadaje rodzaj swobody, a szlachta, dożowie, rząd terroryzmem go w zupełniej bezwładności utrzymać umieją.

Konstytucya d. 3 Maja 1791 r. zdawała się coś dla polepszenia bytu włościan chcieć zrobić, ale któż nie widzi, że wyrażenie, „wieśniak pozostaje odtąd pod opieką prawa“ nie jest czem innem, tylko czczem słowem, i pozostanie niem, nie podając włościaninowi środków dobicia się tej opieki prawnej przeciw panu, który to prawo sam postanowił, sam je tłumaczy i zastosowuje.

Niektórzy posiadacze majątności w Polsce probowali nadać swobodę włościanom. Mówię probowali, odważyli się, bo to jeszcze tylko próby. Niewola duża serce ludzkie psuje, a nadana potem nagle swoboda rodzi zuchwalstwo. Dziś może byłoby niebezpieczniej ją nadawać niż kiedykolwiek. Ale możnaby tymczasem przygotowywać do niej ludzi, jakem to wskazywał. Uczucie, które rodzi posiadanie czegoś na własność, serce łagodzi i wdzięczność obudza ku temu, który ją nadał. Tego przynajmniej panowie ci doświadczyli: Zamojski prawodawca, Czartoryski w. chorąży litewski; Chreptowicz, żyjący jeszcze podkanclerzy; bratanek króla książę Stanisław Poniatowski; hetman Ogiński, Ignacy Potocki i t. d., którzy w wielu posiadłościach swoich włościan uwolnili. Między innemi Zamojski się wziął do tego bardzo rozumnie. Uwolniwszy chłopów uczynił ich solidarnie odpowiedzialnemi wszystkich za opłacanie należnego czynszu. Muszą więc czuwać wszyscy nad sobą, ażeby pracowity i oszczędny za leniwego i rozpustnego nie płacił. Oprócz tego, dla zachęcenia postanowił Zamojski nagrody. Rozdawano je za najcieńsze płótna, za najpiękniejszą przędzę, corocznie z uroczystością pewną, w dzień Ś. Józefa. W krótkim czasie byt tych włościan do niepoznania się polepszył.

Pod względem politycznego stanu zbliża się do chłopów, trzecia klasa mieszkańców — mieszczaństwo w miastach, posiadanych przez szlachtę i duchowieństwo. Są to po większej części żydzi, chłopi uwolnieni lub przybłądy. Ostatni w następujący sposób się rodzą, Wielu panów, odrywając od roli włościan, uczyć ich każe rzemiosła. Za to potem muszą im robić, co umieją, nie dostając za to żadnego lub mało znaczące

wynagrodzenie. Ludzie ci często bardzo zbiegają, i rzemiosłem zarabiają sobie na życie. Udają się w strony kraju oddalone od pańskich dóbr; tam trudno ich jest poszukiwać i pozostają spokojnie, chyba by ich pan dawny odkrył i dopominał się o wydanie. Niemców w tych miasteczkach mało, a ci co są, niewiele warci gdyż niemiec tylko w ostateczności największej nawyknie /chyba do polskiego sądownictwa. Tego rodzaju osadnikom daje szlachta opiekę, gdyż ich potrzebuje i nadaje kawał gruntu, gdyż ona tylko go posiada. To, co sobie osadnik na roli tej zapracuje i zyska, należy do niego; szlachcic ani do tej własności ani też do osoby żadnego nie ma prawa, ale grunt należy do niego zawsze, i jako pan jego jest panem osadnika. Różnica między chłopem a osadnikiem jest ta: pierwszemu daje grunt, materiał i narzędzia do uprawy; drugiemu tylko grunt, na którym on własnymi narzędziami gospodaruje. Pierwszy nie ma nic własnego i mieinia swobodę za utrzymanie życia; drugi ma własność, wymaga opieki nad nią i nad sobą od tego, na którego gruncie osiada i opłaca mu pewny czynsz, będący zarazem dowodem praw właściciela do ziemi. Taki jest stosunek osadnika do pana, a raczej do posiadacza ziemi, ale że kontrakt się robi bez wiedzy i potwierdzenia rządu, a osadnik słabszy jest, zależy zawsze od dobrej lub złej woli posiadacza, i prawa jego ulegają przemocy. Losem tych ludzi jest uległość, lenistwo i ubóstwo—z nich wypływające.

Jak się mają mieszkańcy miast szlacheckich do chłopów, tak znowu mieszkańcy miast królewskich do mieszczan w szlacheckich miasteczkach. Stoją o stopień wyżej, gdyż prawa ich i swobody nie tak łatwo

nadużyć się dają. Mają własne magistraty, które wewnętrznym zarządem się zajmują, zależne, jak same miasta, od kanclerskich i nadwornych sądów, do których mogą się uciekać w razie krzywd sąsiadów szlachty, starostów i poborców. W tych miastach więcej już jest Niemców, a w magistratach albo się mieniają, lub po połowie zasiadają z Polakami. Zajmują się handlem, rzemiosłami i wyrobnictwem.

Najpierwsze miejsce między miastami polskimi zajmują wielkie, municypalne, do których liczą się: Kraków, Warszawa i Wilno tylko, gdyż Lwów, Poznań, Gniezno odpadły przez zabory, a Sandomierz, Kalisz, Sandecz, Inowrocław, Brześć, które niegdyś także do municypalnych należały, stały się teraz mało znaczącymi. Gdańsk, Toruń i Elbląg tu nie należały, gdyż zostając pod panowaniem polskim, uważały się za wolne miasta pod opieką Rzeczypospolitej, której z tym warunkiem poddały się. (?)

Wspomniane większe miasta, od połowy XV wieku, przeszły stopniowo na prawo magdeburskie czyli niemieckie (saxońskie) i w większej części są zaludnione osadnikami niemieckimi. Ci, co do osoby swej są zupełnie wolni; a mieszczenie na prawie polskim nigdy właściwie wolnymi nie byli i nie są. Rękojmnią ich były swobody i przywileje, że same wybierały swe municypalności, rządziły się wewnątrz, że ich w ważniejszych kraju wypadkach do współdziałania powoływano, a nawet dawano im publiczne czynności do spełniania i nie było im wzbronionem posiadanie pewnych dóbr ziemskich. Dopóki prawa te się zachowywały, mieli znaczenie w kraju, byli szanowani i mieli się dobrze. W tym stanie trwali jeszcze za Jagiellońskiej dynastyi.

Lecz gdy Polska stała się państwem elekcyjnym, natychmiast przy każdej nowej elekcji miasta zarówno z królami zaczęły tracić swe przywileje i przyszły powoli do tego stanu, w którym je teraz widzimy. Szlachta ucisnęła tych współzawodników swoich, których lekceważyła, mimo to zazdrościła im zapobiegliwości i pracy. Pozostawione im jeszcze przywileje w samej rzeczy nie wielkie mają znaczenie, od czasu jak ważniejsze odjęto, które używanie tamtych gwarantowały. Teraz szlachta na sejmach pisze im prawa, sądzi ich w assessorskich sądach i swobodę ścieśnienia do obwodu miasta i granic rzemiosła.

Twórcy konstytucji d. 3 Maja 1791 r. widzieli dobrze, czem miastom tym dopomódz można. Ale dziełu swojemu musieli starą arystokratyczną dać zasadę, sami należeli do szlachty, wydawali prawo przeciw niej; z tego powodu to, co czynili dla stanu mieszczańskiego, (w Polsce mówią o mieszczaństwie a nigdy prawie o stanie mieszczańskim, aby uniknąć kwalifikacji osobnego stanu równouprawnionego w narodzie), co dlań ulepszali i porządkowali, nie mogło być jasnym i stanowczym, stało się dwuznacznem. Tak naprzykład dopuszczono od mieszczan deputowanych do sejmu—ale szlachtę. Ci deputowani mogli mieć głos doradczy, ale tylko w rzeczach dotyczących się miast; w ogólnych kraju sprawach z tak wielu względów dotyczących miast, nie dano im żadnego głosu. Dalej dozwolono mieszczanom posiadać majątki ziemskie, ale ich tym sposobem uszlachecano; skutkiem tego prawa żaden mieszczanin nie posiadał majątku, odciągnięto tylko bogatszych, wykształceńszych, wcielając ich do szlachty, a drożdże, to jest ubogich, prostszych ludzi,

zostawiono na spodzie. Zadano ostatni cios mieszczaństwu; majątnych i rozumniejszych, którzy praw swego stanu bronić mogli, używając do wspólnego uciśnienia słabszych. W ten sposób przywileje, jakie ta konstytucya nadawała mieszczanom, stawały się złudzeniem, a stan ich jeszcze się pogorszył przez oderwanie tych, co byli jego podporą.

Jedną także z klas podrzędnych jest duchowieństwo. Mówię tu o niższem, pochodzącem ze stanu mieszczańskiego, gdyż wyższe posiada majątki, a zatem panuje, należy do szlachty-obsadza opactwa, kanonie, zajmuje senatorskie krzesła, a prymas, głowa jego, jest nawet w bezkrólewiu króla zastępcą. Mieszczańskie, niższe duchowieństwo, jest i pozostaje tylko przy probostwach, w zakonach, na wikarjatach, uczy po szkołach, służy po dworach i daje się używać naturalnie często i niebardzo dobrze. Duchowni ci są ludźmi swobodnymi, a w pewnych wypadkach własnej ulegają władzy sądowej; w większej jednak części spraw pociągani są do zwykłych sądów. Jeśliby popełnili kryminal, pociągani są do sądu świeckiego; ale o postępowaniu ich wyrokuje konsystorz, którego zdanie odsyła się znowu do świeckiej jurydycyi. Stąd okazuje się, że i względem duchowieństwa szlachta praw swoich sędziowskich z małemi wyjątkami się nie wyrzeka, a raczej bez żadnego wyjątku, gdyż biskupi, którzy w sądach duchownych metropolitalnych i konsystorskich zasiadają, są polską szlachtą i w takim zostają stosunku do niższego duchowieństwa jak szlachta do włościan, a od nich równej też wymagają uległości.

Naostatek jeszcze żydzi stanowią osobną zupełnie klasę mieszkańców królestwa. Wiadomo powszechnie,

iz w Polsce więcej mają swobod niż gdziekolwiekbądź na świecie; wyjąwszy może Hollandję i Anglję. Kazimierz Wielki i Jan Sobieski najwięcej dla nich uczynili. W dawniejszych czasach, gdy cudzoziemców, szczególnie Niemców, w Polsce mniej było niż teraz, potrzebą pewną zdawało się wciągnąć ich do kraju i swobodami w nich trwale osiedlić. Gdy szlachcic nie mógł handlem się zajmować i uważał go za uwłaczający sobie, gdyż wzięwszy się do niego tracił swe szlacheckie prawa; chłop zaś do roli był przywiązany, a od niej go oderwać nie było podobna dla niedostatku rąk do jej obrobienia, a mieszczanin nie miał dosyć swobody i kapitału, ażeby się poświęcić handlowi—nie pozostawało przeto nic innego jak zachęcić żydów, aby to pole, odłogiem leżące w Polsce na siebie wzięli, i wszystko też cokolwiek handlem było, żydzi opanować musieli, arendując, począwszy od szynku szlachcica aż do dochodów Rzeczypospolitej. Zakazano w ostatku arendy poborów skarbowych, ale niemniej handel cały pozostał w rękach żydowskich.

Opłacając pogłównę, żydzi mają wolność zamieszkiwania i przejeżdżania po całym kraju. Mniejsze miasteczka na Litwie i w Polsce, królewskie, szlacheckie oni po większej części zajmują; w wielu większych miastach municypalnych mogą zamieszkiwać stale, w innych nie, w miarę jak mieszczaństwo czujniejszem było, silniejszym i lepiej swojego pilnowało interesu lub opłacić się mogło urzędnikom; bo w Polsce niema prawa, któreby pieniędzmi złamać się nie dawało lub niemi też nie dało utrzymać.

Pomimo swobod żydzi stoją najbliżej chłopów, i zależą od samowoli szlachty, która się z nimi obcho-

dzi, jak chce i panuje nad Polską i nad wszystkiemi. Szlachcic robi z żydem co mu się podoba, płaci lub nie, jeśli może nie oddać; rozstrzyga sam sprawy handlowe, każe sobie opłacać swe wyroki, jeśli się do niego po sprawiedliwość udadzą. W rzeczach tylko dotyczących się wiary, naprzykład małżeństw, spadków, przewinień, sądzi ich duchowieństwo własne, a i w tem często się trafiają nadużycia. Jednem słowem, nieład całego systemu odbija się i w położeniu żydów, którzy, mimo swobód nadanych, nie są pewni swego bytu.

Przechodzę teraz do mieszkańców stolicy, o których sposobie życia, obyczajach i charakterze uczynię kilka uwag.

IV.

Nigdzie może w żadnym z miast europejskich, z wyjątkiem Petersburga i Neapolu, niema tak wyrazistego, ostrego przedziału między różnemi warstwami mieszkańców, jak w Warszawie. Nędza i zbytek, pałace i chałupy odznaczają dwa główne ludności działy; trzeciej, pośredniej, między niemi stojącej, ledwie znajdujemy ślady. Członkowie jej, których nazywają majątnymi, mieszają się do bogatych, mieszczaństwo właściwe łączy się z ubóstwem.

Szlachta bogata, posiadacze dóbr, w politycznym względzie pierwsze zajmuje miejsce w państwie, oraz w życiu społecznem przoduje z powodu zamożności swej i zbytku, który z niej wypływa. Należy do niej wyższe duchowieństwo, zagraniczni posłowie i szlachta, która, nie posiadając indigenatów, a zatem i godności żadnych, żyje ze swych dochodów. Do niej należą rodziny dysydentów, którzy z powodu wyznania są od godności i urzędów wyłączeni.

Tu zaliczyć też trzeba bankierów, negocjantów i zamożnych kupców, a między niemi zmieszanych adwokatów i wyższych urzędników ministerym państwa.

Wszystkie żywioły w społecznem życiu łączą się w jeden i stanowią tak nazwany wielki świat. Wszystko więc, co się tu mówić będzie o charakterach i obyczajach, o bogactwach i rozrzutności, wychowaniu i sposobie życia warszawian, stosuje się do tej klasy szczególnie, której części składowe niewiele się różnią od siebie. Bogactwo lub pozory jego wszystkich równają; ono łagodzi zarazem różnice, jakieby szlachtę uprzywilejowaną dzieliły od innych.

Ażeby dać czytelnikowi miarę pewną życia i bytu wielkich rodzin polskich, wybiorę za wzór jeden z najświetniejszych domów w Warszawie, tak jak się on wiosną r. 1792 przedstawiał; odmaluję go szczegółowo, i niektóre rysy uwagami objaśnię. Dla czego nie wymieniam nazwiska, to się z samego da poznać obrazu.

Rodzina ta jest jedną z najstarszych, o jakich akty publiczne kraju wspominają, jedną z tych, które też książęcego używają tytułu. Posiadłości jej rozsiane są po całej Polsce, a oprócz tego ma znaczne dobra w prowincjach do Rosji, Austrii i Prus odpadłych, ale stara się one pozbyć i zamienić je na dobra w Rzeczypospolitej. Roczne dochody około okrągłej sumy 200,000 dukatów wynoszą. Posiada piętnaście miast, jedenaście zamkowych rezydencyj i dwa pałace w Warszawie.

Głowa rodziny, książę, sam stanu swojego majątkowego nie rozpatruje. Na wielu dobrach jego są długie, na innych ich niema; na majątkach sąsiadów swych też od prapradziadów ma hypotekowane summy znaczne. Wie tylko w ogólności, że jest w stanie rocznie opłacić należne procenta i wydatki domu zaspokoić nie robiąc długów nowych. Resztę wiedzą już tylko jego rządzący dóbr na wsi, a bankierowie w mieście.

Rządcy wypłacają bankierom, a ci czasem są winni, czasem mają nadpłaty.—Zamykają się ogólne rachunki raz w rok, często raz w kilka lat. Ile dóbr tyle rodzajów gospodarstw i różnych zarządów. System jedyny, wystarczający na wszystkie potrzeby, któryby ożywiał całość, zdaje się niemożliwy. Na kontraktach w Dubnie książe czasem musi brać pieniądze na nadzwyczaj wysokie procenta, a w Grodnie dostaje znowu po niesłychanie niżonych.

Gdy kasy jego rządców i bankierów pełne są złota, on sam czasem nie ma gotowizną stu dukatów i płaci procenta od własnych pieniędzy, a rządcy od nich, złożwszy je wcześniej, roczne i miesięczne odsetki biorą do kieszeni, pan zaś jeszcze bankierom holenderskim i amerykańskim po trzeci raz za kredyt opłaca.

Rodzina ta składa się z pięciu osób: księcia, księżnej, dwóch synów i jednej córki. Stałe ich mieszkanie nie jest oznaczone; każdego prawie roku zamieszkują gdzieindziej; czasem na wsi, to znowu w mieście, w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, w Anglii lub we Włoszech. Jeśli pozostaje w kraju, nie ogranicza się jedną rezydencją, przenosi ją z jednych do drugich dóbr, z województwa jednego do drugiego. Tam gdzie familja się znajduje, codziennie dom otwarty i mnóstwo klientów i urzędników, którzy go napelniają z politycznych lub ekonomicznych względów, przybywając i przebywając w nim, z obowiązku, z grzeczności lub rachuby. Stół codziennie otwarty, muzyka, teatr, zabawy wiejskie. Wszyscy, których potrzebują do tego, dworacy, kapelanowie, kamerdynerowie, muzycy, lekarze, pisarze, służący i t. p. na wozach i po-

wozach jadą z miejsca na miejsce. Garderoba, piwnica, kuchnia, pościel i t. p. na innych furgonach jedzie. Powozy, ekwipaże, konie wierzchowe ciągną się długimi szeregami z koniuszemi, berejterami, woźnicami, pacholkami; nawet bydło na rzeź i drób, jeśli podróż pustym krajem prowadzi, albo gospód braknie, furami się ogromnemi przewozić musi. A że i karczmy po większej części są złe, zaopatrują się w namioty i gdzie ma być spoczynek rozbijają je, a cały dwór patryarchalnym obyczajem obozuje pod gołym niebem.

Jeśli się wyjeżdża za granicę, liczba osób zostaje nieco ograniczoną, ale rzadko idzie mniej nad trzy do czterech sześciokonnych powozów. Jeśli się przyjdzie w mieście jakim zatrzymać, najmują całe domy, rozgospodarowują się w nich formalnie, dają obiady, kolacye, grają, balują, występują świetnie i o wszelkiej oszczędności zapominają. Trafia się, że księżnie jakieś miasto więcej się podoba niż samemu księciu; pozostaje więc tu ze swoim dworem, a on ze swoim jedzie dalej. Ona bawi w Wiedniu, on w Rzymie, on powraca do Polski i spotyka się z nią w Pizie, jadącą do Neapolu. Córkę zostawiają niekiedy w Berlinie, a synów posyłają z marszałkiem dworu, sługami, końmi i psami do Strasburga, aby się tam języków i obyczajów uczyli. Tym sposobem rodzina rozprasza się niekiedy po całej Europie, dukaty rozsypuje, i po wielu latach znowu się gromadzi i spotyka w Warszawie.

Tu tymczasem, rządcą domu, który nosi świetne nazwisko marszałka dworu, wszystko już obmyślił, pozostałą służbę męską i żeńską poopłacał, pałac, ogrody, budynki, sprzęty i meble w porządku utrzymał; drzewo i inne zapasy posprowadzał; stajnie w sia-

no i obroki zaopatrzył — słowem wydatki domowe na tej stopie utrzymywał, jak gdyby pan sam był na miejscu, albo co chwila miał przybyć. Sumy na to potrzebne pobrał u bankiera, kwitując w swoim imieniu, i bez osobnej kontroli wniósł je do swego rachunku. Tak samo postępują urzędnicy w dobrach, zwani komisarzami, dzierżawcy i rządcy wszelkiego rodzaju, a dwóch lub trzech pisarzów zajmuje się korespondencją polityczną i ekonomiczną pana i kilku szlachty, przebywającej przy księciu, kilku dworzan i młodzieży szlacheckiej, nie nie robiąc wiszą, ale codziennie do stołu marszałkowskiego chodzą i do syta jedzą i piją.

Gdy cała rodzina się znowu zbierze w Warszawie, rozpoczyna się życie na zwykłą stopę; — wszyscy bawią się i używają, pokoje i salony przepelniają się w czasie obiadów, kolacyj, koncertów, herbat i balów.

Sam pan ma mieszkanie osobne w pałacu, pani oddzielne; synowie także, córka podobnie; wszyscy mają swe własne sługi, które pilnują każdy ściśle swego wydziału, tak, że często pan i pani, przy dwunastu służących w domu; nie mają posługi, a obcy, którzy do pana się zameldować pragną, trafiwszy na sługę pani, ledwie otrzymają odpowiedź, a co najwięcej wskazówkę do izby służącego właściwego, i tu wśród dziesięciu na jedenastego czekają, ażeby ich oznajmić raczył.

Wedle tego jak się wczorajsza kolacja wcześniej lub później skończyła, wstaje pan domu raniej lub później. Wrota pałacowe stoją póty zamknięte, póki pan nie jest widzialny, ale mała furtka otworem. Tą weiskają się poufalsi znajomi, rządcy, oficjaliści.

klienci, wierzycciele, proszący, uczeni, artyści, którzy interesa do księcia mają. Słudzy przyjmują ich wyrazem: Pan śpi; ale wpuszczają do przedpokoju, jeśli się powie, że czekać będzie na wstanie. W przedpokoju znajduje się często od piętnastu do dwudziestu osób, które od kilku godzin wyczekują tęsknie, póki się nareszcie sypialnia nie otworzy. Gdy od czasu do czasu zjawi się sługa, wszyscy go otaczają, dopraszając się zameldowania do księcia. Sługa z zimną krwią się przygląda wszystkim i wybiera sobie znajomych albo tych, którzy mu ściśnieniem ręki i wciśnieniem w rękę się zasłużyli, lub tych, których książę wyrażnie, gdy przyjdą wpuścić rozkaże. Tych wprowadzają, a drzwi zamykają się znowu. Ci co znają miejscowość idą na zwiady do dworzan i pisarzów, jedynają ich sobie prezentem lub przyrzekają wdzięczność, i wchodzą bocznymi drzwiami. Znajdują pana albo jeszcze w łóżku, albo w pudermantlu przed kominem samego, albo otoczonego swemi *attachés*, innemi gośćmi, i przybyłymi z uszanowaniem. W żadnym razie nie dopuszczają już, aby ich odprawiono, nim prośbę swą przelożą, zwykle wysłuchiwaną łaskawie i kilku grzecznemi słowy zbytą. Natychmiast pan się potem w łóżku obraca, lub zagaduje do innego z przytomnych. Proszący oddala się, ale wkrótce potem wraca znowu, aby się przypomnieć i prośbę powtórzyć. Po pierwszych następują wciąż coraz inni, a pan się tym czasem ubiera. Gdy gotów, wychodzi do przedpokoju, gdzie reszta tłumu nań oczekiwała, wchodzi między zgromadzonych, wysłuchuje każdego i w dwóch słowach odprawia, dawszy odpowiedź. W dziesięciu do dwunastu minutach wszystko skończone.

Tymczasem wielkie wrota pałacowe otwierają się, powóz po powozie zajężdża. Należący do książęcego stronnictwa napelniają pokoje, zawiązują się polityczne rozprawy o tem, co tego dnia na sejmie ma się podtrzymywać lub zbijać; projekta czytają się, wazą, przyjmują, odrzucają i plany tworzą, jak stronnictwo przeciwne przegłosować, jak się z innem połączyć, lub z jeszcze innem przedednać — słowem, zawiązuje się tu sejm na małą skalę, który trwa, dopóki wielki się nie otworzy, co następuje zwykle między dwunastą a pierwszą. Natenczas wyrusza pan, za nim wszyscy stronnicy i dom znowu głęboka cisza zalega.

Jeśli niema posiedzenia sejmowego, czyni się wycieczkę za miasto, albo wychodzi pieszo na przechadzkę w odwiedziny do znajomych; lub wyslizguje się na krakowskie przedmieście do dziewczyny, albo utrzymywanej formalnie, albo li tylko przelotnie poznanej i za krótką przyjemność towarzystwa opłacanej; lub idzie się do *przyjaciółki*, jak tu zowią, która przyjaciela przyjmuje w łóżku albo przy toalecie. Najczęściej wszystko to razem odbywa się jednego rana.

Tymczasem dwór samej pani w ruchu. Księżna wczoraj poszła spać o drugiej, to też wstaje dziś dopiero między dziesiątą a jedenastą.

W łóżku przyjmuje już albo parę przyjaciółek, które o wczorajszym zebraniu uwag swych udzielają, słuchają co powie, umawiają się o zabawę dzisiejszą lub rozprawiają o jakimś innym interesie równie pilnym, czasami pani na stoliczku postrzega ładny liścik od dawnego kochanka, parę pism od dwóch nowych, którzy od wczorajszego wieczora do jej tryumfального wozu się zaprzęgli i rejestr uczuć swych i życzeń przesłać pospieszają; lub wyska-

kuje co najprędzej z łoża, wsuwa się w zachwycający, strój poranny, obwiązuje główkę białą indyjską, śnieżnej świeżości chustką, tak że z pod niej ledwie parę błyszczących widać oczek, i śpieszy aby nie chybić schadzki, naznaczonej w saskim ogrodzie; bywa że drzwi sypialni otwierają się z cicha i wybrany wsuwa się, siada u nóżek, czekając przebudzenia, a'bowiem właśnie w tej samej chwili gdy wchodził, piękna pani jak najgłębszym snem zasnęła. Czasami pani dzwoni o ranny posilek i rozkaże wpuszczać gości z przedpokoju, to jest po większej części przekupniów wszelkiego rodzaju, płci obojga, z nowemi towarami, starami rachunkami, malarzy, poetów, wstydzających się zebrać, ubogich kamieniarzy, rzeźbiarzy, wirtuozów, zapraszających na koncerta, nowo przybyłych fryzjerów z Paryża, zęborwaczy i t. p. W ciżbie ich znajdują się często i gwiazdziści panowie, którzy nie wabają się przez żonę wpływać na męża, i księża gotowi do głośnego odczytania czegoś z gazety, tyczącego się sejmku, adwokaci, facjendarze, zajmujący się interesami pieniężnymi i prawnymi jasnej pani. Czasami księżna proszona bywa na śniadanie do miasta, do Mokotowa, Marymontu, i nie śmie opuścić zręczności: bądź to posiedzenie sejmowe ma być zajmujące i ważne, bądź to przybył handlarz z kołmi angielskiemi, które musi oglądać, bądź naostatek: jest wojska przegląd na placu, muzyka u ś. Jana, lub meble nowe dostał Jaszewicz i Hampla... trzeba to wszystko obejrzeć, użyć, osądzić, zawyrokować jedno po drugim, jedno przez drugie, z roztargnieniem lub rozważką, w dobrym lub złym humorze, pochwalić lub zganić. Trwa to godzinę lub sekundę, codzien po jednym albo też razem wszystko... bywa różnie.

Do godziny drugiej lub trzeciej załatwiają się te interesa; następuje ubranie paradniejsze. Powóz zachodzi, pani wsiada... Forrejter ledwie może utrzymać niecierpliwe konie, woźnica wysoko wyniesiony na koźle klaska z bata i popędza, słudzy zamknęli drzwi czki, wołając *jeźdź*, i ekwipaż wyjeżdża z podwórza przez wrota, a tym czasem pięciu lub sześciu lokajów w liberyi z niebezpieczeństwem życia czepiają się z tyłu powozu, jeden do drugiego poprzyklepani, i całą masą kołyszą się w lewo i prawo.

Czasem pani obiad je we własnym domu, osobno w swoim pokoju lub przyjmuje u siebie gości proszonych. W tym wypadku powozy zaczynają zajeżdżać; okna wielkiej sali i balkonu stoją otworem, w nich ukazują się grupy różnobarwne panów i pań, i formują zachwycającą galeryę, którą co chwila nowo przybywający ekwipaż o kilka głów pomnaża.

Gdy się to w mieszkaniu pana i pani odbywa, dzieci też nie próżnują. W pokojach córki z kolei zajęci są lekcjami: metrowie języków, tańca, fortepianu, rysunku, albo też wszystkich odprawiono, gdyż księżniczkę dziś boli głowa, lub też miała ochotę haf-tować... Z pokojów paniczów słychać dochodzące dźwięki skrzypców, tony fletu, szeszek rapirów, posuwistego poloneza kroki, lub śmiechy pół tuzina młodych ludzi, którzy latają, gonią się i stoły i krzesła wywracają. Wśród tej wrzawy głos proszącego, grożącego, klnącego nauczyciela fechtów lub tańca słyszeć się daje i niknie wśród śmiechów, gdy niżej w dziedzińcu tatarskie konie, na których księżęta i ich towarzysze i berejterowie na spacer wyjeżdżać mają, rozbijają bruki podkowami, rżą, i biczem pachółków led-

wie być mogą powstrzymane. Młode towarzystwo stacza się nareszcie z góry, siada na koń i wylatuje za wrota. I po niem już trochę ciszej we dworze.

Gdy w ten sposób dom opróżniony zostanie; służba, dziewczęta, stróże rozpoczynają oczyszczać, opylać pokoje, wschody, podwórze, salony i sypialnie. *Stróże* jest to rodzaj posługaczy domowych, z najniższej klasy ludu wziętych lub z poddanych ze wsi, którzy najcięższe, i najbrudniejsze roboty wykonywają. Pałą w piecach, zamiatają wschody, podwórza, sienie, służą w kuchni do znoszenia drzewa i wody, oczyszczają stajnie, i są wreszcie sługami sług i dziewcząt. Powierzchność ich odpowiada zajęciom; w lecie noszą gruby płócienny kitel z szerokimi poły, na którym każde z zatrudnień wyraziste ślady zostawia, w zimie chodzą w podartych, brudnych, dziurawych kozuchach, stwardniałych od używania. Zimą i latem głowa odkryta, wygolona cała, oprócz czuba na wierzchu. Lenistwo kucharza, sług i dziewcząt zwała na nich i porządniejsze roboty, naprzykład mycie u studni mięsa, jarzyn, sałaty, talerzy i szklanek, chędożenie sukni pana, uporządkowywanie wytwornej sypialni pani. Temi samymi odbywa się to rękami, w tym samym kitlu lub kozuchu, tak samo boso lub w lipowych łapciach, przez nieuczesanych i nieumytych stróżów, którzy przed chwilą czyścili stajnie, piece i błoto wymiatali z dziedzińca.

Tych nieprzyjaciół czystości w każdym wielkim domu bywa sześciu do ośmiu; mało się oni troszczą o to, co ich otacza, a spełniając obowiązki, cisną się między gości w przedpokojach bez cermonii... a ci naturalnie... chętnie się przed nimi ustępują. Zwykle

około dziesiątej rano stróże już są pijani, a błędy które w tym stanie popełniają, karzą się przez pierwszego lepszego, kto zechce sobie zadać pracę skarcenia, począwszy od parobka stajennego, aż do pana marszałka. Niekiedy pozbawieni zmysłów zalegają kąty pałacu lub sieni, a nikt ich nietknie, bo każdy się lęka rąk powalać.

Reszta służby, z wyjątkiem jednego lub dwóch, którzy są na dyżurze, idą każdy w swoją drogę: do restauracyi, szynków i domów gry, mężczyźni kobiety na mszę, z wizytami i na schadzki umówione. Pisarze, dworzanie, rządzący rozechodzą się, każdy w swoim interesie lub dla zabawy, i nie powracają, aż gdy się spodziewają, że państwo wrócić mogą, lub nawet dopiero nazajutrz rano. Tymczasem obcy, przyjaciel domu, interesant nie dowie się ani słowa o panach, choćby miał najważniejszą sprawę lub najpilniejszą dla nich wiadomość. Pozostali słudzy nie wiedzą, gdzie są, a nawet gdyby wiedzieli, albo niepotrafią się wytłumaczyć, gdyż większą część dnia, pocieszając się na nieznośnej straży, trawią albo odurzeni napojem albo rozespiani i śpiący. Jest zwyczajem w Warszawie, woźnicy i sług nie odsyłać do domów, choćby w największy mróz całemi godzinami stać mieli.

Często też, choć powóz przed jakim domem czeka, nie jest to wcale dowodem, że się w nim pan znajduje. Mógł z kim innym wyruszyć w jego powozie lub swojego pożyczył przyjacielowi, który tu go zatrzymał; słowem godzinami szukać czasem trzeba, nim się kogoś wynaleść potrafi. Z tego wynika, że słudzy gdy sądzą, iż państwo gdzieś dłużej zabawią, naprzykład na sejmie, w teatrze, na balu, idą do sąsiednie-

go szynku, zasiadają pić lub grać i wcale się już o nie nie troszczą, dopóki nie przyjdzie chwila powrotu. Nawet woźnica złazi od czasu do czasu z kozłów i idzie spocząć do szynku.

Nie podobna się więc od nich nic dowiedzieć, bo któż wie, gdzie ich w jakim kącie szukać; tak, że gdy się trafi, że państwo weześniej, niż się spodziewano, wyjdą, sami muszą stać i cudze sługi posyłać, opłacać, aby im własnych wyszukali. Jest to rzecz trafiająca się wprawdzie i po innych miastach, ale nie tak często jak w Warszawie, gdzie jest nadzwyczajną niedogodnością.

Konie, najpiękniejsze w świecie stworzenia, z których niejeden wart kilkaset dukatów, stoją po sześć, osiem godzin na najtęższym mrozie, pod gołym niebem, i w krótkim czasie od tego stają się chude, kaleczeją, przepadają, do czego się też przyczynia i niezmiernie szybka jazda, która je potem na śmierć męczy. Ale tu ucbodzi za przepych największy jaknajczęściej mieniać konie. Wprawdzie konie się nakrywają, dla okazania innego rodzaju zbytku, jak najdelikatniejszymi tkaninami angielskimi lub kosztownymi futrami, i tak samo sługi się przyodziewa w długie, wlokące się wilczury; ale niepokryte członki cierpią zawsze, i zimą nie pospolitszego nad odmrożone u ludzi nosy, ręce i nogi; a u koni uszy i głowy. Ale na to się nie zważa wiele, ludzi się kuruje a konie odmienia.

Godzina obiadowa, która gdzieindziej rodziny rozproszone jednoczy, a w Warszawie pomiędzy trzecią a czwartą przypada, tu nie wywiera tego skutku. Widzieliśmy, że pani za domem albo sama w swoim pokoju, lub w większem towarzystwie, które zaprosiła,

obiadować może, a pan o tem wcale nie wie, a jeśli wie, to się tem wcale nie wiąże. Jeżeli znajduje się na sejmie, a na nim rozbierane są rzeczy dla niego i jego stronnictwa ważne, musi oczekiwać wyjścia, choćby do późnego wieczora. W takim wypadku, albo nie je wcale, albo też na kilka minut jedzie bądź do restauracyi, bądź do przyjaciela, dla którego rozprawy nie są tak zajmujące, tymczasem w domu czeka obiad gotowy. Każę sobie nieść do przedpokoju sali filiżankę czekolady i powraca nazad. Jeżeli się zabawił u utrzymywanej przez siebie panienci, a miło mu tam było, każę dla niej i dla siebie jedzenie przynosić z najbliższej restauracyi, jeśli jest u przyjaciółki, a ta się gdzieindziej nie przyobiegała, zostaje u niej na obiedzie. Jeżeli konno wyjeżdżał za miasto a pogoda piękna, znajduje obiad na Woli, w Marymoncie lub Wilanowie; po prostu mówiąc, zostaje tam, gdzie mu się podoba, i nie ma powodu pilnego kwapić się do swojego stołu. Tak samo dzieje się z dziećmi. Jeżeli poszły na spacer do Łazienek, tam jedzą; jeśli w mieście albo na wsi odwiedzali krewnych, zostają u nich z całym swem towarzystwem; jeśli gdzieindziej znajdują rozrywkę, która się im podoba, biorą w niej udział bez namysłu, i mogą powrócić dopiero około trzeciej, szóstej, dziesiątej lub dwunastej; rodzina o to wcale się nie troszczy byleby wiedziała, że dzieci, dwór swój i stajnię mają z sobą. Najregularniejsze życie prowadzi córka, która, ponieważ jeszcze lat nie ma, aby razem z matką bywała w świecie, i tylko sama albo z guwernantką wyjeżdża, siedzi więc większą część dnia w domu, i co najwięcej po obiedzie do przyjaciółki, rówieśnicy się wymknie, albo do saskiego ogrodu lub do teatru i na jaki ba-

lik dziecinny. Często się trafia, że gdy nikt z państwa w domu nie je, jej przynoszą obiad z najbliższej restauracyi. Trzy dni niekiedy nie widzi ani matki, ani ojca, ani braci i dla nich jest niewidzialną. To znowu cała rodzina spotyka się gdzieś w trzecim miejscu wcale niespodziewanie. Jeżeli mąż chciałby czasem wiedzieć, gdzie się żona znajduje, dowiadyuje się o tem bez namysłu u jej teraźniejszego *przyjaciela*, od którego pewną dostaje wiadomość; toż samo i równie spokojnie czyni pani o męża, pytając jego *przyjaciółki*, a czasem nawet pyta jej męża o swojego. Ta swoboda jest wzajemna i używa się jej nawzajem.

Popołudniowy czas, którego część upływa, zużytkowana przed obiadem, w zimie rozpoczyna się z nocą i zastaje gości ona u stołu. Następuje potem teatr który się rozpoczyna między szóstą a siódmą, ale nie trafia się już nań, jeśli się za długo u stołu siedziało, lub po stole zatrzymało w domu co szczególnie na bankietach biskupich się trafia. Natomiast w niektórych domach jest muzyka o ósmej, albo assamble i gra, albo też—co zależy od domu—teatr amatorski. Amatorowie mają do wyboru jedno z trojga. Księżę wybiera amatorskie przedstawienie, księżna muzykę, księżeta młodzi i księżniczka wolą jechać do teatru.

Assamble i gra na ten raz są opuszczone, ale nie piknik, którego połowę przynajmniej jeszcze zastać można i koniec spożytkować, gdy już inne zabawy ukończono. Księżna jedzie na piknik i zostaje na nim do końca, to jest do drugiej lub trzeciej z północy; księżę ukazuje się tylko na chwilę, bo proszony był na kolację, na którą przybywa o dziesiątej czy jede-

nastęj a siedzi do drugiej. Jeśli pora zapust, proponuje ktoś z towarzystwa pójść na redutę — i idą. Młodsza i piękniejsza część owego pikniku wpadła na tę samą myśl, i tak mąż i żona schodzą się jeszcze raz, ale pod ręce wiodąc panie i panów... zamaskowani lub bez masek, poznani, niepoznani... w żadnym razie nie myśląc z sobą być długo... Około księcia i księżnej kiedy niekiedy ukazuje się para djabełków z długimi ogonkami i stary djabeł z ogromnymi rogami... Są to młodzi książęta i jeden z starszych dworzan... Do nich przyłącza się sliczniuchna młoda wieśniaczka, rozdająca kwiaty z uśmiechem... której towarzyszy okropna, brzydka baba... jest to księżniczka ze swą ochmistrzynią. Ta zatrzymuje się krócej lub dłużej, i odjeżdża na reszcie, później lub wcześniej w miarę tego, jak to kogo z nich bawi—rzadko jednak przed świtaniem powraca do domu, kładzie się spać i budzi do podobnego życia nazajutrz.

Obowiązany się czuję nieco objaśnić pojedyncze rysy tego obrazu, które się mogą niezrozumiałemi wydawać.

Liczba rodzin szlacheckich, które największą część dóbr ziemskich posiadają i główne urzędy i godności państwa między siebie dzielą, nie przechodzi stu w całej Polsce... Z tych znowu jest około trzydziestu takich, które przez swe bogactwa, przez rozsiane po całym województwie dobra, głosem i osobami drobnej szlachty rozporządzają, są w łaskach u króla i wpływają na jego rozdawnictwa, mają po sobie ambasadorów obcych, powiązane są z najznacześniejszemi rodzinami i z pomocą tego wszystkiego niezmiernie mają znaczenie i wpływ na losy Rzeczypospolitej. Do tych

rodzin należą Czartoryscy, Potocey, Branicy, Rzewuscy, Czetwertyńscy, Soltykowie, Sapiehowie, Małachowscy, Ogińscy, Czaccy, Radziwiłłowie, Lubomirscy, Masalscy, Mostowscy i t. d.

Imiona te najsłynniejsze i znane powszechnie wslawiły się przez swe bogactwa, dostojęstwa wpływ na sprawy czasu pokoju i wojen, rozum, talenta, uczoność, ale niektóre też i nieudolnością, rozwiązłością, oryginalnością i barbarzyńskimi obyczajami. Pocięchą jest jednak dla badacza ludzi i obyczajów, gdy dodać może, iż potomkowie rodów tych, istniejący teraz jeszcze, raczej na sławę przymiotami, niż wadami zasługują. Ale przyznać też trzeba, że w wielu rzeczach staropolskie wady się utrzymują, a złagodzenie obyczajów, postęp, poczucie potrzeby porządku i ładu u młodych pokoleń płyną raczej z naśladownictwa obcych, z zastosowywania się do mody i wytwórczości cudzoziemskiej niż z charakteru narodu, z obyczajów jego, z ustawy, z praw i sił własnych.

Owa zasada prawna, że polski szlachcic, nie uwłaczając swej godności, nie może się sam osobiście zajmować sprawami handlowymi, pieniężnymi, rzemiosłem, i że nabywać o nich wiadomości gruntownych nie ma potrzeby, jest przyczyną niedostatecznego gospodarstwa rolnego, małych z niego dochodów, nieładu w gospodarstwach, nadużyć w zarządzie domowym, oszukaństw ze strony rządów i dzierżawców, a na ostattek złego stanu finansowego wszystkich domów polskich wogóle, przez co właściwe majątkowe położenie nawet najmajętniejszych tak jest wątpliwem, że nietylko sam pan, ale mniej jeszcze jego oficjaliści mają jasne o niem pojęcia.

Całkowite gospodarstwo spoczywa w rękach poddanych, którzy, mimo nadzoru ostrego, pracują bez związku, bez planu, wedle starych tradycyji i zwyczajów około niego. Komisarze i rządcy, których pan nad dobrami ustanawia spełniają swe obowiązki jak najemnicy, to jest do tyła troskliwie, o ile im z tem dobrze i wygodnie. Wielką część swoich obowiązków przenoszą oni, będąc po większej części szlachtą, i nie chcąc swego szlachectwa narażać, na pisarzy, wójtów; ci znowu od siebie na chłopów, włodarzy, nadzorców, parobków po wsiach, należących do dóbr. Ludzie ci w dozorze pól, łąk, chowie bydła i około robót gospodarskich, spełniają obowiązki, ale w sposób oburzający. Uczucie to, że ich nad niemi przełożono, że nie tak często na kańczuk są narażeni jak ich współtowarzysze, nadaje im niewolniczą dumę, którą zbyt ostro drugim uczuć dają, tak że poddani więcej ich jeszcze nienawidzą, niż swych panów i przełożonych, których ucisk tak srodze się im czuć nie daje, i których oni za wyższe jakieś istoty uważać nawykli. Ciż sami ludzie używani są często do transportów znacznych zboża, pieńki, lnu, miodu, skór, drzewa łądem lub wodą. Brak przezorności u nich jest powodem, że kupcy, którym wpadną w ręce, łatwo ich uwieść i na cenach oszukać potrafią. Najpospolitszym figlem jest, że ich upoją, i w tym stanie interesa z niemi kończą. Często w tym stanie uronią sumę odebraną, dają się okraść, i powróciwszy do domu grzbietem za to oplacają. Sami nawet komisarze niewiele są lepsi, kupcy i z niemi tychże środków z równem używają powodzeniem. Dają się uwodzić, towar niżej ceny oddając, a rachunkami kupców zasłaniają się, iż tyle a nie wię-

cej zań odebrali. Że jeszcze zazwyczaj inny towar za to przywieść mają, kupiec i na tem zyskuje podwójnie, a szlachcie dwakroć traci. Szlachta średniego mienia, którzy się czasem sami przywozem na plac swego towaru zajmują, niewiele co robią lepsze interesa. Brak doświadczenia, pijatyka, gra i spekulacya są przyczyną, że bardzo często powracają do domu bez pieniędzy i bez towarów z Torunia, Gdańska, Wrocławia, Warszawy, Rygi i Lipawy.

Zasadą znaczniejszych rodzin w Polsce jest dobra nabywać w jak największej liczbie województw, ażeby przez to pozyskać jak najprzeważniejsze wpływy na sejmy, na obsadzanie urzędów, na wybory posłów, na korzyść swoją, krewnych i klienteli... Ale ponieważ nie wszystkie polskie prowincye do zbytu swych płodów mają równe dogodności, a kraje, graniczące z niemi jedne ich mniej, drugie więcej potrzebują i niżej lub wyżej płacą; że wydatki i koszta transportu w jednym miejscu są wyższe niż w drugim, stąd pochodzi znowu, iż w ogóle z dóbr dochód trudno obrachować. W jednym województwie, mając pewną miarę dochodu z dóbr, nie można z niej wnosić o innych; niektóre tak od siebie leżą daleko i od rezydencyi, iż pan ledwie je raz w lat kilka zwiedzić może, gdy nareszcie o stanie ich zechce się naocznie przekonać. Wielu komisarzów i dzierżawców za ledwie znają osobiście, a mimo to od ich pilności i wierności cały byt zależy i utrzymanie majątków. Opowiadano mi o jednym panu, iż posiadał znaczne dobra na Podolu i w Braclawszczyźnie. Do trzech czy czterech z nich należały wielkie zamki. Żył wedle zwyczaju albo w Warszawie lub zagranicą, nigdy dóbr tych nie widząc, w których go-

spodarzyli, zmieniając się jedni po drugich: komisarze i dzierżawcy. W końcu, gdy rozrzutnością dobra zostały strwonione, trzeba było je sprzedać. Zamki należały także do inwentarza sprzedaży. Nabywający pojechał aby dobra obejrzeć,—znalazł majątki jak Bóg dał, ale zamków wcale nie było. Gdy się począł dowiadywać,, pokazywano mu miejsca, na których sądząc z gruzów, zamki niegdyś stać mogły, i bardzo stary już wieśniak zapewniał go, że resztki kamieni z jednej z tych ruin, woził jeszcze do drugiej wioski na oborę, którą tam stawiano. O tem wszystkiem posiadacz ostatni nie wiedział wcale, prawdopodobnie ojciec jego także, który tylko w inwentarzu starym zamki widział zapisane. Niema niepodobieństwa, że mimo to w rachunkach komisarzy stawiono może koszt utrzymania owych nieistniejących budowli.

Stąd pochodzi, iż większa część dóbr w Polsce, w których wcale dziedzice nie mieszkają, upada i marnuje się. Wiele dworów wygląda wcale dobrze, są rozległe, przy nich obszerne ogrody i sady, ale w dziedzińcach zobaczysz rosnące trawy, okna pozalepiane, a w ogrodach drzewa zdziczałe, jak w lesie. Jeśli właściciel przyjeżdża na czas krótki, na przedce oczyszczają mu tyle ile potrzeba pokoiów, starają się zabezpieczyć od wiatru i sło-ty, dopóki mieszka; inne sprzęty potrzebne, pościel, stołowe naczynia, kuchnie i stajenny przybór przywozi za każdym razem z sobą. Nawet zamki zamieszkiwane przez większą część roku są pospolicie źle utrzy-mywane i ubogo umeblowane, nie trzeba się tu spodziewać znaleźć tego przepychu i wytwornego smaku, z jakim u tych samych rodzin utrzymywane są war-

szawskie ich palace. Brud i nieochędóstwo, które zarzucają wszystkim domom w Polsce, szczególnie się na prowincyach czuć dają. Nic dziwnego, gdyż cała tu służba żeńska i męzka składa się po większej części z własnych chłopów, którzy potrzeby mycia, szorowania, zamiatania ledwie się domyślają.

W Warszawie znaleźć można wygody i wszelkiego rodzaju usługę wykwinniejszą za pieniądze, — na wsi ani pojęcia o niej, ani możności wynalezienia. Gdy wszystkiego tego tu braknie, za to nie zbywa na winie, angielskiem piwie, wódkach i innych zagranicznych łakociach i napojach, których ogromną ilość zużywają, i gości niemi z największą szczodrobliwością częstują.

Im bliżej dobra leżą Warszawy, tem mniej w nich nieładu i zaniedbania. Wiele znaczniejszych rodzin ma pod stolicą rezydencye, w których smak, wygoda i zbytek w wysokim stopniu są połączone. Z tego cośmy już mówili, łatwo poznać, iż w gospodarstwie i urzędzeniu domowem, polska szlachta, a zwłaszcza majątniejsza, nie może sobie dokładnie zdać sprawy z własnych wydatków i dochodów. Na wydatki czerpie się z kasy bez planu i przezorności. Gdy gotowego grosza zabraknie nie są pewni, czy go w istocie mają za mało, czy chwilowo tylko nie dostaje; ludziorobiący z niemi interesa tem mocniej nalegają, że kapitał niepewny, aby uzyskać większe procenta. Procenta te w Polsce same przez się zwykle opłacają wyższe niż gdzieindziej, z powodu nie dosyć określonych praw, dotyczących się kredytu i długich, kosztownych form procesu, gdy przyjdzie własność odzyskać. Sądy są sprawowane przez szlachte. Stąd pochodzi, iż w Pol-

sce ludzie, robiący interesa pieniężne, trzymają się tego systemu, który jest w użyciu u chrześcijańskich i żydowskich lichwiarzy dla bezpieczeństwa, naprzód odciągają sobie wysokie procenta przy zapłaceniu sumy, biorą jeszcze wynagrodzenia za pośrednictwo i fatygę (gdyż zwykle zowie się to cudzym groszem u przyjaciela wziętym), na ostatek używają wszystkich sposobów, aby w razie niewypłacenia sumy jak najmniej stracili. Gdy się im w końcu powiedzie zawiązać stosunki z wieloma znacznieszemi domami, o których wyżej wspomniałem, i powoli ich dochody i rozchody na stopie banku (giro bank) w księgi wciągnąć—zysk mają większy i pewniejszy, gdyż z książek swych widzieć mogą ile co roku dobra tych rodzin dochodu przynoszą. Że z wiadomości tej więcej dla siebie, niż dla nich korzystają, samo się przez się rozumie. Stąd tak szybki wzrost wielu domów bankowych w Warszawie, których właściciele goli w ogólności, z głową tylko do Warszawy przywędrowali.

Na tym kruchym systemie finansowym, oparty jest sposób życia, zarówno w Warszawie jak i za granicą. Przebywanie za granicą jest tu bardzo zwyczajnem, żaden naród tyle czasu na podróżach nie trawi, co polacy. Oddalenie od cywilizowańszych krajów (?), niemożność widzenia u siebie tych rzeczy, o których w książkach i opisach wyczytują, żądza nowości i oświecenia się, potrzeba wypełnienia politycznych swych zasad spostrzeżeniami nad ustawą innych narodów czynionemi; również konieczność zasiągnięcia wiadomości o ulepszeniach w gospodarstwie, przemyśle, handlu tych państw, które są szkołą dla innych, a w Polsce zastosowane być mogą; żądza widzenia dzieł sztuki i wy-

tworniejszego życia; skłania wszystko to polaków do podróży. Są to najgłówniejsze powody; ale prócz tego wielu podróżuje z próżniactwa i rodzącego się zeń niepokoju ducha, dla mody, chęci wyrównania drugim, ze względów politycznych, niezadowolenia ze stanu rzeczy w ojczyźnie, dla uniknienia prześladowań partyi przeciwnej; dla poprawienia zdrowia lub wreszcie z pobudek jeszcze mniej wytlumaczonych, niż poprzedzające.

Sposób podróżowania polaków jest kosztowniejszy niż innych narodów. Francuzi, Anglicy, Niemcy jeżdżą z jak najmniejszym dworem; podróżują z pewnym planem i oszczędnością systematyczną, każdy wedle możności i stanu, przywykli do obchodzenia się usługą małą, przekonani, że służba która języka kraju nie rozumie, obyczajów nie zna, sama jeszcze usługi za granicą potrzebuje; obchodzą się ludźmi najętymi. Na rekomendacjach i znajomościach im nie zbywa, wiedzą, że obcym trudno zbytkiem i wystawą się odznaczać w cudzym kraju, gdyż to niezmiernie jest kosztowne; nie potrzebują za granicą kupować tak wiele towarów, bo je mają u siebie w domu; na ostatek nie tak są spragnieni używania, zbytków, gry, zajmują się raczej umysłowemi sprawami, karmią duchowo więcej niż polacy, którzy bez oszczędności najmniejszej, niecierpliwi nieświadomi ceny, z ogromnemi dworami i liczną służbą, po większej części bez rekomendacyi i wskazówki gdzie stanąć; jadą całemi domami, aby robić nowe znajomości, świetnieć i popisywać się ze zbytkiem, a wedle swego obyczaju bawić się, grać, biesiadować, kupować bez miary to, czego nie widzieli jeszcze albo, o co w Polsce trudniej.

W takim stanie rzeczy muszą koszta zwykłe i nadzwyczajne być bardzo wielkie. Wszyscy co z niemi mają do czynienia, oszukują ich, szczególnie w krajach, których mieszkańcy zwykli żyć kosztem cudzoziemców: w Szwajcaryi, we Francyi, a najbardziej we Włoszech. Kierując się przy tem źle zrozumianą wspaniałomyślnością i oszustów karząc tylko wzgardą, uchodzą Polacy nietylko za bardzo bogatych, ale za nieroztropnych i niezmiernie rozrzutnych ludzi; a zachęcają złych, ażeby się wysilali na korzystanie z ich lekkości. Nie do wiary się wydaje, co polakowi, jadącemu na swój sposób do Włoch wychodzi pieniędzy jak, poczhalterów, pocztyljonów, hotelistów, lokajów stręczycieli, przekupniów obrazów, kamieni, monet starych opłaca i ssać się im daje. Z tego wszystkiego jedyną korzyścią dla narodu, iż poszło w przysłowie „*far viaggio alla polacca*“, którem włosi oznaczają podróży, co się najłatwowiej oszukiwać dają, a w podróży nie mają innego celu tylko jeść, pić i używać.

Francya od najdawniejszych czasów była ulubionym dla polaków krajem. Dzieci posyłają często do Strasburga dla nauki, a do Paryża — dla nabrania poluru i pięknych obyczajów. Wypisują sobie wszelkiego rodzaju nauczycieli, cyrulików, lokajów, fryzjerów, krawców, modniarki, i zaludniają niemi wsie i miasta. Mieszkają w pokojach po francuzku urządzonych, śpią w łózkach francuzkich, ubierają się w suknie, materye i mody francuzkie. Mając wiele w charakterze do francuzów podobieństwa, pewną żywość umysłu i wesołość, wiele zmysłowości, płochości, wiele rozsądku, chociaż niegruntownego, ale błyskotliwego, oraz ochoty do używania i galanteryi dla kobiet; francuzkie więc oby-

czaje łatwo chwytają, a że i z literaturą są obeznani zawczasu, zwłaszcza z tą, którą większy świat się karmi, przejmują więc sposób myślenia, sążenia i prowadzenia się francuzów. Wybór zasad filozoficznych i społecznych, któremi się życie i rodzina kieruje, poglądy na religję, na politykę, sposób prowadzenia interesów kraju, gorący i nieopatrzny,—zupełnie w Polsce odpowiadają Francyi. Wielka liczba francuzów dotąd kraj zapelniających (Maj, 1793), utrzymują u narodu tę miłość dla niej. Mało jest rodzin bogatszych, których by członkowie w młodości lub później, dłużej lub krócej we Francyi nie przebywali; trafiają się nawet tacy, którzy wyprzedawszy się całkiem z Polski, przyjęli tam obywatelstwo.

Do Anglii jeżdżą polacy rzadko i nie przebywają długo. Charakter angielski nie jest im sympatyczny, gdyż anglicy dla cudzoziemców niezbyt są nadszatkujący, nie udzielający się, a duma narodowa anglików, dumę polską razi. Tu też przy największej rozrzutności odznaczyć się zbytkiem trudno, a lud pospolity dla marnotrawstwa i grosza nie ma takiego uszanowania, i nie rad się upokarzać i płaszczyć przed nimi. Szwajcarya i Włochy daleko ich bardziej pociągają ku sobie. Sama natura tych obu krajów tak jest różną od polskiej z najrozmaitszych względów, że już sama jest źródłem wielkich przyjemności. We Włoszech po główniejszych miastach znajdują Polacy szlachtę tutejszą, która dla obcych jest życzliwą i przyjmuje od nich uczyty w swoich własnych hotelach wyprawiane, lub chętnie ogrywa; bawią się włoskiemi *Conversiazioni* z gorzką herbatą i *sorbetti*, biorą chętnie bilety na loterje obrazów, sukni i zegarków; u ar-

tystów rekomendowanych nie targując się, obrazy kupują, a naostatku przy odjeździe, za wszystkie dowody gościnności, jeszcze panią domu zmuszają—do przyjęcia kosztownego prezentu. Poszanowanie, które tu sobie polacy okupują temi środkami u arystokracji, i uniżenie z jakim lud ich wszędzie spotyka, aby oszukać łatwiej, przyczyniają się wielce do tego, że Włochy odwiedzać lubią przed innemi krajami. Najczęściej spotkać ich można w Wenecyi, Rzymie, Neapolu, Florencyi, gdzie—ponieważ w istocie smak mają wykształcony i sztukę lubią—zatrzymywać się zwykli dłużej. Większa część świeżo wyszłych z kraju patryotów: Małachowscy, Sapiehowie, Sołtykowie, Mostowscy, Sobolewscy żyją w jednym z tych miast. Jedną księżną Lubomirska i starszy synowiec króla, Stanisław Poniatowski, od wielu już lat są w Rzymie. Najoryginalniejszym z tych, którzy teraz w podróż się puścili, jest hrabia Jan Potocki. Długi bardzo przeciąg czasu spędził w różnych krajach Europy, we Francyi, Włoszech, Anglii i Hiszpanji, zamieszkując jak w domu; zwiedził on Turcyę, Arabję, Syryę i znaczną część Persyi. Wiadomość o rewolucyi w ojczyźnie sprowadziła go nazad do kraju w czasie sejmu konstytucyjnego. Otrzymał ją będąc w Marokko. Ubiór jego był pół polski, pół wschodni. Przebiegłszy większą część kuli ziemskiej, zacheiało mu się widzieć ziemię pod nogami. Gdy Blanchard przybył do Warszawy z balonem, z nim razem puścił się on w powietrze z ogrodu pałacu Mniszechów. Zabral z sobą w tę podróż swoich zwykłych towarzyszków opasłego Turka i białego rzymskiego pudła; wleciał z Warszawy aż do Woli i tam spadł bez szwanku.

Jest to mąż charakteru excentrycznego, ale nader miły, lubiący sztuki, miłujący naukę — autor książki o historyi polskiej, wydanej w języku francuzkim. Po swym ostatnim powrocie do kraju ożenił się z zachwycającej piękności księżniczką, Julją Lubomirską, i zdawało się, że to jego ruchliwy umysł potrafi uspokoić się i przywiązać. Zniesienie konstytucyi oddaliło go znów od kraju, a że wkrótce potem żona jego umarła, musiał prawdopodobnie nową podróż przedsięwziąć. Brak mi wszakże o nim świeższych wiadomości.

W ogólności polacy ze swych podróży tak dobrze korzystać umieją, jak inne narody, ale tylko w pewnych względach — wyuczają się nader łatwo języków obcych, mówią niemi przyjemnie i poprawnie; przyswajają sobie zręcznie obyczaje obce; w sposobie obejścia się mają w wysokim stopniu elegancję i ton dobrego towarzystwa, a że natura dała im wzrost w większej części smukły, piękny, twarze o rysach szlachetnych, bardzo z tem dobrze wyglądają; nabierają smaku do sztuk i wiadomości o nich; których użyć w rozmowie umieją zręcznie; — słowem mają wszystko, co potrzeba do egzystencyi wspaniałej, bogatej, niezajętej, próżniaczej, szlacheckiej, egoistycznej, do używania życia obfitego, ale zaniedbują pozyskać wiadomości pożytecznych istotnie dla kraju, których rozszerzenie mogłoby podnieść rolnictwo, oraz przemysł, handel i t. p.

Główne jądro warszawskiej społeczności stanowią osoby, które w ten sposób (za granicą) wykształcone zostały. Te są wzorem i prototypem dla innych, którzy ze samego źródła czerpać nie mogli i stosownie do tego naśladowują włochów, francuzów, anglików. Wielki świat warszawski ma ton przypominający inne

stolice europejskie, ale prócz tego i wiele rysów sobie tylko właściwych.

Dawniej charakterem wielkiego świata francuskiego było: staranie się o godności i dostojęstwa, o łaski panującego, o sławę rycerską lub zręcznego spekulatora, wspaniałego w domu gospodarza, milego w rozmowie człowieka, znawcy sztuki i mody, dowcipnisią świetnego, zdobywcy serc niewieścich, wyalazcy pomad, fryzur, zabaw towarzyskich i wdzięcznych sprzęćków.

Anglicy lubią się odznaczać kosztownymi kołmi i powozami, grą wysoką, zakładami nadzwyczajnymi, wyszukanemi przyjemnościami życia, przepyszniemi pałacami wiejskiemi, wspaniałością w podtrzymywaniu sztuk i nauk, sukniemi zarazem kosztownemi a wyglądającemi skromnie, obejściem się naturalnem lecz chłodnem, wyborem w jedzeniu i piciu i wielkiem szczęściem do kobiet.

We Włoszech wielki świat lubi świetniec nazewnątrz a oszczędza się w domu: pałace przepyszne a okna pozaklejane, nieoszacowane zbiory dzieł sztuki, a stół i krzesła niewygodne, stada lokajów i sług z nieuczesanemi włosami, tuziny powozów pozamykanych w wozowniach, świetne towarzystwa a kominy puste, sto tysięcy *zecchinów* majątku, a w worku miedziane *bajochi*, *grani* lub *crazie* i *soldi*; — wszyscy familjauci książąt i panów, a w wybladłych sukniach i podartem okryciu.

Wielki świat polski jednoczy w sobie wiele z tych cech, ale też niektóre całkiem pojmuje inaczej. Tak naprzykład, lubi zarówno jak i francuzi: godności, tytuły, orderzy, odznaczenia, towarzystwo, używanie, galanterję, kobiety, jest wiele gościny przez politykę

i próżność, mniej się kocha w wierszykach, dowcipach, i nowostkach; najmniej naśladuje ich ubieganie się i starania o łaski dworu i króla. Ostatniego, dzięki konstytucyi, nie potrzebuje wcale; z tego powodu jest w zwyczaju niewiele dbać o panującego, i obchodzić się z nim z pewną dumą osobistą... Że z terażniejszym królem nie obchodzą się w ten sposób, winien to nie swej godności królewskiej, ale przymiotom prywatnego człowieka, oraz wielce miłemu charakterowi, zręcznemu zażywaniu ludzi i ich znajomości.

Z angielskiemi panami i bogaczami polscy panowie to mają wspólnego, że równie im wiele chodzi o konie i ekipaże, że też grę wysoką lubią, za Herkulesów u kobiet chcą uchodzić, jedzą i piją wiele; lecz za to ochoty do zakładów, do budowy wspaniałych domów wiejskich, (których w Polsce widzenia godnych jest niewiele) starania o najwykwintniejsze wygody, o prostotę w stroju, zimnego obejścia i zamięłowania w nauce, nie mają. Rzeczy te nie leżą, ani w ich charakterze, ani w obyczajach, ani w prawodawstwie i krajowych urządzeniach.

Z włoskim wielkim światem pewne rysy są towarzystwu polskiemu wspólne, ale w większej części różni się ono od niego całkowicie. Lubią polacy także budować pałace wspaniałe, ale często ich nie kończą, jak i włosi, już dla tego, że je zakładają w takich rozmiarach, że dokonać potem nie mogą, już że nie chcą czekać na nie i mieszczą się gdzieindziej; lubią równie trzymać tłumy sług jak we Włoszech, ale nie znoszą, ażeby byli źle odziani i źle karmieni; kochają się w zewnętrznym blasku, ale też i wewnątrz nie cierpią niedostatku; kosztowne zbiory dzieł sztuki byłyby im mile, ale Polska nie jest krajem, gdzieby próżno-

ści tej łatwo było dogodzić. Powozów polacy mniej mają niż włosi, a te które trzymają, nie stoją zamknięte—ciągle na ulicach. Przyjmują częściej niż włosi, ale z kominów się u nich kurzy nieustannie. Wysokim koligacjom swym nad siłę starają się polscy panowie honor czynić tytułami, orderami..., a jeśli gotówkę mają, noszą ją w sakiewkach pysznych, z wykluczeniem wszelkiej drobnej monety; w najpiękniejszych dukatach holenderskich, zawsze przy sobie, i przy najmniejszej zręczności sypią z rozrzutnością zbyteczną.

Rysem, który w wielkim świecie tutejszym się znajduje, a w całej Europie nigdzie więcej nie powtarza, jest to, że magnaci trzymają całe dwory, z samych poddanych i wasalów swych złożone; że utrzymują całe wojska na swoim żołdzie, że sami tylko roszczą prawa do najwyższych w państwie godności i używają wszelkich możliwych środków, aby się przy nich utrzymać.

W czasie sejmu konstytucyjnego, między r. 1788 a 1792, społeczność polska i wielki świat warszawski były tak ożywione i świetne, jak może nigdy za lepszych czasów nie bywały, chyba na czas krótki; to zaś trwało lat kilka. Wszystko, co się tylko stosownie do swojego stanu utrzymać mogło w Warszawie, z panów, ze szlachty średniej i uboższej, żyło w niej ciągle. Ci, co dawniej podróżowali, powracali do domu. Wszyscy, którzy tylko starali się podeprzeć lub odeprzeć nową ustawę, sypali pieniądze pełnemi garściami, dawali jedne po drugich festyny i usiłowali jednać stronników. Toż czynili obcy ministrowie tych dworów, które przy nastaniu konstytucyi były najczynniejsze... Z tego rodził się ruch, życie, zabiegi, zajęcie, zbytek i wystawa, którym równych znaleźć trudno, ale uczest-

niczący w tem zagrożeni byli pod wszystkimi względami ruiną.

Do najmożniejszych domów, w których głównie wrzało życie, gdzie się wielki świat zbierał, należały szczególnie rodziny: Czartoryskich, Małachowskich, Sapiehów, Potockich, Ogińskich i t. d. Król też częściej niż zwykle dawał obiady. Brat jego prymas, oraz biskupi: poznański, i inflantski przyjmowali u siebie—pruski poseł Lucchesini wyprawiał więcej uczt, niż gospodarne Prusy swoim reprezentantom pozwalają; a nasz p. Bułhaków, w pierwszych szczególnie chwilach sejmu konstytucyjnego, odznaczał się świetnością i smakiem uczt, które honor nam czyniły. Takie było mnóstwo rozrywek i zabaw, że bardzo niewiele osób miało siły wszystkim im wydołać i nie uledez. Zresztą te zgromadzenia, które na nie uczęszczały, dawały liczbą osób miarę do oceniania wpływu i znaczenia stronnictwa, do jakiego należał gospodarz i goście. Bywały i takie, które dla ogółu przeznaczano, unikając wszakiej dążności i barwy politycznej. Temi nazwać się mogły obchody dnia narodzin i imienin cesarzowej, króla pruskiego, króla polskiego, magnatów polskich,—przybycia znakomitych osób, które ucześć chciano; ustanowienie konstytucyi i rocznica jej—ale nie trzeba sądzić, aby i tu przytomność lub niebytność pewnych osób nie miały znaczenia. Świadomi umieli wśród ciżby przytomnych zauważyć, kogo brakło i wiedzieli, dla czego; dla wielu było toż samo już niemałą zgryzotą, że nasz minister Bułhaków na żadnej tłumnej uroczystości z powodu konstytucyi i jej rocznicy nie znajdował się; on też na swoich balach mógł

poznać po przytomnych, ilu liczył system nasz przeciwników i stosownie do tego postępować musiał.

Liczba osób, zbierających się na te uroczystości, często dochodziła do pięciuset, sześciu i ośmiuset nawet. Zwykle zaczynały się assamble po obiedzie a trwały aż po północy. Łączyły w sobie wszelkie zabawy, grę, muzykę, bal, podwieczorek, kolację i konwersację. Polskie upodobanie szczególne w dostatku i zbytku tu się z całą świetnością objawiało; kilka sal zastawiono stołami, które się rzeczywiście pod ciężarem uginały. Jedzenia wszelkiego rodzaju było do przesytu. Wina węgierskie, francuzkie, hiszpańskie i niemieckie, które gdzieindziej ledwie się kosztują i używają po odrobinie, tu się lały. Wódkę podawano w ogromnych kielichach. Limonada, orszada, bawaroaza, stały w naczyniach ogromnych, w jakich gdzieindziej piwo dają. Kawa i czekolada nieustannie się lały z olbrzymich srebrnych imbryków. Stosy a raczej góry konfitur, owoców, grzanek na wielkich talerzach krążyły po salach nieustannie. Czerechy obzartuchów probowały, do jakiego stopnia siła ich trawienia te amalgamaty zniesie, a nerwy smaku wydolają. Tak samo obficie używano przyjemności w tańcu na sali balowej: w oczach, w ramionach, w objęciach najpiękniejszych kobiet; napawano się rozmową ludzi najdowcipniejszych, lub puszczano się w zapasy z losem na bank pełen złota i pokusy.

W ścisku tym równało się wszystko, w niczem miary i delikatności nie zachowywano. Kto [miał suknię taką, że się mógł przyzwoicie zaprezentować w towarzystwie, nie pytano go o nic więcej. Żadne ciekawe wejście, żadne pytanie niedyskretne, nie

drażniło miłości własnej, najpiękniejszą dłoń mogłeś ująć do tańca, jeśli już wprzód innemu nie była przyrzeczoną; najdostojniejsze osoby siadały z nim razem do gry; najrozumnijsi ludzie wdzięczni byli, jeśliś koło ich słuchaczy powiększył. Nawet niezgrabność w obejściu i pożądlivość w używaniu przyjemności nie raziły tu bardzo w towarzystwie usposobionem do takiego życia, a niezbyt dbałem o ład i porządek. Wrzawa i ruchliwość napitych, egoistyczne odosobnianie się żarłoków, wesolość i roztrzepanie tancerzy, upór graczy, szczęśliwa ślepota i głuchota zakochanych; paplarstwo deklamatorów, cheiwych oklasków i wiele innych rzeczy przedstawiały się w tych razach, jak to zwykle bywa w tłumie wielkim, w świetle złagodzonem, a najtrwożliwsze umysły czuły w sobie coraz żywiej krążącą krew, i miasto zbyt surowego sądu o napitym śpiewaku, stojącym obok, wymownym paplarzu po za sobą, skocznym tancerzu przed sobą—uśmiechały się dobroduszenie patrząc na te sprawy ludzkie.

Końcem tych wrzawliwych zabaw było powszechne znużenie. Napierwej ustawiali zajadający, zapijający i nieszczęśliwi gracze; tancerze rozmiłowani i szczęśliwi w karty odechodzili ostatni; biedni dyplomatyczni agenci, zapłaceni tylko za to, by słuchali i patrzyli, co się święci, a nazajutrz o tem w poselstwie sprawę zdać mieli,—wychodzili po wszystkich.

Zwykle jadła i napoju zostawało jeszcze tyle, że służba potem miała czem sobie przeladować żołądki i zalać przytomność zupełnie... aż do ostatniej iskierki.

O zachowywaniu i zamykaniu resztek, które nie mogły być zjedzone i wypite, w żadnym domu polskim niema mowy; jeśli marszałek potrafi co

uratować, to pewno nie dla pana, ale na korzyść własną.

Wielkie bale maskowe, które w czasie karnawału dawać było zwyczajem, zbliżały się bardzo do tych uczt, i bardziej jeszcze liczniejsze tłumy gromadziły. Zwykle poprzedzała je kolacya na sto dwadzieścia osób, a po niej maski wpuszczano. Na bale te i na ucztę wprawdzie wydawano bilety, ale tylko dla tego, że sale tylko pewną liczbę osób pomieścić mogły. O wyłączeniu osób, o wydzieleniu pewnego towarzystwa nie myślano wcale. Każdy taki wieczór mógł kosztować od pięciuset do dwóch tysięcy dukatów. Że w tem niema przesady, osądzić łatwo, zważywszy, iż przy najkromniejszym urządzeniu, innego wina nie podawano, tylko szampańskie i burgundskie.

Oprócz tych przypadkowych, w wielu domach bogatszych i średnich, przyjmowano stale w pewnych dniach oznaczonych. Jednemi z najwięcej uczęszczanych i najświetniejszych były niedziele u pani Krakowskiej, siostry królewskiej.

Od wielu lat król zwykł był zawsze dnia tego u niej obiadować. Po obiedzie od godziny czwartej napelniały się sale tłumem najznakomitszych, najbogatszych, najpiękniejszych osób płci obojej, śpieszących pokłonić się N. Panu. O godzinie siódmej król zwykle do zamku powracał, a towarzystwo rozchodziło się, innej szukając rozrywki.

Marszałek sejmowy Małachowski przyjmował we Wtorki, a liczba osób i dobór ich nie ustępowały wieczorom pani Krakowskiej. Koncert, gra, konwersacye, czasem taniec, zajmowały gości. Nikogo nie zapra-

szano; kto tylko porządnie był ubrany, mógł wnijsć śmiało. Zaproszonych na wieczerzę zatrzymywano.

U prymasa bywała w piątek „*Cosetta*“, tylko imieniem od innych tego rodzaju zgromadzeń się różniąc: zaczynała się o siódmej, a kończyła o dziewiątej. Najlepsze i najznakomitsze towarzystwo warszawskie zawsze tu się stawiało w wielkim komplecie. Przyjęcie było zwyczajne. Na wieczerzę nie zatrzymywano nikogo.

Marszałek sejmowy Sapieha, marszałek koronny Mniszech, hetman Ogiński, księżna Radziwiłowa, książę Czartoryski, marszałek Raczyński i wiele innych domów, starały się zająć inne dni tygodnia, które często podwójnie i potrójnie były obsadzone; w ten sposób obiedz było można całe to koło zabaw i rozrywek, które wielki świat sobie stworzył,—jakkolwiek one, mimo swej różnaitości, jako często się powtarzające, w końcu uprzykrzonymi stawały.

Mniejsze, skromniejsze kółka w Warszawie, przy zwykłej krajowi gościnności, liczne były i bardzo przyjemne. Znajdowało się wiele znaczniejszych i średnich domów, które albo obiady wydawały otwarte, lub też zawsze miejsce jedno zbywające nad liczbę osób rodziny przygotowywały dla gościa. Dosyć było wiedzieć, czy pan ten lub ów jadł w domu, aby o naznaczonej godzinie móż pojechać do niego i do stołu zasiąść. Wyjątek stanowiły dni, gdy miał towarzystwo zaproszone. Potrzeba było być przynajmniej znanymp gospodarzowi, choćby nie związanym z nim ściślejszą przyjaźnią, ale można było być i nieznanym wcale, jeśli przyjaciel wprowadzał. Urządzenie to nie tylko w domach szlacheckich, ale i w wielu mieszczan-

skich przyjęte było. Bankierowie Tepper i Kabrit, przyjmowali niemal codziennie u siebie na obiadach, i można było znaleźć tu często najznakomitsze towarzystwo szlacheckie. Sam król dość często jadał u nich; a jeszcze częściej u bankiera Blanc'a, przez którego głównie interesu swe robił. W kilku domach kupieckich dla znajomych mieszczan, na tejże stopie były zawsze nakrycia.

Muzyka, taniec, gra, kobiety zajmowały głównie warszawskie towarzystwa. Wyższe klasy lubiły szczególnie muzykę, która część ich wychowania stanowiła. Wiele miłych głosów znaleźć było można wśród pań i panów, wielu ostatnich grywało dobrze na różnych instrumentach. Ale nadzwyczajnego nie sobie nie przypominam, może z tego powodu, że polski charakter za nadto jest płochy a życie ich nadto rozerwane, by mogli czas i cierpliwość znaleźć na wykształcenie jakiegokolwiek talentu. Umiano tylko zewnętrzną postawą, sposobem właściwym popisania się, podnieść nabyty talent, któremu prawie zawsze towarzyszyła figura piękna i od natury dany dar podobania się. Tak na przykład nie można sobie wystawić nic piękniejszego nad obraz wdowy ks. Radziwiłłowej z czworgiem swych dzieci przy muzyce. Księżna była jeszcze wcale piękną, a twarz jej wiele słodyczy i czułości w rysach miała. Dwaj jej synowie, młodzi wykształceni kawalerowie, córka księżniczka Krystyna szesnastoletnia, księżniczka Aniela czternaście lat mająca... obie, każda w swoim rodzaju, zachwycające;—zajmowały się z upodobaniem muzyką pod przewodnictwem zachęcającej je do tego matki. Wielce było przyjemnem słuchać tercetów, które księżna to z dwoma synami swemi, to z córka-

mi wykonywała, a milej jeszcze napawać się widokiem tej miłości macierzyńskiej, która w Warszawie wcale pospolitą nie była. W towarzystwach, w których ta matka znajdowała się i słyseć dawała, nie zbywało na sercach męzkich, na których głos jej szczególne, większe niż na pospolitych słuchaczach, wywierał wrażenie.

Taniec, owa dusza polskich zabaw, nigdzie może w świecie z większym wdziękiem, lekkością, z większą namiętnością i przejęciem nie był wykonywanym. Szczególniej pięknie dwa narodowe tańce: polski i mazur, oba zupełnie od siebie charakterem różne, ale mogące być do najwyższej doskonałości sztuką i wdziękiem postaci doprowadzone. Polski taniec jest tryumfem osób pięknego wzrostu, które wdzięczne ruchy, szlachetność postawy, chód wspaniały i zręczny, rysy wesołe a poważne razem przybrać umieją. Warunki te nie są wymyślone, ale z przykładów najlepszych tancerzy polskich wyciągnięte.

Jedno jeszcze dodać muszę, że taniec ten nigdy inaczej jak w długich, pełnych szatach polskich narodowych przez mężczyzn, a w lekkich, powiewnych taratkach przez kobiety tańczonym być powinien.. Kusy strój francuzki tak nieprzystaje do majestatycznego charakteru polskiego tańca, jak i francuskie kuse stroiki kobiece, karako gorsetki, i kaftaniki wszelkiego rodzaju. Tem lepiej w nich kobietom do mazura, do którego mężczyznom kurtka i szarawary przystoją. Lekki, wesoły charakter mazura, który ciało zmusza do żywych, ciągle zmieniających się ruchów swobodnych, który od oczów wymaga ognia i życia, w twarzy wyrazu czułości i rozkoszy—głowom nadaje ruchy stosowne, to dumnie podniesione, to om-

dlałe i na ramiona opadające—taniec ten też—strój lekki, posłusznie malujący ruchy ciała czyni koniecznym. Przepisy te także z rzeczywistości są wzięte, z osób, które niełatwo prześcigniętymi w tańcu tym być mogą; mianowicie z ks. Józefa Poniatowskiego i Julji Potockiej, żony wyżej wzmiankowanego brabiego Jana Potockiego.

Książę Józef jest jedną z najdoskonalszych męskich postaci, jakie widzieć można. Stopa jego, noga cała—pełne najpiękniejszego rysunku; odzież przyobleka ją całą jak ulana, leżąc bez najmniejszego fałdka... Kurtka okrywa również pięknie jego pierś i ramiona pełne i opina wytworne kształty... Rysy twarzy mają wiele wyrazu męskiego... para czarnych wielkich oczu je ożywia. W ostatnich czasach więcej one pałały wojną, rycerskim zapalem niż miłosnymi ogniami...

Julja Potocka była niezrównanego wdzięku. Gdy jej maleńka, śliczna nóżka, unosząca zaokrąglone elastyczne kształty utoczonej postaci, zwijała się w mazurku i zdawała ledwie dotykać ziemi, gdy z rąk jednego w objęcia drugiego mężczyzny przelatywała, unoszona, porywana, wiedziona — naostatak wróciła do swego tancerza, który ją gwałtownie porywał i okręcał się namiętnie, a jej głowa jak ze znużenia spadała mu na ramię, lub pełna wdzięku rozkosznego a jednak skromnego na pierś się chyliła, lub jakby zwyciężona uczuciem wylewała je w spojrzeniu na swego towarzysza... a otaczające ją tłumy, wstrzymując oddech, całe oczyma ją pożerały milczące i wzrokiem sobie tylko czarodziejkę ukazywały, jako nieporównaną; niekiedy wyrывało się im z przepelnionych piersi tylko *A! grand Dieu: que Julie est belle!* to ciszej, to

głośniej. W mazurze, tak jak go w Warszawie zwykli tańcować, to tylko jest do zarzucenia, że go figurami przeladowują i z tego powodu trwa on za długo, by tancerze i tancerki do końca całą świeżość i rzeźwość swą zachować mogły.

W menuecie i anglezie nie odznaczają się polscy tancerze, bo tych tańców nie lubią—ale osobliwsze karykaturalne kozackie tańce, z wielką zręcznością i lekkością wykonywują. Najznośniej patrzeć gdy dzieci tańczą kozaka. Ziemstą uczą je wszelakich skoków bardzo wcześnie. O balach dzieciennych, które dla tych po większej części prześlicznych istot, są tak wielkiej wagi—mówić będę na innem miejscu.

Umizgi i gra są dwoma jeszcze najważniejszymi osiami, na których się społeczność i życie towarzyskie obraca. Niektóre uwagi w tym przedmiocie odkładam także na później.

Małe towarzyskie, przyjacielskie kółka, które się wieczorami bez wielkich ceremonji i strojów schodziły, należały bezsprzecznie do najprzyjemniejszych w Warszawie. W nich można się było najprzyjemniej zabiawić rozmową ogólną, odosobnioną, małą grą lub przy fortepianie, wedle upodobania i skłonności. Weselość i swoboda je związywały, karmiły uczucia przyjazne, wypełniała rozmowa dowcipna... Tu było można najlepiej poznać narodowe wady i przymioty, serdeczność, uganianie się wrzawliwe za zabawą, roztargnieniem i t. p.

Znudzenie i przesyt, któremi wielki świat gdzieindziej jest ukaranym za nadużywanie przyjemności, w Warszawie są mniej widoczne. Naturalność, swoboda nadzwyczajna z jaką tu wchodzi się do towarzystw, mówi, poznaje, wyraża swe zdania, popisuje

z talentami—nadają im wiele uroku. Mówią wszelkimi językami, jakim kto umie, (trochę w tem jest też próżności) głównie po polsku, francuzku, włosku, niemiecku, wszystko to razem i w jednej rozmowie.

Aż do hiszpanów i turków wszyscy tu znaleźć mogą osoby, co ich język rozumieją, a jeśli na co uskarżać się można, to tylko na to, że czasem przy cudzoziemcu, który języka nie rozumie dalej po polsku z sobą wiodą konwersacyę, choć jego język znają (*) lub że gdy wszyscy równo po francuzku umieją, z wło-
chami, niemcami, hiszpanami rozmawiają w ich językach, im tym miłym dźwiękiem mowy przyjemność czynią, ale ogólna rozmowa rozbitą jest, posiekaną i niezrozumiałą dla wielu.

Wogóle wszyscy tu są bardzo dla siebie grzeczni, ale bez przymusu i pedanteryi; zwłaszcza w początku rozmowy i przy rozstaniu się z osobami, których albo się potrzebuje, lub domyśla, że kiedykolwiek potrzebować może.

Osoby, których się nie potrzebuje—doznają takiego przyjęcia i szacunku, jakiego się od nich wymaga—to jest na stopie zupełnej równości są traktowane. Parafiańskie zabiegi o zajęcie pierwszego miejsca, drażliwość na sprzeciwienie się, obawa o to, czy

(*) W niewydawanych listach P. Lucchesini do J. U. Niemcewicza, których znaczna ilość powinna się znajdować w zbiorach po K. Świdzińskim, jest jeden cały w największym pisany guście na towarzystwo u starościny małogoskiej, które w obec posłowej, nierozumiejącej słowa po polsku, cały wieczór prowadziło rozmowę we własnym języku. Był to jak się zdaje, psikus wyrządzony cudzoziemce, kobiecie pięknej, próżnej i namiętnej. (P. Tłum).

kto przemówić zechce lub nie, usuwanie się trwożliwe od nieznanomych, oczekiwanie pierwszego powitania, pilnowanie właściwych tytułów każdemu należnych, dziecinne spieszczenie głosu, powstrzymywanie się od dowcipu, aby kogoś nie obrazić—pokorne, uniżone obchodzenie się z kobietami, tysiące innych podobnych względów, które świat wielki niemiecki umęczają — w warszawskim społeczeństwie nie są znane, tu się mówi i śmieje jak się nawykło, przekonanie swe wygłasza jawnie, sprzeciwia głośno gdy inaczej myśli, weseli z rzeczy zabawnych, dowcipuje ile chce, nie wstydzi u stołu gospodarzyć, pić gdy się pragnie, okazywać zakochanym, zazdrośnym — słowem każdy jest takim, jakim go natura stworzyła i wszelki przy-
mus jest nieznanym.

Że ta swoboda czasem się przeradza w obyczaj, który z pojęciami przyzwoitości innych krajów się nie godzi — łatwo odgadnąć. Ale tu, gdy się posłyszysz nieszczęśliwego gracza, klnącego troszkę głośno i bijącego w stół pięścią i gdy się spotyka bardzo poważną figurę gwiazdzistą i orderową w stanie niezupełnej przytomności, na nieco drżących kołyszącą się nogach; gdy żarłok niepomierny serwetę do ust przyłożywszy, od stołu wstawszy do najbliższych drzwi się wynosi, gdy tancerka nieco za żywo rzuca się w objęcia swego towarzysza, który zbyt śmiało w jej wdzięki się wpatruje, lub para jaka ręce zbyt widocznie ściska a głowy przytula; gdy dwaj rozgrzani politycy, patrioci, trochę grubemi poczęstowawszy się słowy, za szable pochwycają—choć gdzieindziej towarzystwo inne by to raziło, może nie bez szluszności — tu się

na to ledwie spojrzy, lub nie wiele zwraca uwagi z tego względu, iż każdy czuje, że będąc równie żywym i urażliwym, może sam w podobnych okolicznościach wcale nie inaczej by sobie postąpił i równego by pobłażania wymagał.

Wskazywać, które świat widzi mniemają —
w warszawskim społeczeństwie nie są same, to się
mówi i kłóci się jak się nawyło, przekonanie swo
żłazka jawnie, sławie, sławie, sławie, sławie, sławie,
wzrost i wycieczki, dawajcie, dawajcie, dawajcie, dawajcie,
wskazywać, które świat widzi mniemają —
w warszawskim społeczeństwie nie są same, to się
mówi i kłóci się jak się nawyło, przekonanie swo
żłazka jawnie, sławie, sławie, sławie, sławie, sławie,
wzrost i wycieczki, dawajcie, dawajcie, dawajcie, dawajcie,
wskazywać, które świat widzi mniemają —
w warszawskim społeczeństwie nie są same, to się
mówi i kłóci się jak się nawyło, przekonanie swo
żłazka jawnie, sławie, sławie, sławie, sławie, sławie,
wzrost i wycieczki, dawajcie, dawajcie, dawajcie, dawajcie,

Na to swobodnie czasem się puszczają w obzaj,
który z polskimi przekonaniem innych krajów się nie
godzi — łatwo odgadnąć. Ale to, co się pozyski
niezależności, przez krajem, które sławie i dla
czego w stół, pięknie i woli, niekiedy, bardzo powa
nie, które świat widzi mniemają, w stanie niezachodzącej
przynależności, na prawo, niekiedy, koleżanki, się nie
kocha, gdy świat, niekiedy, niekiedy, do nas, przy
kiedy, od stół, wstąpić, do niekiedy, niekiedy, się
wzrost, gdy świat, niekiedy, niekiedy, w odje
na swobodnie, które świat, niekiedy, w tej, wstąpić
i się, wstąpić, niekiedy, niekiedy, niekiedy, wstąpić
który, a świat, niekiedy, niekiedy, niekiedy, wstąpić
niekiedy, niekiedy, niekiedy, niekiedy, niekiedy, wstąpić
na świat, niekiedy, niekiedy, niekiedy, niekiedy, wstąpić
niekiedy, niekiedy, niekiedy, niekiedy, niekiedy, wstąpić

V.

Kilka słów jeszcze o pewnych rozrywkach, które się stały mniej więcej koniecznymi wielkiemu światu warszawskiemu.

Teatr zajmuje w ciągu tygodnia przynajmniej godzin kilka. Mówię—tygodnia, gdyż dla mnóstwa zabaw niepodobieństwem jest odwiedzać go codziennie. Jako miejsce, w którym ludzie się radzi spotykają, służy on tu jak i gdzieindziej: idzie się tu, by być widzianym, by kogoś zobaczyć; młodzież i średniego wieku osoby plei obojga tu sobie naznaczają schadzki; przychodzą patrzeć, bawić się; a starzy dla czynienia spostrzeżeń i uwag... Kobiety przyjeżdżają prawie tylko, aby popisać się ze sztuką własną i modniarek, poprawiania i przekształcania natury, wybierając punkta, które oddaleniem, zbliżeniem, wgłębieniem, wysunięciem, światłem i cieniem, najkorzystniej pozwalają się pokazać, oslepić, poruszyć, tęsknotę lub ciekawość obudzić, wiele oczom obiecać lub rzeczywiście je zachwycić.

I rzeczywiście, w czasie sejmu, w dniach wielkich uroczystości i przedstawień sztuk, mających poli-

tyczne znaczenie — nie można sobie wystawić nie wdzięczniejszego nad widok uroczy rzędu łóż pierwszego i drugiego piętra w teatrze.

Dla króla i jego przyjaciół usiłowano gromadzić się w jaknajwiększej liczbie, dla okoliczności występowano jak najwspanialej, dla ulubieńców i admirałów starano się pokazać jak najsmakowniej, jak najwdzięczniej. Mówię — jak się domyślacie, o paniach, które śmiało do najpiękniejszych, najwytworniejszych, najgustowniej umięających się pokazać w świecie należały; owych wieczorów w świetle tysiąca świec woskowych, urok ich i wdzięki trzykroć jeszcze były bardziej czarującymi, niż zwykle. Ruchliwość mężczyzn, w najpiękniejszych swych strojach, w srebrem wyszywanych kurtach, w złocistych pasach, przy brylantami wysadzanych karabelaach i szpadach, krążących jakby w upojeniu i oślepieniu (raczej niż z weselem i swobodą) po łóżach i prowadzących wrzawliwiej rozmowę niż kiedykolwiek, dowodziła, że czarodziejki z łóż na parter urok swój wywarły, że osiągnęły cel i potrafiły odciągnąć uwagę od sceny i artystów. Gdy w sztuce nadeszła alluzya polityczna, a jedna z tych uroczych czarodziejek, piękne rączki wysunawszy z łóży, dała znak do oklasku, — patryotyczne upojenie, obudzone wyrzeczonemi słowy, stawało się powszechnem, burzliwem: tysiące dłoni hałaśliwe bić poczynały *bravo*, a krzyki „*fora*“ zmieniały się w dzikie niemal ryczenie. O powstającej wrzawie ten tylko mieć może wyobrażenie, kto słyszał francuzów, przyklaskujących dawniej wzmiance o ubóstwianym królu, lub teraz o rzeczypospolitej.

Znakomitsze panie i panowie polscy mają wiele zdolności do teatru, i szczęśliwie na amatorskich scenach często się z niemi popisują. Teatra te dawniej wszakże więcej były w modzie niż dzisiaj; w wielu pałacach w Warszawie znajdowały się dobrze urządzone sceny, na których dawano, w kółku familijnym, komedyjki i operetki, po większej części francuskie. W czasie mojego pobytu w Warszawie raz tylko byłem na podobnem przedstawieniu u hrabiego Thomasa. Artyści i artystki oddawna wypróbowane, obudzały zazdrość całego wielkiego świata, i w tej sztuce też wystąpiły z talentem.

Z jaką łatwością, trafnością, delikatnością, smakiem w ubiorach, piękną akcentu grano, określić trudno, nie pozostawiało to nie do życzenia. Była to jedna z kompozycyj zręcznych i miłych *Favart'a*, której tytuł wyszedł mi z pamięci. Scena była przybrana bardzo smakownie, wybornie urządzona, i godną hrabięgo, który przez lat kilka był przedsiębiorcą tutejszego teatru, póki nie doszedł do stanowiska, jakie w większej części zawdzięcza dobroci panującego króla.—O stanie teatru poniżej kilka jeszcze dam uwag.

Gra dla tutejszego wielkiego świata jest taką potrzebą i nałogiem, jak i w innych krajach; może nigdzie nie oddają się jej z większem upragnieniem, lekkomyślnością i rozrzutnością; stała się ona przyczyną ruiny wielu znacznych domów. Oprócz zwykłych gier towarzyskich, wszystkie i wszelkie gry hazardowne są w użyciu. Stawki dochodzą do nadzwyczajnych sum, a gdy wino głowy obalamuci, gra staje się niesłychanie namiętną. W towarzystwach liczniejszych małe kółka, złożone z panienek i dzieci, zabawiają się w fa-

raona; niema w tem nic nadzwyczajnego, gdy się tu widzi wygrane i przegrane dochodzące do kilkunastu dukatów. Często gospodyni domu dla zabawy swych gości bank zakłada, obok tego jeden z przybyłych lub kilku, i nie uważa się to za nieprzyzwoite... Ażeby te banki miały na celu gości, a szczególnie niedoświadczonych, obcych, ogrywać, jak to się w niejednym wielkim domu w Paryżu trafiało dawniej, tegom nie widział nigdy, anim o niczem podobnem nie słyszał; ale że bez tej myśli i zamiaru starzy i młodzi grą się zajmują, to nie ulega wątpliwości.

W początkach roku 1792 przybył do Warszawy młody człowiek, skromny i łagodnego charakteru. Codziennie przychodził na obiady pod Białego Orła, i wpadł mi w oko właśnie niezwykają u młodzieży polskiej łagodnością i skromnością. W pierwszych dniach widywałem go ubranego po polsku; suknię miał koloru niekrzyżącego, pas skromny, szabelkę staroświecką, małą, w czarnej pochwie. Do rozmowy nie mieszał się chętnie, a potrzebując czego, odzywał się do kredencarza (tak tu zowią kelnera) po cichu, i czekał na podanie cierpliwie. Przychodził regularnie pieszo. Dowiedziałem się, że jego ojciec, który miał być bardzo bogaty, wysłał go do Warszawy, aby świat poznał nieco. Zwykle miewał z sobą drugiego towarzysza, młodego oficera z artyleryi, o parę lat starszego od siebie. Widywałem ich obu często na sali sejmowej i w publicznych zgromadzeniach, gdzie zdaje się nie mieli wielu znajomych, i trzymali się na uboczu.

W tym samym hotelu jadano trzech młodych panieów, niezmiernie wesołych i hałaśliwych, mających

mnóstwo znajomych między posłami, kręcących się po towarzystwach bardzo poufale wśród pięknych pań. Powoli zbliżyli się oni do owego młodzieńca, i on sam codzień się zdawał więcej do nich przywiązywać; towarzyszył jego, wszakże zachowywał się względem nich chłodno, ostrożnie i rzadko mieszał się do ich rozmowy.

Nagle ukazał się jednej niedzieli ów młodzieniec, od stóp do głów przyodziany na nowo, wprawdzie jeszcze w stroju narodowym, ale najnowszego kroju i najmodniejszego koloru. Opasywał go pas kosztowny, szablę miał u boku z brylantowanej stali, buty karmazynowe z najpiękniejszego safjanu, słowem wyglądał wcale inaczej. Trzej nowi znajomi od kilku dni żartowali sobie z jego staropolskich sukien, a teraz, gdy skutkiem ich rady, przybrał się modnie, pytali go jakim sposobem w tym świeżym stroju mógł przyjść pieszo i safjanowego obuwia nie popłamić? Potem zaczęli żartować, gdzie Telemak zgubił swego mentora (gdyż oficera z artyleryi nie było przy nim), jak się miewali jego nauczyciele? czy dobrze wszystkie zadania i lekcje odbyć się udało i t. p. Zamiast śmiać się z tego, przybyły począł się rumienić i gniewać. Jeden z przyjaciół ofiarował się go odwieść swoim powozem, a nieznajomy przyjął propozycję z widoczną radością. Wieczorem znalazłem go już u siostry królewskiej. Dawny towarzysz jego nie znajdował się przy nim, ale dwaj nowi przyjaciele, którzy go swym znajomym młodszym posłom, oficerom kawaleryi narodowej i jednej podstarzalej, słynnej zalotnicy prezentowali go. W kilka dni potem nie przyszedł już do stołu, a dwaj nowi towarzysze nie ukazali się także. Od trzeciego dowiedziałem się w rozmowie, że kupił u Dan-

gła piękny powóz, a u pewnego starosty, którego nazwał, parę koni kosztownych. Następnego dnia byłem jeszcze w swoim mieszkaniu, gdy nowy ekwipaż parą koni w największym pędzie i skokach na podwórze się zatoczył. Woźnica przystojny, w nowej liberyi na koźle siedział, równie okazały lokaj z tyłu, a trzech panowie w środku. Nasz *nouvellement débarqué* (znowu w świeżem ubraniu), dwaj jego przyjaciele z nim, wyskoczyli z powozu.

Inny to był człowiek... Przybrał ton nakazujący, imponujący, mówił głośno, lajał kredencarza, pił wino burgundskie szklankami od piwa, mówił o znajomościach wielkiego świata, a gdy mu zaproponowano spędzić wieczór u marszałka Mniszcha, zapytał: *Y at'il des jolies femmes?* Po obiedzie, nieco podpiwszy, siadł ze swymi przyjaciółmi do *l'hombra*. Tej samej nocy spotkałem go na reducie w pałacu Radziwiłłowskiem, gdzie znajomym dwóm dziewczętom nadskakiwał. Po północy stał przy banku faraona i stawiał odważnie, choć gry nie rozumiał.

Następnego rana w nowem whisky razem z dwiema temi dziewczętami zajechał w dziedziniec na Tłomackie, jeden z przyjaciół w drugim powozie równie dobrze obsadzonym towarzyszył mu, drugi, zaś i trzeci jechali konno.

Jego dawny towarzysz, oficer artyleryi, jadł właśnie z nami u stołu; od niego dowiedzieliśmy się, że młodzieniec dawał obiad na Woli, i że nowy powóz od Dangła i ową parę koni zamienił na stare zjeżdżone whisky i parę szkap rozbitych, dodawszy jeszcze sporo dukatów. Opowiadając to oficer, pochylił się do ucha jednego z współbiesiadników, poważnego szlach-

cica, i coś mu jeszcze szepnął więcej. Po kilku dniach młodzieniec pokazał się znowu w powozie innym, końmi nowemi, i rozpowiedział sam, przechwalając się, że owe whisky, zaczepiwszy o inny jakiś ekwipaż, który go chciał wyprzedzić—połamał. Tego dnia też miał już na sobie nie polskie, ale francuskie ubranie. W ten sposób wszedł w koło najmodniejszej młodzieży, ale miła jego postać i powierzchowność wcale na tem nie zyskała, wyglądał sztywno, jak nakręcona lalka. Od trzewika do woreczka na włosy nie na nim nie leżało jak było powinno... Worek, dla krótkich włosów, pozostałych po stroju polskim, nie zawiązanym, ale przyczepionym być musiał. Dla dopełnienia karykatury opatrzone go we wszystkie niezbędne dodatki, pierścienie, tabakierki, koronki, brylantowaną szpadkę i t. p. Mówił tylko o grze i kobietach. Z pierwszym swym towarzyszem zdawał się całkiem poróżniony i wcale doń nie mówił.

W kilka dni znowu spostrzegłem go na Krakowskim Przedmieściu, w oknie drugiego piętra jednego domu który był cały do najęcia. Dwaj towarzysze stali obok niego. On sam, jak łatwo było poznać po sukni i postawie, był widać u siebie w domu. W samej rzeczy było to nowe jego mieszkanie. Najął je był za dziewięćdziesiąt dukatów miesięcznie.

Znowu potem znikł mi z oczów na jakie dni czternaście, nie przychodził już na obiady pod Orła, nie bywał w większych i lepszych towarzystwach. Mówiono, że najął kucharza i jadał w domu. Codziennie prawie przyjaciele i nowe przyjaciółki jadaly u niego.

Naostatek jednego ranka ujrzałem go znowu. Okna jego mieszkania wszystkie z wyjątkiem jednego,

były żaluzjami pozasłaniane. W tem ostatniem stał on w szlafroku, z szyją obwiązaną, blady śmiertelnie. Znany francuski chirurg był przy nim. Gdyta się o niego spytał, powiedział mi jeden z jego przyjaciół, że był chory, dając do zrozumienia, jakiego rodzaju była choroba. Drugi trafnym żarcikiem uwiadomił, że się też worek zupełnie wypróżnił. W parę dni potem, przechodząc jeszcze około jego mieszkania, nie mogłem się wstrzymać, by na nie okiem nie rzucić. Okna znowu stały pozasłaniane prócz jednego; siedział on w niem, głowę na ręce opuściwszy, osłupiałym patrząc wzrokiem przed siebie. Obok niego tuż, był pierwszy wierny przyjaciel, oficer artyleryi, objąwszy go litościwie i czule rękami.

Tegoż dnia w czasie obiadu; gdy całe towarzystwo nasze zgromadzone było u stołu, zajechał fiaker, i oficer artyleryi wyskoczył z niego; wszedłszy, poszedł wprost do towarzyszków swego przyjaciela i odciągnął ich na stronę. Po kilku słowach, które im szepnął do ucha, ci panowie, widocznie zmieszani, wzięli za czapki i szabelki i nie żegnając się, świszcząc i podśpiewując, aby pokryć zakłopotanie, z udaną powolnością wysunęli się za drzwi.

Zaledwie znikli, gdy nadciągnęła porządna remiza, a z niej wysiadł poważny, szlachetnej twarzy, mężczyzna lat dojrzałych. Czapkę trzymał w ręku, a czoło sobie chustką z potu ocierał. Oficer artyleryi pośpieszył naprzeciw niemu i wprowadził.

Siedliśmy do stołu, a po kilku chwilach wiedzieliśmy już, kto był nowo przybyły. Bardzo wyraziście po francusku zaczął mówić o sposobie życia

w Warszawie, o lekkomyślności młodzieży i złych przykładach, przytaczając nam historję swojego syna. W istocie był on ojcem znanego nam młodzieńca. Ten, w czasie swego sześciotygodniowego pobytu w Warszawie, stracił był tysiąc dukatów, które mu ojciec dał gotówką, trzy tysiące w liście kredytowym na Kabrit'a z których tysiąc było przeznaczonych dla niego, a dwa miał wypłacić jednemu z przyjaciół ojca; oprócz tego został dłużnym na słowo honoru tysiąc pięćset, a nie opłacił ani najmu mieszkania, ani krawca, ani kupców, u których brał towary. Starzec najwięcej się oburzał, gdy mu na myśl przychodziło, iż syn prawie całą tę summę przegrał, nie umiejąc grać, a oczy mu się zapalały twarz czerwieniła, gdy począł mówić o nowych przyjaciółach swojego syna. Oficer artylerji spojrział na nas i zrozumieliśmy dopiero, dla czego owych młodych paniczów stąd wyprosił. Obeszło się jakoś bez gwałtowniejszych wystąpień. Ojciec po kilku dniach zabrał z sobą syna na Podlasie. Ugodził wprzódysławnego chirurga, któremu za trzy miesiące miał zapłacić trzysta dukatów, aby z niemi pojechał...

Namiętność do gry we wszystkich prawie stacjach w Warszawie zakorzenioną jest bardzo głęboko. Stróże grają w karty we wrotach pałaców, oczekujący woźnice na kozłach, służący po przedpokojach, widziałem nawet raz na wschodkach w gmachu kościoła Ś. Krzyża żebraków, siedzących nad kartami, którzy grali razem i u przechodzących żebrali. To objaśnia, dla czego wedle obrachunku Izby stemplowej w r. 1781, na samą Warszawę tylko ostemplowano 22.697 talij kart francuskich.

Przejażdżki w piękne dni letnie i zimowe należą do ulubionych zabaw wielkiego świata Warszawy. Gdzieindziej kto trzyma konie i powóz, temi się zwykle do przejażdżki posługuje — tutaj do nich osobne powozy i konie być muszą... Książę Józef Poniatowski, który znany jest jako doskonały tancerz, zarazem wybornie konno jeździ i powozi. On był jednym z pierwszych, który lekki, otwarty, wysoko zawieszony powóz w Niemczech zwany *whisky*, a w Polsce kabrioletem w Warszawie w modę wprowadził. Z początku za przęgał do niego po cztery konie, potem osiem, w poręcz jedno za drugim, powożąc z siedzenia stojący, co wyglądało bardzo malowniczo, i widzom przypominało starożytnych w cyrkach woźniców. Konie miał zawsze najpiękniejsze, pełne ognia, rosłe i silne; ale tak mistrzowsko nimi władał, że harde stworzenia stały, szły, skakały, jak im jego ręka i głos nakazał. Ćmiło się w oczach i strach ogarniał, patrząc, gdy jedną z szerokich i długich ulic, w pełnym pędzie, wymijając inne powozy przebiegał. Zwykle jechało z nim dwóch jego przyjaciół, a on w pośrodku. Wielhorski, towarzysz broni, z którym razem walczył przeciwko Turkom, nie odstępował go nigdy, a często bardzo widywano przy nim Kościuszkę. Warszawa pełną była kabrioletów na trzy osoby. Kto nie był dość bogaty, by się na kupno i powożenie ośmiu końmi zdobył, ograniczał się czterema lub dwoma; kto się lękał rosłych, dobierał małe; ale każdy musiał mieć kabriolet i sam nim powozić, choćby nie dosięgnął swego pierwowzoru.

Trójka ta powozowa szczególniejszej paniom tak się podobiała, że się postarały również utworzyć podobną. Sześć najpiękniejszych elegantek warszawskich wprędce ka-

zały sobie sporządzić dwa whisky i popisywały się z niemi po wszystkich ulicach. Wkrótce weszły w układy z trzema panami temi, którzy zawsze najchętniej ku sobie oczy publiki pociągali, i nim się opatrzone, trzy kabriolety zawarły sojusz tak, że jednego bez drugich już nie widywano. Panie tak zręcznie chodziły około woźnicy, iż wreszcie nie ukazywał się inaczej, tylko między dwoma niewiastami. Tym sposobem odkradły sobie kobiety oczy i ciekawość tłumu i zwróciły je na siebie. To pewna, że piękne panie ze swemi tatarskimi konikami, któremi same powoziły po cztery ich zaprzęgając, szybkością i śmiałością księciu nie ustępowały.

Jednakże sojusz ten trwał tylko dni kilka, a przyczyną być się zdaje, że sześć kobiet udział w nim miało na trzech mężczyzn, a w kobiecym charakterze jest niestałość i żądza odmiany. Przykład wszakże zawsze skutkował, i widywano potem długo kabriolety po trzy, po cztery po sześć jeżdżące albo po mieście, lub czyniące wycieczki po okolicach Warszawy. Aby stosunek kobiet do mężczyzn mniej był rażący, przyjęto zwyczaj, aby za każdym razem jeden mężczyzna powoził a dwie panie miał po bokach. Tak się to wszystko uporządkowało i stosowało się do obyczaju powszechnego, bo i w towarzystwie jak w kabrioletach nieraz dwie panie jednym mężczyzną się dzieliły, a jeden mężczyzna dwom paniom służył.

Wkrótce też wekslarze i bankierowie i kupey postarali się o kabriolety; ale żony ich tu dopiero wydały się ze swoją nieudolnością do szlacheckich zabawek i brakiem wprawy. Same powozić nie umie-

jąc, albo brały za woźniców przyjaciół swych, braci krewnych, albo przeciwko wszelkiemu zwyczajowi kazały powozić z konia, a żadna cugli do rąk wzięć nie miała odwagi, — i z tego powodu naśmiewano się z nich wiele. Natychmiast po kupcach ukazały się w kabrioletach dziewczęta, nie należące do żadnej z klas społeczeństwa wyłącznie, bo żyjące ze wszystkimi w stosunkach — po trzy w jednym. Kabriolety te były już przez możniejszych odrzucone, stare, które teraz najmowano u dorożkarzy. Stały się więc te powoziki pospolitemi, ale utrzymały się do przejażdżek, jak zwykle powozy do wizyt i interesów służące.

Zimą przejażdżki sankami, kuligi stanowiły także zabawkę ulubioną. Jak tu wszystko zbyt kownie jest urządzone, tak też i sanie. Budowano je nader rozmaitemi kształtami, wiele oryginalnymi i dziwacznymi, na jedną, dwie, cztery osoby, po większej części bogato lakierowane, z ozdobami brązowymi, srebrnymi, złocistymi. Dobierano do tego uprząż, ozdoby, pokrycia koni i najlepsze ze stajni bieguny. Ozdobą, którą tu raz pierwszy widziałem, były u obu dyszlowych koni dwie długie sztuki jedwabnej kolorowej materii, gładkie lub w pasy, przytwierdzone z boków i umocowane do sani. Broniły one jadących od ciskania śniegiem i błotem, które podkowy końskie często chwytają, i wyglądały przy prędkiej jeździe jak rozpięte żagle. Ponieważ w jeździe saną wszystko obrachowane na efekt i okazałość, ma i to także swą wartość.

Inną zabawą zimową były reduty. Zaczynały się one w początkach grudnia (?) a trwały do postu;

przerywał je post, a potem znowu aż do Zielonych Świąt się ciągnęły.

Co tygodnia reduta w dwóch miejscach się odbywała. Naprzód w salach za teatrem, których było dwie większe a dwie mniejsze, potem w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskiem Przedmieściu, mianowicie na pierwszym piętrze, w jednej bardzo obszernej sali, trzech mniejszych i kilku pokojach przyległych. Lokal ten jest o wiele mniej świeży, mniej ozdobny i porządny od pierwszego; ale więcej daleko jest zwiedzany, bo tu cena biletu do wnijscia o parę złotych jest mniejsza, a swoboda masek większa. Na radziwiłłowską redutę przychodzi każdy, jak kto stoi: w butach, z ostrogami, w surducie, we fraku, z maską lub bez maski.

Jedyną działalnością policyi redutowej jest wymaganie złożenia szabli przy wnijsciu. Psy bez trudności wchodzą za swemi panami. Domino lub Tabaro widać tu rzadko bardzo i to na obcych, którzy po raz pierwszy na polskiej reducie się znajdują i ubierają się tak, jak jest we zwyczajach gdzieindziej. Tu każdy przychodzi, jeśli nie ma schadzki i nie obawia się zazdrośnych oczów, w sukniach codziennych, z twarzą odkrytą. Tylko panie z wielkiego świata, gdy są same lub we dwie i trzy bez mężczyzny, maskują się od stóp do głów dla uniknięcia, aby je za inne nie wzięto, bo dziewcząt także przychodzi tu mnóstwo. Zapobiega się temu, jeśli całe towarzystwo razem przybyło po salach chodzi, lub kanapy i krzesła zajmuje; wychodząc z zasady, że kółko znakomitych osób wszędzie z sobą przynosi powagę, jaka je odznacza i wy-

różnia od tłumu. Mniej tu tańcować zwykli, niż na redutach podobnych w Berlinie i Wiedniu.

W ogóle w Warszawie tańczą tylko przedostatnie klasy ludności, a najgłówniej czeladnicy rzemieślników, którzy rej wodzą z córkami swych majstrów lub kobietami publicznymi.

Maski charakterystyczne nie należą też do lepszego świata, z wyjątkiem ukrywających się pod niemi, dla jakiego figla albo dla miłosnego porozumienia. Wybierają jak najpospolitsze postacie: mnichów, stróżów, woźniców, kozaków, dyablów, żydów, nietoperzy i t. p. Raz mi się tylko zdarzyło widzieć maskę satyryczną. Był to olbrzymi but ze sztylpami, starannie wyszuwaksowany, opatrzony w ostrogę stosowną. Ten przechadzał się po salach pałacu radziwiłłowskiego wkóło, ale z powodu tuszy musiał często stawać i wypoczywać. Na sztylpie wypisane było imię dziwaczne majstra, który buty podobne robił. Na niewiele wprzód weszły były podobne sztylpy w modę, i mnóstwo osób nie będących ani berejterami ani stajennymi, poczęło ich używać. Do tego ściągnał się ów żart, którego wykonanie musiało być bardzo trudnem zadaniem, bo po krótkiej chwili but stanął sobie w kącie, a dusza, co go ożywiała wyszła.

Gdy kobiety się przebierają, to najczęściej za żydówki, rusińskie chłopki, tureczynki, wieśniaczki i t. p., mniej lub więcej smakownie i bogato. Tłum dziewcząt ulicznych, które na radziwiłłowskich redutach w wielkiej liczbie bywają, ubiera się wedle fantazyi swej, często bardzo ładnie, czasem bez smaku; wedle tego można oznaczyć klasy, do których one należą. Liczba osób na reducie dochodzi zwykle od dwóch do

trzech tysięcy. Znajduje się tu wszystko co kto może zażądać do jedzenia, picia i smakowania; nie brak naturalnie i banku faraona,

Reduta w sali teatralnej jest przyzwoitszą, niż w sali radziwiłłowskiej, ale mniej licznie uczęszczaną. Brudnych masek, których tu pełno, tam nie wpuszczają. Różni się ta reduta wielce tonem i każdy, co na nią idzie, musi się staranniej ubrać. I tu cała zabawa polega na błakaniu się wśród tłumu tu i owdzie i jeśli się okoliczność do innej rozrywk inastręczy, korzystaniu z niej. Tańczą tu bardzo rzadko. Zwykle obie reduty zwiedza się jednej nocy.

Jakkolwiek znaczną już liczbę zabaw wyliczyliśmy, nie starczą one dla spragnionych rozrywek warszawian i do zwyczajnych, dodać trzeba nadzwyczajne. Do tych zaliczam pikniki, które nigdzie, z wyjątkiem Berlina, nie są tak częste jak tu, i przez tak różnych stanów ludzi urządzone — rozumie się wedle możności kosztowniej i oszczędniej.

Piknik dla większego świata urządza i zajmuje się nim jeden z panów. On oznacza cenę po dziesięć, osiem, sześć i cztery dukaty od osoby, stosownie do pikniku. Stara się o salę, muzykę, jedzenie, wino i inne napoje. Na wiosnę wyprawiają się takie pikniki najchętniej za miastem, w Marymoncie, Wilanowie, na Woli i t. p. zimą w salach za teatrem, w radziwiłłowskim pałacu lub innych gmachach... Każdy kto tylko bilet opłacić jest w stanie, udział w nich bierze, jakiegokolwiekby był stanu i pochodzenia. Nikt tu o to się nie troszczy, przy zabawach na nie się nie zważa. Z tego powodu, podobne zgromadzenia jak i inne w Warszawie, zawsze są liczne, wesołe i nader świe-

tne. Taniec głównie zabawia młodzież i pleć piękną, karty pleć brzydką i starych. Ci mogą sobie siedzieć spokojnie, nikt ich nie ruszy, bo członkowie towarzystwa rzadko są sobie tak poufale znani, aby coś dla grzeczności czuli się w obowiązku uczynić. Do tańca wymaga się zręczności, ładnej postawy, i można by najpochlebniejsze powziąć wyobrażenie o ludności Warszawy, gdyby się o niej sądziło z pikników, na których najdородniejsze, najmilszej powierzchowności postacie się spotyka. Zaszedłszy do bocznych pokojów, można dopiero odkryć odwrotną stronę medalu. Warszawa ma jeszcze jedno widowisko wspólne z Wiedniem, właściwie przeznaczone dla prostego ludu, ale na które tu jak w Wiedniu wyższe też klasy uczęszczają — mówię o tak zwanej *Hecy*. Przedstawienia odbywają się w niedzielę i święta, w które publiczność, dla jakiej są przeznaczone, ma najwięcej czasu i pieniędzy do stracenia.

Amfiteatr *Hecy* nie ma rozmiarów, ani wysokości wiedeńskiego, ale kształtem i budową go przypomina... Mniej jedną ma galerję i nie jest równie dobrze utrzymany. Liczba dzikich zwierząt mniejsza i różnaitość ich nie tak wielka: Hecmaister i pacholkiwie jego nie okazują tyle odwagi i zręczności w zabawieniu publiki co wiedeńscy, którzy im za wzór służą. Nie umieją dać uczuć, co ma ich powołanie w sobie szlachetniejszego, artystyczniejszego. Wystąpić na przeciw dzikiego byka i za rogi go ująć, walczyć z nim i pokonać w końcu, rozwścieczonego wilka, z paszczęki psów wyrwać i do piersi go przycisnąwszy nieść do klatki, i z niedźwiedziami zaprzyjaźnić się tak czule, by po twarzy i rękach lizaly, mogąc je pokąsać; —

tych i tym podobnych cudów, które dla wiedeńskich hecmajstrów są igraszką, warszawscy nie dościgną, przeto też i miłośników podobnych scen nie bardzo zadowolnić mogą. Największą sztuką i czynem najznakomitszym, na który widziałem ich, poszedłszy raz ze znajomemi, wążących się — to, że dosiadłszy zmęczonego już byka jeździli z nim po teatrze... i zeskończywszy z niego, byka i siebie sześciu czy siedmiu psom wziąć dali. Pospółstwo gorąco przyklaskiwało, ale więcej wymagający znawcy niż my, tylko z politowaniem ramionami ruszali. Hece z wilkami i niedźwiedziami odebrały nam resztę cierpliwości, a młody oficer, wiedeńczyk, nie mogąc powstrzymać swego oburzenia, formalnie ich wyświstał i wyśmiał. Było to w sam dzień imienin królewskich, w rocznicę nowej konstytucyi, d. 3 Maja 1792, przedstawiono z tego powodu dla ludu tę nędzną hecę, na której psy żadnemu wilkowi nawet rady dać nie mogły. W Wiedniu dni takie wcale się inaczej obchodzą, opowiadał nam ogniście młody oficer; tam, raz na świętą Annę widział, jako dziesięć psów rozjuszonych jedenastego zjadły; jak lwica, krążącego po arenie obwieszanego kotami osła, jednym łapy uderzeniem rozłamała na dwoje w krzyżach, tak że przód z tyłem zwierzęcia tylko się skórą trzymając, na ziemię upadł; jak niedźwiedź kozła żywego, mimo rzucanych pań pocisków ze skórą zjadł całego; także najmniej parę tuzinów byczych i niedźwiedziach uszów, posianych było w koło po amfiteatrze... Słuchaliśmy jego opowiadania o ile możliwości, okazując mu zajęcie, a podziwienie nasze dla hecy wiedeńskiej, musiało spaść pogardą na warszawską.

Król ma w amfiteatrze lożę swoją, jak cesarz— w wiedeńskim. Odwiedza go wszakże bardzo rzadko lub prawie nigdy. Obok niej znajdują się loże, czasami osobami wyższych stanów zapelnione. Te przychodzą, na hecę, nie żeby miały w niej upodobanie, ale jak i gdzieindziej dla zabicia kilku godzin czasu, nie wiedząc, co z nim zrobić. Wielki świat najbardziej się nudzi w niedzielę i święta, bo tu jest we zwyczaju, że zabawy i bale mało się w te dni odbywają; a w godzinach od czwartej do szóstej po południu, na której heca przypada, niema co robić i jak się zabawić. Zresztą jeździ się tam, gdzie się towarzystwo znaleźć może, dla niego właściwie, a nie dla uciechy. To tłumaczy dla czego w Warszawie i Wiedniu lepsze towarzystwo i staranniej wychowani ludzie, mimo obrzydliwości tego widoku odrażającego, po kilka godzin trawić tu mogą. Niesłusznem było by wnioskować że wyższym stanom obu stolic zbywa na smaku i uczuciu i że istotnie lubują się w tych krwawych widowiskach. Zdaje mi się, że ludzie, co z hecy wiedeńskiej o usposobieniach ludności wnioskowali, nieco za pospiesznie sobie postąpili. Zdawaloby się, iż jest coś w naturze ludzkiej, pociągającego ku widokom walki śmierci z życiem, cierpień, kar, wieszania i ścięć; ale bliżej się w to wpatrzywszy, znajdziemy, że wielką rolę gra w tem ciekawość, małpiarstwo, chęć pokazania się i tysiące innych społecznych pokus, dla czego rusztowania i okna na takich widowiskach wielki świat zapelnia.

Gdy przed kilka laty rozbójnik i podpalacz w Berlinie był palony, a w Wiedniu złodzieja i mordercę Zahlheima rozpalonemi cęgami szarpano, w obu miej-

scach publiczność była bardzo liczna, bardzo świetna— a któżby dla tego berlińczyków i wiedeńczyków o usposobienia okrutne i srogość obwinał.

Heca warszawska prócz tego daleko mniej jest odwiedzana niż wiedeńska. Wprawdzie ludność Warszawy mniejsza też jest o dwie trzecie, ale amfiteatr ledwie połowę tego co wiedeński zmieścić może, a ani o pół nie jest tak pełny jak tamten. Głównie tu i tam tłum z jednych się składa pierwiastków — z rzemieślników, rzeźników, kowali i t. p. do których dodać należy żołnierzy, mnichów, woźniców, strzelców, młodzież zdziczałą nieco lepszego pochodzenia, i dziewczki uliczne; tacy najwięcej w hecy smakują, a psom, wilkom niedźwiedzim, bykom, hecmajstrom i pacholkom razem, najserdeczniej przyklaskują.

Warszawa ma publiczne łazienki, na których jeszcze wielu większym miastom niemieckim zbywa. Jedne z nich położone są nad samą Wisłą i dosyć porządnie wyglądają. Składają się one z podniesionego piętra jednego, podzielonego na małe gabineciki, w których mieści się jedna lub dwie wanny. Przez wszystkie przebiegają rury z zimną i ciepłą wodą. Wanny są wprawdzie drewniane, ale bardzo czysto i porządnie utrzymywane. Kąpiel kosztuje cztery złote polskie, razem z potrzebną bielizną. Kanapka, na której po kąpieli się odpoczywa, stoi tu także. Obie płci przyjeżdżają się tu często kąpać — a (nie potrzebuję nawet mówić o tem) że się nikt nie sprzeciwia, jeśli dwie osoby płci różnej do jednego wchodzi gabinetu. W istocie łazienki służą często za miejsce schadzek dla nie-szczęśliwych, uciśnionych kochanków, którym tu nie przeszkadza. Jest przy tem kawiarnia i winiarnia;

i na galerji od ulicy, panującej nad Wisłą, można sobie kazać podać, co się podoba. Jeśli się nie mylę, mogłem zmiarkować, że usłużny gospodarz w pewnych godzinach stara się o to, aby gościom samotnym na miłym towarzystwie po gabinetach i na galerji nie zbywało.

Przy łaźniach jest drugi zakład kąpielowy; prawie jednakowo urządzony. Tu i tam wyższe towarzystwo kąpie się w wielkiej liczbie.

Przy wnijsieciu do wielkich alei, prowadzących do Ujazdowa, mieści się traktiernia szczególnego rodzaju, mająca wielką wziętość. Tu przyjeżdżają na *raki*. Trzyma gospodarz wielką ich zawsze ilość i karmi, ale sposób ten karmienia jest tajemnicą z dwóch zapewne przyczyn, ażeby współzawodnicy nie chwycili się go i żeby goście odrazy od karmionych nie dostali.

Prawda to, że *raki* doprowadza do nadzwyczajnej wielkości i tężności. Sławne *raki*, które się poławiają w rzece Odrze, nie dochodzą tutejszych ani wzrostem ani smakiem. Sposób przyrządzania także szczególny i zachowuje się w sekrecie. Nie zechcą mi może wierzyć, że się tu dukaty przejadają, ale jakem mówił już, w Warszawie wszystko jest wytworne i drogie. Przy tem przyzwyczajenie i zwyczaj każą nie pić po rakach innego wina tylko burgunda, szampana lub węgryzna. Sam półmisek raków od trzech do czterech złotych polskich kosztuje. Przychodzi się tu albo samemu albo w towarzystwie, a po cenach łatwo się domyślić, jakie towarzystwo uczęszcza. Niektórzy panowie z wyższych klas zwykli także wieczorami na zabawę, hulankę zbierać się w kilku domach publicznych. Po większej części są to starzy wyjadacze lub młodzież rozwiązła, szlachta, kupcy, urzędnicy; oficerowie

i t. p. Tu piją jeszcze po staropolsku, i grają nie na żarty. Zabawiwszy do północy zwykle potem zimą udają się na redutę, a latem do znajomych panienek. Gdzie się zjawi taka kupka, jakby piekło zle duchy wyrzuciło. Na reducie kupami się włóczą i wyprawiają awantury, zaczynają pić na nowo, spędzają dziewczęta do gromady i wybierają, a potem zabierają do domów lub jadą sami z niemi. Ci ludzie pozwalają sobie z nieszczęśliwemi temi istotami obchodzić się w sposób najokropniejszy, z czem gdzieindziej się już nie spotykamy, bo policya czuwa nad tem, po innych stolicach. Tu zaś policyi niema prawie żadnej, a panicze wcale o nią nie dbają.

Zimą r. 1792 jednego rana znaleziono ładną dziewczynkę, około lat czternastu mającą, u bramy saskiego palacu na pół umarłą. Włosy i odzież miała w największym nieładzie, głowę potłuczoną i nicce po całym ciele. Zaniesiono ją do jednego z sąsiednich domów, cucono, trzeźwiono tak że przyszła do siebie. Dowiedziano się od niej, że z reduty udała się z młodym jakimś panem do jego mieszkania, ulegając jego gwałtownym prośbom. Z początku opierała się temu, bo go nieco wprzód widziała, przechadzającego się z sześciu czy siedmiu towarzyszami, którzy dziko i grubiańsko dokazywali. Ale gdy ci panowie znikli, dała się nakłonić. Pojechała powozem z tym paniczem do jego mieszkania, ale teraz nie mogła go wskazać, nieznając Warszawy, do której przed niewielu dniami wprzód przybyła. Zaledwie pięć minut upłynęło, towarzysze tego pana przybyli za nim; najokropniejsze się ich obejście z nią, nieludzkie i okrutne, zmysłów ją pozabawiło, tak, że nie wiedziała jakim sposobem znalazła

się w tem miejscu, skąd ją przyniesiono. W innem mieście takiego by łotra wynaleziono; ale w Warszawie niema na to ani instygatora, ani sędziów; a gdyby skargę dziewczyna zaniósła lub jej gospodyni, ukarano by ją, a rozpustnikowi nie by się nie stało.

W podobny sposób postąpiła sobie rozpustna młodzież tej wiosny. Małe kółko szlacheckich paniczów, do których się liczyło dwóch kawalerów ś. Stanisława, przybyło do Mokotowa, domu wiejskiego księżnej marszałkowej Lubomirskiej.

Właścicielka ma upodobanie w pięknym drobiu i w czasie jej niebytności utrzymuje się tu starannie ptactwo wszelkiego rodzaju, młodzi panicze za bardzo ładny żarcik sobie poczytali drób wszystek wybić. Dobyli szabel i lby pościnali pawiom, kogutom kaczkom, gęsiom najkosztowniejszych gatunków. Dozorecy pałacyku, który nadbiegłszy chciał bronić, także się w grubjański sposób dostało... Potem puścili się w pogoń za rozproszonemi po parku żurawiami, czaplami, łabędziami i obeszlą się z niemi jak z drobiem. Z tego widać, że duch księcia Karola, panie kochanku, całkiem jeszcze w Polsce nie wygasnął.

Od przyzwoitszych i wykwintnych zabaw warszawian wielkiego świata przeszedłem nieznacznie do najpospolitszych i najordynarniejszych, a muszę zakończyć opowiadanie o stosunkach z kobietami i dziewczętami płochego życia, których nigdzie może niema tyle co w Warszawie. Pod tym względem w Polsce więcej niż w innych miastach czuć dawną obyczajów dzikość, która uderza nawet tych, co charakterystykę stosunków podobnych badali w Paryżu w Wiedniu i Neapolu. Świętość mał-

żeńskich związków jest tu zupełnie lekceważoną. Otóż kilka spostrzeżeń o dziewczętach i panienkach Warszawy.

Zbytek, który tu jak gdzieindziej od małżeństw odstręcza, i z każdym rokiem liczbę bezżennych powiększa;—mnogość młodzieży, napływającej do kancelaryj, do wojska, do kantorów kupieckich, do biur i t. p.;—silny przyływ szlachty z prowincyi, która najczęściej przybywa tylko dla rozrywki, i dla niej chętnie pełnemi garściami sypie;—pobłażanie w tym względzie opinji publicznej do zbytku łagodnej;—nawyknienie do zadośćuczynienia swym zacheiankom i fantazjom w sposób nadto swobodny, właściwy synom wolnej Rzeczypospolitej;—brak surowszego wychowania u kobiet klas niższych;—zły przykład, jaki dają mężczyźni i kobiety z wyższej społeczności; zupełny brak nadzoru ze strony rządu i wszelkiej policyi—sprawiają, że się tu dziwić nie można nadzwyczajnemu rozprężeniu obyczajów, jawności jego, rozszerzaniu złego, kosztowności i marnotrawstwu, jakie ono za sobą prowadzi, mieszanie bezwstydu i dzikości w niem, jakich może żadna stolica europejska w tym stopniu co Warszawa nie przedstawia.

Narzędzia tego zepsucia można podzielić na klas kilka. Nie dzielą się one w rzeczywistości od siebie tak dobitnie. Niema między nimi granic tak wyraźnych, postacie działające schodzą i podnoszą się z kolei; zewnętrzne oznaki stanowią ten podział, młodzież też uczęszcza *promiscue* tu i owdzie, jednakże między dziewczętami stanowią różnicę ich znajomości i stosunki z mężczyznami wyższego towarzystwa lub pospolitym tłumem.

Pierwszą klasę stanowią dziewczęta utrzymywane, które się zaprzędają za mieszkanie, wyżywienie,

ubranie i pensję, dostarczaną przez swych przyjaciół. W wyższym towarzystwie weszło prawie w obyczaj, że ludzie żonaci, wdowcy, kawalerowie, szukają rozrywki w tych stosunkach, i liczba utrzymywanych w czasie sejmu lub większych zjazdów szlachty jest bardzo znaczną, a byłaby jeszcze większą, gdyby panie zamężne, oprócz mężów, nie miały ulubieńców, u których zastępują miejsce i spełniają obowiązki tych panienek.

Ponieważ z niemi żyje się na stopie pewnej równości i szuka się nietylko wdzięku i rozrywki, ale złudzeń i milego przepędzenia czasu, wymaga się więc od nich, oprócz piękności i powierzchowności, ukształcenia, uczucia, smaku w ubraniu, wesołości i t. p. Stąd większa część tej klasy panien składa się z obcego pochodzenia kobiet, głównie francuzek, włoszek, (mało niemek), które do Polski przybywają zamówione jako garderobiane, modystki, bony lub aktorki i artystki. Polki są najmniej poszukiwane, częścią dla tego, iż klasa, z której podobne istoty pochodzić zwykły, w Polsce mniej ma wykształcenia, częścią, iż polacy zawsze i w tym punkcie także cudzoziemki przenoszą nad swe rodaczki, gdyż do lepszego tonu należy i piękniej wygląda mieć za metresę włoszkę lub francuzkę, i dogadza się próżności pochwalić się kochanką, z którą można zabawić się w obcym języku. Chyba, gdy już cudzoziemek braknie, bierze się w ostateczności polkę, i poszukuje osób lepszego pochodzenia, zwykle uwiedzionych, porzuconych, rozwiedzionych z mężem, zbiegłych od rodziców, które rajfurki dostarczają, starając się podnieść ich wartość, wywodząc ich szlachetne przymioty, ród i wychowanie.

Charakter tych istot, jak wszędzie tak i tu, jest jeden. Zależąc całkiem od łaski sułtana, z którym każdego czasu mogą zerwać lub go przytrzymać, starają się, dopóki go mają w rękę wycisnąć zeń i wyludzić jak najwięcej. Roztropniejsze, wspaniałomyślność swych panów zużytkowują na swą korzyść trwałą; inne marnują co pochwycają dla błyskotek. Trafia się, iż pierwsze z nich przydać się mogą. Mając na widoku korzyść własną tylko, powstrzymują od niepotrzebnych wydatków, żyją skromnie, aby zapobiedz katastrofie. Jeśli rachują na stałe stosunki lub w przyszłości na małżeństwo nawet, niaraz dają dowody bezinteresowności, wierności swej, jakiej po prawowitej małżonce spodziewać się trudno.

Przykładem tego był starszy syn znanego księcia P., Majątkowy stan ojca był bardzo nieszczęśliwy, syn także nie wiele mógł na utrzymanie swoje dostawać. Dzieci księcia utrzymywały się prawie z samej gry tylko. Starszy w jesieni r. 1791 wygrał jednej nocy dwadzieścia tysięcy dukatów. Żył naówczas z włoską, piękną i bardzo wykształconą dziewczyną, która rozmaite zmiany losu z nim dzieliła. Umiała ona to chwilowe szczęście zmienić na trwały byt lepszy. Wpływem swym umiała młodego panicza skłonić do tego, że kapitał wygrany oddał na procent, a domowe swe utrzymanie tak urządził, aby mu ono starczyło na życie; grę zupełnie porzucił i choć skromnie ale szczęśliwie z nią żył i żyje dotąd (1793). Jako rozsądna i pełna wdzięku kobieta umiała go usidlić, i mimo wpływów przeciwnych przy sobie utrzymać. Trudne to do wiary, ale najprawdziwsze i może służyć za rys charakterystyczny tutejszych kobiet wielkiego świata; wiele piękności starało się księcia P...

odciągnąć od niej przez miłość własną tylko, aby włoszka nie mogła się chwalić, że młodego ukształconego, miłego chłopaka, od towarzystwa wyższego odciągnęła. Z drugiej strony zabiegano i intrygowano przez młodzież, aby dziewczynę zbałamucić, ale plan ani w pierwszym ani w drugim się nie powiódł.

Księżę J... P... był raz także w takim wypadku. Miał oblubienicę, do której bardzo był przywiązany. Aby nad nią odnieść zwycięstwo, spiknęły się trzy najpiękniejsze panie warszawskie, postanowiwszy bądź co bądź go od niej oderwać. A że się to zwykłemi środkami dopiąć nie dało, wdarły się raz aż do sypialnego pokoju księcia. Z zalotnością i wdziękiem, właściwym tylko polkom wyższego towarzystwa, czekały nań tam wieczorem — najpiękniejsza z nich za kotarą jego łóżka, dwie inne, przebrane za Nimfy... stojąc przed nim. Wybiegły naprzeciw niego, gdy wszedł, i poprowadziły go przed żywą pokusę; ale — niestety! ze wstydem wyszły, i nie potrafiły go od ulubienicy oderwać: księżę wyrwał się im i do niej powrócił. Tego bohaterstwa długo, długo, darować mu nie mogły.

Jednakże przykłady wierności obustronnej panów i ulubienie są rzadkie. Mężczyźni obchodzą się z nimi jak z niewolnicami, pozbawionemi własnej woli; one uważają ich za panów i dobrodziejów, ale się czują mimo to swobodne w rozporządzaniu sobą. Przywiązanie mężczyzn pochodzi z namiętności, temperamentu, zazdrości, próżności i miłości własnej, lub pamięci na to, co podobny stosunek kosztuje; zresztą nie wiąże wcale; one zaś o tyle się przywiązują, o ile ich zachceniom, fantazyom i kaprysom dogadza ulubiony, o ile okazuje im wyłączną skłonność a gdy tego nie wi-

dzą, nie czują dla niego żadnej wdzięczności i obowiązków. Z tego stosunku wypływa sposób obejścia się wzajemny. Jedno drugiemu nigdy nie wierzy. Aby sobie kupić spokój, jedno płacić, drugie wydzierać musi. Związek ten, oparty na namiętności, miłości własnej i rachubie, trwałym być nie może. Kobieta nie znajduje przywiązania, mężczyzna w nie nie wierzy, wyjątkiem są rzadkie lepsze serca. Nieustanna podejrzliwość obustronna, która wygląda na zazdrość, wiąże tylko dwie te istoty z sobą, a stosunek jest tak dręczący, tak nietrwały, jak — dla powszechnej moralności i dobra ogólnego być zasługuje.

Że utrzymanie tego rodzaju metres kosztowne bardzo być musi, łatwo się domyślić. Trzeba nająć mieszkanie, które i próżności pana i wymaganiom kobiety zadość uczynić powinno. Lokal wybiera się przy ulicy główniejszej, ożywionej, dla tego, aby pana, gdy w oknie u niej zasiądzie, wszyscy widzieli, i żeby ona zostawszy samą, miała rozrywkę. Trzeba dla panny utrzymywać powóz osobny, lub najmować remizę, świeżą, wytworną, i mogącą się pokazać przed ludźmi bez wstydu; trzeba posprawiać suknie i klejnoty, ażeby tam, gdzie ona nie jest znaną, mogła uchodzić za osobę przyzwoitą; trzeba postarać się o stół, trzeba mieszkanie przystroić wspaniale tak, żeby w niem godnie można przyjmować przyjaciół zaproszonych; jednem słowem wszystko się urządza w ten sposób, jakby dla prawej żony. Jeśli mężczyzna żonaty, nie mieszka tu wprawdzie, ale spędza wszystek czas wolny i godziny nie zajęte: nieżonaty może zamieszkać razem. Całe to szczęście miesięcznie kosztuje od dwóchset do trzechset dukatów. Pani lub panna na tej stopie utrzymywana, pokazuje się świetnie po wszystkich ulicach,

spacerach, miejscach publicznych, teatrach, widowiskach i dziecinną swą uciechą ze wszystkiego staje się śmieszna—co inaczej być nie może. A że do uzupełnienia szczęścia potrzebuje kobiecych znajomości, aby przed nimi się pochwalić swym zbytkiem i zazdrość w nich obudzić; innych zaś nad siebie podobne mieć nie może, często się spotyka w Warszawie tego rodzaju istot po tuzinie razem, postrojonych we wszystkie swe kosztowności: w teatrze, na koncertach, redutach, popisujących się z dumą i bezwstydem razem. Zwyczaj utrzymujący dają im za towarzyszków pewnych ichmościów, wybranych przez się lub przez same panny, których za niebezpiecznych nie uważają. Ci jedzą, piją, jeżdżą, tańczą z nimi, stróżują i pilnują tego skarbu, a niekiedy pośredniczą między nimi a diletantami. Miłośników owego zakazanego owocu jest podostatkiem, a tajemniczość stosunków, trudność zawiązania ich, przyjemna myśl oszukania pryncypała i otrzymania pierwszeństwa, są bodźcem do starania się o chwilowe tych pań łaski. W tym wzgłędzie przyjaciel przyjacielowi nie daruje, syn ojcu, brat bratu. Metresy po większej części skłonne są do takiego oszukaństwa, bawią się, pomnażają swe dochody, a idą z tem większą ochotą na lep, jeśli diletant bogaty i na przypadek pochycenia ma z czego wynagrodzić stratę. Najczęściej w ten sposób jeden przypłaca za wielu, a skutki podobnego życia dla zdrowia obrachować łatwo... Dość powiedzieć, że do wydatków trzeba liczyć zawsze doktora, o czem zresztą rozpisywać się obszerniej nie chcę... Znajdzie czytelnik dosyć przykładów zemsty podobnej, złości, figłów niepocziwych po francuzkich rocznikach.

Druga klasa panien mieszka z własnych funduszów i rachuje na znajomych i odwiedziny. Wybierają one zwykle lokal na Krakowskim Przedmieściu, w najbardziej ożywionej jego części, pomiędzy pocztą a wnijsciem do Saskiego pałacu. Są tu domy niektóre i piętra całe po domach, które od lat wielu, dla tego rodzaju mieszkańek, wyłącznie zdają się przeznaczone.

Tu się przychodzi, jak gdzieindziej, do kawiarni. Mężczyźni nie wahają się pokazywać w oknach, razem z temi paniami, u nich siedzieć; patrząc i dając się bez wstydu widzieć przechodzącym. Nikt o zachowanie przyzwoitości nie dba, a na dowód tego lekceważenia przytoczyć mogę, że w dzień obchodu rocznicy konstytucyi, gdy król w stroju uroczystym, prymas *in pontificalibus*, wszyscy biskupi, senatorowie, posłowie przez Krakowskie Przedmieście ciągnęli, wszystkie okna tych panien pełne były oficerów i różnych ich znajomych, chociaż w pochodzie znajdowali się naczelnicy, jenerałowie ich, ojcowie, krewni... Nie to nie przeszkadzało razem z dziewczętami siedzieć lub mieć ich głowy nad sobą. Nikt na to nie zważał.

Równie się mało na to zwraca uwagi, komu się w domu najmuje pokoje; gospodarze nie wchodzą w to, iż ich lokatorowie odwiedzani są przez podobne panny, które częstokroć dłuższy czas pozostają, a niekiedy tygodniami i miesiącami całemi siedzą. W mieszkaniach prywatnych swoboda zupełna, nikt nie sądzi, żeby dom przez to na sławie miał tracić. Po gospodarach i hotelach służy najbezwstydniejszem rzemiosłem pośredniczenia trudnią się w biały dzień, a gospodarze

ich nie wypędzają. Po kawiarniach, restauracjach, winiarniach niema także nadzoru i uwagi na osoby, przychodzące i mieszające się do gości. Czasem najuczciwsza rodzina zajmuje lokal, opróżniony po takiej rozpustnicy, a u stołu siadają nieświadomi obok najpodejrzniejszych figur. Lekkomysłowość w tym względzie jest największa i powszechna; wstydu i delikatności uczucia nie znaleźć, chyba może między Niemcami (?), którzy mimo złych przykładów, zachowują pewien wstyd i rozwagę w stosunkach tego rodzaju, właściwe swemu narodowi, i tych się tu nie pozbyli.

Drugiego rzędu panny, które pewny wybór w znajomościach czynią, muszą z utrzymaniem domu być gotowe na różne losy, jak gracze mają one dziś szczęście, jutro niedostatek, pojutrze znowu zbytki. Wdzięczność, którą przybyli okazać za gościnne przyjęcie, mierzy się stopą, na jakiej urządzony dom, a wogóle przy drożynach powszechnych i ona się do niej zastosowuje. Niektóre z tych pań nie przyjmują osób nieznanomych, tylko poleczone przez przyjaciół, pośredników i t. p. Siedzą one po większej części dosyć smakownie poukierane, cały prawie dzień w oknach, udając, że są niezmiernie jakąś kobiecą robotką zajęte. Najchętniej radeby uchodzić za młode mężatki, lub wdowy, starając się o jedno lub dwoje dzieci, które najmują na ten cel, i w innym oknie bawić się im każą. Jeżdżą także i spacerują z nimi, ukazując się w ogrodzie Saskim lub Krasińskich. Sztuka ta udaje się im tylko z cudzoziemcami lub wieśniakami; ale że tych zawsze pełno w Warszawie, rzadko muchy podobne od ich sieci się wywiną. Im się więcej z sobą drożą, udając niebezpieczeństwo, jako młode mę-

żatki, im lepiej grają tę komedię, starając dowieść ofiary jaką czynią, tem rozmiłowany, zajadlej z niebezpieczeństwem walczy myśląc że istotnie cudów dokazuje, i enotę upartą pokonywa, wspaniałomyślniej potem dukatami obsypuje zdobycz. Mniej wprawne oczy, nawet zewnętrzną fizjognomią mieszkania uwiedzione być mogą. Damy te starają się o bardzo przyzwoity i wytworny ubiór, pokoje ich są smaczkownie przybrane, a głównym w nich i najpiękniejszym sprzętem jest przepyszna kotara z firankami, która zajmuje miejsce honorowe w pokoju i nawet w chwilach ostatecznej potrzeby, gdy suknie, bielizna, pierścionki idą w zastaw, pozostaje z całą swą elegancją dawniejszą. Tego rodzaju dziewczęta, gdy im się trafi jaki cudzoziemiec, chętnie się godzą być na żoldzie jego przez czas jakiś; a ugoda wedle okoliczności i umiejętności wyzyskania od dwudziestu, pięćdziesięciu do stu dukatów miesięcznie dochodzi. A że kochanków umieją utrzymywać w ciągłej obawie mniemanego męża, brata lub krewnego i opiekuna, pod tym pozorem wciskają się do nich i inni; lub oznaczone mają godziny, w których przyjmują ofiary swojego oszukaństwa. Bywały przykłady, że tego rodzaju jeźmościanki szlachtę przybyłą ze wsi tak umiały okłamać, zwieść i przywiązać do siebie, udając się za młode mężatki albo za wdowy, zmuszane przez krewnych do nienawistnego małżeństwa, iż ci po nocy z największemi ostrożnościami i obawą je wykradali, uciekali z niemi wywozili na wieś i tam je osadzali lub nawet żenili się z niemi, jeśli byli nie żonaci. Dwie z tych dziewcząt, jedna Jakubowska, druga Johanka, obie bardzo ładne, które jeszcze mieszkają

na Krakowskiem Przedmieściu i wiele mają wielbiciele, wsławiły się przygodami awanturniczego życia. Szczęście jednak trwało dopóty tylko, dopóki ze swą płochością ukrywać się mogły lub póki dawny jaki kochanek nie odkrył ich i nie wydał.

Zresztą utrzymują się te jejmościanki nie zależne i niepodległe od żadnej starszej stręczycielki. Posługują się opłacanemi służącemi po gospodach, którym za rekomendacye wynagradzają w stosunku do zysków. Oprócz tego są w stosunkach z kobietami, zajmującemi się wyszukiwaniem rozmaitego rodzaju istot (po większej części żydówkami), które nieustannie dla zepsutej młodzieży, latają za coraz nowemi, często z najniższych klas społeczeństwa i ostatnich rozpustnie werbowanemi. Do tej klasy zaliczyć trzeba także aktorki i tancerki, które tu równie swobodne życie prowadzą, jaki ich siostrzyce w Paryżu, Wenecyi, Neapolu i Liworno. Najpiękniejsze najmłodsze i najzręczniejsze z nich, są zwykle przez kogoś utrzymywane, ale, straciwszy swych opiekunów, spadają zaraz do drugiego rzędu, a ten częściej się składa z upadłych dziewcząt pierwszej klasy, niż wyciągniętych z trzeciej i ostatniej. Ta, pozbawiona wszelkiej swobody, zostaje pod władzą i nadzorem tak zwanych gospodyń. Nie mogą one rozporządzać sobą, przyjmować mężczyzn lub odwiedzać ich, bez zezwolenia swej pani. A że zawsze są w długach, przeto są zawisłe i kontrola nad ich osobą i dochodami prowadzi się jak najściślej... Dla zachowania pozorów przyzwoitszego podobna rodzina wywiesza zwykle szyld kapeluszniczy, modniarski, kawiarni lub winiarni. Zwykle córki wyglądają jednem, a matka drugim oknem, a gdy para oczu

ciekawych skieruje się ku nim, dają się znaki kaszlaniem, wejrzeniem, skinieniem, iż bliższe porozumienie się nastąpić by mogło. Ta klasa zresztą jest najmniej liczna w Warszawie, po części dla tego, iż amatorowie z dwóch stron wyzyskiwani przez pannę i opiekunkę, unikając kosztów niebardzo napływają, że same dziewczęta nie rade się poddają takiej niewoli, częścią znowu iż tu nie mają powodu osłaniać się i szukać opieki, gdyż policja nie wchodzi ściśle w żadne stosunki i bliżej się w życiu pojedynczych osób nie rozpatruje. Czwarta i piąta klasa dziewcząt składa się ze służ w licznych szynkach piwa i wódki po Warszawie rozsianych. Są niektóre ulice całe wypełnione domami na szynki przeznaczonemi, i nie mniej osławione, jak w Berlinie Kanonierska i Baeren-Strasse, Spitalberg w Wiedniu, St. Honore w Paryżu, Chiaja w Neapolu i niektóre zakątki Wenecyi. Do tych należą tu ulice Trębacka, Żabia, Ś-to Jerska i Wałowa. Na parterze przy Trębackiej we wszystkich niemal domach mieszczą się szynki i domy publiczne, a w każdym z nich tych nieszczęśliwych istot po trzy do czterech, wśród ostatniego pospólstwa i brudu. Wszelako nie uczęszcza tu sama gawiedź uliczna, często zachodzą ludzie lepszego towarzystwa, gdy po pijanemu lub w rozpustnem kółku stracą wszelkie uczucie godności i wstydu. Pospolitemi jednak gośćmi są mieszczaństwo, służący, czeladź rzemieślnicza i t. p. i głównie w niedzielę i święta wypełniają te schronienia dzikiej rozpusty. Domy tych ulic są może fizycznie najnudniejsze a moralnie najzepsutsze, jakie w świecie znaleźć można. Zbiera się tu sam męt społeczeństwa, a że męty te nigdzie tak mętne nie są jak tu

taj, można sobie wyobrazić co się tu dzieć musi. Domy te są po większej części budami drewnianemi, jako tako z kłoców zbitemi, stojącemi w pośród błota, podobnie jak za ogrodem saskim, dworki Czapskich; albo drewniane szalasy o jednej izbie, i alkierzu oddzielonym od niej brudną firanką. W tych ciasnych komorach wprost na ulicę wychodzących, zabawiają się prości żołnierze, stróże, żebractwo i t. p. wódką, grą i żartami z kobietami, które często w jednej tylko koszuli i spódnicy, w tych jamach długie lata spędzają. Nieustanne tu bitwy, które się często zabójstwami kończą; gniazdo najobrzydliwszego plugawstwa i najstraszniejszych chorób—i pióro już po za granicę tę przejść nie może, opisywać się wzdryga; policya powinna by dla dobra ludu biednego całkowicie z tych okropnych bud miasto oczyścić.

Wróćmy do weselszych obrazów. Warszawianie lubią jeździć konno lub powozem, przechadzki piesze mniej dalekie. Przyczynia się do tego, że z powodu złego bruku, albo błoto jest nie do przebrnięcia lub pył, który wszystko pokrywa, tak że pieszo po mieście chodzić trudno. Nawet ogród Saski i Krasińskich, które prawie w środku miasta leżą, jak tylko cokolwiek deszcz pokropi, są dla pieszych niedostępne. Mniej temu podlegają: ogród księcia podkomorzego, aleje ujazdowskie z belwederem i łaźienki. Te pięć miejsc do przechadzki położone są wewnątrz wałów, otaczających Warszawę, i mniej lub więcej przyjemne stanowią dla spacerujących miejsca. Saski ogród znajduje się za wspomnianym wyżej pałacem saskim. Zajmuje on przedłużony prostokąt, około szesnastu do osmnastu setek stóp długości, a prawie połowę tego szerokości. Z obu

stron ciągną się potrójne ulice, wysokimi płoty żywymi i zaroślami oddzielone od siebie, aż do wielkiego pawilonu, który naprzeciw pałacu stoi na małej wyniosłości. Pomiędzy alejami proste zielone darniny a około nich ławki dla przebadzających się. Po prawej stronie (gdy się od pałacu wehodzi) występuje trójkąt, zajęty sadem i warzywnym ogrodem, kwiatami i t. p., oddzielony od właściwego ogrodu żywym płotem. Tak samo po lewej stronie odpowiada mu wzdłuż całego ogrodu ciągnące się dzikie zarośle, z drzew, krzaków, krzewów gęstych złożone i płotem odgraniczone. Po za pawilonem wśród alei, prowadzi wzgórze trawą porośnięte otoczone alejami w przeciwny koniec ogrodu do ulicy koszar. Tu po prawej ręce stoi para domów, zamieszkałych przez saskich urzędników, a po lewej znowu trawnik, drzewa i krzewy. Przy wyjściu samem, po obu stronach, stoją małe domki zupełnie podobne do tych, jakie są w wielkim ogrodzie w Dreźnie, gdzie się tak zwane saskie piwo szynkuje.

Aleje, żywe płoty, trawniki ogrodu są urządzone we francuzkim stylu. Dają one dużo wolnego miejsca i odsłaniają widoki na ogród i po za jego granice, ale za to mało cienia. Dla tego szczególnie ogród bywa zwiedzany tylko rankami i wieczorami. Lodów i innych napojów dostać można we wspomnianym pawilonie, w którym są urządzone pokoje i w namiocie, który po prawej stronie ogrodu bywa w pośrodku prawie stawiany. Bułki i świeżą wodę częścią roznoszą po ulicach, lub sprzedają w bocznem skrzydle pałacu, gdzie jest piekarz szwajcar.

Ogród ten w czasie sejmu rewolucyjnego (sic) przy pięknej pogodzie, był szczególnie świetny, i w pe-

wnych godzinach można tu było spotkać wszystko, co najpiękniejszego, najbogatszego, najwytworniejszego, a politycznie najznakomitszego Warszawa w swoich murach miała. Nie przypominam sobie w żadnym z wielkich miast, które zwiedzałem, tak licznych obojga płci zgromadzeń ludzi, odznaczających się w społeczeństwie—jak w tym ogrodzie. Zwykle ruch też panował tu niezmierny. Patryotyzm i miłość własna zarówno tu były czynne, miłość i zalotność, radość i smutek objawiały się równie głośno i jawnie jak zwykle w Polsce, gdzie uczucia ukrywać się nie zwykły. Często przychodziło do niepokojących wystąpień między przeciwnymi stronnictwami, często osoby, które panującym przekonaniom nie hołdowały, bywały tu takimi oznakami wyrazistemi niechęci przyjmowane i pędzane, że z obawy, aby głos ten opinji publicznej w czynu się nie chciał zamienić, z ogrodu uciekać musiały. Widziano tu nieraz wystąpienia, na mniejszą skalę, przypominające te, które zaraz po wybuchu rewolucyi w Palais Royal w Paryżu się trafiały, z tą tylko różnicą, że tu królikowie kraju tego z gwiazdami i orderami o swobodzie mówili i wykrzykiwali, a tam lud biedny bez koszuli i czapki. Że tu i tam patryotów bawiły zalotne dziewczęta, to się samo z siebie rozumie.

Ogród Krasińskich leży po za pałacem tegoż nazwiska i zaledwie co do obszerności, trzecią część Saskiego stanowi mniej jest też od niego odwiedzany, a publiczność ma — mniej świetną. Założony na sposób także francuzki, ma wszystkie przymioty i niedogodności tego rodzaju ogrodów. Po obu stronach są piękne aleje i żywopłoty, środek wolny i przez cały

dzień na słońce wystawiony. Zresztą, równie jak Sasaki, jest utrzymany porządek. I tu postarano się, aby spacerujący, którzy przechadzać się na sucho nie lubią, mieli się czem odwilżyć. W pośrodku są rozbite namioty, gdzie dostać można napojów, a w bocznych alejach krążą dziewczęta do miłej rozmowy ohoceze.

Książę podkomorzy, starszy brat króla, posiada ogród znacznej rozległości, który podług swej fantazyi urządził niezupełnie po francuzku ani całkiem na sposób angielski. Brak mu, ślimakowatych zarosli i lasków by się angielskiem mógł nazwać, ale należące doń doliny, sztuczne skały, obeliski, stawy i wieże posiada. Jako francuzkiemu nie dostaje mu alei, żywych płotów, parterów kwiatowych, porcelaną i bukszpanem osadzanych,—ale na pawilonach, tarasach, altankach mu nie zbywa. Powierzchnia ogrodu nie jest równa, nad brzegiem Wisły samej niegdyś położona, (która teraz ustąpiła), ciągnie się wzdłuż w górza, na którem leży Szulc. Właściciel skorzystał z położenia tego i tarasy naturalne porobił, a że ziemia była bardzo miękka, pokopać w niej kazał w różnych kierunkach galerye i chodniki podziemne, które w kilku miejscach z góry oknami są oświetcone i przewietrzane i formują w części groty sale obszerne i chłodne, mogące liczne towarzystwo w sobie pomieścić.¹⁾ Południowo-wschodnią część ogrodu zajmują ta-

¹⁾ Coxe wspomina o tym ogrodzie w znanej podróży swojej, radzę, co o nim pisze, ale barwom, jakimi go odmalował, nie można wierzyć zupełnie. Nie zawsze się go ogląda przy czarownem świetle księżyca, w pełnym uroku towarzystwie miłego króla, przy dźwięku zachwycającej muzyki. Od lat piętnastu też znacznie opuszczonym został.

P. A.)

rasy, zasadzone winną latoroślą, u stóp których znajduje się mały folwarczny budynek, a od niego schodzi się ku stawkowi. W pośrodku stawu wysepka z domkami malutkimi, które tylko psy i żaby zamieszkiwać mogą. Po stawie pływa kilka ładnych batów. Całość raczej jest dziwaczna niż smakowna.

Podczas mego pierwszego pobytu w Warszawie, ogród ten wprawdzie był dla osób przyzwoicie ubranych przystępnym, ale właściwie publicznym nie był. Teraz go znalazłem najętym jakimś przedsiębiorcy, który wino, piwo, kawę sprzedaje i ściąga tu, szczególnie w niedzielę, dosyć liczną publiczność wszelkich stanów.

Aleje Ujazdowskie otaczają Ujazdów (był dawniej pałacem, a dziś jest przerobiony na koszary); przed niemi, ze strony południowo-wschodniej miasta, przestrzeń trójkątnego kształtu. Główna aleja poczyna się tam, gdzie się aleja Ujazdowska kończy, i prowadzi wzdłuż na odległości od pięciu tysięcy stóp do tarasu, pod którym jest nizina; widać z niego obszerną przestrzeń, zajętą folwarkami, pałacami i żyznymi polami. Tu jest Belweder. Środkiem wspomnianego trójkąta bieży druga aleja ku górze, którą jak i pierwszą, w różnych kierunkach poprzeczne przecinają, formując między sobą rozmaitych kształtów trawniki. Przed samymi koszarami znajduje się plac musztry dla zamieszkujących je pułków, a w lewo od pięknego gmachu tego wybrano miejsce na zakładający się kościół Opatrzności, którego fundamenta teraz leżą opuszczone. Przy głównej alei Ujazdowskiej pełno domków, ogródków, altan i znaczniejszy gmach, który król dla jenerałowej Grabowskiej, przyjaciółki swej, w tem

miejscu miłem zbudować kazał. Po alejach nie jeżdżą powozy i dla tego między niemi dla pieszych przechadzka jest bardzo miła, ale stosunkowo wielki świat mniej tu uczęszcza, niżby ona zasługiwała — dla tego właśnie, że trzeba chodzić pieszo. Mieszczanie za to w święta i niedziele tłumnie się gromadzą w miejscu między alejami a Łazienkami.

Łazienki leżą poniżej Ujazdowa²⁾ i należą do króla, który pięknie to miejsce całkiem wedle myśli swej i smaku urządził. Zajmuje ono przestrzeń czworokątną, przedłużoną, nieco węższą z północnej strony niż południowej. Wzdłuż całego ogrodu jest kanał, który prawie w pośrodku jego formuje czworokątną sadzawkę, a wśród niej na podwyższeniu stoi główna budowla, pałacyk, zewsząd otoczony wodą i z ładem połączony dwoma mostami, które zwodzone być mogą. Gmach ten bardzo się ładnie oku przedstawia, wystawiono go w smaku dobrym, w stylu lekkim i wdzięcznym. Widziany przy świetle księżyca, szczególnie z mostu prowadzącego przez kanał, zdają się lekkie kolumny jego wprost wyrastać z wody, a gdy wiatr marszczy wód powierzchnię, obraz ich drży, odbijając się w srebrzystej fali. Czarne masy drzew iglastych ocieniających kanał, niezmiernie malowniczość tego widoku podnoszą.

Wnętrze pałacyku równie jest wesołe, wygodnie urządzone i smakownie umeblowane. Wiele obrazów, po części pędzla włoskich dawnych mistrzów, zasługują

²⁾ Coxe omylił się, zapomniał raczej, pisząc, że Łazienki są o dwie godziny od miasta odległe. — Ze środka ich do miasta idzie się trzy kwadransy, a z Zamku do nich jedzie pół godziny.

na uwagę znawcy, a nowe, nadwornego malarza Bacciarellego, również widzenia są godne. Król chętnie tu zamieszkuje wiosną, w małym kółku najulubieńszych swych przyjaciół i przyjaciółek... Dla siostry króla osobny zbudowano pawilon, zawierający bardzo piękną salę i wiele miłych gabinetów, dla jenerałowej Grabowskiej wygodne, obszerniejsze mieszkanie. Oprócz tego nowy obwacht, poczęto wedle bardzo dobrze zastosowanego doń planu, ale ten nie jest jeszcze ukończony. Znajduje się także amfiteatr z mrowanemi siedzeniami, który zamiast balustrady, otaczają popiersia starożytnych mędrców, z gypsu odlane na stosownych rusztowaniach wewnętrznych — stojące w pewnych od siebie odstępach. Amfiteatr położony jest naprzeciw teatru ogrodowego oblanego odnogą wspomnianego kanału; którego kulisy tworzą skały i drzewa, służy on dla widzów w czasie przedstawień pod gołem niebem. W czasie mojego pobytu dwukrotnego w Warszawie nie miałem ani razu przyjemności być na przedstawieniu, ale mnie zapewniano, że bywały bardzo świetne i bardzo piękne. Najczęściej łączą się z niemi wiejskie zabawy i gry, pływanie po wodzie, co przy księżycu i muzyce — wiele wdzięku mieć może.

Ogród Łazienkowski składa się: z alei, krytych szpalerów, angielskich klombów, trawników i t. p. Chiński pawilon, do którego szerokie, wygodne wschody prowadzą, wznosi się z jednej strony ogrodu i w górze tworzy obszerną, ze wszystkich stron odkrytą salę, z której widok jest piękny na całe Łazienki. Dalej znajduje się zwierzyniec z dzikimi zwierzętami obcemi, ale w nim dwa tylko ogromne zamknięte są

strusie—podarek, jeśli się nie mylę, króla obojga Sy-cylji. W stronie od Szulca stoi na przodzie obszerna budowa, zawierająca restaurację, zawsze dla małych kólek do przyjęcia gotowa, a na zamówienia mogąca i większe towarzystwo ugościć. Jest tu dosyć miejsca na liczniejsze pikniki, a potraw, wina i przysmaków potrzebnych łatwo dostarcza gospodarz. Odosobnione pokoiki służą dla pomniejszych zebrań; jednym słowem jest tu wszystko, czego przechadzający się wszelkiego stanu wymagać mogą, nasyciwszy się widokiem wdzięcznego ogrodu. Altany, cieniste gaiki do koła tego gmachu, szczególnie w święta i niedziele pełne są zawsze wesołych gości średniej klasy.

Łazienki łączą się wspomnianym kanałem z drugim miejscem rozrywki, niemniej pięknem — z Moko-towem, należącym, jak mówiłem, do księżnej marszałkowej Lubomirskiej. Miejsce to nie odznacza się rozległością, ale bogate jest bardzo w ogrodnicze ozdoby, tarasy, panujące nad otaczającą je okolicą, altany u brzegów wód przezroczystych, labirynty, chatki, gaje, kaskady, pawilony, pustelnicze domki, które wdzięk naturalny tego miejsca podnoszą i szczęśliwie się z nim łączą. Z wywyższenia tego na tarasach widok rozległy bardzo na całą okolicę Warszawy po tej stronie Wisły... U wnijscia do ogrodu stoi ładny pałacyk, który zewnątrz nie wydaje się bardzo wspaniale na oko, ale wewnątrz urządzony jest nader smakownie i we wszelkie wygody opatrzony, jakich po wiejskiem schronieniu wymagać można.

Dalej jeszcze leży willa hrabiego Thomatis, otoczona obszernym ogrodem. Zapewniano mnie, że ogród i budowa bardzo ładne, alem ich sam nie widział.

Aleja stąd prowadzi do drogi, idącej ku Wilanowu, wkrótce potem rozechodzi się z nią i jedzie się dalej uprawnemi polami, z których widok przedstawia się szeroki. Przed Wilanowem znowu się łączy druga aleja, która tu rozgałęzia się na kilka w różnych kierunkach. Pałac wilanowski należy do właścicielki Mokotowa, bardzo się pięknie oczom przedstawia. Pobudowany w półkrąg, zamyka obszerny, trawnikiem okryty, podwórzec. Czolo jego zdobią wypukłe rzeźby, przedstawiające czyny rycerskie króla Jana III. Wiadomo, iż pałac ten zbudowany został przez niego, i ogrody też przyległe on założył. Najmilej mu tu mieszkać było, a następcy jego, przez poszanowanie dla pamięci tej chluby narodu, pozostawili nietkniętymi pokoje, w których zamieszkiwał... Nawet łoże, na którym królem zmarł, stoi nieporuszone w tem samym miejscu, z tą samą kotarą, która je okrywała, gdy bohater tu ducha wyzionął. Inne pokoje i ich umeblowanie nowszego smaku, utrzymują się mimo niebytności dzieciwki w jak najlepszym porządku. Z pałacem łączy się mały ogródek, zawierający łazienkę, opatrzoną w co tylko można wymyśleć najwyszukańszego. W tym rodzaju jest to jedna z najpiękniejszych łazienek, jaką widzieć można w świecie. Ogród, ze trzech stron opasujący pałac, odznacza się wieloma pięknościami. Wchodząc, naprzód spostrzega się długą, wspaniałą oranżeryę i cieplarnię, które i po drezdeńskim Zwingrze z przyjemnością się ogląda, szczególnie wspomniawszy na klimat tutejszy i trudności oraz koszta, z jakimi urządzenie było połączone.

Miejsce przed cieplarniami zajmują wszelkiego rodzaju kwieciste rabaty, na sposób francuzki naryso-

wane. Na wszelkiego rodzaju posągach nie zbywa, alem nie znalazł żadnego, któryby się mógł nazwać prawdziwie pięknym.

Reszta ogrodu w sposób bardzo prosty zużytkowana. W części przecinają go aleje starych kasztanów w części wypełniają go labirynty żywemi płotami opasane. W niektórych miejscach porobiono tarasy, pokopano stawy, posadzano warzywa i kwiaty. Grupy nadzwyczaj wysokich i grubych drzew, w których pniach gdzieś porobiono siedzenia, otaczają wielki staw, po nim pływają gondole, a z brzegów jego roztacza się widok szeroki na okolicę, którą Wisła przepływa. W bliskości jego znajduje się piękna, sklepiona grotta, w której liczne towarzystwa mogą zasiąść do stołu, nie doznając zwykłych grotom podobnym nieprzyjemności: wilgotnego powietrza i wilgotnej pod nogami ziemi. Dalej wznosi się sypane sztuczne wzgórze, okryte najpiękniejszym trawnikiem, z drugiej strony którego widok na okolicę się roztacza. To wszystko z dodatkiem sadów owocowych, altan, parterów, lasków, stanowi w tem przyjemnem miejscu rozmaitość, jakiej się po niem nikt nie spodziewa.

Dla używających przechadzki, czegoś więcej nad to potrzebujących, jest nieopodal od zamku obszerna gospoda, zawierająca parę sal wielkich i wiele pokojów, opatrzona we wszystko, czego do jedzenia i picia żądać można. Tu, jak i w Łazienkach, mogą liczniejsze towarzystwa zbierać się na obiady i kolacye, na śniadania i pikniki, co też dosyć często się trafia.

Na przeciwnym końcu miasta leży Marymont, także miejsce rozrywki dla mieszkańców Warszawy. Niedaleko od Wisły, która w tem miejscu jest dosyć

szeroka i kilka wysp zarosłych krzakami óbejmuje, wznosi się po nad równiną piaszczystą, niezbyt wyniosłe wgórze, a na niem dosyć prosty zameczek, zwany Marymontem!

Był to myśliwski zamek obu królów z saskiego domu i należy jeszcze dotąd do tej rodziny, o czem u wnijscia osadzony herb przypomina. Teraz wynajmuje go przedsiębiorca, który ugaszcza przybyłych, towarzysztwa i pojedyncze osoby, począwszy od książąt, a skończywszy na czeladzi rzemieślniczej. Dla książąt jest wielka sala na piętrze, zajmująca je całe, ozdobiona wielkimi zwierciadłami, mogąca pomieścić i liczne zebrania, przybywające na śniadania, obiady, kolacye i baliki, dla reszty są pokoje na parterze i drewniane ławy i stoły pod gołem niebem w lasku, który za zameczkiem się rozciąga, poprzecinany szerszemi i węższemi uliczkami, miłe, cieniste, stanowiąc dla przechadzających się schronienie. Bardzo blisko stąd jest znany ów młyn, do którego król porwany przez konfederatów się schronił.

Widok z górnej wielkiej sali bardzo obszerny. Widać stąd Wisłę w dół i w górę na znacznej przestrzeni i całą niemal Warszawę... W tem oddaleniu miasto się wydaje weale poważnie, chociaż wiele z tego majestatu, w bliskości traci, gdyż odsłania czarne chałupy, stojące między pałacami nowemi.

Na stoku wzgórze, na którym stoi zamek; podkancelerzy litewski Chreptowicz, dobry staruszek, założył mały folwarczek, składający się z ładnego domku wiejskiego i przytykającego doń ogródka, obojga utrzymywanych bardzo starannie. Nazywa się to folwarkiem, gdyż właściciel trzyma tu kilka krów szwajcar-

skich, które dobrą mają paszę. Sam on mieszka tu przez wiosnę i część lata, a przybywa do miasta tylko, gdy go interesa do tego zmuszają. Na prawo od Marymontu leży Wola, od miasta samego odległa o trzy ćwierci mili. Jest to właściwie wioska z domem mieszkalnym i ogrodem, które się stały celem przejażdżek, gdy je zadzierżawił przedsiębiorca. Posiadał ją dotąd bankier Schultz, teraz wystawioną została na licytację. Dom jest obszerny i dość wygodnie urządzony. Ma dwie czy trzy sale wielkie, do których przytyka z obu stron po kilka pokoiów wytworniej umeblowanych i utrzymywanych porządniej, niż zwykle domy publiczne. Z otaczających Warszawę miejsc na rozrywkę przeznaczonych jest to bez wątpienia najwytworniejsze i najmniej uczęszczane. Gdy pogoda sprzyja, niema obiadowej pory i wieczora, by tu liczniejsze lub mniejsze towarzystwa nie przybywały, najtłumniejsze pikniki tu się odbywają. Gdy dom Teppeera był jeszcze czynnym, wszystkie wycieczki i pikniki, które za miastem się odbywały, do których on lub jego znajomi należeli, tu się kierowały i ściągały, aby przedsiębiorcy dochody i zięciowi Szulcowi wypłaty jego dzierżawcy zapewnić. Nie zważano na tę spekulację kupiecką, gdyż w najgorszym razie zyskiwano na wygodzie, a Wola odznaczała się dobrą usługą, wyszukanemi pokarmami i napojami, lokalem piękniejszym niż inne. Nie było tu rzadkością: obiady i kolacye na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu osób, pikniki od stu do stu pięćdziesięciu zebrane spotykać, którym na niczem nie zbywało. Ogród który do domu przytyka, chociaż nie tak dawno założony, ma piękne aleje, altany i inne ogrodowe ozdoby, które piękne ranki i wieczory

przyjemnie przepędzać pozwalają. Wiosną odbywano tu często kuracje wodne.

Powązki i Jabłonna—pierwsze należące do ks. Czartoryskiego, drugie—do ks. Prymasa, są letniami pałaczkami z pięknymi ogrodami i parkami po tej stronie Wisły, ale do miejsc dla rozrywki publicznej liczyć się nie mogą. Można przeczytać u Coxa, co o nich pisze, szczególnie o towarzystwie, jakie tu spotykał, odmalowanem wieloma rysami, które dopełniają to, cośmy o społecznem życiu, tonie, smaku i obejściu się wielkiego świata warszawskiego pisali.

VI.

Z wielu pojedynczych rysów, w poprzedzających uwagach rozszaniach, może sobie czytelnik o zbytku i sposobie życia świata polskiego wielkiego dosyć jasno wyrobić pojęcie; teraz jeszcze niech nam wolno będzie dodać kilka spostrzeżeń, które obraz ten rozszerzyć i dopełnić mogą.

Oryentalna przesada i fantazyja, z jaką polscy panowie ugaszczają w swych domach, która jest w ich obyczajach — rozciąga się i do ich wszelkich innych stosunków ekonomicznych, politycznych, materyalnych i duchowych. Skutkiem rozmiarów, jakie im nadaje położenie i znaczenie w Rzeczypospolitej ich bogactwa a zatem idące stanowisko w społeczeństwie, skutkiem dumy, próżności i nalogu, które z tego życia płyną, muszą panowie ci więcej może niż inni im podobni w Europie, szafować groszem. Kosztowne to życie zwiększa jeszcze i ta okoliczność, że polacy oprócz najpierwszych i najprostszych życia potrzeb, wszystko, począwszy od sukni do szpilki, z obcych krajów ściągają muszą, już to przez amatorstwo, przesąd lub posłuszeństwo modzie.

Gdy, naprzykład, angielski magnat łoży na konie, meble, suknie, przychodzą mu one o wiele taniej, niż polskiemu, który angielskie konie, meble, sukna i sprzęty wszelkiego rodzaju, o sta mil od Anglii oddalonym będąc, z trzecich lub czwartych rąk, z troistem lub czworakiem cłem, nabywa i używa. Toż samo dzieje się z towarami, płodami natury lub przemysłu, które on z Francyi, Hiszpanji, Włoch sprowadza i więcej ich spożywa niż francuz, hiszpan i włoch, w którego kraju one się rodzą lub wyrabiają. Nawet za te rzeczy, które te narody równo z nim z obcych krajów sprowadzają, płaci nieskończenie więcej od nich, częścią z powodu, iż mieszka dalej, lub dla tego, że krajowi zbywa na łatwych i tanich komunikacyach wodnych, a prowincyom Polski brak gościńców i kanałów—częścią z powodu, iż kupcy polscy dla drożyzny życia i rąk do pracy, dla wprowadzonego zbytku, dla niebezpieczeństw transportu oddalonego, dla przymusu dawania na kredyt, czekania na wypłatę i niepewności odzyskania należności, ceny podnosić muszą daleko wyżej, niż się to dzieć zwykło w innych krajach.

Tak się dzieje w Polsce pod względem tych rzeczy, które się używa, które się nosi i którymi się otacza, równie jak z mieszkaniem, wychowaniem, książkami, wszystkim co do wykształcenia ducha i ciała służy.

Pałac w Warszawie, z prostej cegły, kosztuje więcej, niż w Genui podobny z rzezanej *pietra di levagna*, niż takiż w Rzymie z trawertynu. Cegielnie i wapielnie pod Warszawą nie mogą, przy umiarkowanym budowaniu, dosyć żądanego dostarczyć materiału; użyci do budowy przedsiębiorcy nie mają pod-

dostatkiem czeladzi, a żądanego robotnika niepodobna przysposobić w kraju, gdzie najliczniejsza klasa ludu, do rzemiosł i rękodziel przechodzić nie ma prawa. Z tego powodu zawczasu i wielkich przygotowań potrzeba, jeśli się znacznieszą budowę przedsięwzięje. Kamień, wapno, drzewo należy dobrze wprzód z bliższych i dalszych ściągać okolic, budowniczych często z zagranicy sprowadzać, a przedsiębiorców kontraktami i zaliczkami opatrzyć, aby się o robotników postarać mogli. Wszystko czego wymaga ozdoba wschodów, okien, gzemśów trzeba za granicą zamawiać i obrobione lub z gruba ociosane z daleka przywozić. Do pomocy używają z konieczności w części kobiet i dzieci i ludzi w ogóle, co tylko gołe ściany wyprowadzić są w stanie. Gdy te staną, wymaga wewnętrzne urządzenie i ozdoba nowych a kosztownych przyborów, których tysiączne części składowe albo same, lub z rękami co je wyrabiają, przypasowują i umieszczają, z zagranicy ściągane być muszą. Zważywszy na to wszystko, dziwniejszem się wyda, że Warszawa dziewięćdziesiąt pięć kościołów, kaplic i pałaców zawiera, niż że Rzym kaplic i kościołów sto czterdzieści i sześć liczy.

Gdy we Włoszech i Niemczech nie taniej nie przychodzi, nad wychowanie i nadzór dzieci, w Polsce jest to najkosztowniejsze. Tam snują się po wszystkich ulicach abbaci i kandydaci, którzy za niesłychanie niską cenę podejmują się najzmudniejszej pracy w świecie, umiejętność i wprawę potrzebną ku temu posiadając często w najwyższym stopniu. Tu o podobnych nawet najpospolitszych bardzo trudno, wyłącznie tylko duchowieństwo świeckie i zakonne tych zatrud-

nień się podejmują. Jeśli się wymaga manieri, sztuk pięknych, języków żyjących, tych tu nikt nie posiada; potrzeba guwernerów sprowadzać z Niemiec, z Francyi, z Włoch, kosztem wielkim, i opłacać ich drogo, jak wymaga rzadkość tych talentów w Polsce, i ofiara, którą czynią, opuszczając kraj, rodzinę i przyjaciół a przenosząc się na obczyznę. Tak się zwykle dzieje, z tymi nauczycielami, których przedniejsze rodziny trzymają dla wykształcenia umysłowego i obyczajowego swych dzieci, tak samo z metrami jazdy, fechtów, tańcu, rysunków i muzyki. Wszyscy prawie są cudzoziemcami i muszą za przeniesienie się żądać wynagrodzenia, któreby im na powrót do kraju posługiwało i każą sobie płacić drogo. Podobnie czynią lekarze, felerowicze, artyści, kucharze, kamerdynierowie, którzy tu się cenią wyżej, niż gdzieindziej, mając tam współzawodników, i zmuszeni będąc mierzyć się z nimi.

Dzieła nauki i sztuki trudniej się także dostają tutaj, a zatem drożej niż gdzieindziej płacą. Cena książek jest najmniej o połowę wyższa niż we Francyi, Włoszech i Niemczech; rysunki, malowanie, rzeźby dwa razy tyle tu kosztują co za granicą. Amatorstwo ksiąg, bibliotek, artystycznych zbiorów droższe też tutaj, a — co za tem idzie, kształcenie ducha i smaku.

Ale obok tych wydatków, wspólnych polskiemu wielkiemu światu, z innymi krajami, ustawa krajowa zmusza do innych, gdzieindziej albo całkiem nieznanych, lub zaledwie się czuć dających. Wedle zaprowadzonego obyczaju wymaga się tu politycznych wpływów, a tych zdobyć inaczej nie podobna, tylko przez urzędy i dygnitarstwa, przez ziemskie posady, przez klientów, ordery i inne w oczy wpadające odznaczenia. Na-

bycie ich jest bardzo kosztowne, a tem jeszcze droższe że nie jednego, ale wielu zyskać należy, aby się do nich dobić; zasługi tu nie stanowią, a wszędzie się spotyka współzawodników, którzy też innych środków nie mają do zdobycia ich, nad zwyczajne, to jest — datki. Stąd w Polsce kosztuje podniesienie się z jednego urzędu na drugi, sumy niesłychane, a nawet, gdy się najwyższe osiągnęło stopnie, wydatkom niema końca, jeśli tym stopniem właściwy wpływ chce sobie zapewnić. Na każdym nowym sejmiku musi w województwie, które zamieszkuje, dygnitarz zwolenników pozyskiwać, musi między posłami na każdym sejmie, podarkami, bankietami, obietnicami nowych zdobywać przyjaciół; musi całe gromady ubogiej szlachty utrzymywać, aby licznym orszakiem, oczy tłumu ściągnął i zaślepił, współzawodników prześcignął i pewien strach obudził, naostatek musi jeszcze po tem wszystkim ministrów tych mocarstw które na sprawy polskie wpływ mają, na tejże drodze, zawsze z garściami pełnemi, do swych celów sobie pozyskiwać.

Nie mniej kosztowne dla magnatów polskich są procesa. Charakter narodowy, pełen dumy, często chciwość i sobkowstwo, wplątują ich w sprawy sądowe z sąsiadami i współzawodnikami. Przyczyną ich bywają także lekceważenie własności, której sobie często możniejszy względem słabszego pozwala: osobiste krzywdy, wyrządzane biedniejszym, bardzo zwyczajne; na ostatek dwuznaczność, słabosć dających się różnie tłumaczyć i naciągać praw. Procesa po sądach w nieskończonej liczbie natrafiamy. A że w Polsce ten, kto ma za sobą tylko sprawiedliwość a nie więcej, najczęściej przegrywa, trzeba proces podtrzymywać po-

darkami urzędnikom, pisarzom, sędziom. A że i przeciwnik toż samo robi, często zabiegi wygrane dają wbrew sprawiedliwości. Rodzi się stąd walka na dokumenta i prawa z jednej strony, z drugiej na tabakiery, pierścienie i trzosi. Kto ostatniemi zwycięży, wygrał w drugich; jeśli obie strony się równoważą siłami, na ten czas sędziowie, nie chcąc ani jednej ani drugiej pokrzywdzić strony, obierają ulubioną sądom polskim średnią drogę (*medium terminum*) — i przyznają obu słusność po trosze. Tym sposobem nietylko uzyskują korzyści ci, którzy w tej instancyi sądzili, ale je zapewniają drugiej, wyższej, w której wypocząwszy przeciwnicy na nowo walkę rozpoczynają. Ten sposób procesowania się tak jest znany, a obyczajem starym ugruntowany, że nieraz potrzeba przy zyskiwaniu sobie adwokatów, referentów, sędziów, postępować z pewną ostrożnością i tajemnicą.

To przekupstwo podnosi także wydatki polskich magnatów, którzy częstokroć w dziesięciu i dwunastu trybunałach w Warszawie i na prowincyach prawować się muszą.

Z wszystkich tych uwag wypływa, że wydatki polskich panów muszą być ogromne, i daleko większe niż w innych krajach, gdyż zbytek wymaga tu tych samych co i gdzieindziej zaspokojeń, a kosztowniejszym jest znacznie, i położenie obywateli wyciąga ich na expensa, jakich inni magnaci europejscy nie mają wcale, lub rzadko im ulegają.

Skutki tych wydatków i zbytku nigdzie też straszliwiej czuć się nie dają jak w Polsce. Mało jest domów wielkich, którychby finansowy stan na tem nie cierpiał; mało jest osób, którychby politycznie i mo.

ralnie charakter z tego powodu całkiem lub w części zepsutym nie był. Wiekuista walka między mieniem a wydatkiem; konieczność pokrycia ubytków, aby się na dawnej stopie świetnej utrzymać mogło; mnóstwo ludzi, którzy pod tym względem są w podobnem położeniu i do jednakich środków uciekać się muszą, aby się utrzymali;—rodzą nieustannie wyścigi, wyprzodki, chciwość zysku, a z nią egoizmy, które też rzadko gdzie wyraziściej niż w Polsce, występują. Nikt nikomu nie pomaga, jeśli w tem zarobku nie widzi zysku, wpływu lub grosza;—a jeśli zarobek na oku, pomaga się nawet do najmniej godziwych spraw. Każdy prawie frymarezy godnością swą, wpływem, urzędem, bo go one pieniądze kosztowały, które rad by odzyskać; nikt obowiązków miejsca swego nie spełnia darmo, bo też nikt dlań darmo w innych rzeczach nie robi. W skutek tej fatalnej zasady, która w Polsce łączy się często z pychą, chęcią zemsty, chciwością, zazdrością; gdy idzie o dopięcie celu pewnego, nie szczędzi się ani ojezyny ani własnej rodziny.

W ten sposób sąsiednie mocarstwa potrafiły sobie w Polsce tak wielu i tak silnych zyskać stronników. To mocarstwo, które pojedynczym magnatom największy roczny żółd płaciło, lub swemi wpływy dawało im urzędy i najlepsze starostwa, było zawsze najsilniejsze w Polsce, zwłaszcza jeśli jeszcze w właściwym czasie i postrachem działać umiało. Te żółdy obec i inne dobrodziejstwa z jednej głowy rodziny przechodziły na drugą, tak też całe familje od dawnych lat spadkowo były rosyjskie, pruskie, cesarskie, a wprzód francuzkie, saskie i szwedzkie; otwarcie to, bez wstydu wyznawały, i czynnościami swemi i zasadami

jawnie dowodziły. Wielu było takich, którzy brali od wszystkich co dawali, i pozostawali bezstronnymi, lub *medium tenere* dopóty przynajmniej, dopóki się ich polityka nie wydała i za złe nie była wzięta. Wielu do podobnych żóldów polecali swych synów i krewnych, jak tylko osiągnęli miejsca, które im głos zapewniały; wielu synowie i żony często też podobnemi sposoby do innego stronnictwa zostali zyskani; tym sposobem w jednej rodzinie trojaki były interesa, a nienawiść wzajemna, gorycz, wystąpienia przeciwko sobie, nawet na sejmach w sposób najnieprzyzwoitszy się objawiały. W czasie sejmu konstytucyjnego, którego czynności często przypisują czystym pobudkom dobra ogólnego narodu i pragnieniu korzystniejszej dlań zmiany, która też zmianę charakteru polskiego zrodziła — widziano przecież nieraz jawne wystąpienia i objawy podobne, równie gorszące jak kiedykolwiek; mógłbym przytoczyć tu pojedynczych osób nazwiska i rodzin całych, które temu staremu egoizmowi zostały wierne i wedle jego natchnień postępowały. Charaktery te, — które zawsze stoją po stronie silniejszego, a których w części polskiego narodu, mającej polityczne znaczenie, niezmierne jest mnóstwo — postępują niewolniczo wedle zasady tego egoizmu; mógłbym tu wymienić tych, którzy na sejmie konstytucyjnym pomagali gorąco do przeprowadzenia praw, interesom naszej cesarzowej przeciwnym, a na teraźniejszym sejmie grodzieńskim pomogą do ich obalenia. (D. 17 Czerwca 1793 r.)

Znajdują się w Polsce pewne polityczno-przyjacielskie stowarzyszenia, których członkowie, zjednoczeni do spełniania jednych planów dążą, są oni wrzekomo tylko przyjaciółmi, często nienawidzą się między sobą

i podejść usiłują; podlegają wszakże w swych przedsięwzięciach zwierzchniej wodzy jednego i wspólnemu interesowi na ofiarę przynoszą, co każdy z nich pojedynczo zdobyć może, jakby prawdziwi przyjaciele i ludzie bezinteresowni. Niech mi wolno będzie podać tu jeden przykład.

W czasie bezkrólewia, które wybór teraźniejszego króla poprzedziło, utworzyły się były trzy główne stronnictwa, które tron wedle swej myśli obsadzić chciały. Na czele pierwszej stała rodzina Czartoryskich, drugą składali partyzanci saskiego domu, trzecią prowadził w. hetman Jan Branicki. Partya Czartoryskich, której głową był w. kanclerz litewski Czartoryski, podawała trzech kandydatów: brata kanclerza, wojewodę ruskiego, Czartoryskiego, jego syna księcia Adama i byłego stolnika litewskiego, Stanisława Poniatowskiego, siostrzeńca kanclerza. Po ich stronie była Rosya i król pruski nie zdawał się być przeciwnym.

Naczelnikami partyzantów saskiego domu byli: wojewoda lubelski, wileński, podlaski, kijowski, rawski, krakowski, to jest książęta — Lubomirscy, Radziwillowie, hrabia Gozdzki, Potocki, Granowski, Rzewuski i t. d. Ci życzyli sobie wznieść na tron kurfirsta saskiego, Chrystyana, albo jednego z jego braci.

Głową partyi Branickiego był sam hetman wielki i wiele szlachty jemu oddanej. On, szwagier Stanisława Poniatowskiego, chciał sam być królem, i rachował na poparcie Partyi.

Stronnictwo Czartoryskich było najsilniejsze ze trzech, a siłę jego stanowiło poparcie Rosyi, rozum i energja naczelników, rozszerzone ich wpływy i osobiste zalety trzech kandydatów, szczególnie Poniatow-

skiego, który dowcipem, nauką i wymową już się był zdawna odznaczył. Do tego przyłożyło się, że to stronnictwo nierozłącznie skupione było, że każdy członek jego szedł z całością, a całość z pojedynczemi członkami; że bogactwa i wpływy indywiduów wszystkich ogólnemu celowi służyły, słowem,—że zgoda i jedność panowały w ich czynnościach, i potrzebne środki wedle stałego planu przedsiębrane i użyte były. Dziwną ale nie dosyć wyjaśnioną w obec okoliczności, które ją spowodowały, wydaje się ta jedność i wywołuje pewne pytania. Czy w. kanclerzowi obojętnem być mogło, który z kandydatów zostanie królem, jego brat, księżę Adam czy hrabia Stanisław Poniatowski? Czyli żądał tylko swój i familji swej wpływ pod nowem panowaniem zapewnić i powiększyć i sądził, że cel ten osiągnie zarówno przy jednym którymkolwiek z kandydatów? Czyli wolałby był brata lub jego syna widzieć na tronie? Czy Stanisław wiedział o tem lub nie? Czy zgodziłby się był swemu wujowi, w dzie ruskiemu, lub synowi jego Adamowi, posługiwać i za to tylko wyższem się stanowiskiem w kraju ograniczyć i wpływem znaczniejszym? Lub czy w. kanclerz i jego siostrzeniec wzajemnie się w tem uwodzili? Czy ostatni odegrywał tylko tę rolę, jakoby tamtego królem chciał uczynić, aby swój wpływ, przyjaciół i zachowanie, które miał u cesarzowej i króla pruskiego, na ostatnią, rozstrzygającą chwilę elekcyi zachować? Czyli Czartoryski udawał przed Stanisławem, że planu jego nie widzi, a posługiwał się tylko jego wpływem, ażeby rozstrzygnęła ostatecznie elekcyja? Lub naostatek, byli oni wszyscy trzej zgodni, żeby na rzecz trzech kandydatów działać wspólnie, aby naród, jeśliby się oka-

zał mniej dla jednego z nich dobrze usposobionym, wszakże któregoś z tych kandydatów wybrał, i plan familji w ten sposób wykonał?

Przyznaję, że na te pytania nie umiem stanowczo odpowiedzieć ani twierdząco ani przecząco, i wskazać jakie były zamiary i stosunki tego stronnictwa. Zresztą zdaje mi się, że ks. kanclerz miał dość zimnej krwi, by się do żadnego ze trzech nie przywiązywać, i jednemu nad drugie nie dawać pierwszeństwa, a starać się przywieść do tego obu: siostrzeńca, synowca i brata swego, aby wybór jednego ze trzech był im obojętny, byle familja i do niej należące osoby przez to na świetności i wpływie zyskały. Pewną jest rzeczą, jak wyżej powiedziałem, że powierzchownie partya ta odznaczała się wzajemną ofiarnością i łączyła się ściśle, a zarazem, że składający ją stacali między sobą walki mniej lub więcej zacięte, ale nigdy nie wybuchające lub polityczny ich związek mogące na zerwanie narazić.

Drugie stronnictwo, saskie, składało się z najmniejszych i najpotężniejszych dygnitarzów, i wielu znakomitych magnatów, biskupów; z mnogich członków rycerskiego stanu, którzy częścią przez pamięć korzystnych dla nich czasów saskich, byli za księciem z tego domu...

Wszakże dobre chęci ich, wojska nasze (rosyjskie) hamowały, ściągnięte do koła Warszawy w pomoc partyi Czartoryskich. Dom też saski był za skąpy, i nie umiał swych stronników i przyjaźni ich dosyć brzęczącemi oznakami wdzięczności podtrzymać, mało więc było nadziei, by wynagrodził straty, jakie ponieść mogli partyzanci jego, gdyby partya ruska zwyciężyła

i urzędy, mszcząc się, odebrała, a na dobra ponakładła exekucyje.

Trzecie stronnictwo było najslabsze. Sam hetman wielki był dumny, niecierpliwy człowiek, któremu zdolności i zręczności brakło, jakich przewodztwo partyi, szczególnie w Polsce, wymaga, gdzie się ma do czynienia z ludźmi, którzy się wszyscy za równych, za dobrodziejów i wodzów poczytują, jak tylko czynnemi być mają. Miał i on pewną liczbę zwolenników pomiędzy szlachtą, ale się spuszczał głównie na swój wpływ w wojsku i poparcie Partyi ottomańskiej.

W takich to okolicznościach zebrał się sejm konwokacyjny, d. 7 Maja r. 1764, a w. hetman natychmiast przez swego ulubieńca jenerała Mokronowskiego, który był posłem, ogłosić kazał za nieważne, co zgromadzenie to postanowi, dopókiy wprzód nie zdecydowano grawaminów, które manifest, podpisany przez trzydziestu blisko senatorów i posłów — zawierał. Żądanie Mokronowskiego pozostało bez skutku. Partya Czartoryskich, mająca poparcie wojsk rosyjskich nieco dalej rozstawionych, a domowych swych w pobliżu, przemogła, i książe Adam Czartoryski wybrany został marszałkiem sejmowym.

Zwolennicy Branickiego i sascy spostrzegli dopiero, jaką przewagę Czartorysey mieli w sejmie konwokacyjnym, i nie wąpili już, że ją na następującym elekcyjnym utrzymać potrafią. Połączyły dwie te partye siły swoje, aby wspólnie działać przeciwko Czartoryskim i sejm im przyjazny zerwać; zdawało się to być tem łatwiejszem, iż w. hetman tak zawsze stał, jakby domowi saskiemu nie był nieprzyjaznym. Główni przewodzey następnego dnia opuścili Warszawę i założyli

manifest przeciwko czynnościom sejmowym. Uczynili to: Branicki, Rzewuski, Potocki, Radziwiłł, Poniński i inni możni i wpływowi magnaci Rptej.

Następnych dni przyłączyło się do nich wielu równie możnych, jak biskup krakowski Sołtyk, wojewoda wołyński Ossoliński, podskarbi w. koronny Wessel i t. p., oraz dwudziestu posłów, którzy się przyłączyli do nich. W hetman położył się obozem pod Kozienicami z wojskiem swem i swoich stronników, do którego przyłączyło się kilka regimentów wojsk koronnych.

Tymczasem sejm konwokacyjny, który się jedynym prawym reprezentantem woli narodu ogłosił, złożył z urzędu w. marszałka koronnego Bielińskiego, który sejm za zerwany uważając, straży do obsadzenia sali sejmowej odmówił; w kilka dni potem złożono z urzędu w. hetmana, oskarżając go o zaniedbanie karności i złe utrzymanie wojska, o nieokrycie granic, o ściąganie regimentów z kresów Rptej dla interesów prywatnych i o opuszczenie Rptej w chwili, gdy mogła sobie wybrać króla jednomyślnie, nie żądając pomocy państw ościennych. Zarazem wojewoda ruski, ks. Czartoryski, ojciec ks. Adam, mianowany został regimentarzem armii, i złożył Rptej przysięgę wierności. Wielu magnatów zaraz przeszło na stronę partii silniejszej, a słabszą opuściło. Obóz jej został przez Rosyan otoczony, i przez to wstęp dalszym stronnikom wzbroniony. W samym obozie zbywało na namiotach, na żywności, amunicyi i pieniądzach. Główni przewodzcy w pierwszych zaraz dniach poróżnili się, bo w. hetman dumy swej wyrzec się nie chciał, biskup krakowski pragnął wszystkim kierować po swej woli,

Rzewuski był trudny, a Radziwił wedle swej głowy postępował, nie słuchał żadnych przedstawień i całkiem w końcu obóz opuścił. Tak samo wkrótce uczynili: wojewoda kijowski, Potocki, biskup krakowski, rachmistrz koronny Poniński i wielu innych znaczniejszych partyi tej członków. Cały plan się rozehwiał i nikt nie mógł już nie ważniejszego przedsiębrać. Gdy potem zwołano sejm elekcyjny, Stanisław Poniatowski, król terażniejszy, otrzymał najwięcej głosów; familja Czartoryskich, która do ostatniej chwili ściśle była spojona, przemogła wszystkich.

Zaledwie Stanisław został królem obrany, wewnętrzna zawiść i nieufność między głównymi przewodzcami jego stronnictwa, które pewnie w czasie elekcyi dopiero zrodzić się nie mogły — głośno się objawiły.

Królowi duma kanclerza była przykrą, jego chęć przewodzenia—ciężką, chłód i zarozumiałość żywym nieco pierwszym krokom i przedsięwzięciom stawały na przeszkodzie. Wuj jego, wojewoda ruski, z synem ks. Adamem gniew swój objawił zbyt jawnie, zachowywali się względem króla nazbyt dumnie albo gderliwie. Ostatecznie Poniatowski z nich nie był zadowolniony, a pomimo to (musiałem opowiedzieć wypadki, aby wytłumaczyć położenie) trzymali się razem dla wspólnych interesów pewien czas, spójnie i w polityce byli zgodni zupełnie, aż dopóki zewnętrzne wypadki tego sojuszu nie rozerwały, rządili sami wyłączenie Rzeczpospolitą.

Tu na miejscu być może krótki rys rządu i szafunku sprawiedliwości w Polsce. W sprawach państwa całego się tyjących, nie się bezwarunkowo nie dokonywa z tego, co posłowie poleconem mają dla dobra

ogółu. Z własnego egoizmu sądzi się o samolubstwie drugich, i wiedzą wszyscy, że każdy pojedynczo wzięty poseł tylko te punkty instrukcyi swojej przeprowadzić się będzie starał, które jego własnym interesom najlepiej dogadzają; że tak samo każda prowincya tylko to posłom swym poleca, co jest największą, korzyścią nie dla ogółu ale dla niej samej. Stąd naturalnie wynikają stronnictwa różne.

Stronnictwa się formują albo z tych prowincyj, których żądania i instrukcyje są jednakie, lub z tych, które się najwięcej ku sobie zbliżają, albo z osób prywatnych, które prywatne interesa popierają, będące w przeciwieństwie z prawami, systemem, interesami pewnych prowincyj lub indywiduów; lub naostatek z ludzi sąsiednim mocarstwom oddanych i ich plany szkodliwe ogółowi przywodzących do skutku. Roboty tych partyj, które chcą coś przeprowadzić, do czego zgoda całego narodu lub większość głosów jest nieodzowną, — poczynają się jeszcze przed zwołaniem sejmików. Posyłają do tego powiatu lub ziemi, o której wiedzą, że ona planowi ułożonemu będzie najbardziej przeciwną, swoich stronników, aby tam opinię publiczną na swą stronę przeciągnąć, lub nią pokierować, aby ze szlachty wybrać tych, których przekonania najlepiej się zgadzają z projektem, lub takich co mu są najmniej przeciwni, a których zasady dadzą się sprostować i ku żądanym nakłonić. Obietnicami, perswazyami, podarkami lub innemi ofiary rzeczy miłych i pożytecznych, kupują się najznacniejsi ze szlachty dla partyj i tym sposobem zapewnia się powoli większość głosów na sejmie.

Przygotowania podobne poprzedzają zwołanie sejmików. Sprawy te mianowicie, które na sejmie rozbiegane być mają, w treści przesyłają się do województw i powiatów, w imieniu króla; zarazem sejmiki zwołują się, które zawsze o sześć tygodni sejm ordynaryjny, a o trzy extraordynaryjny poprzedzać muszą. Na sejmiki zgromadza się szlachta województw i powiatów i mieszkający w nich senatorowie. Naprzód większością głosów obierają marszałka, który sejmikowi przewodniczy, czuwa nad zachowaniem form prawem przepisanych, głosy zbiera, powaśnionych jedna, spokoj i porządek utrzymać się stara. Gdy ten jest wybrany, występuje delegowany od króla, i przekłada przedmioty do narady, a potem się oddała. Rozprawy się poczynają, punkta na które się wszysecy zgadzają są spisane i stanowią część projektów, które posłowie na sejmie przedstawić mają. Obok tych spraw, które królewski mandat wskazuje, traktują o wielu innych, ogólnych i miejscowych, które się deputowanym na sejm polecają.

Następnie wybierają się deputowani na sejm większością głosów zebranej szlachty. Wyżej już mówiłem, jakie są do deputacyi kwalifikacye; tu tylko dodam, że każdy poseł pojedynczo, głosem swym sejmik zerwać może i narady całego zgromadzenia unieważnić; że wiele sejmików nie przychodzi do skutku, a prowincye, w których się to dzieje, nie mają na sejm deputowanych, i do narad nie są dopuszczone. Prawny na to środek ma w rękach król, który natychmiast drugi sejmik zwołać może; nie prawem jest, gdy partya silniejsza, przemocą nęka i słabszą trzyma ją strachem na wodzy. Na sprawy sejmowe bynajmniej to nie wpływa,

choćby deputowanych z jakiego województwa brakło. Przytomni zastępują tych, których niema, a województwa potem muszą prawa przez sejm sankcyonowane na sejmikach relacyjnych, przyjąć za obowiązujące. Pewna zresztą, że gdyby większej części posłów na sejm brakło, taki sejm nie byłby nieważny, ale też nie byłby w stanie w ważniejszych sprawach stanowić i musiałby się do następnego odroczyć, na któryby większa liczba deputowanych przybyła.

A że na sejmikach często więcej niż jedno stronnictwo plany swe przeprowadzić usiłuje, przeto reprezentanci narodu w pierwszej chwili wyboru swego są rozdzieleni, i pozostają aż do ostatniej w tym samym stosunku.

Sejmiki wprzódę przebodziły rzadko bez gwałtownych, często nawet krwawych zajść. Na wielu z nich szlachtę rąbano i rozsiekivano bito okrutnie, lub gwałtem z sejmików wypychano. Na innych znowu dwie partye się równoważyły, wybierały obie swych posłów; każda z nich swoich tylko za prawnie obranych uznawała, dopóki silniejsza nad nie ręka sporu nie rozstrzygnęła. Wrzawa, waśnie i czynne gwałty, które się z tych partyj rodziły, były tem burzliwsze, iż zwykle uczestniczący w naradach bywali upojeni, a napoje gorące należały do środków, któremi się do spełnienia planów posługiwano. Miłość ojczyzny szumiała w ogromnych pucharach, świeciła w błyszczących dukatach, krwią współobywateli po szablach splywała. Sami polacy, czuć umiejący, z boleścią wspominają podobne nadużycia, które aż do ostatnich czasów trwały i dopiero po zwołaniu sejmu rewolucyjnego, po jego przedłużeniu i powtórzeniu w Grudniu

1790 r. po ustaleniu nowej ustawy w Lutym 1792, już się nie powtórzyły. Pewien polak patriota zapewniał mnie świeżo; iż tylko dwa sejmiki trafiły się napile i gwałtami odznaczone. Wyznanie to nie zbyt uspokajające, świadczyło przecieź o zgodzie powszechnej na reformę, która odwagi owego sejmu ludziom dodawać musiała. Jest rzeczą pewną, że z Warszawy do wszystkich powiatów, których pewni nie byli, wysłano posłów, oddanych konstytucyi, a ci zebrani na sejmiki szlachcie przedstawili co czynić powinna, jeśli zamiaru pragnie dokonać.

Posłowie, wybrani na sejmikach, z senatorami, ministrami i królem, składają sejm i zjeżdżają się na miejsce, które w królewskim piśmie jest na ten cel przeznaczone.

Sejmy są albo zwyczajne albo nadzwyczajne; podział ten trwa od r. 1573, gdy prawo nastąpiło, iż sejmy co dwa lata zwoływane być powinny, ale zarazem królowi dozwolono zwoływać je w krótkim terminie, jeśli okoliczności tego wymagać będą. Pierwsze tedy zwą się zwyczajnymi, drugie nadzwyczajnymi. Dzień, w którym zwyczajne zbierać się powinny w r. 1717 oznaczono na poniedziałek pierwszy po ś. Michale. Gdyby sejm w roku, na który był naznaczony, jakim wypadkiem nie mógł się odbyć, dopiero we dwa lata następny przypada. Miejscami, w których się sejmy zbierają, są na przemiany: Warszawa i Grodno, tak że dwa odbywają się w pierwszej, w drugim jeden. Za panowania teraźniejszego króla nie trzymano się tego ściśle i z wyjątkiem trzech czy czterech, sejmy odbywały w Warszawie, wszelako prawom miasta Grodna nie uwłaczając.

Oprócz pism, które król wzywając na sejm rozsyła — wychodzą od niego inne, zwane *Deliberatoria*, zawierające przedmioty, o których sejmy naradzać się mają, wydawane na trzy miesiące przed otwarciem, do senatorów, aby je naprzód rozbierali i do traktowania ich się przygotowywali.

Jak tylko senatorowie i posłowie do miasta przybędą, gdzie sejm się ma odbywać, marszałek dworu naznacza im mieszkania; ale że te przy zbytku nowych czasów i powziętym zwyczaju posłów przybywania z żonami, nie wystarczały im tak samo jak i *strawne*, które każda prowincya swoim deputowanym wydawała, zaprzestano tych wynagrodzeń i ułatwień im dawać. Posłowie najmują sobie mieszkania i w czasie sejmów utrzymują się własnym kosztem.

Do policyi sejmowej należy, że prawa surowo karzą każdego, ktoby śmiał szabli dobyć, kogokolwiek ranić, zabić; posłowie zaś i ich służba zostają pod sądowniczą władzą marszałka sejmowego. Do przywilejów senatorów i posłów liczy się, iż procesa przed sądami, w które są uwikłani, do jakiego by kolwiek trybunału należały, od początku sejmiku, przez całe trwanie sejmu, aż do czternastu dni po sejmikach relacyjnych, następujących po sejmie — są wstrzymane, a wyroki jakieby w tym terminie przeciw nim ferowane były, są unieważnione. Nim się sejm zbierze, w głównym kościele w Warszawie czy w Grodnie, celebryje się uroczyste nabożeństwo przez prymasa, lub jednego z biskupów, albo nawet przez nuncyusza papieżkiego. Król, senatorowie, posłowie ze szlachty są na niem obecni, i choroba tylko ciężka, może niebytność usprawiedliwić. Po mszy i kazaniu stany towarzyszą

królowi, naprzód na pokoje jego, potem do izby senatorskiej, gdzie następuje uroczyste przyjęcie. Po ukończeniu jego posłowie odchodzą do izby swej i zajmują się naprzód wyborem marszałka sejmowego.

Marszałek jest duszą sejmu i obrad sejmowych. Sejm nie ma znaczenia, prawa nie są uchwalone legalnie, jeśli marszałek się nie zgadza, lub zaprotestowawszy salę opuści. Jeśli z powodu słabości obecnym być nie może, zastępuje go pierwszy deputowany tej prowincyi, z której marszałek jest wybrany.

Obowiązkiem jego jest: Posłom przedmioty do dyskusyi przedstawiać; proszącym o głos dawać go, zwaśnionych godzić, przeczących przywoływać do porządku, uspokajać i nakazywać milczenie, gdy wrzawa i hałas powstanie, nakłaniać do umiarkowania i przyzwyczajenia, jeśli się posłowie unoszą; a dopuszczających się obrazy powoływać pod łaskę marszałkowską dla wysłuchania nagany izby. On posiedzenia zamyka i oznacza dzień i godzinę do dalszego rozpraw ciągu; przemawia w imieniu posłów; przekłada ich życzenia i wymagania; zapadłe uchwały w izbie poselskiej przed senatorami i królem odczytuje; oprócz tego ma jeszcze innych wiele praw, dotyczących się toku spraw i formalności. Jest rzeczą pewną, że prowadzenie pomysłów sejmów w większej części od marszałka zawisło, który być powinien wykształconym, wymownym, zręcznym człowiekiem, umiejącym z okoliczności korzystać i w daną porę być łagodnym lub niewzruszonym. Prawo przepisuje, aby marszałek wybieranym był z posłów obecnych, na przemiany z W. polski, Małopolski i Litwy. Jeśli marszałek jednego sejmu wybrany był z W. polski, następny musi być z Mało

polski, a później z Litwy wybierany. Marszałek poprzedzającego sejmu po raz wtóry urzędu tego piastować nie może.

Ponieważ posada ta z wielu obowiązkami i ofiarami ciężkimi jest połączoną, prawo naznacza marszałkom wynagrodzenie w sumie 60,000 pol. złotych ze skarbu, ale te często dopiero w lat kilka są wypłacane a czasem nigdy się ich nie odbiorą. Czasami otrzymują oni oprócz tej sumy, dobra królewskie w dzierżawę i senatorską godność. Zwykle przy wyborze marszałka poczyną się już gwałtowna walka stronnictwa. Każdemu z nich zależy na tem, aby wybrany poseł do niego należał. Każde z nich stawia swojego kandydata i stara mu się największą liczbę głosów pozyskać. Trzecia partya, która się obrachowuje, że swojego nie przeprowadzi, pracuje nad tem, aby żadnego nie wybrano, a w takim razie sejm nie przychodzi do skutku, a ona nadzieję zachowuje, że na przyszłym zwycięży.

Lub też jedno z mocarstw obcych oświadcza się przeciw kandydatowi, który prawdopodobnie ma większość otrzymać; a inne przeprowadza wybór tego, który jego interesom dogadza. Jednem słowem, wpływają czasem dni i tygodnie, nim ten wybór do skutku przyjdzie; czasem całkiem się nie dopełni, a sejm rozjeżdża niedoszły. Wybór marszałka odbywa się pod przewodnictwem tego, który ostatniemu sejmowi marszałkował.

Jeśli wybór do skutku doszedł, sprawy, wedle prawnego porządku powinny po sobie iść w następujący sposób: naprzód rozstrzyga się ważność wyborów poselskich; posłowie przedstawiają się królowi; czyta się przysięga króla i *pacta conventa*; następnie przedmioty, które na sejmie mają być rozbierane; — uchwały te

które w sprawach Rzplitej i wojennych przez delegacye senatu i rycerskiego stanu zapadły, a w swoim czasie publikowane być nie mogły, odczytane są i potwierdzone; również dekrety, które król z senatem, w między-sejmowym czasie ferował, utwierdzają się. Posłowie wnoszą kandydatów do opróżnionych posad i dygnitarstw; senatorowie wyrażają swą opinię o przedmiotach przedstawionych; z pośrodku ich mianują się komisye, które w części projekty konstytucyi przeglądają, lub od podskarbieh i skarbników rachunki odbierają i posłowie, którzy na obce dwory wysyłani byli, z przedmiotu poselstw sprawę zdają i na prawdę i rzetelność swych słów przysięgę składają. Na ostatek jeszcze powinni być przedstawiciele wojsk czyli mówcy, od nich, o sprawie wojskowej i rzeczach, tyjących się je przesłuchani. Gdy się to wszystko w izbie senatorskiej odbyło, posłowie przechodzili znowu do izby swej, by naprzód stanowiąc uchwały, tyjące się bezpieczeństwa publicznego, jeśli takowe były potrzebne, król tymczasem z senatorami i temi posłami, których ku temu marszałek powołał, zajmowali się sądami sejmowemi, wracali do senatorów, pięć dni połączeni z nimi roztrząsali je i sejm się na tem kończył.

Taki porządek dawne prawa przepisują, ale wiemy już o tem, że one nigdy ściśle wykonywane nie były. Walki różnych stronnictw wszystko wywracały i mieszały, a zmiany w nowszych czasach, wpływem obcych mocarstw wywołane w tych przepisach, niektóre z nich całkiem poznosiły. Tak naprzykład mocą konstytucyi z lat 1768 i 1775 oznaczonem było trwanie sejmów na sześć tygodni, a na wybór marszałka dni trzy. We dwa dni potem łączyły się obie izby; następnie

przystępowano do wyboru Rady nieustającej; wybierano komisję skarbową polską i litewską, asesorów sądów zadwornych i kancelerskich; trzech senatorów i sześciu posłów podawali projekty uchwał. Gdy tego wszystkiego dopełniono, co więcej nad trzy tygodnie czasu zabrać nie było powinno, izby się rozdzielały, posłowie udawali się do swojej, dla rozebrania czynności Rady nieustającej, jej uchwał i rozporządzeń, odebrania rachunków komisji skarbowej; zbadania postanowień i wydatków izby edukacyjnej; naradzenia się nad traktatami przez króla zawartemi; na ostatek dla układu projektów nowych konstytucyj, które przyjmowano lub odrzucano. Pierwszego dnia szóstej niedzieli izby zgromadzały się znowu razem; projekty konstytucyi, które jednogłośnie uchwalono, zaraz przechodziły w prawo i wpisywane zostawały. Po nabożeństwie uroczystem sejm był zamknięty. Jego postanowienia zwały się konstytucyami.

Ale w ciągu zajmowania się sprawami najdrobniejsze rzeczy dawały powód do sporów, do przewłoki i zamieszania. Król naprzykład oznaczył dzień, w którym uroczyście posłów miał przyjąć, tymczasem jeden lub kilku wnosilo, iż wprzódby nim to nastąpi, są pilniejsze zajęcia i na takich szykanach upływało dosyć czasu; przy czytaniu paktów konwentów podnosiły się głosy posłów, zarzucające, iż król ich nie dochowywał lub polecające mu ściśle ich spełnienie; dalej sprawy do dyskusyi podane wywoływały nieporozumienia, rozdział i groziły zerwaniem sejmu; wybór Rady nieustającej gwałtowne ściągał wystąpienia, rozbiór czynności jej od ostatniego sejmu jeszcze burzliwsze rozprawy. Uchwała konstytucyi przez posłów

opóźniała się i nie przychodziła do skutku, bo sejm się zamykał; jednym słowem—nieład, nadużycia, przemoc, nieświadomość, lekkomyślność odbijały się we wszystkich czynnościach zgromadzenia tego, którego pojedynczy członkowie, posłowie, postępowali gwoli swemu egoizmowi, dumie i uczuciu bezkarności. *O liberum veto*, źródle najszkodliwszych nieporządków, wspomniałem wyżej.

Nadzwyczajne sejmy odbywają się wedle tegoż samego porządku i chód mają ten sam, co zwyczajne, ale od r. 1768 postanowiono, iż trwać nie mogą nad dni czternaście. Uroczyście formy w nich zostały skrócone lub całkiem są pominięte. Zresztą podlegają one tym samym nieporządkom i nadużyciom jak zwykle. Tak samo sejmy konwokacyjne w czasie bezkrólewia, i następujące po nich elekeyjne się odbywają.

W pierwszych sprawy się tak samo prowadzą jak na zwyczajnych sejmach, co się tyczy innych szczegółów, dotyczących się ich, o tem łatwo w każdym podręczniku znaleźć wiadomość.

Ponieważ „*liberum veto*“ połączone z przeciągnięciem spraw nad termin trwania sejmów przeznaczony, w tym wieku wszystkie niemal sejmy zwyczajne i nadzwyczajne pozrywało; przyszła myśl w nowszych czasach zużytkowania sejmów *pod konfederacyę*, które reprezentacyi narodu dawały czas do skutecznego zajęcia się sprawami. W Polsce wyraz konfederacya oznacza tożsamo co insurrekcyja, to jest powstanie obywateli i związek ich, do tego zmierzający, by pilnym kraju potrzebom zadość uczynić, które na sejmie zwyczajnym zaspokojone być nie mogły, lub gdy zwołanie jego stawało

się niemożliwe, a narady, z powodów wymienionych, bezskuteczne.

Że uchwały sejmu konfederacyjnego nie wymagały jednogłośnej zgody wszystkich, ale tylko większości głosów, tym sposobem unikało się niszczącej siły — *Liberum veto*. Zresztą sejmy te składają się z tych samych członków, formalności są też same jak na zwykłych, a w nowszych czasach i termina także. Nie są one wszakże nowemi, bo były zdawna w Polsce znane i używane, naprzykład gdy osobie królewskiej i krajowi od spisków i nieprzyjaciela groziło niebezpieczeństwo, gdy po śmierci panującego trwało bezkrólowie, gdy się sejm elekcyjny dla nowego wyboru zgromadzał.

Nie należy wszakże sądzić, iż tylko istotne potrzeby kraju i państwa spowodowały zebranie tych sejmów; często zwoływano je dla prywaty możnych rodzin, dla przeprowadzenia planów obcych mocarstw, dumy, zawiści, zemsty i z innych pobudek wcale niepatriotycznych; słowem — zła organizacya państwa stanowiła ich podstawę. Stąd i przebieg spraw na nich szedł wedle obyczaju zwykłego. Intrygi, przekupstwo, chytrość, przemoc górowały. Często przeciwko jednej konfederacyi stawała druga; a trzecia przeciwko im obu... Postanowienia jednej wywoływały uchwały drugiej, gdy tymczasem kraj stał w płomieniach, a krew obywateli lała się na wsze strony.

Przypomnieć sobie tylko trzeba konfederacyjne walki nowych czasów, ich przyczyny i zgubne skutki.

Ostatni sejm konstytucyjny był także dziełem konfederacyi, ale w czasie trwania sejmu zwyczajnego zmienił się d. 7 Października 1788 w konfederacyjny,

gdyż większość sądziła, że wedle ustawy i regulaminu r. 1768 formą zwykłą nie przeprowadzić nie potrafi.

Oprócz powodów pochodzących z egoizmu, dumy, chęci przewodzenia i mieszania się obcych mocarstw, powodów, które sejmy tak wrzawliwemi a bezsilnemi czyniły, dwa jeszcze nie mniej potężnie na nie oddziaływały: nieuctwo i lekkomyślność.

Prawa przepisują, ażeby wybrany posłem, był urodzonym w kraju i osiadłym szlachcicem, ale nie wymagają zarazem, aby był wykształconym, pracowitym, praw i zwyczajów państwa świadomym. Stąd pochodzi, że dwie trzecie posłów, wysyłanych na sejm są ludzie prości, mający wyobrażenie o tem, co uchwalać na sejmie powinni, tylko z przykładów dawniejszych lub z instrukcyj, danych przez przewodzącego stronnictwu. Tłumem więc kieruje kilku tylko nieco mądrzejszych w sejmie. Nie idą za nimi wiernie posłowie mniej świadomi, gdyż brak nauki i pojęć zdrowych rodzą w nich upór nieprzelamany. Ten rodzaj posłów, zamiast wszelakich argumentów, zadowolnia się jednym „*ja nie chcę*“ albo „*jednakże*“, które opiera na słowie przewodzącego partją bezmyślnie za ewangelię je przyjmując. Widziałem tego przykłady na sejmie konstytucyjnym, nawet na posłach ze stronnictwa rewolucyjnego równie jak partyi przeciwnej; śmieszni byli do najwyższego stopnia, to sobie łatwo przedstawić. Raz spotkałem u biskupa inflantskiego, Kossakowskiego, dwu młodych posłów ze stronnictwa rewolucyjnego. Biskup przedstawiał im niebezpieczeństwa, na jakie się Polska naraża, tak ostro ciągle występując przeciwko Rossyi i zrywając wszystko, co Rzeczpospolitą z tem mocarstwem wiązało. Dowodził

im, jak Polska była słabą, by z Rosyją walczyć w przypadku gdyby pokój ze Szwecyją i Portą został zerwany, że brak jej silnej, regularnej, opatrzonej potrzebnymi zasoby wojennymi armi i że Prusy i Austria, gdy do rzeczy przyjdzie, partyę patryotyczną, w szachu zostawiają, słowem przepowiadał im to właśnie, co się później stało. Posłowie, nisko się kłaniając, na wszystko odpowiadali „tak“ i „tak“; ale gdy ich począł namawiać, aby stosownie postępowali, w najśmieszniejszy sposób poczęli wychodzić ze swem „ale“ a biskup na wiatr próżno gadał. Tymże samym orężem wielu Rosyji partyzantów zbywało przedstawienia patriotów, i wszystkie próby przeciągnięcia ich na swą stronę były próżne. Dostyc, że tych ludzi pierwsze wrażenie pętało, które mały zapas idei, dumę lub interes własny uderzyło, a partya, która ich raz pozyskała, mogła na nich rachować, może w istocie mocniej, niż na ludzi rozsądku i głowy, których okoliczności do rozpatrzenia się w różnych stronach zadania skłaniają.

Lekkomyślność wszystkich stanów polakom właściwa, tyle przynajmniej szkodzi interesom publicznym, co brak wykształcenia. Wrzawa uciech otaczająca sejm, posłów rozrywa, nawet i starszych wiekiem, zabiera im większą część czasu; młodszy, którzy roli ważnej jeszcze odegrywać nie mogą, nie znajdują przyjemności w pracy, nie pochlebiającej ich miłości własnej; ograniczeni nie potrzebują się przygotowywać, ażeby wyrzec „tak“ — pilni i uczeńsi, na których cała robota spada, padają pod jej nawałem, albo ze znużenia porzucają, lub w końcu powierzają prawnikom, księżom i innym, uchodzącym za zdolnych ludzi, zapłatę tylko ma-

jących na oku, i byle czem zbywających. Wszyscy ile ich jest, przy zwykłym wychowaniu ich, przy wygodnym sposobie obrabiania interesów, do pracy wytrwalej, do skupienia się, obmyślenia, a nawet do cierpliwego milczenia nie nawykli. Nawet ten szczęśliwy przymiot ich organizacyi, że nader łatwo wszystko pojmują, zwiększa jeszcze zło, gdyż pobieżnem wejrzeniem zadowolniają się w rzeczach największej wagi, których wewnętrzny skład tylko rozważa i trud odkryćby mogły. Ten sam dar łatwego pojmowania sprawia, iż z łatwością też żywo, obfitemi słowy, ale jednostronnie, o najważniejszych rzeczach sądzą i mówią.

Na pierwszy gruntowniejszy zarzut milkną, a po drugim przechodzą łatwo na stronę oponenta. Nieby nie było łatwiejszego przy przewadze talentów, jak zgromadzenie polaków nakłonić do czegoś się obciało, gdyby nie stronnictwa, osobiste korzyści, obawa i duma, które miasto przekonań niemi władną. Ta okoliczność, iż sprawy krajowe muszą obrabiać bez pieniężnego wynagrodzenia, przyczynia się nie mniej do utrzymania lekkomyślności i opieszalstwa; to co czynią mają sobie za wyświadczone z łaski; a że nawykli na to patrzeć, że mała liczba obywateli sama za cały kraj się ma, i podstępem a siłą drugich do pracy dla siebie zmusza, zmniejsza tę ochotę do zajęcia, do której chyba obfity ustępstwa z tego co partya ojczyznę nazywana zdobywa dla siebie — może do większej czynności pobudzić. W takim razie nawet nie męczą się zbytecznie myśleniem i trudem, bo wystarcza ich głos na sejmie do przeprowadzenia tego, o co idzie stronnictwu; na nie więc zdają przygotowania, wymagające zachodów i wolności lub na płatnych pomocników.

Wszystko to razem wzięwszy łatwo zrozumieć, dla czego w Polsce tak zwycięzki wpływ na wszelkie sprawy mają kobiety. Powaga, nauka, pracowitość nigdzie kobiet podobno nie odznaczają, a u tutejszych ich najmniej. Ale przy sposobie, w jaki tutejsze sprawy się odbywają, nie potrzebują one tych przymiotów, któreby im raczej szkodliwe niż pożyteczne być mogły. Wdzięk powierzchowny i wypływająca zeń siła przekonania; sztuka zręcznego pochlebiania, obudzania pewnych nadziei, zmiękczenia łzami, wzruszania miłą niecierpliwością, pięknym gniewem przerażania; powolności i grzeczności, które natura im dała jako oręż przeciw mężczyźnie, umieją użyć bardzo trafnie. Przymioty te, złączone z chytrą i umiejętną słowami, w sprawach cudów dokazują; miłość, zapal, zachwycenie równie wiele czynią jak złoto, klejnoty, ekwi-paże... i często też się równie zużytkowują.

Nie więcej trudu i zachodów nie kosztowało większości sejmowej, nad zwrot starostw państwu i ich sprzedaż, bo wszystkie panie oświadczyły się przeciwko temu, nawet żony patryotów, którzy to prawo wnosili albo się na nie zgadzali. Panie patrzyły na tę uchwałę jako na ruinę swej toalety, na rabunek swych sukienek, na wywłaszczenie z klejnotów i cacek. W istocie straciły przez to wielkie rodziny aż do połowy swych dochodów, a kobietom tem boleśniejsem to było, że wielu małżonków szczodrych, na szpilki i drobne wydatki, sumy na starostwach wyznaczali. Gdy jednak ustawa ta przeszła; odpokutowali za nią ci co ją pierwsi wnieśli. Wiele *przyjaciółek* pozrywało z niemi; wiele dla nich oziębło, wiele dawnych stosunków zostało zwichniętych. Zaczęto wyjeżdżać z War-

szawy, pozamykano domy, posprzedawano whisky, wystawiano na sprzedaż nawet garderobę. Największa wszakże wina spadała na króla i on odpokutował najsrożej. Dawniej zbierało się co było najpiękniejszego w Warszawie, w najkosztowniejszych klejnotach polyskując, w najświetniejszych ubiorach, wieczór w wigilję nowego roku na wielkiej sali zamkowej. Ukazywał się on tu wpośrodku najwdzięczniejszych, najbardziej uroczych kobiet koła, nie jako ulubiony król, daleko więcej, bo jako upragniony kochanek stu najśliczniejszych niewiast... które usiłując mu się przymilić i podobać w piękności się przesadzały. Jak dziwna zmiana w nowym roku 1792. Czekano i czekano na próżno, żadna z pięknych pań się nie pokazała! A gdy naostatek otwarły się podwoje, weszła jedna tylko obca księżna, która wprawdzie mnóstwo innych zagasić i zastąpić mogła i nikt więcej — jedna tylko panująca księżna kurlandska w towarzystwie siostry króla i dwóch czy trzech dam jeszcze. Dowiedziano się naówczas, że reszta pięknego świata niesłychany spiszek przeciwko królowi uknuła, nie pokazywać się przed nim więcej, gdyż on — jak sądzono, sprzedaż starostw wniósł i popierał, i panie przez to w smutne położenie wprawił — że nie miały za co dyamentów kupować i nosić ich nie mogły. Ale nieszczęśliwe złą chwilę na zemstę wybrały. Większa część przytomnych przypisała niebytność tę zazdrości i niechęci przeciw obcej księżnie, i to co by w innym czasie tragiczne może przybierając rozmiary — tak stało się groźnem, coby straszliwą rewolucyę państwową wywołać mogło — teraz obudziło tylko uśmiechy mężczyzn i pociechę... Julja Potocka i dwie inne piękne panie,

które się nader skromnie ubrane w przedsieni poka-
zały, przestraszone śmiechami, znikły w tłumie.

Opowiadano mi w związku z tą sprawą starostw, je-
dną historyjkę, która bardzo charakterystycznie maluje
jak się tu interesy odbywają. Wielu, którzy w innych
uchwałach szli z większością, w tym punkcie odłączy-
ło się od niej przeszło na stronę przeciwną; dla tego
czuła się ona w tym czasie długo za słabą, by konstytu-
tucyę, dawno przygotowaną, sejmowi do utwierdzenia
przedstawić mogła. Każde stronnictwo łatwo policzyć
może ile ma głosów za sobą i przeciwko sobie; partya
więc konstytucyjna rachowała, że piętnastu głosami bę-
dzie przewotowano. W początkach traktowano, werbo-
wano, namawiano, obiecywano — ale nic nie skutko-
wało. Na ostatek takim podstępem cel osiągnięto.
Pewien magnat który się jeszcze otwarcie ani za ani
przeciw tej operacji nie był oświadczył, ale potajemnie
do patryotów należał, zaprosił wielką liczbę osób na ostry-
gi i hulankę na Wołę. Pomiędzy zaproszonemi było
ze dwudziestu przeciwników sprzedaży starostw. Stoły
uginąły się od półmisków, bufet giał się pod butelkami.
Gospodarz i para jego towarzyszków, którym plan był
znany, podbudzali gorąco do jedzenia i picia tych szcze-
gólniej, o których im chodziło głównie. Hulanka roz-
pasana trwała do czwartej rano nazajutrz. Odjechano
do domów w takim stanie, w którym się już o spra-
wach kraju myśleć nie ma ochoty. Główni biesiadni-
cy szczególnie zapomnieli całkiem o starostwach i o na-
stępnem posiedzeniu sejmowem na które, oprócz tego,
przez zbawienną ostrożność, inny przedmiot narad za-
powiedziano.

Z ostrygowych gości kto nie był chory nazajutrz,

ogłuszony był i drzemiący; nikt z nich na posiedzenie nie przyszedł. Tak się rozpoczęło, i patryoci szli pewni już swego; marszałek sejmowy uniewinnił się, iż wczoraj zapowiedziany projekt do prawa nie był gotowym; wniósł na stół za to rzecz o storostwach; większością głosów ją przyjęto i zmieniono uchwałę w prawo. Napróżno niektórzy z partyi przeciwnej polecieli po swych stronników, aby się wzmocnić, znaleźli ich albo niezdolnych do przybycia na sesję, lub obudzenie ich i przywiezienie za wiele czasu by zabrało, aby w porę jeszcze przybyć mogli. A że większość na powrót ich nie czekała, domyśleć się łatwo.

Deputowani, reprezentanci narodu polskiego mają okrutny wstręt do wszelkich pisanych, drukowanych, długich prawnych i politycznych wywodów, krótkie treści uchwał czytają jeszcze, ale najczęściej dopiero w ostatniej chwili, gdy się już rozprawy o nich zaczynać mają. W istocie śmiesznie było trochę patrzeć, jak jadący na sejm w powozach, pomimo rzucania ich i kołysania się po złym bruku, często nader pilnie dopiero drukowane projekty odczytywali, a razem mijających mężczyzn i kobiety znajome witali. Nieraz można było ich widzieć w licznych, wrzawliwych towarzystwach nawet przy stole, dobywających pisma te i na przemiany jedzących, zapijających i czytających, lub treść ich opowiadających pięknym paniom, z których oczów wcale coś innego przemawiało—nudzących je i męczących, aby się o ich zdaniu z pięknych ustek dowiedzieć. Nieraz nim projekt zrozumiano, poczynano go wychwalać, ganić lub się z drugimi o niego spierać. Nie mniej dziwnie się wydawało, wśród samych rozpraw widzieć posłów, dobywających gazety, czytających listy,

z założonemi rękami gawędzących między sobą, a nawet usypiających spokojnie. Sam król tym ludzkim słabostkom podlegał na sesjach, których przedmiot mniej go obchodził lub które się zbyt długo przeciągały, a o ich skutku, zapewnioną mając większość głosów, nie wątpił.

To zaniedbanie podtrzymywane jest jeszcze przez zwyczaj, aby ważne sprawy zdawać pewnym komisjom, deputacyami zwanym, i zlecać im ich zbadanie, opracowanie i przedstawienie; poczem już o nie nikt się nie troszczy, aż gdy robota gotowa, projekt się przyjmuje lub odrzuca, wedle usposobienia, skłonności, interesów, stosunków i innych wpływów.

Deputacye te, wybierane z całej izby, na małą skalę sprawy prowadzą jak ona. Każde stronnictwo usiłuje do nich weisnąć swych członków i wnosi w łono deputacyi rozdwojenie, jakie w izbie panuje. Skutkiem tego, deputacya w krótkce jest niekompletną (bo prawo oznacza liczbę członków, którzy na każdym posiedzeniu obecni być powinni, aby ono prawomocnem było), to znowu głosy w niej podzielone. Jeden z członków przychodzi o jedenastej, drugi o pierwszej, trzeci o drugiej, — posiedzenie się rozpoczyna w pełni, dopiero wtedy gdy godzina zamknięcia nadchodzi. To objaśnia dla czego najważniejsze przedsięwzięcia sejmu rewolucyjnego, przy całym jego pośpiechu i rozwiniętej działalności, w chwilach sprzyjających większości, wszystkie tak opieszale, tak dziwnie ospale się dokonywały. Deputacye wyznaczone do utworzenia projektu nowej ustawy, ulepszenia bytu skarbu, organizacyi wojskowej, całe lata były zajęte a nie aż do ostatniej chwili nie zrobiły, i dopiero zmuszone, po-

spiesznie roboty dokonywały. Sprawy kurlandzkie od r. 1788 do 1791, wniesione na sejm leżały, i w tym czasie dopiero otrzymały osobną do rozbioru deputację. Ta w przeciągu tych kwartałów miała pełnych posiedzeń około dziesięciu, a powinna była wedle postanowienia sejmowego, odhywać ich dwa na tydzień. Owo dziesięć posiedzeń, dla wyżej wymienionych przyczyn, przeszły bezowocowo, i dopiero, gdy wypowiedzenie wojny ze strony dworu naszego ukazało się, zebrano się (dzięki przyjętej zasadzie *medii termini*, na której stronę członkowie deputacyi skłonili się w skutek równie z obu stron *ważnych*, równie *jasnych* argumentów), — na *jedyne* posiedzenie, które w sprawie między księciem a szlachtą postanowiło kilka naciągniętych, dwuznacznych punktów, nazwanych konstytucją; a kanclerz Kollataj w ostatniej chwili poprzedzającej wieczerzę, od tejsze deputacyi deklaracją bez znaczenia, tyczącą się miast kurlandzkich, ledwie wymodlić potrafił. Z tem pełnomocników księcia i szlachty, którzy od lat czterech pracy, kłopotów i wydatków ponieśli wiele i deputowanych miast, również od półtora roku siedzących w Warszawie — z ojcowską pieczołowitością do domów odesłano.

Sposób w jaki się sprawy, o których sejm ma rozstrzygać, mu przedstawiają, wielce jest utrudzający. Drukują się one w formie przepisanej prawem, z potrzebnymi allegatami i podają w tej postaci królowi, ministrom, marszałkowi sejmowemu, senatorom, posłom ze stanu rycerskiego. Starać się trzeba z osobami temi mówić i interesy ustnie przedstawić. Jeśli się czegoś żąda, obyczajem jest wymagać jak najwięcej, bo wiadomo, iż ledwie cząstka z tego otrzy-

mać się może. Jeśli się skarży na ucisk, na spóźnioną sprawiedliwość, i t. p. należy krzywdy przerażająco wystawić, dokumentów przytoczyć jak najwięcej, dołączając konkluzye i petita, najmniej dwie trzecie więcej wymagające, niż się właściwie żąda. A że wogóle przypuszczać należy, iż te zaskarżenia, tem bardziej zaś dołączone dokumenty, wcale czytane nie będą; dodaje się do nich krótka treść, ubiera w swobodną formę, i stylem łatwym napisana, rozdaje w języku polskim, francuzkim, lub niemieckim, równie jak sam wywód sprawy — osobom wymienionym. Zarazem rozsypuje się notatka między publicznością, dla pozyskania sobie opinji publicznej. Ton notatki może być poważny lub ostry, satyryczny albo żartobliwy; to ostatnie najlepsze czyni wrażenia, szczególnie jeśli przeciwnika śmiesznością okryć można. To jest czynność pierwsza.

Druga rozpoczyna się od tego, że się osoby, najważniejszą w sejmie grające role, przeciągnąć usiłuje na swą stronę. Aby tego dokazać, potrzeba dokładnie wiedzieć — *jak* się to czyni. Ku temu służą pewni ichmoście w Warszawie, którzy oddawna w interesach pośredniczyć zwykli, księża, facyendarze, adwokaci, urzędnicy w ministeryach i t. p. Tych polityczną i ekonomiczną znajomość miejscowości kupuje się sobie za pewną oznaczoną summę. Ci posiadają sami zaufanie wielu magnatów, lub znają zaufane osoby i proszącym je wskazują. Od nich się dowiadują oni, czem magnata ująć sobie można i oni są pośrednikami. Z nimi się umawia o podarki, jakie uczynić należy, ażeby być popieranym i łaskę pozyskać. Ci panowie są uosobioną zręcznością i intrygą. Biorą zwykle od wszystkich zarówno stronnictw, obiecują każdemu

czynnie się wstawiać, obcinają często na swą korzyść prezenty, które się im powierza (kwitu bowiem trudno na nie wymagać) — a oprócz tego za swą pracę, otrzymują jeszcze pewną sumę... Wskazują zaś dodatkowo do ujęcia solicytantom pisarzy, kamerdynerów nawet odźwiernych... W ten sposób ułatwia się przystęp do domu — tak samo też pozyskuje się te panie, które przeważny wpływ na magnatów mają.

Posłów, którzy są w mniej świetnem położeniu, sam proszący odwiedza i sprawę przekłada, od pierwszej wizyty dając jasno do zrozumienia, że za usługi ich się odwdzięczy. Oni nawzajem wyraźnie czuć dają, iż nie są od tego; za drugą bytnością wszystko się ułatwia. Z tymi panami o tyle sprawa lepsza, iż się wie przynajmniej, że oznaczoną sumę otrzymali, bo się ją z rąk do rąk wypłaciło, i otrzymało podziękowanie jak od woźnicy za napiwek, którego odmówić nie można. Jeśli się w podobnych razach chce oszczędzać (czego nie radzę, jeśli sprawa jest ważna) — dowiedzieć się należy, kiedy łaskawca pieniędzy pilno potrzebuje; to taniej się go mieć może.

Jeśli sprawę proszącego przekazano deputacyi sejmowej, trzeba przy wyborze jej członków być pilnym i czujnym: później w sposób, jaki się wskazało, pojedynczo każdego njąć się starać. Głównie należy prowadzącego protokół mieć za sobą, aby zawsze był w gotowości wypisy z niego udzielić. Również młodszego pisarza zaniedbywać też nie należy, ażeby się od niego zawsze dowiadywać co deputacya (przeciwko prawu, które nakazuje przy drzwiach zamkniętych obradować) *remotis arbitris*, postanowiła. Sprawy ame, jeśli się tyczą sądowego przewodu, wnoszone są

przez adwokatów. Odczytują oni to samo zaskarżenie, które się już rozdało, — jak mogą najszybciej, ukazują dokumenty, nie czytając ich deputowanym, a gdy przeciwnik w tenże sposób wysłuchany został, sąd przechodzi do narady. Można sobie wystawić, w danych okolicznościach, jak się one kończą! Prawdą jest, iż narady tyczą się tylko tych punktów, o których rozstrzygnięcie sam proszący wnosił i dla nich sobie większość pozyskał. Dla tłumu wprawdzie wymagania się spotęgowują o ile możności; ale zaufanym należy powiedzieć dokładnie i otwarcie, czego się ostatecznie żąda, i w tym przedmiocie daje się instrukcya, Otrzymuje się co chce, mając większość za sobą. Jeśli się okaże, iż przeciwnik ma równą ilość głosów, natenczas średnią obiera sąd drogę; protektorowie obu stron zbierają się; ograniczają żądania obustronne i wyrok, który nie rozstrzyga — gotowy. To była czynność trzecia.

Czwartą, która nowy trud, kłopoty i wydatki za sobą prowadzi, jest przedstawienie dekretu tego deputacyi na sejmie i otrzymanie potwierdzenia. Tu znowu należy ile tylko się da pozyskać głosów. Ci posłowie, którzy weale przy wprowadzaniu i badaniu sprawy nie byli potrzebni, stają się niemi przy rozstrzygnięciu, bo najmniej znaczący, ma przecie swą wagę — to jest swój *głos*.

Trzeba osobiście każdego odwiedzać, mówić, słowy i podarkami sobie pozyskiwać. Czynność proszącego dochodzi tu najwyższego stopnia. Od godziny szóstej rano począwszy, do dwunastej w południe, od szóstej po obiedzie do północy musi być w ruchu, wedle tego jak się spodziewa senatorów i posłów wze-

śniej lub później, przy wstawianiu lub idących spać, u stołu lub przy grze pochwycić. Często spotyka się w tych samych miejscach z przeciwnikami, w przedpokojach lub u toalety, słucha mówiących przeciwko sobie i czeka końca, ażeby rozpocząć krzyczeć na swą stronę. W takich razach rozumniejszy pilnuje się, i aby przeszedł na ostatku. Protektor bowiem znękany i obalamucony ostatnim przyznaje słuszność. Sprawa narzecie przed sejm przychodzi, głosują za nią lub przeciw niej, nie będąc z nią dobrze obznajmieni, a większość głosów rozstrzyga. Jest to rozwiązanie sztuki, zasłona zapada z powszechnem wszystkich niezadowoleniem.

Nie należy powątpiewać o prawdziwości tego wizerunku. Rysy jego pojedyncze zaczerpnięte są z własnego doświadczenia i ani za słabe, ani przesadzone. Ktokolwiek ma sprawę w sejmie, znajdzie je trafne i z własnych postrzeżeń będzie mógł je uzupełnić.

Bieg interesów prawnych, na mniejszą skalę, jest ten sam. Należy tylko w miejsce senatorów posadzić sędziów, zamiast posłów—assessorów, zamiast pośredników i faktorów—advokatów i pisarzów; też same środki używają się dla ich pozyskania. Sprawy sądowe idą drogą tą samą i kończą się podobnie.

Prezesowie różnych wyższych i niższych sądów w Polsce, zasiadający sędziowie mogą być tylko ze szlachty wybierani. Prawne ich wiadomości bardzo są ograniczone. Co się gdzieindziej nauką jurisprudencji zowie, tu jest całkiem nieznaną. Polskie prawo opiera się na uchwałach sejmowych, zwyczajach, tradycjach i przywilejach, prawach różnych stanów i nadaniach, które przy zaskarżeniu każdym razem w od-

pisach muszą być przekładane. Nowe konstytucye i nadania obalają dawniejsze; kwestye prawne, których one nie rozstrzygają, nie objaśniają się z pomocą praw obcych, ale albo się naciąga dawne dekrety, by rozszerzone czy ścisnione do wypadku się zastosowały, lub postępuje arbitralnie. Ogólnego praw zbioru niema, a konstytucye i rozporządzenia często są z sobą sprzeczne. A jest ich tak wiele, że przy najpilniejszym badaniu przejrzeć ich nie podobna wszystkich i pojąć właściwe im znaczenie. Co za doskonała dla sędziów i asesorów wymówka, gdy nie nawykli do pracy poważnej, niewiele się o nią troszczą... jak szerokie pole dla szykan i pieniactwa rzeczników!

Adwokaci są niechybnie jedną z najmniej zalecających się klas społeczeństwa polskiego. Niechętnie mówię o cnotach i występkach całych społeczeństwa sfer, ale o tej mam niejakię prawo sądzić, że jest tak zepsuta, iż jedyną pochwałą, na którą wyjątkowo pojedynczy członkowie zasługują, da się wyrazić chyba tem, iż mniej są od drugich zepsuci.

Ich nauka prawa (pozwalam sobie tego wyrażenia zbyt wiele mówiącego) jest rzemiosłem, a oni sami stanowią rodzaj cechu. Młody człowiek, który adwokatem zostać pragnie, uczy się pisania i łaciny w szkołach zwyczajnych. Gdy dojdzie do pewnej wprawy, stara się umieścić u jakiego z adwokatów, który go bez opłaty za naukę nie przyjmie. Służy mu tedy za ucznia, co się zowie być praktykantem, — zostaje u niego czas pewien, i w ciągu tego przepisuje tylko, zszywa akty i nosi je za nim do sądów; następnie niby rodzajem czeladnika zostaje, to jest auskultantem. W tym stopniu podaje już na posiedzeniach są-

dowych papiery pryneypalowi, wypracowuje łatwiejsze rzeczy, uczy się szykany, drobnych sztuczek i użycia dwuznacznych wyrażen. Postępuje potem na starszego pomocnika, amanuensis, adwokat powierza mu ważniejsze opracowania i wtajemnicza go w nowe formy, które nie do prawa ale do praktyki sądowej w Polsce należą. Tych on w części się uczy, po części je odgadywać i domyślać się musi. Kilka lat jeszcze w tych obowiązkach pobywwszy, już się wszystkiego, czego wymaga powołanie nauczył, i może pracować na własnym warsztacie.

O wyższej szkole prawnej ani się myśli. Dlatego cała umiejętność tutejszych prawników zawisła na mechanicznej znajomości starych i nowych konstytucyj, na sztuce wykładania ich, naciągania i unieważniania, w zręczności zastosowywania dwuznacznych. Jednemu z najslawniejszych prawników (przyniosłem prośbę, która była ułożoną w Inflantach. Czytał czas niejaki, po kilka razy chwalił łacinę i rzekł w końcu: *habent mentem profundam patroni Livoniae et scribunt excellenter, quod tamen non satis apud nos.* (Obrońcy Inflantsey mają tęgie głowy i piszą doskonale, ale to u nas nie starczy). W istocie tak pismo to przerabiał, tak je napchał sztuczkami i dwuznacznikami i wykrętami, że nareszcie było *satis* dla sędziów wprzód ujętych.

Członkowie cechu adwokatów są po większej części z szlachty, ale z tej co nie ma posiadłości ziemskich, i jeśli u możnych nie biorą dzierżaw lub w ich usługach nie zostają, poświęcają się pióru, zajmują miejsca pisarzów u osób prywatnych, przy urzędach, po kancelaryach, u adwokatów, po archiwach lub nauczycielskie posady. Że ludzie ci pojęcie mają o tych

rzeczach, których sędziom i asesorom braknie, oni w istocie w sądach panują i przez ich usta mówi sprawiedliwość. Wpływ swój doskonale na grosz zamienić umieją. Zwykle, gdy się ich chce użyć do sprawy, zaczynają od tego, że już do zbytku pracą są zarzuceni; trzeba więc znacznym datkiem ich ująć, aby się zajęli interesem, a podarek ten nie idzie w rachunek zapłaty za trudy. Następnie przypominają zaraz, co trzeba dać sędziom i asesorom, aby ich sobie pozyskać; dają do zrozumienia, iż tu należy postępować bardzo ostrożnie, ale ofiarują zarazem swe pośrednictwo, jako dobrze z nimi znajomi. Naprzód tedy wymagają pewnej sumy na wydatki tego rodzaju, z których rachunku nie zdają i kwitów pokazać nie mogą. Ponieważ między sobą ściśle są wszyscy związani i stanowią pewien rodzaj stowarzyszenia, związek ten wychodzi na szkodę klienta. Dwaj adwokaci, którzy w jednej sprawie przeciwko sobie stają, umawiają się wzajemnie, pokazują sobie opracowania; jeden od drugiego dowiaduje się kogo przeciwnik ma za protektora, porównywają znaczenie tych obustronnych opiekunów, zwierzają się sobie ze środków użytych, objaśniają o położeniu, bogactwie lub ubóstwie, skąpstwie lub rozrzutności klientów i nakoniec przychodzą do porozumienia się, kto ma wygrać: żalący się czy obżalowany. Po większej części nie wygrywa żaden zupełnie, ani przegrywa całkowicie, umiejętnie ułożony, w zawikłanych wyrażeniach spowity, dla obu stron niekorzystny dekret, zamyka wszystko. Sędziowie, referenci i adwokaci dzielą się później tem, co na klientach zdobyli, a tu znowu oszukańcy wysilają się, by podejść i oszukać jedni drugich. Mijam jeszcze

to, ile w ciągu procesu obawą, groźbą, utrzymaniem strony w niepokoju, umiejętnemi zwłokami w robocie, wycisnąć umięją nowych podarków i kosztów za przepisywania, druki i t. p.

Rzemiosło to zresztą dobrze ich karmi. Wielu z nich posiada własne domy znaczne w Warszawie i żyją na wielkiej stopie. Żony ich i córki należą do wyższego świata. Najznacniejsi panowie i panie starają się o ich względy, bo w interesach obejść się bez nich nie mogą. Trzymają powozy i konie, a ci, którym ich braknie, każą sobie klientom dostarczać.

Ten sam egoizm i płynące z niego zapomnienie o wszelkich moralnych obowiązkach, które w sprawach publicznych i w kwestyach, tyjących się własności tak są w Polsce wydatne, nie mniejszy wpływ mają na stosunki ludzi z ludźmi. Uczucia przyjaźni, miłości małżeńskiej, rodzicielskiej, macierzyńskiej, dziecięcej, braterskiego przywiązania, są nacechowane chłodem, obojętnością, lekkomyślnością. Każdy idzie swoją drogą, szuka zaspokojenia, gdzie go znaleźć może, a drugim pozostawia swobodę starać się o własne dobro. Przyjaźń opiera się albo na politycznych pobudkach lub na społecznych rachubach... Częściej przywiązanie znaleźć można tam chyba, gdzie ludzie sobie politycznie ani szkodzić, ani pomódz nie mogą, między osobami, których drogi się nie krzyżują i nie spotykają, i którzy sobie ani zawistnemi, ani przeciwnemi być przyczyny nie mają. Taka przyjaźń jest rzadsza tu może niż gdzieindziej, równie jest trwałą i gorącą jak w innych krajach. Nie zbywa polakom na uczuciach ani na pięknych serca przymiotach; ale stan kraju i rodzaj życia niszczą je i przyniatają silniej niż w innych narodach, gdzie prawo

i król i inne okoliczności powstrzymują zbytne rozpamiętanie, gdzie porządek zaprowadzony i siła opinii publicznej hamulec surowszy na samowolę i obyczaje społeczeństwa wkładają.

Rzadko się tu małżeństwa zawierają inaczej, jak z politycznych i ekonomicznych pobudek. Z politycznych, aby świetność, wpływ, godności, stosunki i przyjaźń sobie zyskać — z ekonomicznych, dla opłacenia długów i zapewnienia funduszu na wydatki dla przyszłej małżonki. Z tego powodu interes małżeństw i kontraktów ślubnych odbywa się tu z obu stron z wielką zapobiegliwością, z kupieckim przewidywaniem, z szykanami i klauzulami, które w żadnej sprawie zaniedbane nie są. Małżonkowie z najwidoczniejszą obojętnością podają sobie dłonie i trzymają się siebie o tyle, o ile wymaga nowej rodziny ugruntowanie, ekonomiczne względy i inne stosunki. Miłość, wierność, wzajemne ofiary upodobań i kaprysów, życie domowe, staranie o wychowanie dzieci, — są to rzeczy ledwie im znane, a wcale do głównych obowiązków stanu nie liczone. Dlatego w Polsce zazdrość jest rzeczą tak rzadką. Możnaż być zazdrosnym o kogoś, którego się nie kocha i nie jest kochanym przez niego? o kobietę czy mężczyznę. Któż długo zazdrosnym być może, gdy codziennie ma zrzeczność zazdrość o siebie obudzać? Małżonka czasem nie serce, ale uczucie honoru zmusza nie do zazdrości, ale do poczucia obrazy i obejścia się stosownego z żoną; — na to dość, by pani umiała zachować pozór przyzwoitości, a wówczas może być pewną spokojną ze strony męża.

Sztuka, która zależy na tem, że się umie ukrywać rzeczy, któreby, wedle pojęć pewnego świata, drugich

uczyniły śmiesznymi albo ich poniżały — w Warszawie łatwiejszą jest niż gdzieindziej. Szlachta stanowi całą społeczność wyższą, ona ton daje, nie zważa więc na inne klasy, mając je pod sobą, nad sobą nie ma nikogo. Obyczaj szlachty jest miarą obyczajów innych, wszyscy jednakie mają pojęcia, jedno położenie i nie są zmuszeni zważać tak ściśle na się, jak na przykład dawniej we Francyi, gdzie magnaci mieli po nad sobą dwór, który mimo rozpasania pewną zewnętrzną przyzwoitość zachowywać był zmuszony, a oprócz tego ulica patrzała i karciała piosenkami i wierszykami widoczniejsze wybryki.

Stosunki miłosne w Warszawie, nie potrzebując ani się ukrywać, ani zwracając uwagę, wiążą się bardzo swobodnie. Pojedyncze rysy niektóre jużesmy wyżej nakreślili. Pięknych i młodych kobiet zalotność jest głównem zajęciem. Stała się ona pewną nauką, na którą składa się po trosze nieco rozpusty, zwodnicstwa, zdrady, trochę serca a wiele próżności, polityki i cheiwości. Językiem zalotów jest francuzki, wskazuje to zkad cała ta nauka przyszła do Polski. Francuzkie wyrażenia utrzymały się całe. Panie mają „*des amis*“, dziewczęta „*des amans*“, mężczyźni żonaci „*amies*“, nieżonaci metresy. „*Je l' ai eu*“ mówią kobiety o mężczyźnie, który był ich kochankiem, to jest w najbliższych z niemi zostawał stosunkach, gdyż o miłości czystej, platonicznej ani tu myśleć; panowie w podobnym wypadku mówią — *je l' ai eue*. Wyrazy *adorer, sentiments, rigueurs, souffrances planter, sacrifice, monstre, roué, noirceurs*“ i inne podobne z miłosnego słownika dawnego francuzkiego wielkiego świata, któremu żaden inny naród i mowa w tym względzie nie

dorówna, w wielkiem tu są używaniu. Język miłosnych stosunków wyłącznie jest francuzki. Zaczyna się od: *lorgneries, soupirs, languueur*, ciągnie dalej z pomocą „*empressemens, attentions* — ze strony mężczyzny następuje *declaration*; ze strony kobiety poczynają *minauderies, languueur*, potem *distraktion, inégalité d'humeur* idą za niemi, i *froidueur, indifférence, mepris, fierté*, utrzymują mężczyznę, za niemi *surprise, bonté, indulgence, passibilité...* poprzedzają *un moment de faiblesse*. Gdy się to wszystko dopełni utrzymuje się dalej stosunek z pomocą „*protestations d'une passion éternelle, marques d'amour* wszelkiego rodzaju... chodzą *billets-doux*, umawiają się *rendez-vous; cadaux, heures du berger, sacrifices des fortunes* wzmacniają i przeciągają krócej lub bliżej miłość; nieuchronnem następstwem są: *petites jalousies, explications, ennui*, — nawet *infidélités* i *passades*, poprzedzające zerwanie zupełne, które się kończy: *on se surprend „on entre en desesperation, on se deteste, on rompt, on se quitte*. Potem mówi się już: *tout est fini entre moi et lui*, a publiczność powtarza: *tout a fini entre elle et de lui. Je suis libre*, mówi dalej kochanek i kochanka, a kto ma uszy i rozsądek, ten wie, co to znaczy.

Dla czytelników, znających dawny obyczaj i język francuzki, powiedziałem dosyć dla tych, co ich nie znają, gdybym wyraziściej chciał o polskich mówić zalotach, byłbym zmuszony więcej powiedzieć niż przyzwyczajenie dozwala.

Gdzie zalotność jest na porządku dziennym, tam musi też wysoko stać upodobanie w modach i strojach. Warszawskie elegantki i eleganci wiele na to czasu, myśli i pieniędzy szafują. Kobiety jednak

o wiele w tem mężczyzn przechodzą, którzy za ledwie od abecadła poczynają.

Kobiecego stroju podstawą jest francuzko-angielska moda; szczegóły pomniejsze dodają polki z własnego smaku i wynalazku je czerpiąc.

Ubranie głowy ma swą właściwość, i odznacza się czemś pośredniem pomiędzy sztywnością francuzką a naturalnością angielską, co bardzo wdzięcznie zdaje się wschód przypominać. W tym względzie są panie niewyczerpane i obfite w wynalazki. Nawet w rzeczach uroczystych, galowym ubiorom, które wszędzie są sztywne i ciężkie, umieją nadawać lekkość, powiewność, które mile bardzo w oczy wpadają. Umieją też ubierać się w brylanty, tak aby się one jak najkorzystniej wydawały. Nie wspanialszego a razem prostszego w życiu nie widziałem nad stroje kobiet tutejszych w rocznicę obchodu konstytucyi. Dwieście do trzechset pań wystąpiło ubranych biało z czerwonym (barwy króla) w kościele Ś. Krzyża, i śliczne okryło siedzenia w amfiteatr przygotowane. Wszystko, co Polska miała najpiękniejszego z wyższych klas, jaśniało tu wdziękiem i strojem wśród kościoła, a uroczystość dnia, przybranie gmachu składały się na widok uroczy i nieporównany.

Szczególniej kunszt ubrania kobiet polskich odznacza się w pół-ubiorze, negliżu. Naturalny wdzięk, który im jest właściwy, najlepiej się przy negliżu uwydatnia; delikatność i powiewność materyj, które do stroju wybierają, czynią te postacie po większej części wysmukłe i dorodne, jakby przezroczytymi, i dają oku malowniczy nader widok wszystkich linii, które postawą udatną i ruchami zręcznemi uwydatnione,

wśród zgromadzeń i rozmów ciągle wzrok nęca i uwagę zwróconą na nie utrzymują. Tryumfem ich są stroje balowe, w których ani wprowadzoną modą ani zbyt ścisłą skromnością się nie wiążą, kierując się tylko własnym smakiem i wyobraźnią żywą w doborze. Niema widowiska bardziej uroczego nad bal w Warszawie, który wybór elegantek wielkiego świata napelnia.

Mężczyźni w wyborze, smaku połączenia pojedynczych części swego ubioru, niżej stoją od elegantów dawnych paryskich, a teraźniejszych angielskich. Narodowy strój raczej jest wspaniały i kosztowny niż smakowny, chociaż wszystkim dorodnym mężczyznom jest do twarzy. Wierzchnia suknia spada krojem wygodnym do połowy łydek, nie ma stanu, nie ma kieszeni, z tyłu żadnego przecięcia, ale szeroko jest do ciała przykrojona, a na biodrach z obu stron ma po kilka dostatnich fałdów, które ku dołowi coraz się rozszerzają i spadają. Rękawy tej sukni, od łokci począwszy, rozprute, zarzucają się na ramiona; w ich miejscu wychodzą obcisłe rękawy spodniej sukni i coraz zwężając się, dochodzą do pięści. Spodnia suknia przystaje szczelnie do ciała, jest krótszą od wierzchniej, z małemi guziczkami, od szyi aż do dołu pozapinana. W lecie noszą ją z lżejszej materyi jedwabnej lub bawełnianej, zimą atlasową. Po ciele nad biodrami spięty jest pendent od szabli i pyszny złotem, srebrem, jedwabiem haftowany pas. Starzy noszą włosy na głowie podgolone z zostawionym tylko czubem u wierzchu, który twarzy piękny wyraz męzki nadaje; młodszy mają włosy na czoło zaczesane a z tyłu podcięte. Ci noszą także wąsy. Koszuli na piersiach i mankietów nie widać przy tym stroju, ale u szyi

noszą za to spinki i u rękawów guzy dyamentowe. Barwy sukna i materyi, wybierane na wierzchni ubiór, poszukują się jaknajjaśniejsze; spodni musi jaknajsprzeczniejszą i krzyczącą barwą się odróżnić. Strój ten noszą tylko mężczyźni już lat dojrzałych, wedle staroświeckiej mody. Na sejmie po nim można było poznać przeciwników większości. Młodzi ubierają się albo po francuzku, albo w stroju kawaleryi narodowej, który jest bardzo piękny, do urodziwej postawy przypada bardzo dobrze, a nawet nieszczególnie zbudowanych przyozdabia. Wyżej go opisałem. Francuskie suknie król wprowadził szczególnie, a za jego przykładem większość przyjęła. Potomkowie teraz żyjącego pokolenia wyższych stanów, wątpię, by narodowy strój już nosili, ale szlachta drobna i mieszczenie polskiego pochodzenia nie tak łatwo się rozstaną z golonami głowami i wąsami. Wedle nowych pojęć o piękności i smaku, wąsy równie są do odrzucenia jak gólone głowy, bo oboje razem wzięte stanowią odrażającą mieszaninę mnicha i żołnierza.

Szabla, która się dawniej jakby przyrosła do polaka zdawała wiele już teraz na wziętości straciła. W części zmieniono ją na prostą szpadkę, częścią całkiem porzucono, od czasu jak angielski frak w większym świecie u młodzieży stał się ulubiony. Tymczasem jednak przyzwoicie wizyty oddać nie można bez szabli lub szpady, chociaż w wielu większych domach, szczególnie nowomodnych, nie wypada już ze szpadą we fraku siadać do stołu. Zresztą nie patrzą na to, szabla, szpada, kurtka, francuzka suknia, ubiór narodowy i frak, obcięte włosy i fryzura, czapka czy kapelus, każdy kładzie co mu się podoba, mieszają się nawet te rze-

czy w sposób najdziwaczniejszy. Często się postrzega młodszych i starszych ludzi wyższych stanów: w kapeluszu okrągłym, z włosami obeiętymi, w szarawarach, fraku angielskim i szpadą francuzką; lub polską szablą, francuzkim stroju; dalej w haftowanej kamizelee, peruce, pończochach, spodniach nankinowych i angielskich butach ze sztylpami; albo nareszcie we fraku angielskim, kamizelee, spodniach skórzanych, trzewiakach z podwiązkami, z głową w około zafryzowaną, a na niej czapka polska czworokończasta. Są to dziwaetwa, które tu nikogo nie rażą, chociaż zdradzają brak smaku i zaniedbanie najwyższe.

Eleganci najnowszej mody noszą teraz (Maj 1793 r.): mały okrągły kapelusik z wysoką śpiczastą głową, włosy do koła głowy w lokach ułożone, grubą, pstrą chustkę na szyi z ogromnemi końcami, pod brodą zawiązaną i do połowy ją okrywającą dalej — w najosobliwszy sposób haftowaną lub malowaną kamizelkę, po biodra tylko sięgającą, frak długi, ogoniasty, ostro między nogami zakończony z tyłu z wysoką, krótką talyą i płasko na ramionach leżącym kołnierzem; spodnie aż do kostek obeisłe i trzewiki pantoflowate bez sprządek. Dopełniają stroju dwie dewizki od zegarków z potężnemi kluczami i pieczęciami na złotych łańcuchach i gruba, sękowata palka, która nieustannie z ręki do ręki się przerzuca i musi być w ruchu utrzymywana.

Poważne zajęcia zalotnego wielkiego świata, który sobą samym się zaprzęta, nie pozwalają mu myśleć o dzieciach i troszczyć się o ich wychowanie. Dzieci od urodzenia oddane są w ręce obce, doskonale opłacane i utrzymywane kosztownie, ale dzieci tego nie doznają ani macierzyńskiej czułości, ani rodzicielskiego

przywiązania zastąpić nie mogące. A ponieważ rodziców widzą rzadko a poznają późno, niepodobieństwem jest, by miłe uczucie wdzięczności i zaufania w młodocianem sercu się zakorzeniło, aby poczucie zawisłości, a z niem obowiązku posłuszeństwa, żywem i trwałem w nich być mogło. A gdy się jeszcze trafi (co tu zwykłym bywa), że matka swe dziecię, w chwili gdy się ono rozwija, tylko jako *piękne*, przez próżność pokocha, i naraz je nierozważnemi pieszczotami, pochlebstwami i pochwałami obsypie;—musiałaby natura ludzka boską być, ażeby pod temi wpływy się nie popsuć. Stąd pochodzi, że polskie dzieci pleci obu, w bardzo młodych latach, też same mają usposobienia, ten sam egoizm i wszystkie wady na małą skalę, jakimi się rodzice ich na większą odznaczają, i które oni także młodych swych lat w dziedzictwie otrzymali.

Chłopcóm w dzieciennym wieku pozwalają mieć pełną wolę. Tylko w dwóch pierwszych latach ich życia strzegą diety, potem mało lub wcale nie, to też dzieci biorą co chcą ze wszystkich półmisków i butelek. W innych krajach jest to dzieciom wzbronione, ale nie w Polsce, gdzie zupełną mają swobodę na świeżem powietrzu z rękami, nogami i całym ciałem czynić co chcą; gdzie chłopcy w trzecim i czwartym roku na koniach jeżdżą, w czwartym i piątym samisię na nich puszczają, a w dziesiątym i dwunastym najdziksze konie dosiadają i po mistrzowsku niemi władają. A że pierwsze wychowanie otrzymują w kraju po większej części, gdzie świeżego powietrza, przestrzeni i wszelkich zdrowie i czynność utrzymujących zajęć jest podostatkiem; że w tych latach nikt ani myśli kazać im siedzieć i nad nauką ślęczeć; naturalna rzecz, iż się w nich lepsza krew wyrabia,

niżeli ją w spadku po ojcu i matce, lub *ami* i *amies* otrzymali, i że potem rozkwitają tak świeżo i dzielnie jak zwykle polska młodzież. Tym tylko sposobem wytłumaczyć sobie mogą, w jaki sposób społeczność tak rozpasana, tak nieregularne życie wiodąca, tak zatopiona we wszelkiego rodzaju używaniu i nadużywaniu, może takie mnóstwo pięknych i zdrowych wychować dzieci.

Zwykle chłopcom dodaje się guwerner dopiero w czternastym lub piętnastym roku. Guwerner jest zmuszony zupełnie tu inaczej sobie postępować niż w Niemczech, gdzie dzieci pięcio—i sześćoletnie, słabe, wydelikowane, zasiedziałe, są wymęczone przez kantorów i pastorów czytaniem, pisaniem i katechizmem. Młodzież polska uczy się tych rzeczy w lot, prędzej czy później, tem łatwiej, że potem sama miłość własna, gdy wolę już mają, do wykształcenia ich zmusza. Francuzkiego języka uczą się niemal razem z macierzystym, gdyż ojciec i matka musieliby dziwnie być niedbali, i chybaby w towarzystwie nie bywali, gdyby tego języka nie umieli i ważności jego dla dziecka nie rozumieli w życiu przyszłym i stosunkach społecznych. A że prócz tego niema majątniejszej rodziny, któraby albo służącego lub sługi francuzkiej nie trzymała, że oni zwykle dzieci do siebie pociągają i bawią się chętnie ich żwawą paplaniną, uczą się dzieci, igrając, tego języka, a z nim razem wielu pojęć i manier nabierają, które powierzchowie nawet kształcą je, a przy swobodzie, jakiej używają, nadają im śmiałości, lekkości, pewności, tak że polskie dziecię w towarzystwie mniej jest dzieckiem niż niemieckie, że później, gdy dorosnie iat młodzieńczych, więcej zuchwalstwa, dzikości, uporu

ma niż chłopak niemiecki, wydający się przy nim prawdziwym pedantem. Tak zwane *mądre* dzieci, które w Niemczech nazywają *uczonymi*, w Polsce się nie trafiają, ale za to daleko więcej miłych, dowcipnych i sprytnych. Guwernerowie wszystkiego ich uczą w rozmowach; jeżdżą, uganiają się, skaczą z niemi, przyglądają się ich lekcjom tańca i fechtunku i starają się im wsunąć co się da dla duchownego wykształcenia. W ten sam sposób nabywają politycznych wiadomości, a zwłaszcza że szlachta, z powodu położenia swego w państwie, lubi się zajmować polityką, mówi o niej też wiele na wszelkich mniejszych i większych zebraniach. Młody chłopak, w ten sposób, w osiemnastym roku już bierze udział w zgromadzeniach sejmikowych na prowincyi i praktycznie nabywa tyczących się tej sprawy wiadomości. Tego, co nauką, co gruntownem wykształceniem się zowie,—w późniejszych latach rzadko bardzo dostanie. Żywy umysł, pojęcie łatwe starczą mu za wszystko.

W ten sposób odbywa się wychowanie młodzieży, którą wyżej już, jako dojrzałych ludzi, w obrazie społeczeństwa wystawilem. Nie tu miejsce pytać, czy by inną młodzieżą być powinni, aby innemi mężami się stali i chore państwo swe ratować mogli. Nie myślę tu powtarzać tego, co od lat kilku się o tem pisze, i mimo ciekawej strony jest też już aż do trywialności posuniętą.

Wychowanie pańienek w swym rodzaju równie jest swobodne. Pierwszym jego celem uczynić je pięknymi, miłymi i pełnymi uroku.

Cnoty głowy domu i żony pozostawiają się do wyrobienia okolicznościom, które przy reszcie serca i uczucia, jakie im eleganckie wychowanie zostawia, albo po-

tem się rozwiną albo też zanikną. W tym względzie młode panienki nie otrzymują nauk, a dobrych przykładów mają mało. Plamką na twarzy lub na ręku więcej niepokoi czułą matkę, jak wada umysłu, a mała cielesna ułomność mocniej niż serca kalectwo.

Dziewczęta, jak tylko mówić zaczynają, dostają guwernantki. Te rzadko kiedy nie są francuzkami, to też wykształcenie ciała, wymowę, rozum i zasady nadają im francuzkie. Z matki biorą one wzór do swej pracy pedagogicznej, starając się zbliżyć do swego oryginału, pobudzają go też do szczodrobliwości względem siebie — jako artystek, względem córek — jako wiernego matki odbicia.

Żeby te przymioty całkiem w familijnem tylko kółku zagrzebane nie były, aby sztuki występowania, błyszczenia przy obcych, jak najrychlej wyuczyć się mogły panienki, dają się od czasu do czasu bale, na które dzieci wszystkich znajomych płci obojga się zaprasza. Przygotowania do tego wcale nie są dziecinne. Zaprasza się także wiele osób starszych, ale sale wielkie na ten raz przeznaczają się dla dzieci; pokrzepiają je po ciężkiej pracy limonadą, ponczem i innymi jadalnemi i pitnemi przysmakami; ani jedną świecę ani jednym sługą mniej niż na wielkich balach. Ubierają małe tancerki i tancerzy z takim zbytkiem, jak starsi stroić się zwykli. Obecni panowie dają dziewczątkom poznać i mówią jak są ładne, a kobiety tak samo postępują z chłopcami. Dzieci obchodzą się z sobą z galanterią, a dziewczęta szczególnie z zalotnością, nieustępującą starszym, która matkom łązy pociechy z oczu wyciska. To prawda, że nie piękniejszego widzieć nie można nad ten młodziechny, uroczy zastęp,

który często z pięćdziesięciu i szasćdziesięciu osóbek się składa, pełnych wdzięku młodości, najrozmaitszych tizyognomij i wyrazu, budowy i piękności, kręcący się żywo i na kilka minut oślepiający.

Niecierpliwość, z jaką dzieci na powtórzenie tych balów czekają; niepokój, z jakim zapowiedzianych się dopominają, okazują dostatecznie, jak silne ta zabawa czyni na nich wrażenie i jak ona pochłaniać je będzie, gdy uczucia wzmogą się i dojrzeją.

Niekiedy mniej zamożne rodziny oddają córki na wychowanie do klasztorów; ale bogatsze bardzo rzadko, i to tylko w wypadku, gdy matki nie mają i w rodzinie osób płci żeńskiej, które by ją zastąpić mogły... Ignacy Potocki, od lat wielu owdowiały, jak w wielu innych względach tak i w wychowaniu córki jedynaczki, stanowi wyjątek. Trzyma do niej guwernantkę-niemkę, i wychowuje zupełnie na sposób niemiecki.

Nie trzeba też sądzić, że panny w klasztorze wychowane inne są niż te, które na świecie rosną. Za ledwie cztery tygodnie w towarzystwie przebyły, a już się w niczem innym wyprzedzić nie dają. Chwila, w której panny na świat wielki wyprowadzone zostają, przypada między czternastym a szesnastym rokiem, w samym dniu lub nazajutrz po pierwszej komunii i wcieleniu do społeczności chrześcijańskiej.

Obejście się dzieci z rodzicami na pozór jest uniżone bardzo i pełne poszanowania, ale rodzaj wychowania nie dopuszcza, aby w niem serce udział miało. Gdy serec panienek pełne jest próżności i zalotności, a chłopców gło-wa napita polityką i ambicyą, cóż dziwnego, że są—jak wychowanie ich usposobiło, — upartemi, samowolnemi i egoistami. Te wady naostatek, złączone z dumą i pró-

żnością, wpływają też na obejście się z innymi ludźmi w życiu społecznem. W gromadnych towarzystwach znajdują się jak najswobodniej, ale gdy idzie o interes, o wyrobienie protekcyi, o zawiązanie nowej znajomości w uroczystych razach, ceremonjalni są i sztywni. Najwyżej postawieni w Rzplitej, którzy są sobie zupełnie wolnymi, nie witają się inaczej, jak — „Upadam do nóg“, kłaniają się jak najniżej i jeden drugiemu usiłuje sięgnąć do kolan, tak że zgięci oba stoją przeciw sobie, starając się tę oznakę poszanowania oddać a nie przyjąć, a w wyrazach pokornych i słodkich nawzajem przesadzić; co się wreszcie tem kończy, iż ciągle walcząc, albo się w piersi lub w ręce ucałują.

Świecki magnat łapie duchownego za prawą rękę, aby na niej poszanowania pełen pocałunek wycisnąć, duchowny broni się jak najmocniej, aby tego uniknąć; pierwszy twardo przy swoim stoi, całując rękę, a biskup go za to w czoło lub twarz, lub zresztą gdzie popadnie.

Mniejsza szlachta chwyta możnych za nogi, za poły sukni, za ręce, zawsze jakby je całować chciała, tamci zawsze się bronią podobnie. Znajomi, równi sobie ludzie, o tyle dopełniają tego wygodniej, iż schyleni idą ku sobie, ręce sobie zwolna wzajem na ramionach kładną i w małym oddaleniu od siebie, w szyję, ramiona i twarz się całują. Toż samo czynią innych klas ludzie, chcąc się okazać grzecznymi; a często nawet i Niemcy, żyjący w Warszawie.

Dawniej nikt nie zbliżał się w wyższych sferach do kobiety, bez najgłębszego ukłonu i najpokorniejszego ucałowania jej ręki; powtarzało się to ze wszystkimi przytomnymi paniami; teraz to z mody wyszło,

ZWIĄZEK STUDENTÓW ARCHITEKTURY
PRZY AKADEMII GÓRNICZEJ
W KRAKOWIE

ale w niższych klasach zwyczaj ten istnieje. Przechodzący całują w ręce wszystkie kobiety; gdy na ulicy spotkają je, ucałowanie ręki jest wstępem do rozmowy; a dosyć pociesznie patrzeć, gdy najbrudniejsza kobiety spotka to pokorne powitanie ze strony mężczyzn.

Wyraz, pan, dokłada się do nazwisk i do godności, a oznacza toż co francuzki, *Seigneur*. Mówią *pan król*, o królu, a nawet pisząc do niego, a dalej *pan biskup*, *pan wojewoda*, i t. p. Gdy się mówi do kasztelana, nie powinno się wyrażać pan kasztelan, ale tylko: pan Trocki, pan Krakowski, opuszczając tytuł, wedle starego zwyczaju, który tę godność odznacza.

Jeśli kto ma godność jaką, dodaje się pan nie do nazwiska, ale do nazwania jej, jak pan krajezy, pan stolnik... podobnie mówiąc do kobiet, pani krajezyni, pani stolnikowa...

Nawet gdy książęta godność tę mają, tytuł książęcy do niej się dodaje, jak książę stolnik, książę marszałek i t. p. Często też ostatnich zowią samem imieniem z tytułem, książę Adam (Czartoryski) książę Stanisław, książę Józef (Poniatowski). Hrabiowskie i szlacheckie rodziny tego nie używają. Panie, odznaczające się wdziękiem, wpływem, znaczeniem sławne i znane, także po imieniu tylko z dodaniem pani się mianują.

Francuzi swoje *Seigneur* aż do rewolucyi zachowywali dla wybranych, w Polsce ma się inaczej. Panem jest każdy, co ma buty całe, i jak *monsieur* tytuł ten dodaje się każdemu.

Znaczące i to, że w Polsce często jedni drugich „łaskawcami i dobrodziejami“ zowią. Ten sposób mówienia musiał się urodzić w wyższych klasach, ale zszedł teraz do najniższych; i pociesznie słyszeć, gdy

dwóch żebraków, mówiąc z sobą, co trzecie słowo do-brodziejami się mianują.

Pospolici ludzie, do wyższych od siebie mówią wielmożny, jaśnie wielmożny, excelencya i t. p. Chłop nietylko powiada upadam do nóg, ale w istocie wy-ciąga się cały u nóg pana, nietylko mówi, ściskam stopy, ale je rzeczywiście całuje.

Że te wyrażenia pełne poszanowania, których wyżsi między sobą, a niżsi względem nich używają, nie z zupełnie czystego płyną źródła, dowodzi to między in-nemi, iż najzawziętsi nieprzyjaciele, gdy się spotkają, tak samo czezą, a chłopci po odebraniu chłosty, nogi całują.

Dla króla mają polacy, gdyby wierzyć można za-chowaniu się pokornemu, nieograniczone i najgłębsze poszanowanie, ale to nie wypływa, ani ze czci dla jego godności, ani z uczucia grzeczności i przyzwoitości. Znać to z tego, że w przedpokojach króla często ich spotkać można w ubiorze zaniedbanym i brudnym; kłó-cą się tu, wadzą, chodzą pobrawszy pod ręce, kaszlą, śmieją się, hałasują, robią co chcą i wrzawę podno-szą, jakby w publicznem jakim miejscu, gdzie wino i piwo dobre. Gdy król nadchodzi, rzekłbyś, że co bliżej stoi, głową na ziemię padnie, ale w innych po-kojach wrzawa jak przedtem trwa, dopóki się nie po-każe. Dopiero wówczas przyjmują go, jak w pierw-szej sali, a w tamtej hałas na nowo się wszczyna. Gdyby który niemiecki Kamerher najmniejszego ksią-żęcego dworu wszedł wówczas do przedpokoju, prze-ląkł by się śmiertelnie tej wrzawliwej gromady i uciekł by od niej ze strachu, aby go razem z nią straż nie zabrała i osądzonego nie posadzono w fortecy.

VII.

Do obrazu obyczajów, sposobu życia i charakteru szlachty warszawskiej, jaki skreśliłem, należy mi dołączyć rys fizyognomii tych klas, które stanowią tak zwany stan miejski.

Stan ten zamyka w sobie całą kolonję niemieckich osadników, od bankierów począwszy do rzemieślników, którzy pod opieką królewską, albo jako mieszczańscy warszawscy na starem mieście i w innych częściach magistratom podlegają. Właściwych polskich mieszczańców jest daleko mniej, a ci wszyscy niemal są rękodzielniccy. Reszta składa się z przekupniów, proletaryuszów nie mających posiadłości, wyrobników, rzemieślników różnego rodzaju, i żydów, podlegających marszałkowi koronne-
mu jako głowie policyi, dalej sług, zostających pod władzą swych panów, włóczęgów i żebraków, o których się nikt nie troszczy.

Wyżej już mówiłem, że majątniejsi stanu miejskiego członkowie, w życiu towarzyskiem pomieszani są ze szlachtą. Ci bogatsi są to bankierowie i kupcy wielcy. W r. 1792 na czele bankierów stali Tepper, Kabit, Blank, i Prot Potocki.

Tepper po swoich poprzednikach odziedziczył bogaty silnie oparty dom i niezmierny kredyt. W biurze znalazł uczciwych, czynnych, zdolnych współpracowników, którzy we wzorowym porządku interesy utrzymywali. Z jego strony potrzeba tylko było nadzoru i pilności, aby interesy jaknajszczęśliwiej się rozwinęły. Ale, na nieszczęście, przy dosyć słabych zdolnościach umysłowych, miał żądzę niepohamowaną zrównania wielkim panom, i wyrobił się zupełnie na wzór, o jaki w Warszawie nie było trudno. Przechodził ich może bogactwem — ale urodzeniem stał niżej daleko. Ażeby zmazać to znamię, użył majątku rozrzutnie i można powiedzieć, że się zrujnował, aby zatrzeć wspomnienie pochodzenia swego, tak jak owe wzory rujnowali się, ażeby je ludziom przypominać. Podwójnem uszlachceniem, jednym polskiem drugim wiedeńskim podniósł się nad stan mieszczański i kupił sobie zaraz krzyż maltański trzeciej klasy, który nieustannie przy sukni nosił. Naturalna rzecz, że te oznaki podwyższenia dziesięć razy go więcej kosztowały niż innych, ale ten wydatek byłby dlań mało znaczącym, gbyby położeniu, jakie wyobrażał sobie, że przez to pozyskał, nie był zmuszonym coraz to nowych składać ofiar. Bogaty maltański kawaler bez pałacu, bez otwartego domu, bez stajni, bez metresy, któryby pilnie biuro swe odwiedzał, buchalterom i sługom na ręce patrzył, zdawał mu się nie przyzwoitym, niemożliwym. Zbudował, czy też kupił zaraz jeden pałac ogromny a dwa mniejsze; jeden z najświetniejszych domów w Warszawie otworzył, utrzymywać począł przyjaciółkę i jej męża z liczną jeszcze familją; całemi latami nie pokazywał się w biurze, a przynajmniej nie w tym celu, aby

się coś o interesach dowiedzieć; buchalterowie robili co chcieli; z jego kasy podejmowali różne przedsiębiorstwa na swój rachunek, wielu z nich z pomocą jego na własną rękę rozpoczęły interesa i sami zakładali handle i banki. Lekkomyslniejsi sypali jego pieniędzmi w najszalniejszy sposób. Dowiedziona było rzeczą, że pierwszy jego buchalter, imieniem S... który, jeśli się nie mylę, brał rocznie dwa tysiące dukatów, żył na stopie, której osiem tysięcy wystarczyć nie mogło. Żona jego jeździła co roku dwoma czterokonnymi powozami, z tytułem hrabiny do Karlsbadu, Spa' Pizy, Nizy, Bath, i jaśniała dyamentami, gdy tym czasem małżonek w domu zostawszy pocieszał się z dwoma lub trzema aktorkami i im podobnemi istotami, którym prezenta wspaniale robił i ucztę wyprawiał, spijał się na nich, grał, przegrywał i rozrzutnością słynął. Byłem przy tem, gdy w jednym towarzystwie, wedle swojego zwyczaju napily, pokazywał dwa kosztowne, brylantami sadzone łańcuszki do zegarków; gdy znajomi go przestrzegali, ażeby ich z sobą nie brał na teatr, bo mu je mogli ukraść — nie zważając na to poszedł i wrócił bez zegarków i łańcuszków, a na pytanie co się z nimi stało, odpowiedział z krwią zimną — że ma jeszcze parę podobnych w domu. Nie było jednego z Tepperowskich sług, któryby, pozorem własnych interesów, cztery i pięć razy tyle nie wydawał, ile miał dochodu. Tepper miał dwóch zięciów, którym dał udział w swym banku. Używali oni i uważali jego kasę, w swych przedsiębiorstwach za swoją. Jeden z nich kupował i budował mnóstwo domów w Warszawie i okolicy, sprzedawał je i najmował; drugi innemi się zajmował interesami. Zyski zosta-

wiali przy sobie a rzadko kapitały zaciągnięte wracali. Utrzymywali swe domy na wielkiej stopie, żony ich żyły na wielkim świecie i jak świat wielki. Trzeci zięć ze starej polskiej szlachty, kawaler Ś. Stanisława, ożenił się z córką jego w widokach na kwitnącej bank teścia, i po upadku jego, podobno żonę opuścił.

Matka, która w prędee przed bankructwem zmarła, była tak królową w domu, jakby jaka księżna a pani. Za młodu była piękną i w późniejszych latach nie chciała uwierzyć, że nią być przestała. Mężka połowa, świetnego zawsze kółka, które ją otaczało, nie wyprowadzała ją z błęd. Z tego powodu próżność jej i duma stały się nieuleczonemi. Cisnęła się do świetnych znajomości i stosunków nie mniej od męża; oboje w wielkim świecie okrywali się śmiesznościami. Wielki ten świat w widokach na dukaty i na stół Teppera, którego mógł potrzebować, przyjmował go na pozór dobrze, ale za oczy wyśmiewano ich w sposób najzjadliwszy.

Tepper miał trzech synów, żyjących zupełnie na stopie paniczów francuzkich, angielskich i polskich. Angielskie konie, angielskie powozy, angielscy dzokierze i woźnice otaczali ich nieustannie. Na trzy dni przed katastrofą ojca, jak opowiadano tutaj, zajeździł na polowaniu na lisy sześć angielskich koni.

Nie więc dziwnego, że w takim składzie rzeczy, ów w Europie całej mający zaufanie dom Teppera, tak niepowrotnie i okropnie upaść musiał. Ludzie świadomi rzeczy, dobrze wprzód przepowiadali, że się to inaczej skończyć nie może. Gdy to piszę (1793, Maj), patrzę na całą stajnię Teppera, przeszło czterdzieści koni liczącą, która pod moimi oknami, w tym samym

dziedzińcu, który jego zięć pałacami otoczył, przez licytację sprzedają. On sam pieszo błądzi bocznemi ulicami po Warszawie, nie tyle litości obudza, co pogardy i szyderstw, a dla wielu jest przedmiotem niechęci i niebawiści. Uczucia te pochodzą stąd, że upadek jego mnóstwo ludzi klas różnych o nieszczęście przypisał, bo mu większe i mniejsze powierzano kapitały nie mając ich gdzie bezpiecznie umieścić; a na kilka dni przed bankructwem jeszcze je kantor przyjmował. Nie jeden znaczny dom, z którym był w stosunkach, traci wiele tysięcy dukatów, nie jedna wdowa i sierota całe swe mienie, nie jeden biedny człek to, na co w pocie czoła przez życie długie pracował. Jednem słowem, ta rewolucya handlowa miała straszliwsze skutki niż polityczna, od której Polska cierpi lat kilka.

Dwa inne domy, które z Tepperem w ścisłych były stosunkach, razem z nim paść musiały: Kabrit, również niemiec i Prot Potocki, polak; pierwszy z nich tak niedbały i nieuważny w interesach jak Tepper, drugi czynny i czujny. Oba musieli zawiesić wypłaty i zawiedli mnóstwo biednych, którzy im powierzyli kapitały.

Jeden tylko Blank, ostrożny, czynny i wykształcony człowiek, którego zawsze w biurze znaleźć było można, utrzymał się, bo w porę wszelkie stosunki z domem Teppera zerwał, i żył oszczędnie po gospodarsku. Interesa jego z krajem są wprawdzie teraz wstrzymane, ale z ostrożności, bo dotąd jeszcze nie może się przekonać, jak dalece rozciąga się powszechny fortun upadek i kto niemi został dotknięty; weksle za granicę przyjmuje i wydaje jak przedtem.

Dom jego jest teraz pierwszy w Warszawie. Do niego dodać należy parę wpródy nie mających znaczenia bankierów, którzy w części z Tapperowskiego lub Kabrit'a domu wyszli, a teraz się podnosić zaczęli. Dangel, o którym wyżej z innego powodu wspominałem, poczyną swojego majątku na bankierskie interesa używać. Tak samo kilku innych, którzy wpródy mieli handle. Posiadacze wielkich angielskich sklepów, Rösler, Jaszewicz i Hampła, gdy Warszawa teraz z bogatych i znaczniejszych cudzoziemców się wyludnia, zapewne tegoż środka się chwycą, aby zużytkować swe mienie. Żaden z nich na upadku Teppera nie ucierpiał, żyją też, przeciwko obyczajowi im równych w Warszawie, na stopie skromniejszej, choć posiadają domy, które się pałacami zwać mogą.

Inni kupcy wieley, handlujący cukrem, kawą, winem, suknamy, skórą i innemi towarami *en gros*, żyją z taką wystawą, której by im równi w innych krajach dotrzymać nie mogli. Trzymają powozy i konie dla rodziny, mają wiejskie domki, ogrody i dobra ziemskie; dają dzieciom wyższe wychowanie, a żony ich trzymają sobie często kochanków, którym na marnotrawstwo sownie grosza dostarczają. W ich towarzystwach radziej się spotyka posiadaczy ziemi, panującą szlachtę, ale za to często wojskowych, z którymi na mniejszą skalę, tak po polsku żyją, jak wyższa szlachta z wielkiemi bankierami żyć zwykła.

Mniejsi kupcy i kramarze, żyją też wszyscy o parę stopni wygodniej niż ich bracia za granicą.

Tu jeszcze dolożyć trzeba niemieckich artystów i rzemieślników. Od czasu dwóch Augustów, i za panowania terażniejszego króla, szczególnie liczba ich

w Warszawie wzrosła. Polscy rzemieślnicy tylko pierwszej potrzeby i najpospolitsze rzeczy wyrabiać umiejają, z tego powodu, trzeba było do delikatniejszych z Niemiec, Francji, i Anglii ludzi sprowadzać. Miała Warszawa tylko swoich kowalów, szewców, tkaczy krawców, slusarzy, siodlarzy, rzeźników i innych podobnych; a złotników, zegarmistrzów, farbiarzy, kapeluszników, płatnerzów, pasamaników, stolarzy, garbarzy i t. p. bardzo niewielu. Nie było też malarzy, snycerzy, pozłotników, budowniczych, i albo artystów tych albo ich roboty wypisywać musiano.

Dziś ich jest już dosyć w Warszawie. Zamiłowanie w wystawności i upodobanie w budowaniu, które pierwszy z królów saskich okazywał, zwabiło szczególnie tłum saskich artystów i rzemieślników do Warszawy, dla których Polska wydawała się ziółą kopalnią, gdyż liczyli na drogą zapłatę a nie na kosztowne tu utrzymanie. Przebywali więc zamówieni albo sami, osiadali, żenili się i pozostawali; można śmiało twierdzić, iż dwie trzecie tutejszych niemieckich artystów i rzemieślników są pochodzenia saskiego. Nawet mowa ich pozostała saską, niewiele z nich zdradza akcent jako szlązaków, prusaków i austryaków. Ci, których król tężniejszy swem w sztukach pięknych upodobaniem i troskliwością o kraj i Warszawę, przyciągnął, są w większej części—artyści szczególnie, włosi i francuzi; rzemieślnicy zaś i fabrykanci, w większej liczbie niemcy, i znowu sasi. Gdy pierwsi z nich, jak tylko sobie pracą coś zarobić i oszczędzić mogli do ojezyny powracają, drudzy prawie wszyscy tu pozostają i zwiększają liczbę mieszkańców użytecznych, utrzymują się pracą, rzemiosła tu prowadząc dalej ze sprowadzaną

czeladzią i dziećmi swemi. Zatrzymują oni charakter, obyczaj, sposób życia i język swojego kraju, i na pierwszy rzut oka odróżniają się od polaków. Starają się zaraz mieć dom własny kupiony lub zbudowany przez się; powierzchownie i wewnątrz odznacza się on czystością; odzież ich, żona i dzieci porządne, taka sama jak podobnych rzemieślników w Dreźnie i Berlinie, życia też sposób podobny. Tak samo w niedzielę robią wybieczki i zabawiają się po gospodach w okolicy miasta, jak i tamci.

Polscy rzemieślnicy zawsze jak dawniej, albo całkiem narodowe, miejscowe rzemiosła sprawiają, albo tylko grubsze. Do pierwszych należą: krawcy, którzy tylko stroje polskie szyją; szewcy, którzy polskie buty robią; cyrulicy, którzy na polski sposób golą i może pasamanicy; do drugich — siodlarze, kowale, i t. p. Polskich fryzyerów, złotników, haftarzy, piekarzy, i t. p. rzemieślników wcale niema. Życiem i obyczajem zbliżają się do ludu. Główną zabawą trunek.

Stanu uczonego, osobnego jak w Niemczech, w Polsce nie znaleźć. Duchowieństwo uchodzi za stan uczony z powołania, a wszyscy inni naukę uprawiający za amatarów tylko. Mieszczanie, klasa średnia, która w Niemczech prawie wyłącznie naukom się poświęca, w Polsce wcale się im nie oddaje. Szlachta tylko o lepszą idzie z duchownemi, i od dawna położyła zasługi na tem polu. Z drugiej strony wyższe też duchowieństwo, odznacza się nauką. Niema wątpliwości, że to jest dziełem politycznego obu tych klas

położenia; dowodzi się to tem, że historia, prawo polityczne, jurisprudencja, wymowa, poezya są przez nich szczególnie uprawiane. A że rząd cały kraju w ich jest rękach, zwracają się ku tym mianowicie naukom, które z nim zostają w związku; ku temu skłania żywy umysł, czytanie, życie towarzyskie, urok poezyi.

Niższe duchowieństwo, które nie ma żadnego udziału w sprawach politycznych, ogranicza się w swych studyach, jeśli ma ku nim skłonność, językami starożytnemi, teologją, a mianowicie, właściwą powołaniu swemu, kaznodziejską i polemiczną teologją; odrzucając zupełnie filozofię, która staremu katolicyzmowi jest przeciwną; naukę natury ścieśniającą wykład mozaiczny o stworzeniu świata, a nakoniec nauki przyrodzone i matematykę, których to dzieł w języku polskim i łacińskim braknie.

Nieumiejętność nowszych języków u niższego duchowieństwa jest przyczyną, że tu ono nie podejmuje się tych obowiązków, które w Niemczech prawie wyłącznie ją zajmują, to jest nauczycieli i guwernerów w domach szlachty. Jest u niej w dobrym tonie przynajmniej dwa obce umieć języki, dla tego zmuszoną jest sprowadzać Niemców, Francuzów, Włochów, którzy się zajmują niemi, a Polacy uczą tylko religji, czytania, pisania i łaciny. Polscy mieszczanie nie mają wyższych widoków nad osiągnięcie burmistrzostwa, i miejsca w magistracie małych miasteczek, już z powyższego opisu znanych, nie ich też nie zachęca do nauk, a prawdę rzekłszy, pojęcia nawet znaczenia ich nie mają, ani istoty — a z nauką musieli by nirzeć z głodu. Z mieszczan w Polsce uczonym się nazwać może ten, kto czytać, pisać i po łacinie umie; taki człowiek, jako

rzadki, może zostać pisarzem, radcą, nauczycielem, poborcą (są to miejsca dla miejskich *honoratiores*) jeżeli tylko nie stanie obok niego drugi kandydat szlachcic, chociażby gorzej od niego piszący i mówiący po łacinie. Nic też dziwnego, że z tej klasy rzadko kto nad kramarza, rzemieślnika prostego i wyrobnika się podniesie. Niemiecka część mieszczan pod względem politycznego wyrobienia stoi wprawdzie wyżej nieco od polskiej, ale uczeńsi z pośrodku jej, równie mało mają widoków. W magistraturach i sądownictwach zawiera się także cała jurysprudencja. Uczeńsi w prawie i bieglejsi w nim mogą tylko zostać radcami, ławnikami, burmistrzami w miastach municypalnych. A że do tych urzędów nie tyle potrzeba nauki, ile trochę zdrowego rozsądku i pewnego wpływu, który w Polsce daje zamożność: prędeż to miejsce osiągnie kupiec niż uczoney. Ponieważ Niemcy stanowią głównie ludność kupiecką miast większych, urzędy i magistratury głównie są w ich rękach. Inne mniejsze miejsca obsadzają się ludźmi rodem z miasta, którzy się wypadkiem w niemieckich szkołach, ukształcili. Oni w Polsce wyłącznie mają pojęcie zasad prawa, które zużytkowują w stosunkach między sobą, gdyż spawy ze szlachtą, duchowieństwem w sądach asesorskich i trybunalnych, rzadko się trafiają.

Zasiadający w nich sędziowie, asesorowie, adwokaci i pisarze są polacy i nieznają nic prócz swojego prawa polskiego. Z tego nawet powodu w dawniejszych czasach (teraz bardzo rzadko) wiele spraw kryminalnych, które dla prostych polskich praw były z nadto zawikłanemi, odsyłano do rozpoznania sądom miejskim. Adwokatów między uczeńszemi Niemcami

w Polsce prawie niema, nie mogli by oni zużytkować swej nauki tylko przed własnemi sądy, a sprawy mieszczan w municypalnych sądach rzadko bardzo przychodzą, tak że w największych miastach ledwie by dwóch wyżywić się potrafiło.

Dla mieszczan więc uczeńszych niemieckich, którzy nauką żyć potrzebuje, pozostaje tylko medycyna, a jeśli są dysydenci, —theologja.

Doktorowie i chirurgowie w Polsce są czasem i polacy, ale większa ich część składa się z cudzoziemców. Ci uczą się w uniwersytetach Halli, Frankfurtu, Berlina i Wiednia, a po skończeniu nauk osiadają w kraju, lub wchodzą w służbę możnych; ale rzadko mogą się wsławić we własnym kraju, który choruje na upodobanie do rzeczy i ludzi obcych, daleko silniej niż którykolwiek inny.

Obcy lekarz lub chirurg dość by jedną lub dwie szczęśliwie dopełnił kuracye, wyrrywając go sobie z rąk do rąk (szczególnie w wielkim świecie) i chwile jego ważą na dukaty. Często ci, tak wysoko cenieni lekarze, są awanturnicy, którzy uczyli się wszystkiego prócz medycyny, a w ojczyźnie własnej, dla złej reputacyi i innych powodów, rady sobie dać nie mogli; tu zaś przez magnatów na los szczęścia wypisani zostali, lub w drodze przez nich zabrani do Polski i t. p. Dla tego szeregi lekarzy w Polsce składają się z wszystkich, niemal europejskich narodowości, anglików, włochów, francuzów, szczególnie niemców ze wszystkich części państwa.

Cała ta czereda pracuje tu żwawo, często bez żadnych patentów i świadectw. Niektórzy świecą lat parę i nagle strąceni padają, gdy im się parę kuracyj

znacznym nie powiedzie lub nowy jaki cudowny lekarz się zjawi, który ich sławę zaćmi; inni znowu, co niedawno jeszcze obiegami rwali zęby ze szczęk najpospolitszych a pigułkami niepokoili robaki ubogich dzieci mieszczańskich, przejeżdżają się nagle angielskim powozem z pałacu do pałacu, a imię ich najarystokratyczniejsze powtarzają wargi *).

Między chirurgami jest wielka liczba francuzów, których wzywają szczególnie w pewnych wypadkach... a że ich się wiele trafia, i że w takim razie opłaca się staranie i dyskrecyę sownie, wychodzą oni bardzo dobrze. Też narodowości jest wielu zębodawcy, którzy objeżdżają całą Polskę od jednego dworu szlacheckiego do drugiego. Szczęściem by było, gdyby tylko zębów pilnowali, ale — co się samo z siebie rozumie — udają wielkich lekarzy, chirurgów i leczą wszystko co się zdarzy, od jeźdźca począwszy do konia. Szkody, jakie wyrządzają, tem są większe, że tu żadna policja lekarska nad tem nie czuwa. W Warszawie niema jej ani cienia. W czasie sejmu konstytucyjnego chciano założyć kolegium medyczne, ale członkowie jego przyszli byli tak z sobą sprzeczni, ich projekty i zasady tak się nie zgadzały, przeciwni się sobie tak namiętnie walcząc, iż łatwiejby pono było Szczęsnego Potockiego z Ignacym pogodzić, niż ich do porozumienia się przywieść.

Dysydenci, uczący się teologii, w niewielkiej liczbie i ubogo się mogą utrzymać. Zwykle synowie

*) Porównać dzieło znakomitego Dra Lafontaine'a (szwajcara), rozdział o szarlatanach i cudownych lekarzach w Polsce. (P. A.)

predykantów następują po ojcach, a jeśli miejsce tych nie można krajowcami obsadzić, sprowadzają się kandydaci z zagranicy; znajduje się też ich podostatkiem zajmujących miejsca guwernerów po domach niemieckich, szczególnie szlązaków i prusaków.

Tak zwani miłośnicy nauki, rzadcy są wśród niemieckich mieszczan w Polsce osiadłych — tłumaczy to okoliczność, że mieszczaństwo całe składa się z kupców i rzemieślników. Pomimo to tu i owdzie, szczególnie u bogatszych bankierów i kupców, znajdują się małe biblioteczki, które przez naśladownictwo szlachty, składają się z samych książek francuzkich, najwięcej też czytanych. Z tych uwag łatwo wniesć będzie, iż stan polskiej właściwej literatury i niemieckiej w Polsce świetnym być bardzo nie może. Polska jest dosyć szczupłą i jednostronną, o niemieckiej z tego com mówił, miarę wziąć można. O obu jednak muszę szczegółowiej nieco powiedzieć.

W czasie sejmku konstytucyjnego, który w istocie naród cały tak rozognił i zapalił, jak nigdy się spodziewać nie było można — poczęły niektóre gałęzie literatury na nowo i świeżo rozkwitać, zwłaszcza te, które wyżej wymieniłem, jako najwięcej przez szlachtę i duchownych uprawiane: polityka, prawo polityczne, jursprudenca, historia, wymowa. Pierwsze kroki sejmku rewolucyjnego dały powód, jak ogłoszona swoboda prasy w Wiedniu przez Józefa II do wydania i czytania mnóstwa pisemek większych i mniejszych, które — jak okoliczności wskazują — politycznej być musiały treści. Autorami ich byli w części żądający zmiany ustaw, lub przeciwnicy jej, już to szlachta już duchowni. Wiele napisano, by naród przygotować, wiele dla

objaśnienia poczynionych kroków, wiele pod bezpośrednim wpływem stronnictwa silniejszego, lub przez pojedyncze osoby z przekonania i własnej woli.

Projekty do nowych praw, rozporządzenia nowe, mowy wygłaszane przez posłów były po polsku drukowane i rozsypywane; cudzoziemcy, którzy się na ówczas w Warszawie znajdowali, pisali też porwani prądem ogólnym, dawali rady, ogłaszali opinie, życzenia, wątpliwości, szczególnie w języku francuzkim, który w Polsce wszystkim lepiej wychowanym jest dostępny; rozmaici posłowie obcych dworów posługiwali się także drukiem, chociaż bezimiennie, dla skłonienia opinji i sejmu ku różnym, najsprzeczniejszym często środkom, ich interesom odpowiadającym, słowem powszechne ożywienie i ruch wylewały się w świsstkach, broszurach, książkach i zaprzętały umysły polaków od magnata aż do chłopca (nie licząc wszakże ostatniego). Był to może pierwszy, a kto wie czy nie ostatni w Polsce przykład tego, że w powozach, po ulicach, w szynkach przy piwie, przy wódce czytano i o polityce rozprawiano. Taki udział wszystkich w losach kraju w Polsce był nowy i niesłychany. Dawniej szlachta sama zbierała się na narady w osobie swych reprezentantów; radziła sama dla siebie i przez się, wносиła, wyrokowała, a sejm dla reszty kraju był rzeczą tak obcą i obojętną, jak wybór burmistrza w Norymberdze. Sejm rewolucyjny umiał uwagę wszystkich kraju mieszkańców zwrócić na siebie, dając im nadzieję, że dla nich pracuje. Już przez to samo wiele mieszczanom oczekiwać po sobie dawał, że wolną elekcję chciał znieść a prerogatywy króla powiększyć; dwa te punkty właśnie na wszystkich poprzednich sej-

mach wcale inaczej były traktowane, usiłowano bowiem pierwszą utwierdzić, a drugie ująć ile możności, przez co byt mieszczan coraz się stawał przykrzejszy. Teraz, gdy oni ojczyznę w Polsce znaleźć się spodziewali, obudziło się życie i myśl stała się czynną; czytano, pisano, mówiono, literacki ruch się zwiększył i zarazem wpływ przeciwnej partyi na opinię publiczną.

Gazety, które w polskim, francuzkim i niemieckim języku wychodziły, a zwłaszcza *Gazeta Narodowa*, w której najtęższe głowy poselskie, jako Wybicki, Niemcewicz, Weissenhof, Mostowski pracowali, sprawiały wrażenie, które, jak się zdaje, po raz pierwszy teraz przez nadaną im polityczną dążność, zyskały. Drukowano z nich wyciągi do pary mniejszych gazet, które czytali ubożsi ludzie po prowincyach; założono także niemiecką narodową gazetę, która na polskiej się wzorowała. *Journal hebdomadaire de la Diète* na-przód, potem *Gazette de Varsowie*, stały także za stronnictwem zmiany i czytane były w kraju przez klasy oświecenijsze. Wszystkie one, oprócz politycznego celu swego, osiągnęły i ten, że się nauczono czytać i przyjemność w czytaniu znajdować. Dla tego samego wyżej wspomniany Jan Potocki urządził u siebie czytelnię, dla wszystkich otwartą. Kazał wyporządzić trzy piękne, obszerne pokoje w bocznem skrzydle swego pałacu, opatrzył je w krzesła, stoły, potrzeby do pisania i mnóstwo krajowych i zagranicznych gazet i broszur. Dwóch jego ludzi zawsze stało w pogotowiu, i można było zrana lub po obiedzie w pewnych godzinach jakiś czas tu spędzić.

Przed sejmem rewolucyjnym były tylko trzy znaczniejsze drukarnie w Warszawie i kilka mniej znaczą-

cych; w ciągu sejmku trzy do czterech przybyło. Dwie z nich drukowały sejmowe papiery, jedną *Gazetę Narodową*, inne — różne materyały, broszury, akta dla podania sejmowi przeznaczone lub książki o bieżących sprawach za i przeciw zmianie ustawy. Panujące stronnictwo żadną cenzurą nie ograniczało wolności druku. Gröll i Dufour, już dawniej osiedli tu drukarze, musieli we dwójnasób liczbę tłoczni powiększyć i dzień i noc pracować.

Tak samo wzrosła liczba księgarzy i ruch książkowy. Było ich dwie czy trzy w Warszawie; w pierwszej połowie 1792 r. już się sześć znajdowało. Najwięcej kupowano książek francuzkich, które od dawna w Polsce najulubieńszą były literaturą. Poszukiwano najczęściej pism politycznych Rousseau, Montesquieu, Helvetius'a, De Lolmes i t. p. przekładów starożytnych pisarzy, obrad zgromadzenia narodowego, gazet i najnowszych broszur francuzkich. Romanse, poezye i inne lekkie utwory francuzkich pisarzy i księgorobów stały nieporuszone, gdyż nawet eleganci i kobiety porwane były prądem powszechnym, nosiły się z polityką i nową konstytucją w głowie, nie rozstając się z nią ani na chwilę. Na każdym papierku, którym kupcy towary owijali, nawet na zrzynekach, które się po ulicy walały, czytać było można wszędzie: *naród—konstytucya, miasta rzptej, obywatele*, tak samo jak na francuzkich brudnych papierach: *nation, constitution, motion, decret, commune, citoyen, vertueux, guillotine, tyran* i t. p. Nareszcie, gdy wojska nasze przygotowywały się wtargnąć do Polski, księgarze wszystko, co o wojskowej sztuce mieli, posprzedawa-

li; było to ostatnie pole, na którem, czasu rewolucyi, literatura czynną jeszcze była.

Dziś, gdy to piszę, (1793)—literatura, jak wszystko w ogóle, martwa. Tłocznie stoją. Para księgarzy sklepy swe pozamykała, inni książek się pozbyć usiłują, oddając je przekupniom. Nauki znouu w sen głęboki, jak wprzódy, popadły; zdaje się, że literatura polska, jako polska, całkiem zamrze, a odrodzi się chyba później, jako część ruskiej, austryjackiej i pruskiej. (!)

Wspomniany wyżej księgarz i drukarz Gröll położył wielkie zasługi około drukarstwa i w kole miłośników nauk niemieckich w Warszawie. Gdy osiadł w tem mieście, było w niem ledwie dwie czy trzy drukarnie, które tylko polskie i łacińskie książki, polityczne pisma i szkolne podręczniki drukowały. Roboty jego wszystkie były czyste, dokładne, artystyczniej wykonane i z lepszym smakiem, a ceny przystępniejsze. A że razem miał księgarnię, szczególnie niemiecką, zwiększyło to jego stosunki na prowincyi i drukarni pozyskało coraz więcej odbytu. Zajmował się też nakładami, wiele pism z francuzkiego i niemieckiego na polskie przekładanych, a z polskiego też na niemieckie niekiedy wydając. Skarży się jednak, że te przedsiębiorstwa mu więcej strat niż korzyści przyniosły, gdyż czytająca publiczność w Warszawie i Polsce była bardzo mała. Od lat już wielu teraz przestał wydawać tłumaczenia, a księgarnia jego znacznie mniej jest czynną.

Inny księgarz, nazwiskiem Pfaff, który od niewiele lat osiadł w Warszawie i handluje najwięcej francuskimi książkami, utrzymuje także niemiecką i fran-

czką czytelną. Jest ona jedyną w Warszawie, ale dotąd mało kto z niej korzysta. Wybór jego niemieckich i francuzkich dzieł jest taki, że amatorowie, którzy coś lepszego czytać pragną od romansów i komedyj, zadowolnić się nim nie mogą; ale głównie przyczyną tego brak czytelników. Niemcy osiedli w Warszawie, dla rzemiosł swych, mają co innego do roboty; czytać im trudno. Zwyczaj czytania, jak w Niemczech, jeszcze tu nie doszedł, a prawowierny kupiec i rzemieślnik w niedziele i święta studjuje ewangelią, epistoły i pobożne kazania. Dzieci ich czytają co najwięcej, kryjomo i otwarcie, romanse, komedye, ale rodziny, w których się to trafia, żyją już na wyższej stopie, i prostocie dawnych obyczajów niemieckich niewierni się stali. W tem położeniu są majątni, młodzi kupieccy synowie i córki, którym dano nauczycieli języków, tańca, muzyki, rysunku, i więcej nic nad to, co na tej drodze nabyć mogli—rzeczy przyjemnych a nie gruntownych. Ale, że ostatnie rzadkie są w średniej klasie w Polsce, obu płci młodzieży starczy to do świetnego ożenienia i zamażpójścia. Z tego powodu rodzice łożą chętnie na wychowanie, cokołwiek oszczędzić mogą.

Polacy ze średniej klasy, licząc w to drobną liczbę adwokatów i biuralistów czytają mało lub wcale nie, a jeśli czytają, to po francuzku; dzieci ich chyba i żony posługują się w takim razie czytelną Pfaffa. Polacy majątni wcale jej nie potrzebują, częścią dla tego, iż im ofiarowane książki nie są właściwe, lub że sami większe i mniejsze zbiory ksiąg posiadają, corocznie je nowościami najwziętszemi pomnażając. Te składają się z dzieł francuzkich, angielskich a nad-

zwyczaj rzadko kiedy z niemieckich. Język niemiecki tylko w W. Polsce, teraźniejszych Prusach południowych, z powodu sąsiedztwa, jest cokolwiek znany, także w pewnych częściach Litwy, graniczących z Prusami i Kurlandją i po miastach, w których wielu Niemców mieszka. Uczą się go z potrzeby tylko nie z zamiłowania, bo Polacy o tem, co w literaturze niemieckiej się dzieje, nie mają najmniejszego wyobrażenia i w ogólności Niemcami pogardzają.

Oprócz wykazanych pomocniczych środków do uprawy nauk i czytania, prócz drukarni, księgarń, niemiecko-francuzkiej czytelnicy i prywatnych bibliotek, Warszawa nic więcej nie posiada. Ma tylko miasto jeden zbiór ksiąg do publicznego użytku przeznaczony, jeden z najbogatszych w Europie, ale wcale nie używany, bo z niego użytkować nie można; — mówię o bibliotece Żaluskich.

Wiadomo, że dwaj Żaluscy, biskupi, zakład tej biblioteki Rzeczypospolitej ofiarowali, i że ona jeszcze później kilkakrotnie pomnożoną została. Starano się ją oddawna użyteczną ogółowi uczynić, ale lokal, w którym się mieści, na to mnóstwo ksiąg jest za ciasny, a nieład, w jakim się ona z tego powodu i z powodu nieczynności lub nieświadomości nadzorców znajduje, dotąd korzystać z niej nie dozwala. Miernej rozległości sala zawiera pewną liczbę ksiąg, ułożonych i spisanych, zaopatrzoną jest stołami, stolkami i co potrzeba do pisania dla wygody czytających. Tych, ostatnich ilekroć tam byłem, zawsze stosunkowo znajdowałem niewielu, ale zajęci byli w miłczeniu i pilnie robotą swą, a składali się głównie z młodych księży świeckich, którzy wyciągi i notaty spisywali. Przygotowania, któ-

re dla poprawy gmachu, dla urządzenia wewnętrznego w czasie rewolucyi, czynić poczęto, teraz (1793 Maja) przerwane zostały, i trudno oznaczyć czas, kiedy się los tych skarbów polepszyć może.

Król posiada bibliotekę, liczbą niezbyt wielką, ale nadzwyczaj smakownie urządzoną. Miłośnikom czytania z wyższych klas nie byłoby trudno z niej książkę dostać, i, stosownie do woli króla, miała ona być przystępną dla osób wszelkiego stanu, któreby się o to we właściwym miejscu zgłosiły. Ale skutkiem czy to trwożliwości czy obawy ze strony uczonych lub przestraszających odpowiedzi na pytania, danych przez bibliotekarza (Albertrandego, zresztą bardzo uczynnego człowieka), ta dobrze dobrana biblioteka małego jest dla literatów warszawskich pożytku.

Król, którego oczy, od początku panowania, pilno skierowane były na wszystko, co postępowi kraju staowało na przeszkodzie w jakimkolwiek względzie, widział dobrze, iż brak dobrego wychowania naukowego był powodem smutnego stanu literatury. Dwa jedyne uniwersytety polskie w Krakowie i Wilnie, powoli spały były prawie na zwyczajne szkoły, w których jezuiti tylko swojej teologii, filozofji głównie, a po trosze też matematyki i fizyki uczyli. Po zniesieniu tego zakonu udało się królowi przeprowadzić, by dobra, które on posiadał w Polsce, na ulepszenie wychowania publicznego i stanu szkół obrócone zostały... Naznaczono komissję, która się ze świeckich i duchownych senatorów składała, na czele jej postawiwszy brata królewskiego, ks. prymasa, i tu natychmiast czynności swe rozpoczęła. Przedewszystkiem zwróciła ona uwagę na uniwersytety. Założono katedry nowe, przepisano no-

wy plan i podział nauk, które wykładać miano, a w programacie naznaczono i tym miejsce, które dotąd były zaniedbane, jako to: filozofji nowej, naukom przyrodniczym, ekonomii, technologii, starożytnościom, historii nauk i literatury, prawu rzymskiemu, prawu przyrody i narodów i t. p.

Te urządzenia nowe, ponieważ inaczej skutecznymi być nie mogły, tylko po właściwem przygotowaniu słuchaczy i naukowem ich usposobieniu, nimby do uniwersytetów wstąpili, musiano też i stan szkół krajowych polepszyć. Dopełniono i tego. Oprócz tego założono w Warszawie Akademię wojskową wedle bardzo dobrze obmyślanego planu, osadzając ją zasłużonymi nauczycielami, z których dwu, dyrektor Hube i profesor Steiner, i w niemieckiej literaturze są znani, a po prowincjach w Wilnie, Łucku, Kamieńcu, Lublinie, pozakładano konwikty dla ubogiej szlachty, gdzie ona bezpłatnie utrzymywaną była i nauki pobierała.

Polski język nie jest ani tak ostry jak się wydaje pisany i drukowany, ani tak niewyrobiony, jak go sobie ludzie wyobrażają. Mnóstwo spółgłosek, które w wyrazach samogłoski zacierają i wymowę trudną i przykrą czynią na pozór, nikną gdy się z pięknych ust ten język słyszy i nie wydają się zbyt ciężkimi. Polacy mówią bardzo szybko i umieją dwie lub trzy spółgłoski tak prędko po sobie wsunąć, iż jednym tchem spdają na samogłoskę i w jeden się ton spływają... Ich długie wyrazy o połowę się skracają a wyraz na papierze, wydający się bez końca długim, prędzej się wymawia niż niemiecki dwu lub trzygłoskowy. Potrzebnej ku temu zwinności organów głosowych można tylko nabyć wprawą od dzieciństwa zyskaną

po latach pięćdziesięciu pobytu w Polsce cudzoziemca zawsze wymowa zdradzi, że się w tym kraju nie urodził. Nawet niemieccy koloniści, którzy tu żyją, urodzili się tu i wychowali; dla obcych dają się poznać cięższą, powolniejszą wymową. Francuzom łatwiej przychodzi wyuczyć się dobrze po polsku, zdradzają się tylko nosowemi tony swemi. Włosi o wiele trudniej uczą się po polsku, bo ich język, jak niemiecki, ma chód powolniejszy. Anglika po polsku mówiącego nie szłyżalem, ale się domyślam, że mu jego język, płaczący się ciągle koło zębów i dziecinna wymowa, do polskiej mowy nie są pomocne.

W ogólności należy przypuszczać, że naród, którego mowa jest najszybszą, najlepiej się po polsku wyuczyć potrafi. Szybkość, z jaką polacy mówią, łagodni spółgłoskowy ich język, ale niemniej też miękki wyraz ich głosu. Basowy ton, tak często w Niemczech i Włoszech słyżać się dający, w Polsce bardzo jest rzadki, słyżać go tylko czasami w wymowie ludu. Monotonna sztywność niemieckiego tu się nigdy nie spotyka. Polak, mówiący w towarzystwie, w pospolitem życiu, przebiega całą skalę tonów i często nawet posługuje się dyskantem. Jeśli opowiada co śmieszne, jeśli niezbyt poruszony jest weselem, gniewem, bólem, słyżać tylko tony jasne; zakochany, gdy prawi swej kochance słodkie rzeczy, umie intonacyi nadać nieopisaną słodycz; niechże go jakie żywsze uczucie dótknie, wnet ton staje się świszczący, ostry, drapiący. Gdy w niemieckim głosie naturalne zmiany przychodzą zwolna, ledwie dostrzeżone, — wnoszą się, opadają, w polskim języku skoki są takie, jak gdy my czasem, śmiejąc się, coś po niemiecku opowiadamy.

Głos kobiet polskich jest najczystszy dyskantem, jaki usłyszeć można; najłagodniejsze zmiany mu właściwie z taką jak w męzkim przychodzą łatwością. Słyszeć polkę, opowiadającą historię poruszającą, szepczącą miłe słówka kochankowi, żalącą się lub proszącą o coś, jest prawdziwą roskoszą dla ucha, nie licząc ani postawy uroczej, ani wdzięcznych ruchów. Ostro ton altowy, który brzmi na wargach bawarskich, austriackich, włoskich i francuzkich, nawet w klasach najniższych tutaj rzadko słyszeć się daje. Polski język ma wprawdzie takie dźwięki jak *szcz, czach, krzyż, brze, szty, trze, srze, zdże, przo*, ale i wiele wyrazów, które się na: *a — i, owo, ewo, ono, wane, ino, yn, nie, mino, zino, ego, bi*, kończą. Powiedziałem już wyżej, że polacy te szeregi spółgłosek zlać w jeden ton umiają; ale gdy je Niemiec wymawia, jak napisane, brzmią one zupełnie inaczej. Nie podobna tego wyrazić pismem; potrzeba słyszeć, by pojąć. Wyrazy, które w ustach cudzoziemca zdają się niemożliwe do wymówienia, są na przykład następujące: *Skrzydłówek, Rzeczyca, Trzebce, Szczopocice, Krzeczów, Luszczanowice, Dobrzyszycze, Strzyżewo, Podzamcze*. Są to nazwiska dóbr szlacheckich.

Polski język ma pewne głoski, które w wielu wyrazach przychodzą i nadają im ton dźwięczny, dosyć przyjemny. Temi są *ą* i *ę* i przekreślone *ł* (*ł*). Pierwsze wymawia się naksztalt *on*, drugie jak *en*, np. w wyrazach *Kołątaj, Grędzinek*, ostatnie, jak *óll*, dotknięciem końca języka do zębów wyższych...

Jakkolwiek prędko polacy w zwykłych rozmowach mówić zwykli, w swych mowach, jako oratorowie, są powolni, i możnaby im zadać nawet, że w nich

na ogniu im zbywa. Przywiodeę tu, com w czasie sejmum zauważył. Król, który uchodzi za najlepszego z żyjących mówców polskich, mówił zawsze siedząc w swem krześle. Z kolei wyciągał to rękę prawą to lewą, palec wielki podnosząc, a resztę trzymając ściśnięte, lub otwierając je z kolei tak, jak się czynić zwykło, gdy się komu co jasno chce wytłumaczyć. Głos jego był monotony. Początek peryodu brzmiał jednak z końcem. Mówił urywając, jak gdyby stawiał przecinki i często odpoczywał po każdym pojedynczym wyrazie. Płynną wymową nazwać tego nie było podobna. Może być, że przybrał ten sposób wysławiania się częścią dla oszczędzenia piersi i dla tem wyrazistszego wypowiedzenia myśli.

Posłowie inni wyrażali się w tenże sposób. Książę Kazimierz Sapiecha, marszałek sejmowy litewski, którego polskim Ciceronem zwano, mówił z większą łatwością niż król, ale także urywanym sposobem, z temi samemi sztywnemi poruszeniami rąk i niemniej monotonie. A że, mówiąc, tylko królowi siedzieć wolno, zwykł był stać w ten sposób, że nogę prawą wystawiał nieco naprzód, lewą w tył cofał i na nich przechylał się to naprzód to wtył, lewą zaś rękę trzymał na szabli, a palcem prawej poruszał do góry, albo prawą zatykał za pas, a lewą odhywał też same ruchy. Głos miał krzykliwy.

Tak samo podkanclerzy Kollataj, który, cierpiąc na pedogę, zwykle mówił siedzący, przez co mowy jego, jak królewskie, na sile traciły. W podobny sposób mówili sławni oratorowie, jako: Wybicki, Niemcewicz i t. p. Żaden z nich nie dorównał Mirabeau, La-

methowi, Noailles, Lally Tollendal i Bailly, ani postawą, ani ożywieniem, ani płynnością mowy.

Co się tyczy wykształcenia języka polskiego, wiadomo, że polakom na pisarzach wzorowych, we wspomnianych literatury gałęziach, nie zbywa. Szczególniej, zdaniem znawców, w poezyi język wyrobiony mają, który się słodyczą, delikatnością, dźwiękiem i wytwornością odznacza.

Mowa to bogata bardzo i do oratorskiego stylu przydatna, a składnia jej zbliża się wiele do łacińskiej. Przybrała ona wiele form od tego języka, który obok narodowego do dziś dnia jest trybunałów, prawa, duchowieństwa językiem, a że większa część pisarzy duchownemi byli, umiejętnie łaciny użytkowali, zastawiając do własnej mowy. Mówią też, iż posiada wiele wyrażen miłych, grzecznych, zalotnych, czułych i pochlebnych, zwrotów i sposobów mówienia do rozmów niewieścich, co obyczaje wielkiego świata tłumaczy. Zresztą przymiotów tych ani zaprzeczyć, ani potwierdzić nie mogę, gdyż język ten znam za mało, abym własnem mem zdaniem, mógł go ocenić.

Stosunkowo stan sztuk pięknych w Warszawie jest świetniejszy niżeli nauk. Król od początku swojego panowania okazywał się zawsze jako gorliwy ich opiekun i znawca, w tym względzie przykład jego wpłynął na ducha narodu przez naśladownictwo. Malarstwo, rzeźba, budownictwo, muzyka i teatr wiele zawdzięczają jego zachęce i szczodrości. Na prawdę nie można powiedzieć, że w Warszawie *polska sztuka* kwitnie, gdyż artyści co się nią zajmują byli i są cudzoziemcy: włosi, francuzi, niemcy, którzy z łaski króla i możnych uzbierawszy majątek, napowrót do ojczyzny po-

wracają; ale to co utworzyli pozostaje w Warszawie, i może się uważać za szkołę, która do zachęty i wykształcenia miejscowych artystów w przyszłości wiele przyczynić się może.

We wlochu, *Bacciarelli*, ma Warszawa doskonałego malarza, który jej, jak się zdaje, pozostanie, gdyż król szczególnie dlań był wspaniałym i nigdy żadnej jego prośbie, nawet najwięcej wymagającej, nie odmówił. Dzieła jego w wielkiej liczbie znajdują się w królewskim zamku, a zwłaszcza we wspomnianej sali królów, oraz w innych salach i pokojach i w łazienkach. Charakterem jego udatność, lekkość, wesołość; maniera jego rażąco przypomina Battoniego. To, co ma w sobie siły, wyrazistości, męzkości starsza szkoła włoska, w jego dziełach się nie znajduje, ale też niema i tego przeozdobionego, niesmaczno wyglądanego, tan-cemistrzowskiego, co razi w nowej szkole francuzkiej. Portrety jego zdają mi się doskonalsze, niż kompozycyc historyczne.

Oprócz niego niema Warszawa żadnego tak dalece odznaczającego się malarza. W czasie rewolucyi było ich tu dosyć, ale zajmowali się wyłącznie portretami—gałęzią wielce tu korzystną, jeżeli artysta trafnie chwyta podobieństwo. W znaczniejszych domach wszyscy siebie i swoich malować każą; miłość rodziców, dzieci, pokrewieństwo, przyjaźń, polityka, ambicya, wdzięczność, miłość, z wyjątkiem małżeńskiej, która bardzo rzadko portretów żąda — malować każą wszystkie. Oprócz tego w wielkim świecie między paniami było naówezas w modzie, na sercu nosić wizerunek; ale że nie wypadało mieć ten sam w sercu co i na niem, wybierano zwykle przyjaciółki, albo w po-

litycznym względzie odznaczających się ludzi, lub najczęściej portret króla, którego naówczas publiczność wielbiła, a obrazy jego w tysiącach egzemplarzy, wszelakiej wielkości, rozmaitej dobroci, najróżniejszym sposobem malowano w Warszawie i po wszystkich częściach Polski rozwożono.

Król, dopiero od lat kilku otworzył szkołę rysunków, i przeznaczył na nią obszerną budowę na Nowym Świecie. Dwóch zdolnych nauczycieliów do niej przyjął. Jest ona dopiero rozpoczynającą, ale kilku uczniów polaków, daje już piękne nadzieje. Życzyć należy dla wzrostu sztuk pięknych, aby okoliczności przeciwne wpływu na nią szkodliwego nie wywarły.

Co do rzeźby, to mało uczyniono w Warszawie, ale zupełnie zaniedbaną nie była nigdy, Czego kościoły potrzebowały w posągach, sprowadzano częścią z Włoch lub z Wiednia i Berlina, lub w Warszawie przez obcych artystów wykonywane — ale nie szczególnego pod względem sztuki się nie znajduje. Niektóre grupy mytologiczne, które król w łazienkach wystawić kazał, n. p. Kaunis i Biblis, paw porywający Nymfę, obie smakownie z piaskowca wykonane, godne są widzenia; przedziwna także jedna, w małym lasku stojąca, grupa z Tassa, Tankreda i Chlorindę wystawiająca, w chwili gdy pierwszy zdejmuje hełm Chlorindy i poznaje, że jej zadał cios śmiertelny. Grupa ta z marmuru Kanaryjskiego, wykonana była w samych Włoszech i ztamtąd nadesłana. Imię artysty wypadło mi z pamięci, ale robota jego z najlepszymi Canowy i Tripela mierzyć się może, Aby ją od swawolnych uszkodzeń zabezpieczyć postawiono przy niej straż, dla

zachowania od wpływu szkodliwego zimowej słoty, bywa na zimę zakrywaną

Zresztą nie zbywa w Warszawie na zręcznych kamieniarzach, gypsatorach, rzeźbiarzach na drzewie i pozłótnikach do wykonywania zewnętrznych i wewnętrznych ozdób architektonicznych, ale są to wszyscy niemal, jak zwykle — cudzoziemcy.

Budownictwo znakomite uczyniło postępy. Ze wszystkich sztuk, ono za panowania teraźniejszego króla najczynniejsze było. Wszystko, co uderza w oczy odnowieniem, nowością w pałacach, kościołach, domach Warszawy, od lat dopiero trzydziestu się wzniosło. Król sam po spaleniu się pięknej, podwórzec otaczającej części zamku, z gruntu ją odbudował; pałacyk w Łazienkach ze wszystkim, co go otacza, nowa część Ujazdowa i inne gmachy, odznaczające się smakiem, — są jego dziełami. Za jego przykładem rozmaite konwenty i klasztory, zakonnicy ś. Krzyża, pijarowie, augustianie, karmelici i t. d. kościoły swe i domy, podnawiali, lub całkiem na nowo pobudowali; wiele majątnych rodzin wystawiło pałace lub zrestaurowało; a prawie na każdej ulicy stoją pojedyncze domy prywatne, które najpiękniejszym w Wiedniu, Berlinie i Monachium nie ustępują. Ale i w tym zawodzie także cudzoziemcy, włosi, szczególnie niemcy robili wszystko a polacy nic.

Upodobanie w muzyce jest w Warszawie powszechne, zwłaszcza w wyższych stanach i w blizkich im kołach, więcej wszakże u kobiet niż między mężczyznami. Nauczyciele muzyki także są cudzoziemcy z wymienionych już krajów. Chociaż muzykę lubią bardzo, brak nawet najwykształceńszym głębszej jej znajomości i pra-

wdziwego zamiłowania. To, co się w towarzystwie śpiewa i poczem tańcować można, najwięcej do smaku polskiego przypada. Wirtuozi, którzy tu czasem przybywają, muszą o tem wiedzieć, inaczej by nie potrafili zapewnić tu sobie dobrego przyjęcia. Słyszałem tu w ciągu lat 1791 i 1792 wielu z nich, którzy by gdzieindziej nie znaleźli współczucia, tu zaś słuchano ich bardzo łaskawie, a nawet przyklaskiwano. Jeden tylko, który między temi miernymi wykonawcami był najgorszy, otrzymał w części to, na co zasłużył kilku cudzoziemców go wyświstało, a miejscowi opuścili salę, tak że mu się ledwie jeden słuchacz został.

Popisywał się na arfie i *viola d'amour*, a rodem był z Lipska. Przypominam jego imię i bezwstydną minę, z jaką zniósł, że go ci za barbarzyńców poczytani słuchacze, wyświstali i milcząc się rozeszli.

Synowiec króla, ks. Stanisław Poniatowski, założył był szkołę muzyki w Warszawie, która dosyć długie lata kwitnęła, ale teraz, gdy położenie księcia wydatki zmiejszyć nakazywało — rozwiązać się musiała. Kosztowała go średnio do roku od pięciu do sześciu tysięcy dukatów. Wychowywały się w niej obu płci dzieci, okazujące talenta do muzyki, ucząc się śpiewu i gry na różnych instrumentach... Jeżeli się szczególni postęпами odznaczeni, posyłano je do Włoch dla dokończenia wychowania. Niektórzy z nich stali się dobrimi artystami, ale żaden z nich nie odznaczył się nadzwyczajnie. Nawet mierni, znaleźli wszakże wśród tego tańczącego i śpiewającego narodu bardzo dobre umieszczenie.

Gdy w wymienionych zawodach sztuk pięknych dotąd polacy nad zwykły stopień wykształcenia się nie

podnieśli, w dramatycznym i w balecie powiedzieć tego nie można. W tych obu widziałem w r. 1792 artystów, którzy się do najdoskonalszych zbliżali.

Warszawa ma, jak wyżej wspomniałem, teatr tylko jeden, co zadziwia, gdy się zważy, jakie tu jest pragnienie zabaw i zamożność tej publiczności, która ich używa. Przyczyna tego być może, oprócz dostatku zabaw innych i trudność złożenia kilku dramatycznych towarzystw, któreby tu osiedlić się mogły, gdyż na miejscu nie zbywa.

Wspomniany teatr zbudowany był ze szkatuły królewskiej, i z tego już wnioskować łatwo, że mu na wygodzie, smaku i piękności nie zbywa. Jednakże stosuje się to więcej do wnętrza niż do powierzchni. Może się mylę, ale zdaje mi się, że teatry, tak jakby ich przeznaczenie wymagało, z trudnością charakter wspaniały, lekki, wesół w budowach swych przybierać mogą. Co najwięcej czoło budynku może mieć te cechy, lecz reszta gmachu, który nie może się przyozdobić pięknymi wysokimi oknami, musi zawsze przypominać obumarłe więzienie. Takimi się nam przynajmniej najslawniejsze teatry Francyi i Włoch wydawały. Takim jest San Carlo w Neapolu, Aliberti w Rzymie, la Pergola we Florencyi, nowe teatry w Wenecyi, Bolonji, Weronie i Medyolanie, *Théâtre français i aux Italiens*, a nawet nowy teatr narodowy przy ulicy Recheleu w Paryżu. Też same wady ma warszawski. Stoi, wprawdzie na szerokim placu, ale ściśnięty w sobie i zbity, nie dając się domyślać wnętrza. Tem też ono przyjemniej potem uderza. Jest to piękny owal, mający cztery rzędy łóż w czterech piętrach, a urządzenie jego uderza prostotą i dobrym

smakiem. Parter do połowy ławkami zajęty, a pół—bez ławek. Scena sama obszerna, pięknie przyozdobiona, ma urozmaiconą i obfitą maszyneryę.

Polska trupa, która tu w przeszłym roku grywała, lepszą była od wszystkich niemieckich, jakie mi są znane. Polacy mają od natury daną lekkość ruchów, zręczność, wzrost w ogóle piękny i figury dobre; wymowę łatwiejszą i lepiej wyrobioną niż niemcy. W komedyi zbliżają się bardzo do dawnej francuzkiej manieri, nie wpadając w przesadę języka i ruchów; dalecy są także od zbytnej ruchliwości min i mimiki włosków. W wyższej komedyi (dramacie) i tragiedyi zbliżają się więcej do niemców, ale tę nad nimi mają wyższość, że w scenach namiętnych i gwałtownych, które tamże z pewną surowością odgrywają, zachowują powagę i szlachetność wyrazu, która nie wyłącza ognia i siły, a nie przechodzi we włoskie krygi głów, rąk, oczów i francuzką egzageracyę.

Pewien Bogusławski był pierwszym dyrektorem stowarzyszenia, a razem najlepszym artystą. Był to słusznego wzrostu, dorodny mężczyzna, z prześlicznym organem mowy i postawą nadzwyczaj zręczną, która w każdym stroju swobodnie i naturalnie się wydawała, nawet we francuzkim, który najpiękniejszym figurom polaków, nawykłych do wygodniejszego, nadaje coś sztywnego i niesmacznego.

Widziałem go w Trufaldinie— w sztuce: *Sluga dwóch panów*; w ojeu—z dramatu tłumaczonego Diderot'a; w Kazimirzu Wielkim, narodowej sztuce Niemcewicza, trzech rolach cał odmiennych, we wszystkich w swym rodzaju doskonałym. W roli posła, w sztuce pod tytułem: *Powrót posła* grał wybornie.

Inni artyści byli, każdy w swych rolach bardzo dobrzy, szczególnie jeden stary, który z niepojętą grywał naturalnością; jeden komik, grający role służących, jacy się w Polsce trafiają, nadzwyczaj wyrazisto (dla obcych zwłaszcza) i aktor grywający jurystów pedantów, adwokatów, plenipotentów, który śmieszność ich, grubiaństwa, dumne i chytre obejście się ludźmi przewybornie naśladowali.

Artystki nie były wcale niższe od mężczyzn w swej sztuce. Główne role grywały panie bardzo piękne i zręczne, które sztukę gustownego ubrania i przyzwoitego znajdowania się doskonale posiadały. Nawet pomniejszych role były zręcznymi artystkami poobsadzone.

Sztuki, które grywano, były po części oryginalne polskie, lub z francuzkiego, włoskiego i niemieckiego tłumaczone; pierwszych stosunkowo mało, te które grywano w czasie sejmu konstytucyjnego, miały głównie cel polityczny, o czym już wyżej wspominałem. Do sztuk tego rodzaju, które się najwięcej podobają, należał: *Powrót posła i Król Kazimierz*. Celem ich było stare polskie przesady i przywiązanie do wolnej elekeyi, do panowania szlachty, do ponizania średniego stanu, do ograniczenia władzy królewskiej, jednym słowem, wszystko zastarzałe wyśmiać, co nowa konstytucya obalić miała. Król i główni partyzanci nowego systemu prawie zawsze bywali na przedstawieniu obecni: miejsca, które się do wzmiankowanych przedmiotów odnosiły, gorąco były przyjmowane. W czasie przedstawienia Kazimierza W., gdy w sztuce charakter panującego rozwijał się coraz dobitniej z jego wzniosłymi przymiotami — pierwszy zawsze król ze swej łoży wychylał się i przy-

klaskiwał; a za nim parter, łoże w rodzaju szalu upojenia klaskali, krzyczeli, i domagali się powtórzenia dwa i trzy razy tego ustępu, coraz bałaśliwszemi przyjmując go oznakami. Widać było, że więcej tam królowi Stanisławowi niż Kazimierzowi przyklaskiwano z dwóch przyczyn; naprzód z powodu, że poeta Kazimierza odmalował rysami z terażniejszości zaczerpniętymi i że Stanisławowi chciano okazać wdzięczność za to, że postępowanie swojego poprzednika tak uznawać umiał. Naczelnicy znowu stronnictwa, wodzowie rewolucyi i ich przyjaciele oklaskami okrywali usposobienie ogółu, które się z ich projektami zgadzało... Tak wszystko było w porządku i każdy coś na tem zyskiwał.

Farsy, które grywano, były głównie z włoskiego tłumaczone; małe operetki i komedyjki z francuzkiego. Własnych polskich w tym rodzaju było bardzo mało.

Król oddał był Bogusławskiemu swoją własną trupę baletników, aby przyciągnąć tańcami więcej do teatru słuchaczów. Tancerze ci wszyscy byli pochodzeniem krajowcy, mianowicie litwini, mężczyźni i kobiety zarówno. Król kazał ich uczyć po większej części francuzom, a dwóch czy trzech solistów utrzymywał umyślnie w Paryżu, aby się tam pod Vestrisem i Gardellem wykształcili. Choć może mistrzów swych nie dościgali, łatwo było poznać w ich manierze szkołę. Postawa, smak w ubiorze, wdzięk w grze ciała, dokładność ruchów, wynosiły ich wyżej nad towarzyszków, ale ci także starali się ich doścignąć i składało się to na całość tak piękną, żem podobnej jej nigdzie, oprócz Paryża, nie widział. Stosunkowo baletniczki główne nie równały się z tancerzami, ale miały przy-

miot, który i w paryzkich tancerkach jest rzadki: młodość, wzrost piękny i cerę; najpierwszej baletnicy to tylko może zarzucić się godziło, iż kształty miała zbyt rozwinięte i nadto się niemi popisywała. Towarzystwo miało nawet skoczków, rzucających się z wielką lekkością w powietrze, przewracających koziołki i tańczących choćby po garnuszkach. Szczególnie zabawnie tańcowali kozaka.

Orkiestrę teatru stanowiła kapela królewska, w której wyborni artyści krajowi w części się znajdowali.

Okoliczności to dowodzą, że narodowy teatr wielki mógł publiczności czynić przyjemność, a jednak nie powiodło się przedsięwzięciu zyskać trwałej podpory w publiczności, która jak wiele innych, miernych cudzoziemców woli niż najlepszych krajowców. Parter i łoże wogóle biorąc, bywały puste, tylko gdy wspomniane sztuki polityczne dawano, na które przez grzeczną, rachubę, modę i naśladownictwo, po raz drugi i trzeci przychodzono; napływ był wielki a teatr obsadzony szczelnie. To szczególnego także tu znalazłem, że kasa teatralna dobre i sławne sztuki kazała sobie opłacać drożej niż pospolite lub krótsze tylko — urządzenie to nie jest bez zasady.

Cale inaczej szło, gdy na wiosnę r. 1792 towarzystwo włoskich śpiewaków opery, które wypisano umyślnie, przedstawienia rozpoczęło. Należało ono w istocie do bardzo miernych, za wyjątkiem jednej śpiewaczki *Benini*; reszta nie liczyła żadnego lepszego artysty. *Prima donna*, była kobietą pospolitą, z twarzą spłaszczoną, która w *gardinara brillante* i jako *bella mollinara* na grubych nogach, kaczkowato się suwając dwoma ogromnymi łapami, z kolei sobie to lewą

to prawą pierś wciskała i z góry w dół przecinała powietrze. *Buffone* był gburem nieznosnym a *amoroso* najnudniejszą, słodkowatą fizyognomją, jaką sobie wystawić można. Jedyna „*Benini*“ chociaż już dobrze trzydziestoletnia, łączyła z pięknym głosem i bardzo wyrazistemi rysami twarzy, wiele smaku i szlachetności w postawie i ubiorze, co u włoskich śpiewaczek rzadko. Stała się też wprędce ulubienicą publiczności, prawie przy każdym przedstawieniu sypały się na parter wiersze ku jej czci włoskie i polskie. Ożywiło to wiele teatr, gdy i *prima donna* znalazła małą garstkę wielbicieli, śpiewających jej pochwały; przez czas jakiś zapomniał wielki świat, nawet młodzi posłowie, o sejmie i jego rozprawach, zajmując się walką i współzawodnictwem tych dwóch kobiet. Król był po stronie *Benini*; a jego stara, wypróbowana przyjaciółka, generałowa Grabowska (mówią, że właśnie dla tego) trzymała stronę obrzydliwej *prima donny*. O Bogusławskim i jego towarzystwie całkiem zapomniano: ale i Włochów w krótkce ten sam los spotkał. Manifest dworu naszego się ukazał, z nim razem wojska postąpiły ku granicom; dopłata z królewskiej skrzynki, którą włoscy artyści pobierali, ustać musiała; wiele rodzin możnych oddaliło się z Warszawy; pozostali mieli ważniejsze zajęcia niż operę; trupa została opuszczoną, i zbiedzona do Włoch powróciła. Bogusławskiego trupa także się rozproszyła.

Teraz (1793) znajduje się tu niemiecki teatr, który grywa na wielkiej sali w radziwiłłowskim pałacu; jedna z najlichszych trup, jakie w Niemczech po miastach wędrują. Składają się na nią Czesi, Morawianie, Bawarczycy, Austriacy, co zdradza ich wymowa, a jeszcze bardziej

wybór sztuk, w rodzaju fars Kasperkowych. Ale nie zbywa im na widzach, a poczciwi niemcy, żyjący w Warszawie, po królewsku się zabawiają tą sceną, gdyż bardzo a bardzo dawno nie słyszeli nic podobnego we własnym języku.

Kończąc ten rozdział niech mi wolno będzie jeszcze niektóre przytoczyć uwagi o stanie religji i wyznań w Polsce.

Kto sobie zechce przypomnieć, co się wyżej o wychowaniu powiedziało, odgadnie, iż gruntowniejszego religijnego wykształcenia w młodzieży mało się znajdować może. Uczą pospolicie mechanicznego odprawiania ceremonij katolickich, słuchania mszy Św., różańców, pieśni i t. p., nie przywiązując do nich myśli. Wiadomo, iż katolicy mają zwyczaj tego tylko za prawowiernego i dobrego chrześcianina poczytywać, który zwyczaje podobne, modlitwy pilno i spokojnie powtarza, a potępiać tych, co przy modlitwie myślą, mają wątpliwości, chcą ich rozwiązania. Taki już jest w mocy dyabelskiej i blizkim bezpowrotnej zguby. Te prawidła tak ciężkie dla rozumu, podobają się i przypadają do smaku włościanom w Polsce, pospolitemu mieszczanństwu, niższej szlachcie, któraż większym światem nie ma stosunków; w tych klasach panuje dotąd pod pozorem religji jak najopłakańsza ciemnota. Inaczej się dzieje w większym świecie, który począwszy czytać i rozumieć francuzkich filozofów, przeskoczył socycjanów i arjan i dalej zaszedł niż oni. Żartobliwy sposób pisania francuzów lepiej tu przypadł do smaku niż poważne, ani ducha, ani serca nie poruszające, do uczenia się na pamięć przeznaczone formułki nauczycieli duchownych, wśród roztar-

gnień, zabaw i rozpasania młodzieńczego wpajane. Pojęć, któreby trwałość i zasady nienaruszalne mieć mogły, nie daje nauka, oparta na ślepej wierze, która przez to samo w walce z rozumem jest słabą; dla tego jej wyznawcy nie mają ratunku, jak skoro z niemi poczną się walkę innym orężem — przechodzą też wedle sił rozumu, wobec zadawanych im zarzutów, albo w szal religijny lub w najlekkomyślniejszą obojętność. Na tych dwu przeciwnych stanowiskach krańcowych, pod względem religijnym, stoją najniższe i wyższe klasy społeczeństwa polskiego.

Obrzędy katolickiego kościoła są w Warszawie tak częste i tak różne, z taką wspaniałością i tak głośno obchodzone, jak w najbardziej katolickich krajach... Święta pierwszych chrześcijańskiej wiary krzewicieli, pierwszych jej apostołów, wyznawców płci obojga, z mniejszą lub większą wystawą są święcone processyami, mszami i pobożnymi pielgrzymkami. Klasy niższe na tych wszystkich obchodach z wielką pobożnością są obecne, wyższe też ubiedz się w tem nie dają, ale jawnie potem okazują, dla czego to czynią. Kobiety zwłaszcza przychodzą na te religijne widowiska, na których widziane być i widzieć drugich mogą, tak starannie (tylko ciemno lub czarno) poubierane, tak samo zdobywcze rzucają wejrzenia jak w teatrach i asambalach... Dzwonek, który się niekiedy słyszeć daje, zmusza do pochylenia i dozwala wejrzeć nie bez wdzięku pewnego na stronę, a razem wejrzenie czyjeś napotkać. Słowem w kościele dwie płcie są tem, czem i gdzieindziej w Polsce.

Wspomniałem o odwiedzaniu grobów w wielkim tygodniu. Jest to rodzaj rozrywki dla klas wyższych.

Towarzystwa umawiają się tam a tam spotykać, dowiedziawszy wprzód, w których kościołach wystawa najwspanialsza. Jadą powozami i konno, przy wnijsciu zachowują pozory, klękają lub schylają przed jaśniejącym grobem i zasiadają zaraz na krzesłach, wypatrując przechodzące tłumy, zaczepiając znajomych, rozmawiając o wielu niepobożnych przedmiotach i t. p. Powtarza się to w wielu kościołach... i tak się pobożna pielgrzymka do grobów odbywa.

Przy tych odwiedzinach miejsce świętych, młodzież męzka i swobodnego prowadzenia panienki jeszcze sobie mniej przyzwyciężają. Młodzież krąży chętnie zdobywcy, panny zaś pragną, aby zdobytymi zostały. Przy wyjściu z kościołów, w drodze do nich, mrok sam świętyń ułatwia rozmowy, a pielgrzymka kończy się, jak? — odgadnąć łatwo, tylko lud sam odbywa ją wedle formy wspomnianej.

Tak samo dzieje się z odpustem i przejażdżką na Bielany (klasztoru o trzy kwadransy drogi od Warszawy oddalonego), którą co roku na Zielone Świąta odbywają klasy zamożniejsze jako zabawkę. Setki powozów cisną się dokoła klasztoru, z których właściciele i właścicielki rzadko wysiadają, obawiając się zmieszania z tłumem pieszaków; jeżeli wysiądą, zbierają się w towarzystwa, spacerujące chwilę, a potem zasiadają do przywiezionych podwieczorków, których ani początek, ani środek, ani zakończenie, skruchy, umiarkowania i pokuty chrześcijańskiej nie dowodzą.

Pomimo tych nadużyć pojedynczych trzeba przyznać, że polacy, wyższych klas zwłaszcza ogólnie wzięci, zewnętrzną przyzwoitość zachować umieją. Nie wyśmiewają się z wiary własnej, nie mówią prze-

ciwko niej; w obrzędach kościelnych, przy zdarzonej okoliczności, udział biorą, poszanowanie dla sług ołtarza zachowują; nie dają nawet po sobie poznać, ażeby mnichami gardzili — na ostatek ściągnęli na siebie zarzut najokropniejszej nietolerancyi, której długie wojny domowe dowiodły.

Zjawiska te wszakże są w zasadzie swej raczej polityczne niż religijne. Rzymsko-katolickie wyznanie było od najdawniejszych czasów podstawą polskiego prawa politycznego i płynących zeń korzyści duchowych i materyalnych. Szanuje się je z tego powodu i strzeże, by szyderstwo nie podkopało jego nauki i ceremonji, nie objawia się zdań przeciwnych, już to, że się w nich mało ma świadomości, już, by innych nie gorszyć i nie wywoływać wyznań, któreby od wielu korzyści, katolikom tylko zostawionych, usunęły. Tak naprzykład w czasie wielkich uroczystości, solennych mszy przed i śródsejmowych, w nabożeństwach wielkich udział biorą, gdyż one stanowią istotę wiary, są nakazane prawem i zarazem politycznym czynem; szanują sługi kościoła naprzód jako urzędników i dygnitarzy, jako sobie równych obywateli, jako zajmujących posady, które przodkowie ich też zajmowali a krewni posiadają, i do których oni synów może przeznaczają... nie okazują otwarcie wzgardy dla mnichów, boć i oni są około tej wiary robotnikami; naostatek nienawidzą i prześladują różnowierców, nie przez wstręt dla ich nauki, ale jako politycznych współzawodników, nie z religijnego, ale z politycznego fanatyzmu. Dowodem tego, iż wyznanie mojżeszowe, niezaprzeczenie chrześcijaństwu najnieprzyjaźniejsze, najszkodliwsze dla Rzeczypospolitej, utrzymało się tu bez ograniczeń i prze-

śladowania. Ale wyznawcy jego nigdy też nie domagali się obywatelskich swobód i równości.

Gdy polacy, w połowie X wieku, za przewodnictwem króla swojego Mieczysława, na wiarę chrześcijańską przeszli, przyjęli naówczas wyznanie rzymsko katolickie. Było ono długo jedynem, panującym w Polsce, aż do połowy czternastego wieku, gdy Kazimierz W. zdobył Ruś Czerwoną, w której już wiara chrześcijańska, wedle obrządku wschodniego, greckiego, panowała. Król mieszkańcom nowo zdobytego kraju zapewnił utrzymanie ich wyznania, i od tego czasu kwitły zarówno w Polsce dwa wyznania obok siebie. Gdy w XV wieku lękano się wpływu nauki Hussa, Władysław Jagiełło wydał rozporządzenie, mocą którego kacerze, jacyby się w państwie znajdowali, mieli być surowo karani; pod panowaniem syna jego duchowieństwo, szlachta, mieszczenie utworzyli związek przeciwko tym kacerzom i ich stronnikom.

Gdy w następnym wieku reforma Kościoła poczęła się w Niemczech i nowe potworzyły się wyznania, które z sobą wależyć poczęły; gdy we Włoszech Socinus naukę Ariusa na nowo podniósł i odżywił naówczas wielu polaków odstało od katolickiego kościoła, przyjmując luteranizm, kalwinizm i arianizm. Wszystkich takich imieniem kacerzy oznaczono. Zygmunt wydał przeciw nim edykty, ale liczba ich codzień się pomnażała. Za Zygmunta Augusta wzrosła ona jeszcze bardziej, gdyż augsburskiego wyznania osobom nadał swobodę wiary. Gdy na sejmie r. 1566 wniesiono aby zapobiedz szerzeniu się niebezpieczniejszych sekt szczególnie tych, które Chrystusa Pana bóstwu uję czyniły (aryanie), — za późno już podniesiona myśl po-

została bez skutku, gdyż pomiędzy posłami samemi wielu się aryanów znajdowało.

W czasie bezkrólewia, po śmierci tego króla, liczbę i przewagę niekatolików można było po tem poznać, że w senacie równali się liczbą katolikom, a w rycerstwie większość mieli. Przechodziło już do takich wojen domowych religijnych, jak we Francyi. Ażeby im zapobiedz, stany na sejmie konwokacyjnym 1573 r. oznaczyły ogólnem mianem dysydentów (*dissidentes de religione*) wszystkich różnowierców, i pokój między sobą utrzymać zaprzysięgły; dla różnicy wiary krwi nie przelewać, do kar żadnych nie pociągać, żadnemu sądowi, gdyby je chciał domierzać nie pomagać, a nawet stanąć przeciwko wszystkim, którzyby z tej przyczyny krew przelewać zamierzali, nawet w razie sądu, procesu i dekretu. Dodano też, że wszystkie posady duchowne, które król miał do rozporządzenia przez swój *jus patronatus*, jako to: arcybiskupstwa, biskupstwa i inne prebendy, tylko rzymsko katolickiego wyznania ludziom dawane być miały, a podobneż dostojęstwa kościelne grecko-wschodniego kościoła tylko wyznawcom tej wiary.

Na dowód, że całe stany Rzptej jednogodnie to postanowienie przyjęły, podpisali je senatorowie świeccy i duchowni, cała szlachta i miasta jednej a nierozdzielnej Rzptej.

Że znajdujący się na sejmie katolicy chętnie na to przystali, pochodziło to nie z zasad ich wyznania, ale z tego, że słabszemi naówczas się czuli. Zresztą, rozumie się samo przez się, że niekatolicy też same przywileje i prawa co katolicy mieli zapewnione.

Henryk, który królem obrany został, potwierdził

to i poprzysiął w paktach conventach, które tenże sejm dla niego ułożył — pokój dla różnowierców w rzeczach wiary. Takż w artykułach, które, po wyborze króla, dla niego i jego następców uchwalone były, wspomniano zachowanie pokoju; ale katolicy, którzy się już byli znowu wzmocnili, teraz tę rzecz tak przedstawili, jak gdyby pewna tylko część obywateli ku temu konfederacyę utworzyła i znaczenie wyrazów *dissidentes de religione*, ścięsnili, rozumiejąc pod nimi tylko tych, co od katolików różnili się w wierze, wtedy gdy na sejmie konwokacyjnym (1573) wyrażenie to i katolików razem obejmowało. Ztąd katolicy stanęli już nie jako przypuszczeni do ogólnego prawa, ale jako prawo nadający. Skutki tego później się okażą.

W bezkrólewiu po śmierci Stefana, uchwała r. 1573, jako związek ludzi różniących się w wierze potwierdzoną została w ten sposób, że pod dysydentami rozumiano wszystkie sekty niekatolickiego i katolickiego wyznania. W konfederacyach zaś następnych bezkrólewów już tylko dysydentami akatolików zwano, to jest luteranów, kalwinistów i greków, — z wyjątkiem aryanów. Konfederacya podczas bezkrólewów po śmierci Zygmunta III i następnych (1632—1648—1668—1674) im tylko zapewniały spokój. Co się tyczy publicznego sprawowania obrzędów, religijnych, dozwolono dysydentom, w miastach królewskich, w kościołach przez się pobudowanych, w których *dotychczas* odprawiali nabożeństwa, i nadal je sprawować; w innych miejscach, gdzie nie mieli kościołów, dla uniknienia rozruchów, obrządki swe mieli odbywać po domach prywatnych. Prawo to utwierdziła konfederacya 1632 r. i powtórzyły następne. W r. 1696 toż samo, milcząc,

przyjęto, nie mając przeciwko prawu dla dysydentów wydanego w r. 1674. Wyraz *dotychczas*, tycający się kościołów, użyty w konfederacyi 1632 r., aż do r. 1694 był w całej sile. W uchwale konfederacyi r. 1716 powołano się na skasowanie warszawskich traktatów i nakazano, ażeby, mimo to, w nowszych czasach pobudowane kościoły zostały zburzone, a wszelkie zebrania dysydentów w tych miejscach, publiczne i prywatne, na którychby kazania i śpiewy odbywano, zakazane zostały, i pierwszym razem podlegały karze pieniężnej, w drugim więzieniem je karano, w trzecim banicyą. Tylko posłom zagranicznym dozwolone było prywatnie odbywać nabożeństwa dla służby i dworu swego; gdyby zaś miejscowi byli im przytomnymi, ulegali wymienionej karze. Dysydenci, którzy w tych uchwałach niebezpieczeństwo dla swych wyznań widzieli, postarali się o reskrypt królewski, potwierdzający im prawa przez konfederacye i *pakta conventa* uznane.

Konfederacya r. 1732 przytoczyła poprzedzające powołała się wszakże na warszawskie traktaty i wedle nich zapewniła pokój dysydemtom, co i konstytucya 1736 potwierdziła.

Domyślać się łatwo, że owe dawniejsze i świeższe dla dysydentów uchwalone prawa wielu z katolików nie zadowalniały. Już przy konfederacyi w r. 1632 niektóre podpisy zawierały dodatek: „prawa kościoła rzymskiego warując“ lub „z wyjątkiem artykułu o dysydentach.“ Dysydenci skarżyli się na te nowe zastrzeżenia na następnym sejmie elekcyjnym, i doprowadzili do tego, że przy wyborze Władysława IV w paktach pokój z dysydemtami został zabezpieczony,

mimo protestacyj, założonych przeciw tej konfederacyi, bez pokrzywdzenia praw katolickiego kościoła, ale z ubezpieczeniem dysydentów.

Mimo to podpisy podobne zachowali katolicy w następnych konfederacyach i zmusili dysydentów do ich naśladowania. Ci podpisywali się od r. 1648, dodając: „nie tykając pokoju dysydentom zabezpieczonego.“ Królowie też w paktach powtarzali wyrazy, które z tego powodu użyte zostały przez Władysława IV, aż do Augusta II, który dodać musiał: „nie tykając praw Kościoła rzymskiego i z utwierdzeniem praw prowincyj Mazowsza i Inflant.“

To przypomnienie praw Mazowsza ściąga się do rozporządzenia, które w r. 1525, gdy jeszcze prowincya ta własnych książąt miała, wydane było przeciw luteranom i zakazywało wszelkiego publicznego nabożeństwa. W r. 1668 prawo to dla Mazowsza potwierdzono, ale z ograniczeniem, iż szlachcie, dysydentom, którzy w sprawach Rzeczypospolitej i prawnych interesach, albo dla innych przyczyn do Warszawy przybywali, lub przy dworze mieszkali, dozwolonem być miało w ich mieszkaniach, bez tłumnych zgromadzeń, bez kazań i śpiewów, pana Boga wedle swojego obyczaju chwalić, — mieszczanom zaś, nawet pod opieką królewską zostającym, wzbronionem to było. Powtórzyły to konfederacye z r. 1664 i 1696, i warszawski traktat z r. 1716.

Dysydenci wprzódzy byli katolikom równymi tak, iż senatorami i posłami być mogli i wszelkie dostojęstwa sprawowali. Uchwała konfederacyi 1733 r., która im pokój, bezpieczeństwo własności i równość, wedle postanowień uchwał poprzedzających, mianowicie

konstytucyi 1716 r., zapewniła, odjęła im wszakże możność być wybieranymi na posłów, na członków trybunałów, sądów i komisyj, uczyniła ich niezdolnymi do urzędów wojewódzkich, ziemskich i wojskowych. Nim to postanowienie zapadło, wzbroniono przystępu posłom dysydentom do izby poselskiej, ażeby przeciwko niemu nie protestowali. Postanowiono także, iż za krzywoprzysięzców uważani być mieli ci dysydenci, którzy by się do obcych mocarstw uciekali dla przywrócenia dawnych praw i pomocy ich żądali. A że wielu urzędów ziemskich i grodzkich naówczas sprawiali dysydenci, zostawiono ich przy nich, z tem, ażeby na przyszłość tylko katolikom rozdane były. Konstytucya r. 1736 potwierdziła tę uchwałę konfederacyi.

Dysydenci utratę swych praw zawdzięczali zarówno niechęci katolików jak i własnemu rozerwaniu i brakowi jedności. Zamiast zgodnie opierać się naciskowi, osłabiali się nietolerancją zjadliwą, a katolicy korzystali z zasady, *divide et impera*, z najlepszym skutkiem. Rozdzielili greków, część ich zjednoczywszy z sobą, biskupi niektórzy przystąpili do unii, drudzy działali przeciw niej. Zupełne stąd wyrodziło się rozerwanie. Jedna ich część przybrała nazwę *unitów*, druga *nieunitów*, greków; pierwsi uznali zwierzchność papieża, drudzy patriarchy konstantynopolitańskiego. Spierano się o zasady, o dogmaty i o posiadanie dóbr duchownych. Do wszystkich konfederacyj i sejmów wchodziły zażalenia w tym przedmiocie; nie postanowiono jednak nic jasnego i stanowczego; zgody więc między grekami nie było. A że schyzmatycy greccy w znaczeniu dysydentów do nich zaliczeni byli, uchwa-

łami lat 1732 i 1736, zastosowano do nich też same prawa, co do luteranów i kalwinistów.

Ci też między sobą w zgodzie nie żyli, i zarówno jak i katolicy prześladowali arianów. Posunęli nietolerancję tak daleko, iż wspólnie z katolikami uchwałę przeciwko arianom postanowili. Nie przeczuwali tego, iż z kolei tamtych los i ich samych miał dotknąć.

Aryanie sądzili, iż ogólne prawo, pokój dysyden-
tom zapewniające, i do nich się stosowało, ale ani katolicy, ani greccy, ani luteranie i kalwiniści dopuścić ich do siebie nie chcieli.

Już za Władysława IV doszło do tego, iż ich od urzędów, rad i posiadania dóbr odsądzono. Gdy po jego śmierci na sejmie konwokacyjnym o pokoju z dysydentami wniesiono materję, katolicy oznajmili, częścią ustnie lub piśmiennie w grodzie warszawskim, iż do dysydentów liczyć się mieli tylko ci, którzy w Boga w Trójcy Św. jedyne go wierzyli, zatem aryanie wykluczeni zostali. W r. 1648 zaprzeczono arianinowi, posłowi konfederacyi, uchwałę podpisać; w r. 1658 król do ucałowania ręki arianina, posła, przypuścić nie chciał, a izba poselska uchwaliła, by posłów wyznania tego, do środka swego nie dopuszczać. Za tem poszło prawo, podciągające arianów pod edykt Władysława Jagielly, mocą którego głową karani być mieli i oni i ich zwolennicy; spełnienie tylko dekrety tego do lat trzech odroczone, dając im czas do nawrócenia lub uporządkowania spraw swych i wywędrowania z kraju. Zarazem pod karą śmierci wzbroniono im, wedle ich obrzędów, służbę Bożą odprawiać i do spraw publicznych się mieszać.

Termin trzyletni wpręde do lat dwóch skrócono,

i aryanie musieli opuścić ojczyznę i udać się do obcych krajów. Sądom polecono było ociągających się chwycić, i wedle prawa karać. Rozkaz ten w r. 1662 obostrzono jeszcze o tyle, iż ci, co katolickie wyznanie przyjęli, ale żony mieli aryanki i dzieci w błędnej nauce wychowali, lub z nauczycielami aryанизmu w stosunkach pozostali, równą z żonami karę ponosić mieli. Nakoniec w r. 1670 polecono starostom, bez wszelkiego odwoływania się, dekrety, przeciwko arianom, nawet ułaskawionym, dopełniać. W ten sposób arianie przy pomocy samych dysydentów wygnani zostali, ale w kilka lat przyszły wspomniane prawa, które dysydentów w części nawet obywatelstwa pozbawiały. Zresztą w r. 1668 do arianów zaliczono tych, którzyby od Kościoła katolickiego i grecko-unickiego odpadli, i ustanowiono na nich karę banieyi. Przyłączono do nich kwakerów, anabaptystów i mennonitów.

Prawa te, przeciwko dysydentom wymierzone, w całej sile trwały aż do usunięcia konstytueyi z r. 1768. Wprawdzie protestowali oni ciągle przeciwko nim, ale ich przedstawienia, jako słabszych, siły żadnej nie miały. Odwołali się wprawdzie do mocarstw, które, pokojem w Oliwie zawartym, w r. 1660, zapewniły im zachowanie praw dawnych, ale na to odpowiedziano wyżej wspomnianą uchwałą, ogłaszającą za zdrajców tych, coby do obcych państw o pomoc się udali. Polityczne obawy przyłączyły się do kościelnej nietolerancyi i zazdrości współobywateli, co siłę ich zdwoiło. Król terazniejszy, wstępując na tron, w tem usposobieniu znalazł umysły i zmuszonym był, w swych paktach wszystkie prawa przeciw dysydentom uchwaone przyjąć i przysiąc. Gwarantujące oliwski traktat,

mocarstwa (Rosya, Prusy, Anglja i Danja) uczyniły były przedstawienia na korzyść dysydentów na sejmie r. 1766, ale ten ich nie przyjął i prawa większością głosów zatwierdził. Biskupom polecił sejm, niektóre punkty na korzyść dysydentów ułożyć; gwaranci wszakże wspomnianego pokoju, szczególnie Rosya i Prusy, nie kontentując się tem, żądały zupełnego usunięcia wszystkich uchwał przeciwko dysyden-
tom zapadłych.

Gdy Rosya protestowała przeciwko uchwale sejmowej, w wielu miejscach się dysydenckie konfederacye zawiązały, do których wojska rosyjskie a nawet malkontenci katolicy się gdzieniegdzie przyłączyli, naostatek wszystko to w wielką konfederacyę Toruńską się złąło. Zażalenia jej i wymagania nie ograniczały się religijnymi kwestyami, dotykały politycznych... Wystąpiły inne też konfederacye przez szlachtę katolicką pozawiazywane, przyrzekając, dla przeprowadzenia swych planów politycznych, dysyden-
tom tolerancyę, a połączwszy się pod imieniem malkontentów w jedną pod naczelnictwem ks. Radziwiłła, wzmocnieni dysyden-
tami, naprzód w układy z nimi weszli, potem w zupełny związek.

Aby wojnie domowej zapobiedz, zwołał król sejm nadzwyczajny do Warszawy, który stronnictwa przeciwnie miał połączyć, ale ten pozostał bezowocny dopóki Rosya najgorętszych mówców, biskupa krakowskiego i jego stronników nie pochwyciła i nie wywiozła. Naówczas sejm wyznaczył komisję, która sprawę dysydentów rozpatrzywszy, w sensie im przychylnym, wszystkie prawa przeciw nim ferowane zniosła i przywileje na nowo wróciła. Sejm nad-

zwyczajny uchwałę komisji zmienił w prawo; ale że to nie z dobrej woli czynił, łatwo się rozumie.

Prawo to znane pod imieniem konstytucji z r. 1768, zawierało w sobie nie tylko przepisy, dotyczące się dysydentów, ale różne polityczne uchwały, które Rosya i Prusy sądziły za potrzebne dla siebie do ubezpieczenia swych granic, a które polacy za napaść na niepodległość swą i zamiar zupełnego zniesienia praw Rzplitej uznali. Po krótkim uspokojeniu, niektórzy magnaci zawiązali konfederację, która imię barskiej przyjęła i do roku 1772 się utrzymywała. Miała ona przeciwko sobie partję dworską i wojska rosyjskie, ale była przez Turcyę, Austryę i Francję podpierana; przez dwie ostatnie wszakże słabo, gdyż z Rosyą i Prusami zrywać nie chciały. Niepokoje, spustoszenia, okrucieństwa, które w tym czasie kraj dotknęły w świeżej są jeszcze pamięci. Przypisać je należy, raczej politycznemu niż religijnemu fanatyzmowi, i baczyć na to, że przewódcy tego ruchu, którzy politycznymi planami byli zajęci, religijnymi uczuciami ludu i żołnierzy posługiwali się tylko, aby przeciwko swym nieprzyjaciołom niechęć rozżarzyć.

Konstytucya r. 1768 przywróciła prawa dawne dysydem, mogli oni znowu być senatorami, posłami, starostami, (ale nie sądowemi). Tych praw zażywają oni dotąd, lecz czy uznanie ich nastąpiło chętnie i szczerze, wnosić można z tego, że dysydenci przeciwko konstytucji nowej byli; — albowiem rewolucyjny sejm religję katolicką uznał za jedyną panującą i dającą prawa obywatelstwa, a nowa uchwała tyle tylko wspomniała o dysydentach, iż wszystkim wiarom i wyznaniom tolerancję i swobodę zapewniła.

Dysydenci dotąd są od katolików widziani niechętnie, cierpiąc od nich pogardę; gdyż zamiast żyć między sobą zgodnie i spokojnie, co jest zasadą wszelkiego społeczeństwa prześladowanego, wszelkie możliwe rosterki, podziały, spory w swem łonie dopuścili. Od r. 1768, gdy znowu polityczny byt odzyskali, gminy przeciwko gminom, a w nich szlachta przeciw mieszczanom, starszyzna szlachecka przeciw nieszlachcie, w nieustannym trwają boju. Zasady politycznej organizacyi, które arystokrację uznają, przez dysydencką szlachtę zostały do Kościoła zastosowane; starano się [kościelną też arystokrację ugruntować. Siły prawodawcze i administracyjne kościelnego zarządu skupiły się, i zaprzeczyły mieszczańskim członkom gmin wszelkiego w tych sprawach głosu. Spory, które stąd powyrastały, nie załatwiano dobrowolnie, ale je wnoszono przed sejmy i przed sądy przeciwników, a wyroki ich nowemi były źródłami rozstroju. Dotąd jeszcze wewnętrzne stosunki dysydenckie kościelne, nie zostały wyjaśnione i uporządkowane, a że się od lat kilku na zewnątrz nie objawiały niechęci i spory, należy to przypisać tylko politycznemu Polski położeniu. *)

*) Autor odwołuje się tu do wiadomości, umieszczonej o dysydentach przez Büshinga w magazynie historycznym T. 21 634 *Resume de l'affaire des Dissidents*. Rzecz ta ma być pióra tajnego radcy poselstwa, Sartoriusza von Schwanenfeld w Warszawie, o którym wspomina z wielkiem uznaniem.

VIII.

Przeglądając raz jeszcze moje uwagi i spostrzeżenia o Polsce i jej mieszkańcach, znajduję, iż one, chociaż rysy przesadzonemi nie są, pełny obraz politycznego i moralnego nieładu kraju dać mogą.

Źródła anarchii dla uważnego czytelnika tajemnicą już nie są. Wie się także, że ich zatamować już nie podobna od czasu jak Polska, dla ustalenia wewnętrznego pokoju, na pomoc obcych przyjaciół wezwała, ci bowiem są tem — czem polityczni przyjaciele zawsze być zwykli. Wpadła Polska cała, z mieniem i swobodą w opiekę troskliwą, a z tej już do pełnoletności nigdy nie dojdzie, bo jej zawsze zarzucać będą czyny lub wyrazy nierozważne. Polityczną zmianę w rządzie Polski zaprowadzić, jest najcięższem zadaniem, jakie polityka kiedykolwiek mieć mogła. Do tego by potrzeba, nietylko kraj, który się Polską nazywa, i ludzi co się zwą Polakami, całkiem odmienić i poprawić, ale jeszcze trzy najpotężniejsze w Europie mocarstwa z geograficznego ich położenia, sił i form rządu; a interesów politycznych, całkiem wyznąć. Ktoby pierwszą część tego zadania przedsięwziąć chciał

rozwiązać, nie myśląc o drugiej, dowiodłby wiele potęgi imaginacyi i ducha przedsiębiorczego, ale mało doświadczenia i pojęcia położenia.

Charakterem konstytucyi polskiej jest nieład, a następstwem słabość być musi. A że pograniczne mocarstwa tą słabością Polski są silne, muszą pilnować jej utrwalenia; każdy krok do porządków wiodący daje Polsce siłę; bezpieczeństwo sąsiadów wymaga, aby mu się przeciwili. Wedle tej zasady postępowano z Polską od wieków; z tego powodu zmiana i reforma wszelka była niemożliwą, wszelkie pokuszenie się o nie, uznawano za niebezpieczne.

Niespodziewaną też była wiadomość, którą wyczytano w rozprawach i projektach sejmu; w d. 7 Października 1788 na konfederacyjny zmienionego, o zniesienia *Liberum veto*. Postrzeżono na czem opierali się główni motorowie stronnictwa, które reformy konstytucyi pragnęło i przeprowadzić ją chciało. Rosya była w ciężką wojnę z Turcyą uwikłana; Austria jako sprzymierzona w tejże wojnie udział brała. Prusy związkiem tych dwóch mocarstw i szybkimi ich postępami zaniepokojone, szukały przyjaciół, w których by przeciwagę znaleźć mogły. Po traktacie w Loo, który Prusy z Anglią i Hollandyą (d. 13 Czerweca 1788) zawarły, zwrócono się o podobny do Polski i przeprowadzono go.

Wodzowie stronnictwa, które reformę zamierzało, trzech swych sąsiadów widzieli wojną zajętych, a czwarty połączył się z nimi traktatem. Przyrzekł on im, nietylko w pracach prawodawczych nie przeszkadzać, ale nawet, gdyby tego zasza potrzeba, bronić ich, przemawiając za nimi, a w ostateczności

nawet posiłkiem zbrojnym. Można się więc było ze wszech stron widzieć bezpiecznym.

To ubezpieczenie się, chłodnym politykom mogło wydawać się dziwnem i dowiodło, że naczelnicy polskiej rewolucyi, z charakterem narodowym zgodnie, więcej gorącej wyobraźni, niż rozwagi i ostrożności mieli, że się zewnątrzniemi pozory korzystnego położenia zaślepić dali, nie poszukując głębiej podstaw na których je opierali. Nie widzieli, że Prusy dla tego tylko na teraz do Polski się zbliżały, że jej potrzebowały: przypisywali temu mocarstwu nierozwagę, sądząc, że ono dla słabego i wyrabiającego się dopiero sprzymierzeńca, zerwie z potężnym i strasznym sąsiadem. Sądzieli zapewnienia przyjaźni pruskiej wedle zasad moralności szkolnego katechizmu, nie wedle polityki i zaczęli dopiero się namyślać, gdy o Toruniu i Gdańsku, jako o nagrodzie za ofiary mówić poczęto, które Prusy dla Polski ponieść miały; odmówili spełnienia tych żądań, okazując jawnie, że ofiary przyjąć byli gotowi, ale płacić za nie nie myśleli, a egoizm ten Prusy skłonił do tem ostrożniejszego postępowania z Rosyą, za którą była znaczna część narodu, przekładająca przymierze z nią niż z Prusami, i działająca przeciwko niemu, aby je rozerwać. Nakoniec sądzili-reformatorowie, iż stosunki drażliwe, między Rosyą i Prusami za wsze trwać będą, rachując na interwencyę Szwedką, a nie zapatrując się na wewnętrzne prądy, milczenie Austrii tłumaczyli sobie na swą stronę, jednym słowem widzieli to tylko co widzieć chcieli, a nie zważali, czy rzeczy są możliwe i do urzeczywistnienia podobne. Miasto ograniczenia się zachowaniem tego co mieli pragnęli rosnać, zamiast polityki słabego, która niczem

nie gardzi i postępuje powoli, chwycili się polityki mocarstwa niezależnego, łącząc się z jednym przeciwko drugiemu, który jawnie był silniejszym, choć na tę chwilę siły swej okazać nie mógł i w niewytłumaczonym zaślepieniu zapomnieli nawet o politycznej oklepanej prawdzie, że słaby, który w sporze silniejszych czynnie występuje, niechybnie, po ich przejednaniu, paść musi ofiarą.

Falszywe te rachuby, niepolityczne obroty, już wówczas dalej widzącym ludziom przyszłość niechybną, przewidywać dozwalały. Znajomość politycznego ustroju państwa i nadwzrężonego charakteru narodowego potwierdzała przypuszczenia; trudno się było dać złudzić okrzykami zwycięstwa stronnictwa nowego filozoficznego, które więcej miało poezyi niż rozsądku— i zapomnieć o tem, co historia wszech czasów i państw uczyła. Zadaniem nie było dla polityka czy życzy Polsce szczęśliwszego politycznego położenia, ale czy kraj ten na drodze jaką obrał, lub na jakiej bądź innej mógł je osiągnąć, tak długo jak polityczne sieci, które osnuwały go i charakter moralny, z jakiego czynności płynęły, pozostawały też same. Każdy polityk musiał o tem wątpić, a skutki powątpiewanie usprawiedliwiły.

Zwykle królowi przypisują pierwszą myśl tych reform, ale w istocie warunkowo tylko przyznana mu być może. Następujące fakty, które krótki rys życia jego jako człowieka i króla przedstawiają najlepiej to dowiodą.

Hrabia Stanisław Poniatowski, teraz Stanisław August, król polski, urodził się d. 17 Stycznia w r. 1732 na Litwie w Wołeczynie; w r. 1764 d. 7 Września

został wybrany królem, a d. 15 Listopada tegoż roku koronowany.

Młodość jego była świetnie spędzoną. Pięknością postaci i darami umysłu odznaczał się wśród pięciorga rodzeństwa; miłość nauki i zamiłowanie sztuk pięknych wyróżniały go w latach młodości od reszty młodzieży polskiej; dojrzały rozsądek, wymowa, najpiękniejsze wykształcenie towarzyskie, obojętność na miłe i pozyskujące serca, umiejętne panowanie nad miłością własną i ambicyą, wzniosły go w późniejszych latach po nad jego rówieśników.

Żaden młody polak lepiej nad Stanisława ze swych podróży nie korzystał. Szczególna chęć podobania się i odznaczenia tak powierzchownością jak i przymiotami, która po dziś dzień jest jeszcze głównym rysem jego charakteru, skłaniała go do pilnego rozważania wszystkiego, co gdzie odznaczającym się znajdowało, aby to sobie przyswoić. Tak Francya stała się dlań szkołą sztuki jak najkorzystniejszego przedstawienia się z powierzchownością, którą podnosiły wyborne maniery, łatwość ruchów i smak w ubraniu; — szkołą wesołej filozofii i moralności dla ducha; nareszcie ona mu nadała ten charakter człowieka dobrego tonu, który wówczas odznaczał szlachtę francuską. Wyuczył się języka tego kraju jak rodzimego, pisał nim i mówił doskonale, i do dziś dnia pozostał on w towarzyskiem życiu, w stosunkach czułych, w przyjacielskiej korespondencyi, jego ulubionym językiem. Tak samo wśród anglików umiał być całkiem anglikiem; językiem ich mówił też i pisał dokładnie i pięknie; dotąd jeszcze prowadzi w nim rozmowy i może pisać. Pobyt jego w Anglii dał mu się zbliżyć do najsłynniejszych i naj-

uczeńszych ludzi tego czasu, studjować ich pisarzy klasycznych, szczególnie historyków, polityków, filozofów i poetów. Ojrocz tego zwiedził tam najznakomitszych artystów, rękodzielnie i fabryki.

Tak we wszystkich krajach, które zwiedzał, wyszukując co najuczeńsze i najbardziej pouczające, co najslawniejsze i najpiękniejsze we wszystkich stanach, w każdym rodzaju, w płciach obu — wybierał coby sobie mógł przyswoić i wcielić. Niezwykłe fizyczne i moralne przymioty, wykształcenie, wszędzie mu pozyskały miłość, przyjaźń i uznanie. Fryderyk szacował go wysoce, niemniej Katarzyna. Wrócił z zagranicy jako najulubieńszy jedynak licznej swej i świetnej rodziny, jako pieszczonek kobiet, mąż, którym kraj mógł być dumnym — i najwykształceńszy z Polaków.

W Polsce cała młodzież usiłowała go naśladować. Jego chód, sposób mówienia, najmniejsze ruchy, upodobania, nawet ubranie jego, aż do fryzury i włosów młodzież wyższego towarzystwa jak najstaranniej naśladować się starała. Narodowy strój polski zrzucił; do dzikich nieco zabaw, zwykłych ziomkom swym, do myśliwstwa i napoju najmniejszej nie miał skłonności; jak największy wstręt okazywał do ohejścia się nieokrzesanego; z kobietami postępował nadzwyczaj delikatnie i pełen był czci i poszanowania dla nich, jakich one dotąd nie doświadczały, a mile je przyjmować musiały; względem swej służby i podwładnych znajdował się z dobrocią i laskawością. Polityczne jego przekonania dla większej części ziomków były wprawdzie zupełnie nowe, ale nie obudzały niechęci przeciw niemu, gdyż ogłaszać je umiał ostrożnie, w tonie

raczej doradczym niż nakazującym, a w pierwszych tych czasach żadnej, zawiść mogącej obudzać roli w kraju nie odegrywał.

Przybywszy z zagranicy z wielkim zasobem nowych wiadomości i pojęć, uzbieranych w podróży, które w ojczyźnie trudno było spożytkować i rozwinać, naturalnie starać się musiał otoczyć kółkiem, któreby go rozumiało i dostarczyło pokarmu potrzebnego. Należało już szczególniej lubił towarzystwo cudzoziemców. Francuzi, Anglii i Włosi, czemkolwiek odznaczający się, i talentami, wykształceniem przypominający swych ziomków, najmilej byli przezeń przyjmowani; z pośrodku nich dobierał sobie przyjaciół, towarzyszy i sługi.

Upodobania jego, obyczaje, zasady — sposób obejścia z ludźmi, biblioteka i kuchnia — wszystko u niego tchnęło zagranicą, z zastosowaniem wszakże do własnych, do politycznych stosunków i zasad, obyczajów a przesądów starszych ludzi narodu swego, których rozsądnie oszczędzał, nie chcąc stać się podejrzanym jako pożądlivy zmiany, ani pogardzonym jako przeciwnik narodowych tradycyj. Udało mu się też nie tylko pozyskać młodzież, która go naśladowała, ale poszanowanie starszych, przez obejście się z nimi pochlebne dla nich, zmienione w sympatyę... Ta żądza pozyskania sobie miłości i zaufania wszystkich stronniectw, o której pochodzeniu wspomniałem, była jego najgłówniejszym celem i przyznać trzeba, że, jako człowiek prywatny, tysiączne z niej umiał wyciągnąć korzyści, ale, jako król, pomnożył ją niebezpieczeństwem, na jakie był narażony, nieprzyjaciół, rozerwanie kraju i powszechną obudził nieufność.

Wogóle. sądzę, że ta chęć przypodobania się wszystkim, może być dla prywatnego człowieka dobrą rachubą, ale panujący nie może niczemu pobłażać, nie łagodzić i nie może nic dawać na ofiarę z przekonań swoich. Dla niego celem być musi dobro ogólne, a droga tylko ku niemu prowadzić powinna. Kto staje na zawadzie, musi mu być nieprzyjacielem, choćby był najczcigodniejszym z ludzi; należy go skarcić i usunąć; nie trzeba mu schlebiać, ani go prosić, ani mu przyrzekać, bo to dodaje siły do nowych wymagań i upór jeszcze powiększa; nie trzeba dlań ani na krok schodzić z drogi — słabość jest nieprzebaczoną. Cierpią na niej ci, dla których panujący pracuje; nie trzeba przeciwników kupować, gdyż zapłata jest czystą stratą i uznaniem mileżącym praw wymagania jej, a zatem zaparciem się własnych przekonań. Gdy panujący kupuje nawet z własnej szkatuły przeciwników a naród na tem nie cierpi, zachęca to innych śmiałości do podobnych żądań. Panujący, gdy raz obmyślił swe postępowanie, musi, dając czy biorąc, nie obawiać się żadnego nieprzyjaciela, od przyjaciół nie wymagać podziękii; bo spełnia powinność. Niechęć obywateli niezadowolnionych spada na prawo, wdzięczność uszczęśliwionych prawu należy, bo ono rozstrzyga tylko.

Jeśli to nie obroni od nieprzyjaciół, jeżeli go pokonają, winien umieć umrzeć, lub miejsca, które mu ich ściągnęło, wyrzec się, aby, jako prywatny człowiek, wolny od prześladowania, żyć dalej swobodnie i bez troski.

Urodzeniem i osobistemi przymiotami Stanisław miał dla siebie drogi do najwyższych w kraju dosto-

jeństw otwarte, a że, czegokolwiek by pragnął, mógł osiągnąć, ręczył mu wpływ, jaki rodzina jego w Polsce posiadała. Jego wuj, w. kanclerz litewski, ks. Czartoryski, spokrewniony z najpierwszemi domami w Polsce, mąż charakteru silnego, przedsiębiorczego, zręczności wielkiej i głębokiej znajomości swego narodu, był też niepospolitej nauki i niezmiernie pracowitym człowiekiem. Weisnął się on i stanął na czele rządu Rzptej; przymiotami swemi, bogactwy, wpływami, które one mu dawały, był duszą spraw publicznych. Stosunki, które umiał z Rosyą zawiązać, wzmocniły jego położenie w kraju, które dyktaturą niemal nazwać było można, Siostrzan trzymał się go i był przezeń wielce cenionym. Nie dziwnego, iż wprędce otrzymał jedno z wyższych w kraju dostojnictw, stolnikostwo litewskie. Urząd ten zajmował krótko, i ze stolnika został na tron podniesiony.

Wyżej opisaliśmy, w jakich okolicznościach, przy jakich pomocach, dwie trzecie części narodu największe w nim pokładało zaufanie, oczekiwało od niego spełnienia życzeń najgorętszych. Zdawał się im jedynym, który mógł Polskę odrodzić na nowo, i byłby w istocie jedynym, eoby to dzieło spełnić potrafił, gdyby ono politycznie możliwem było. Kilka rysów jego ówczesnego położenia dowiodą, iż przymiotów i sił ku temu chyba nadludzkich użyć by było potrzeba.

Głównie pomoc Rosyi ze współdziałaniem Prus, wzniosły na tron Stanisława. Któż znający zasady polityki zwyczajne myśleć może i wymagać, by ta pomoc i współdziałanie celu nie miały? Osoba jego politycznym obrachunkom obu mocarstw najlepiej odpowiadała, dla tego nad innych kandydatów go przenie-

siono. Oba mocarstwa, powierzchownie związane z sobą w istocie zazdrośne o się, wzajemnie wymagały wdzięczności, to jest nietylko zgody na swe plany, ale czynnej pomocy do ich urzeczywistnienia.

Oba te państwa pragnęły tego, cośmy wyżej nazwali opiekunstwem, straży nad narodem, który, jak się dowcipnie jeden pisarz polski wyraził, dziecięciem jest z mieczem obosiecznym w ręku, wolnością zwanym, którym ranić siebie i drugich kaleczyć może. Znając wzajemną zazdrość dwóch mocarstw, musiał Stanisław baczenie pilnować, aby jednemu z nich więcej nie okazać przywiązania niż współzawodnikowi. Było to niemożliwem, i jasno wpada w oczy, że z obu państw musiał zrobić sobie nieprzyjaciół, pragnąc oba zadowolnić równo; że wreszcie one, odłożywszy na stronę zazdrość, przeciw królowi i krajowi się zwiążą, i nagrodę, której od niego żądały, same sobie odbiorą. To cierniste położenie, w którym się król nazewnątrz znajdował, zwiększały jeszcze do najwyższego stopnia wymagania wdzięczności i posłuszeństwa familji Czartoryskich, żądania tej części narodu, która go królem wybrała; opozycya tych, co mu korony dać nie chcieli, i z powodu obecności wojsk rosyjskich, wybór jego za przymuszony, a nie swobodny głosili.

Kancelarz Czartoryski, który, po wstąpieniu na tron Stanisława, stał jeszcze na czele spraw Rzptej i wpływ swój mocno ugruntował; chciał koniecznie, aby nowy król to tylko czynił, co on uzna za dobre.

Wykręty ze strony jego przyjmował ostro i dumnie; projekty popierał tylko o tyle, o ile się one z jego planami zgadzały; a przecież król musiał go oszczę-

dzać, bo Rosya nieograniczone miała zaufanie w jego życzliwości dla siebie i talentach.

Wymagania tej części narodu, która Stanisławowi głosy swe dała, były zamiarom Rosyi, Prus, Czartoryskiego i jego własnym zupełnie przeciwne. Naród chciał przywrócenia praw swych i powagi w całej rozciągłości; żądał utrzymania niezawisłości swej; nalegał namiętnie o oddalenie wojsk rosyjskich, których Rosya dla przeprowadzenia planów swych i Czartoryscy dla zachowania swego wpływu, król dla ocalenia korony od przeciwników, koniecznie potrzebowali. Naród upierał się, aby i nadal dysydenci od wszystkich urzędów byli odsunięci; król sercem i rozumem cierpiał nad tem, że nie mógł podnieść tej części ludności swego kraju, którą Rosya, Prusy, Anglja i Danja popierała, naród opierał się wszelkim zmianom w konstytucyi, a mimo to wymagał skarbu, armji, sądownictwa, które położenie jego polepszyć miały; pojedynczy ludzie domagali się rzeczy, które tylko kosztem ogółu otrzymać mogli; jednym słowem chciano ze zwykłym egoizmem i żądano, by król, ministrowie jego, sprzymierzeńcy i ich wojsko służyli, nie dając im wolnej woli, swobodnego rozporządzenia sobą, nie dopuszczając, by plany osnuwali, i w kraju utrzymanie a wynagrodzenie trudów mieć mogli.

Malkontenci, których liczba była znaczną, składający się z najmoźniejszych i najpotężniejszych w królestwie, wedle tych samych zasad postępowali. Nienawidzili Czartoryskich i króla przez zazdrość, chociaż udawali, iż to czynili przez miłość dla ojczyzny, z powodu, iż oni obce wojska do kraju wprowadzili, i wolność polską nietylko w czasie elekcji króla uciskali,

ale ją chcieli przykrócić, aby plany reform doprowadzić do skutku. Wołą ich było Czartoryskich obalić, króla złożyć, ministra rosyjskiego z Warszawy a wojska z Polski wygnać.

Wystawić więc sobie potrzeba króla we wszystkie te więzy oplątanego, a mającego też i własną wolę i plany; widzącego jasno, że król z tak ograniczoną władzą, z jaką go naród mieć chciał, nie dla dobra ogółu uczynić nie mógł; króla, którego ambicyą bardzo słuszną było, spełnić nadzieje, obudzone w całej Europie jego zdolnościami; króla, który do celu inaczej jak przez rozumne i dobroczynne zmiany dojść nie mógł, a kroku uczynić nie był w stanie, bez zezwolenia wszechmocnego wuja, stojącego u steru państwa i usiłującego się przy nim utrzymać; — bez zgody ministra przyjaznego mocarstwa, które tego wuja silnie podtrzymywało, i jego samego na tronie utrzymywało, ale go jako króla nie chciało widzieć samoistnym i silnym. Wystawić sobie należy położenie króla, gdyby sam, własne chciał przedsiębrać plany, i bezwzględnie je przeprowadzać, nie oglądając się na nic oprócz na prawdziwe, ogólne dobro kraju. Naówczas nie miałby w Polsce ani za granicą żywej duszy, co by mu do tego dopomogła, stałby był osamotniony, bez poddanych, bez sprzymierzeńców, bez kraju.

Zdając sobie sprawę z tego położenia, jeśli złożył korony nie myślał, musiał wiedzieć, iż go to czeka co spotkało wszystkich jego poprzedników, nawet najenergiczniejszych: Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Jana Kazimierza, Jana Sobieskiego; musiał się przygotować na to, że od pierwszego roku panowania do ostatniego będzie ofiarą despotyzmu *wolnego* naro-

du, chciwości i napaści magnatów, zazdrości potężnych mocarstw sąsiednich. Jeśli z większością narodu stawał przeciwko mniejszości, stawał się dla niej samowolnym uzurpatorem; jeśli trzymał z tamtymi wystawiano go jako zdrajcę Rzeczypospolitej i odstępcę. Jeśli mu się udało połączyć obie części, stanął na ich czele i z ofiarą samego siebie, dla ogółu dobroczynne instytucye dźwigać; obudzał niechęć sąsiadów i ściągał na siebie wojnę. Wojna ciążyła narodowi, który pragnął korzystać nie chcąc czynić ofiar, i łączył się w części z sąsiadami, pod ich opieką zawiązywał konfederacye i przez nie władzę całą sobie przywłaszczał, a królowi resztę jej odejmował. Jeśli król zwracał się do sąsiadów, stawał się dla narodu zdrajcą, a osoba jego i życie zagrożone były przez morderców, choć żołnierze obcy od otwartej bronili go wojny.

Gdy znowu chciał się być zbliżyć więcej do jednego z sąsiadów, a dwóch drugich zaniedbać, ei dwaj sprzymierzali się z trzecim na niego, a na kraj spadał ciężar wojny, lub jeśli pogodzili — ciężar pokoju. Tak musiał król w niepewności ciąglej kołysać się między wewnętrzną wojną, między zachciankami pojedynczych ludzi i całego narodu, wśród pragnień wolności poddanych a niechęci sąsiadów, między królestwem a niewolą, a w tym chaotycznym nieładzie on i jego kraj powolnie szarpany nie miał nawet tej pociechy, że to go spotkało bez własnej winy.

Rysy te są w krótkości opowiedzianą historią całego panowania Stanisława. Nie miejsce tu, (ani nam rozciągłość obrazu dozwala), przedstawiać wypadki, których ono było następstwem. Proszę czytelnika, aby

sobie sam je ze źródeł do dziejów polskich od r.1766 do 1773 wyciągnął i porównał z memi wnioskami.

Podział Polski w wyżej wymienionym roku był przesileniem gwałtownej choroby, która krajem od wstąpienia na tron króla Stanisława miotala. Zupełna bezsilność, jaka nastąpiła potem, spowodowała spokój, ale nie zaspokoila; całkowita utrata wszelkiego czynnego wpływu na sprawy krajowe związała królowi ręce i od wszelkich reform i ulepszeń wstrzymała. Z wypadków tych wyciągnął on zasadę, ażeby się od-tąd trzymać silniejszego, dla uratowania resztek królewskiej władzy i resztek kraju pozostałego dla narodu.

Rodzaj spokoju, którego przez czas pewien, przynajmniej na zewnątrz, używał, jako człowiek spożytkował dla własnego zaspokojenia, jako król, do przedsięwzięcia tych prac, które mu dozwolonemi były. Powiększył zamek, ozdobił go i wzbogacił dziełami sztuki. Pokoje i sale, z których się składa mieszkanie króla, urządzone zostały wedle jego planów i rysunków na nowo. Wielki salon dla przyjęcia gości, sala na książki, zbiory monet i dzieł sztuki, są w swym rodzaju arcydziełami. Noszą one piętno prostoty, przechodzącej gdzie należy w pełną smaku wspaniałość, nigdzie nie rażącą oczów, zawsze je przyjemnie pociągając. Małe pokoje i gabinety, w których mieszka, obite są prostemi materyałami, sprzętem smakownym ubrane i zajmują tę stronę zamku, która pięknym widokiem na Wisłę się odznacza. Całość jest pełna smaku, bez pretensyi a poważna, niewiele mieszkań królewskich i książęcych z tak miłym wrażeniem ogląda się i przebiega. Po nad łóżkiem króla

wisi zachwycająca Magdalena, kopja z oryginału Battoniego.

Król Stanisław, gdym go po raz pierwszy zobaczył, miał rok sześćdziesiąty pierwszy; ale po nim tego poznać nie było można. Wprawdzie cera jego nie ma już świeżości męskiego wieku, kolor jej w żółtawy wpada a włosy siwieją; ale skóra nie pomarszczona, twarz pełna, oko żywe i pełne ognia, a zarazem łagodności i dobroci. Siła i bohaterstwo nie są cechami jego osobistości i ukształcenia, ale tem mocniej odznacza się polor, dowcip i wdzięk, których jest pelen. Ust wyrazistych widzieć trudno. Głos jego bardzo czysty, łagodny i w rozmowie giętki, traci gdy z wysileniem publicznie użyć go musi.

Postawa króla jest średniego męskiego wzrostu bardzo kształtna okazuje nieco skłonności do utycia. Noga i stopa nadzwyczaj foremne i piękne. Męskiej ręki delikatniejszej i piękniejszych form nie widziałem. Trzyma się jeszcze po młodzieńczemu prosto, nie postzegłem w nim nigdy żadnej niezgrabności w chodzie i trzymaniu się, które często u innych trafiają się panujących, bo im niewolniczo ulegli dworacy i mistrze dworu nigdy nie śmieją uczynić uwagi, że z obowiązków królewskich wypływa, dla obudzenia poszanowania nie okazywać się śmiesznymi.

Stanisław od najmłodszych lat nosi się po francuzku. Na sejmie konwokacyjnym w r. 1764 przeciwnicy jego skorzystali z tej okoliczności i wnieśli pytanie, jak miał się nosić król przyszły? — Z wielkim naciskiem domagano się narodowego stroju, i całe jedno posiedzenie dosyć wrzawliwe, roztrząsaniem tego zadania zajęto. Prymas, *interrex*, stracił nareszcie cier-

pliwość i zawołał, że sejm się przed całą Europą śmiesznością okryje, rozbierając dłużej to pytanie. Weale nie! przerwał poseł z Podola. Niech mi wolno będzie okazać wielkie korzyści, które rozumnie, przez ojców naszych przyjęty i dotąd utrzymywany strój narodowy ciągnie za sobą. Historia wszystkich epok uczy nas, że obyczaj i stroje zagraniczne razem z sobą zepsucie i obyczajowe rozprzężenie przynosiły. Sumy, które się za wspaniałe suknie zagranicę wywożą, są ogromne; najbogatsi obywatele nasi rujnują się na to, i cóż za to dostają? Strój, który najpiękniejszą postawę mężką bezkształtną czyni. Robimy długi, aby tej głupiej fantazyi zadość uczynić, tracimy wszędzie kredyt! Nie nastają wszakże na korzyści, które magnaci nasi z utrzymania narodowego stroju osiągną; przelożę im tylko, jaką uczynią łaskę dla mniej zamożnych współbraci, którzy jak on urzędów i dobrodziejstw od Rzeczypospolitej nie mają. Niech to będzie drobnostka! Tem lepiej! Lżej im przyjdzie tą drobnostką przypodobać się współobywatelom i tak się nosić jak oni. Ubierajmy się jak polacy, abyśmy rozpoznać się dali; obszywszy się w trzy łokcie sukna możemy być wzięci za kamerdynerów, kucharzy i tym podobną czeladź cudzoziemską. Nie mam zamiaru umysłów drażnić, ale wzywam was, panowie a bracia, wy co choć się świetnemi nie odznaczacie dworami, z najczystszej krwi szlacheckiej pochodzicie, a tu czas jakiś spędzacie, nie trafiło się, że wam drzwi przed nosem zamknięto, które lada awanturnikowi po cudzoziemsku przystrojonemu, z wielkiem poszanowaniem stawiono otworem? Ja sam, co to do was mówię, ledwiem tego wstydu nie miał, że mnie na operę wpuścić nie

chciano, gdyby nie to, że pewien harbajtlowy jegomość, który u starosty, równego mi służy, u wnijscia poręczył za mnie, że jestem dobrze urodzony. Gdyby wielu z nas narodowego stroju nie pozrucało, może bym ja w takim razie temu jegomości łaskawie wnijscie do teatru ułatwiał, nie on mnie. A zatem wuoszę, aby do starodawnego ojezystego powrócić obyczaju.

Żądał i przyzwolono na to, ale nie przyszło do głosowania pod pozorəm spóźnionej pory. Francuzkie suknie byłyby przepadły, gdyby nie postarano się posła patryoty pozyskać.*)

Co prawdziwem jest w mowie tego posła wpada samo w oczy. Gdyby się spodziewał przyjęciem prawa, aby król przyszedł po polsku się nosić, zmusić Stanisława do zrzeczenia się korony, w istocie byłoby to śmiesznem. Gdyby go inne, nierównie ważniejsze uwagi nie powstrzymywały od zobowiązania się do golenia głowy, nie uczynił by tego. Tym czasem to pewna, że gdy się z włosem rozpuszczonym koronować kazał; na miłości i zaufaniu u starych polaków wiele utracił.

Stanisław nosi zwykle mundur niebieski z czerwonymi wyłogami, rzadziej zielony, a najrzadziej mundur dworski biały z wyłogami czerwonymi. Jeden lub dwa ordery uzupełniają ubranie. Rzadko się go widuje na koniu; częściej w powozie. Widziałem go pieszo, z kapeluszem pod pachą, w pończochach i trzewikach, musztrującego część kawalerji narodowej.

Włosy nosi zawsze bardzo starannie ufryzowane.

*) Correspondance sur les affaires politiques de Pologne. Magaz. Büsching XIII. 44.

Na ubieranie się potrzebuje dwóch godzin. Ale gdy się ubierze, najwprawniejsze oko nie dostrzeże nie w stroju do zarzucenia.

Czas jego jest bardzo regularnie podzielony, większa jego część poświęcona sprawom państwa. Mnóstwo rzeczy sam robi, które zwykle królowie na ministrów i doradców swych zdają. Najmniej nawet ważnych pism każe sobie podawać raptularze, które własną ręką poprawia. Być może, iż to zajęcie się drobnostkami, nie dopuszcza mu wielu ważniejszych dostrzedz rzeczy.

Rozrywki jego są bardzo proste, Nauka, sztuki, przechadzki, małe wybrane towarzystwo, przyjemności stosunków czułych — zaspokajają go. Przed sejmem rewolucyjnym, raz w tydzień zapraszał do swego stołu uczonych, artystów i miłośników nauk i sztuki; obiady te miały być niezmiernie zajmujące; czasu sejmu przerwane zostały; gdyż z każdym dniem więcej się prac nagromadzało.

Mówiłem już, iż król język francuzki i angielski doskonale posiada; umie także włoski i niemiecki do tyla, iż słysząc go mówiącego lub czytającego, można by go wziąć za rodowitego włocho lub niemca. Po niemiecku pisze łacińskimi głoskami. Widziałem długie jego listy w tym języku pisane, z największą wyrażen ścisłością, i zachowaniem wszelkich prawideł. Po łacinie mówi i pisze bardzo wytwornie, po rosyjsku, rozumie się, równie doskonale.

Oprócz tego posiada zapas wiadomości gruntownych, w rzeczach polityki, starożytnej i nowszej historii, pracował wiele nad matematyką, a w młodości jeszcze zdejmował bardzo dokładny plan Sandomierza. W ar-

chitekturze może walczyć o lepszą z budowniczymi z powołania; teorię militarną zna dobrze, chociaż do praktyki nigdy nie okazywał zdolności. Gdyby stał na czele państwa niezależnego, monarchicznego, współcześni zaliczyliby go pewnie do najczynniejszych, najmilszych ludzkości, najrozumniejszych i najuczeńszych panujących.

W politycznym względzie musiał ostrożnie kraj i ludzi reformować, swobodniej daleko i czynniej ujął sprawę oświaty i wychowania publicznego. W istocie, gdyby władał tylu krociami gwinej ile ma złotych polskich, skutki jego starań byłyby daleko świetniejsze. Naród w tym względzie nie prawie uczynić nie chciał, a często mu się nie podobało i to, co król z własnej czynił kieszeni. Dostyc pracy i zachodu kosztowało go, gdy majątki jezuitom odebrano, nakłonić ażeby dochody z nich na ulepszenie szkół i uniwersytetów, na zakładanie szlacheckich instytutów, obrócić dozwolono. Własnym swym kosztem założył korpus kadetów w Warszawie, i obserwatoryum, które w potrzebne instrumenty opatrzył. Pozakładał zbiory historyi naturalnej i starożytności, i ogród botaniczny dla nauki młodzieży. Założył bibliotekę, skupował ze zbiorów za granicą rękopisy do historyi polskiej się odnoszące, polecił pracę nad historią kraju rozpocząć. Uczonych starał się zachęcać pochwałami, udziałem w pracy, nagrodami, starał się o druk dzieł pożytecznych i polepszył drukarnie. Za jego pośrednictwem zawiązał się przed piętnastu laty (około) rodzaj towarzystwa naukowego w Warszawie, a nie jego winą się ono nie utrzymało. Jednem słowem, postępy,

jakie społeczność polska uczyniła w ostatnich czasach, jemu tylko zawdzięcza.

Do jego politycznych reform należą następujące:

Starł się monetę ulepszyć i uregulować mennicę; ograniczył samowolność podskarbieh i hetmanów wielkich, ustanawiając komisye skarbu i wojny, które im przydane zostały; ulepszył sądownictwo w trybunałach i niższych jurysdykcyach; zabezpieczył słabszych od przemocy magnatów; stolicy dał bruk; wysypywać kazał drogi a na Litwie budował miasta; poprawił fortyfikacye Kamieńca, zachęcał przemysł i zakładał nowe fabryki w Litwie; otoczył stolicę okopem; Pilicę uczynił spławną; szukać kazał soli a kopalnie miedzi i ołowiu podźwignął; założył lejarnię dział w Warszawie; obdarzał i podnosił szpitale i domy dla chorych, naostatek darował Rzeczypospolitej dziewięć milionów zaległych, o które się nigdy nie upominał.

Zakłady te i ofiary, które uczynił dla kraju, przy dochodach, które nigdy 350,000 dukatów nie przechodziły, są nieprzepartym dowodem jego miłości ojezyny i jej dobra; jednakże tak mało uznać je chciano, iż niektóre z tych czynności zjednały mu najzawziętszych nieprzyjaciół, a inne tak słabo były potem popierane i utrzymywane przez kraj, iż gdy królewskie finanse dźwignąć ich nie dopuszczały, zwolna poupadały.

Król, od swojego wstąpienia na tron, zajęty był myślą, upodobaną sobie, od której urzeczywistnienia wiele się dla dobra narodu i jego konstytucyi spodziewał. Widział to dobrze, iż, jak długo staropolskie, polityczne, moralne i ekonomiczne trwały przesady, brakło silniej podstawy, na którejby ulepszenia oprzeć

można; czuł to, że, aby skutecznie wpłynąć na zmianę, należało całkowicie system dotychczasowy wychowania przemienić. W tym celu założył korpus kadetów w Warszawie, a po zniesieniu zakonu jezuitów powstały na prowincyach szkoły dla szlachty, uniwersytety zaś na nowo zreformowano. Dla młodzieży szlacheckiej otwarły się źródła nowych wiadomości, do których ojcowie ich przystępu nie mieli. Zebrano do szkół na nauczycieli najzdolniejszych ludzi, jakich w kraju znaleźć było można; sprowadzono też wielu z zagranicy. Stało się, iż młodzież szlachecka w tych szkołach nie słyszała wcale o tem, co w wychowaniu dawnem na pierwszym było planie i w nałóg a przesąd się zmieniło, a natomiast nabywała nauk, które z nowej filozofji, polityki i moralności (?) wyrosły i wkorzeniły się w jej umysły tak silnie, jak w ojców stare przesady.

Dla młodzieży szlacheckiej, która już z lat pierwszych wychodziła, dla dojrzałszej, sam król osobą swą był najlepszym nauczycielem. Przyciągał do siebie synów magnatów z rodzin, które nie były mu jawnie nieprzyjazne, starał się im wpajać swe zasady, a co do obyczajów był dla nich wzorem.

Zaprzeczyć niepodobna, że obyczaje te nie były wcale narodowemi, że przyczyniając się do zatarcia dawnych szorstkich nieco i dzikich, wprowadzały z sobą zbytek, zmianę stosunków, które też następstwa różne mieć mogły; ale królowi zdało się, iż łatwiej wpływ wywrze na młodzież pół francuską, pół angielską, pół włoską, niż na czysto polską. Wniosek ten ostatecznie był słuszny. Gdzie tylko mógł, osadzał młodzież na urzędach, które wpływ na sprawy krajowe wywierały. Przyciągał ją do dworu, wpuszczał do

swego towarzystwa, obsadził nią większą część urzędów dworskich. Dostojeństwa czysto honorowe, świetne, pozostawił starym polakom, których ominąć nie mógł, a pracował nad nimi niezmordowanie, aby ich od najwydatniejszych uwolnić przesądów. Udało mu się nawet tę większość do pewnego umiarkowania nakłonić i oświecić. Planem jego było wszakże powoli dać wygasnąć temu pokoleniu, a miejsca jego zapełnić młodzieżą, wychowaną wedle zasad nowych, nie tylko wolną od zastarzałych przesądów i nadużyć ale nowym przeciwną i reformom oraz zmianom mogącą dać popęd. Plan ten powoli wykonywał król w ciągu lat dwudziestu i trzech, nawet wśród największych katastrof kraju, z oczów go nie tracąc. Wychowawcy jego starsi mieli po lat trzydzieści, młodsi po dwadzieścia kilka. Wielu z nich rozmieścił w armji, przy dworze, w sądownictwach; inni żyli w swych dobrach po województwach i powiatach; inni podróżowali lub z podróży wracali, wszyscy nowe wiadomości i zasady w swoich kołach rozszerzać się starali, i skończyło się na tem, że młodsza część narodu czuła, myślała i działała w zupełnem ze starszą przeciwieństwie.

Nadszedł r. 1788, w którym sejm zwyczajny zwołanym był być powinien, do tego polityczne zawikłania między sąsiadami Polski: Rosyą, Prusami, Austryą i Turcyą. Tu się okazało, że dawne zasady, stary charakter polski niespodziewanej uległ zmianie.

Od wybuchu wojny pomiędzy Rosyą a Turcyą, ze wszystkich Polski krańców dawały się słyszeć głosy, uskarżające się na postępowanie sąsiadów Rzptej, a szczególnie Rosyi. Przy zwołaniu sejmików skargi te ozwały się z gwałtownością i goryczą. Większej czę-

ści ich marszałkowały młode zapalone głowy, które z sobą pociągnęły równie młodych, równie gorących posłów, przegłosowały starych, i instrukcye wybranym deputatom napełniły żądaniami, odpowiadającemi usposobieniom młodzieży, która je redagowała. Rozumie się samo z siebie, iż deputaci wybrani byli z rówieśników i temi samemi zasadami napojeni.

Zasady te, pochodzące raczej z poetycznej niż rozsądnej miłości ojczyzny, poprowadziły za sobą nadzieje, plany i polityczne obrachowania, które były przedwczesnemi i niewyrozumowanemi, jakem wyżej powie dział, czego następstwa dowiodły. Starsi obywatele którzy do stronnictwa rosyjskiego należeli, oświadczyli się z wątpliwościami, ale zarozumiała młodzież do słowa im przyjść nie dała.

Król, wedle przyjętej w r. 1773 zasady, aby silniejszego sąsiada nie drażnić, nie pochwalał nagle podniesionej wrzawy i pozostał Rosyi wiernym, chociaż mu, jak następstwa okazały, może w gruncie pochlebialo, że jego młodzież była czynną. Okoliczności wszakże daleko mniej mu sprzyjającemi się wydawały niż młodym patryotom, a doświadczenie, którego oni jeszcze nie mieli, utwierdzało go w tem przekonaniu.

Gdy później Rosya jemu i krajowi mściwy sojusz narzuciła, król stanął przy niej, mimo niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, a młode stronnictwo okrzyczało go zdrajcą ojczyzny, i — zawdzięczając mu swe wykształcenie, mimo to ostro wystąpiło przeciwko niemu. Król przystąpił do konfederacyi, aby ten sojusz z Rosyą zawrzeć i po stronie jej stanąć; patryoci zaś zawiązali osobną konfederacyę, i pierwsze ich krok

były zerwaniem wszelkiego związku z Rosyą, a zawarciem przymierza z Prusami przeciw niej.

Początek, rozwój i koniec ich przedsięwzięcia w świeżej jest jeszcze pamięci. Projekt nowej konstytucyi, który przeprowadzili, był niedojrzały i niewykończony, pełną sprzeczności tkanką starych przesądów i zasad nowych, tak z sobą zmieszanych i dwuznacznie wyrażonych, że mogły zarówno starą konstytucyę zmienić lub obalić, ale też nową, na nich opartą, wywrócić niemi było można. Dla przekonania się o tem, dosyć jest przeczytać dwa pierwsze artykuły, zwracając uwagę na wyłożoną wyżej treść, a okaże się, że wszystko to, co następuje, albo ograniczają, albo całkowicie znoszą.

Król w przeciągu lat prawie trzech, w czasie rozpraw sejmu konstytucyjnego, zachowywał się biernie, bo mu patrioci większością swą ręce pętali, a od Rosyi, w ówczesnym składzie okoliczności, żadnej pomocy spodziewać się nie mógł. Okrzyki ich zwycięstwa i świetne raczej niż gruntowne przedsięwzięcia, młodszą część zwłaszcza narodu rozogniły tak, iż i król naostatek oślepionym został. Szczególniej podziałał nań traktat z Prusami. I on w końcu uwierzył, że to mocarstwo, które niegdyś najznacniejsze w Europie dwory za sobą miało, pragnęło na seryo związać się z osłabłą Polską; i on w tem widział podporę dla siebie i narodu, i on też na doświadczonego polityka, w tym razie, zawyrokował zbyt spiesźnie i po młodzieńczemu. Ale raz w tym błędzie się utwierdziwszy, zasady swe względem postępowania z Rosyą całkowicie odrzucił. Dawne pragnienia, aby kraj i naród reformować, odżyły na nowo; sława, którą mógł, jako mąż stanu i prawodawca, pozyskać, uśmiechała mu

się zdala, a na sławę nigdy obojętnym nie był. Zadania, które zajmowały patriotów, ulepszenie konstytucyi, powiększenie armji, usunięcie elekcyi, i t. p., król też uważał zawsze za najważniejsze reformy i najpilniejsze ulepszenia, gdyby zmiany przedsięwziąć było można. Nadzieja królowania z większą władzą i wpływem, pragnienie przypodobania się narodowi, który w teraźniejszej gorączce jeszcze bardziej nieprzychylnie patrzył na zwolenników Rosyi; okoliczność ta, iż przewodzcy patriotów byli jego wychowañcami, że ich kochał i szanował; i to, że jak tylko dopatrzyli w nim zmiany usposobieñ, zbliżyli się natychmiast z prośbami, przedstawieniami, nawet łzami, starając się go pozyskać sobie dla swych zamiarów — wszystko to razem wzięte dawną króla ostrożnością zachwiało i odciągnęło od Rosyi, a skłoniło z całym zastępem przyjaciół i adherentów przejść do stronnictwa patriotycznego; pomagać do przeprowadzenia projektu nowej konstytucyi, i przyspieszenia następnych po niej uchwał. Uczyniwszy krok ten stanowczy, nie mógł się już cofnąć. Otoczono go też osobami, które w chwilach trwogi i niepewności starały się go pokrzepić, posługując się to jego rozumem, to sercem, to wyobraźnią, to chęcią podobania się i osiągnięcia sławy bardzo zręcznie. Tak poszedł on, wiedziony własnymi uczuciami, zasadami i życzeniami, podżegany przez drugich, opierających się na głębokiej charakteru jego znajomości, niebezpieczną drogą, na którą wstąpił, i zaszedł tak daleko, iż mu niepodobieństwem było do dawnego powrócić systemu i burzę zażegnać, która groziła a narazcie wybuchnęła.

Takim sposobem tłumaczy się udział króla w re-

wolucyi. Z tego, co się przytoczyło, z rysów charakteru króla, wynika sąd, że go za postępek ten słuszość i bezstronność potępiać nie dozwala. Pierwszych wodzów rewolucyi i najczynniejszych jej działaczy poznaje się dopiero lepiej, gdy Rosya znówu Polską owładnęła. Dotąd nie znajdowali bezpiecznem stanąć jako naczelnicy ruchu, chociaż gorliwymi byli jego pomocnikami. Nie chcieli pokazać, że tak mała garstka większość narodu mogła rozognić i do swych celów poprowadzić. Tylko jaśniej widzące oko sięgało za zasłonę, ale czynione uwagi nie znajdowały uznania, gdyż duma i próżność wielkiego tłumu patryotów, byłaby ucierpiała spostrzegłszy, iż dawała tak szczupłej liczbie przewodzić.

Główne role w tej garstce odegrywali Ignacy Potocki, Piatoli i Kollataj.

Ignacy Potocki, pochodzący z rodziny do najmożniejszych, najliczniejszych i najbogatszych w Polsce, liczonej, jest to człowiek trzydziestokilko letni. Za młodu był jednym z najpiękniejszych w Polsce mężczyzn; w kraju, we Francyi i Włoszech, znano go pod imieniem pięknego Potockiego. Nazwę tę utracił, gdy twarz młodzieńczą krasę utraciła, a postawa nabrała pewnej sztywności. Nosi się po francuzku i na sposób francuzki też bardzo starannie się fryzuje. Chód i maniere ma nieco dumne, ale mu z tem do twarzy. Od dawna odznaczał się wykształceniem, upodobaniem w reformach i wielką ambicyą, którą pewną chłodną, filozoficzną powierzchownością mistrzowsko pokrywać umiał. Duchowe jego wykształcenie całkiem nowożytne nosi cechy. Francuzcy filozofowie i politycy w ostatnich latach, jedynie go zajmowali. Znaczniejsi człon-

kowie jego rodziny od lat trzech odznaczali się w kraju, najwyższe zajmując dostojęństwa i ważną odegrywając rolę historyczną.

Nie było w nowszych czasach ani jednej konfederacyi, na której czele nie stał by jeden lub kilku Potoczek. Wnuk od nich odstać nie chciał. Stał na czele wielkiej części narodu, ale z zasadami i w sposób całkiem różny. Tamci starali się o utrzymanie staropolskiej szlacheckiej wolności, ten pragnął, wedle nowej idei, chłopów, mieszczan, króla, kosztem tej swobody wyłącznej podnieść i właśnie ograniczeniem jej ojczyznę swą, jak sądził, naprawić a od upadku ratować. Na czele przeciwnej mu partyi stał także Potocki (Szczęsny) krewny jego. Jan i Seweryn Potoccy, dwaj bracia, byli po stronie Ignacego. Król bardzo go wysoko szacował, młodzież kochała i jak wyroczni słuchała. Ignacy był jednym z najważniejszych dygnitarzy (w. marszałkiem litewskim), bogatym, członkiem możnej rodziny, spokrewnionym z równie możnymi (Lubomirskimi, Czartoryskimi i t. p.), w kwiecie wieku, pełen ognia i czynny, pracowity i energiczny; jednym słowem, był to człowiek zrodzony do przewodzenia stronnictwu i kierowania nim, czy dla dobra kraju czy dla dogodzenia ambicyi własnej. Do wyrobienia planów swych, do prac, wymagających wprawnego pióra, do przemawiania, wykładu i rozpowszechnienia swych zasad, posługiwał się księdzem Piatoli, który w rodzinie Potockich był wprzód nauceycielem domowym, potem mieszkał u nich jako przyjaciel domu. Okazywał się on wielkim demokratą, ezcicielem Rousseau i innych francuzkich, włoskich i angielskich polityków, których opinje, jak powia-

dał, praktycznie był zbadał. Znał on, jak głosił, Polskę dobrze, w istocie powierzchownie tylko ją zbadał i nie zdawał sobie sprawy z tego czy to jest lub może być możebne przerobić ją wedle zasad nowych. To pewna, że i ambicya i rozgrzana fantazyja poetyczna jego zaślepiała, że na przemian to on swojego ucznia rozpałał, to uczeń go zagrzewał. Do tego dodać trzeba, że nigdy z politycznemi sprawami praktycznie nie był oswajony, a zatem rozróżnić nie umiał rzeczy, które się pięknie napisać mogły, lub w ognistej mowie wypowiedzieć, a tem, co pod naciskiem żelaznych okoliczności, wykonać się dawało.

Król znał go i cenił dla jego talentów jeszcze przed sejmem rewolucyjnym. W czasie sejmu nadarzyła się zręczność zbliżenia go do panującego, którego stopniowo potrafił zyskać zaufanie tak wielkie, iż bez niego i rady jego nie nie przedsiębrał.

Piatoli umiał nawet utrzymać się mimo najulubieńszych królowi krewnych, przyjaciół i przyjaciółek jego, mianowicie przeciwko obu braciom króla, księciu prymasowi, księciu podkomorzemu i ich siostrze, wdowie po hetmanie Branićkim, a naostatek przeciw hrabinie Grabowskiej, wszyscy radzi byli go przy systemie rosyjskim zachować, a od Piatolego odwracać. Nie mogli jednak nic dokazać, tak dalece, że król mu dał mieszkanie na zamku, i większą część wieczorów z nim na poufanych rozmowach przepędzał. Ta słabość króla dla Piatolego, rozstrzygnęła o jego udziale w rewolucyi. Rozumie się, iż Piatoli plany i projekty Ignacego Potockiego królowi narzucał, gdyż one podzielał, a Stanisławowi umiał je tak zręcznie wmówić, iż on je za swe własne poczytywał.

Z tegoż źródła wypłynęły pokrzepiające zachęty, które Stanisława przy reformach utrzymały, gdy w roku ostatnim przed zawarciem sejmu, począł się niepokoić i trwożyć z powodu wpływów przeciwnych wspomnianych krewnych swoich.

Nietylko na króla tak silnie wpływał Piatoli, ale na wszystkich postów, którzy się do niego zbliżali. Tych ilość była wielka. Przychodzili doń w części, aby się rozpytać, lub by przez niego korzystną u króla audjencyę i odpowiedź na prośbę jaką pozyskać. Z tego powodu ochraniali go i szanowali też przeciwnicy nawet. Pierwsi się z nim lepiej rozumieli, a on ich też lepiej używać umiał. Dawał im materiały do przemówień na sejmie, plany im do nich zakreślał, a nawet całkowicie wygotowywał. Tłumaczyli je po tem po polsku, i odczytywali za swe własne na posiedzeniach.

Mając tylu nieprzyjaciół, otaczających króla, musiał Piatoli dla charakteru swego i moralności umieć obudzić szacunek. Nic nigdy nie brał za usługi, których od niego żądano, lub które dobrowolnie wyświadczał, przeciwko powszechnemu w Polsce obyczajowi; nie odmawiał też żadnemu żądaniu, choćby przeciwko znanym zasadom jego występowało. Był też raczej ubogim niż zamożnym, bo król dawał mu miesięcznie nie więcej dwudziestu dukatów, summę, z którą w Warszawie, przy największej oszczędności zaledwie wyżyć można. Ignacy Potocki także wpływu swojego nigdy ni sprzedawał, jak inni wieley dygnitarze polscy, ale ten był z siebie bogatym. Mówiono często, że przyjaciela swojego Piatolego pieniędzmi wspierał, aby go na pokusy nie wystawiać. Nie mogę ręczyć, czy tak

było w istocie, ale Piatolego bezinteresowność śmiało poświadczyć.

Piatoli był włochem; mógł mieć lat czterdzieści. Powierzchnowość miał nie wiele znaczącą. Podobnym był cerą i wejrzeniem do swych ziomeków. Chudy, mały, chorowity, nerwowy mówił z wielką żywością i posiadał sztukę wyrazistego przedstawiania myśli swoich. Gdy chciał kogo przekonać, był niepokonanym.

Zręcznością i chytrnością przechodził Kollataj Ignacego Potockiego i Piatolego. Myśli jego płynęły z gorącego źródła, ale postępował z politycznym chłodem i wytrawnością człowieka, który chce się czegoś dorobić, jakimkolwiek bądź sposobem. Pochodził z rodziny szlacheckiej ale ubogiej. Jako młodszy syn, zmuszonym był szukać szczęścia w zawodzie duchownym. Kanonikiem krakowskim został za protekcją zmarłego biskupa krakowskiego. Mówiono, że się dał przeciwko swojemu dobroczyńcy użyć do pewnych podstępów i intryg, które już osłabłego człowieka reszty zmysłów pozbawiły i biskupstwo to przeznaczone już dla kogo innego, opróżniły. Jakkolwiek to było. Kollataj w krótkce się wyniósł i otrzymał ważny urząd referendarza koronnego. Na nim on nabrał znajomości spraw kraju i praktyki interesów, której posiadaniem różnił się od Ignacego Potockiego i Piatolego. Pracował z największą łatwością, do czego równie mu talenta wrodzone i nabyta wprawa posługiwała. A że referendarzem będąc, sprawiał obowiązki sędziego, żaden wykręt prawny, żadna sztuczka i przebieg nie pozostały dlań obcemi. Zarazem nabył tu zasobu wiadomości prawnych polskich, znajomości

polityki, konstytucyi, charakteru narodowego, co go nie tylko zdolnym kandydatem do kanclerstwa uczyniło, ale i do wszelkich urzędów, które zwykle duchownym nadawano. Biskupstwo i kanclerstwo były celem, do którego zmierzał.

Dopóki system rosyjski panował, trzymał z nim Kołłataj, pilnując ks. prymasa, który był wielkim jego dobroczyńcą. Gdy atoli bardziej znane imiona i zamożniejsi współzawodnicy na drodze mu stanęli, zaczął pragnąć zmiany, i był jednym z pierwszych, którzy ją wywołać pragnęli. Przyłączył się, gdy wpływ Rosyi upadać zaczął, do Ignacego Potockiego, a ten przypuścił go do tajemnicy, jako jednego z najpożyteczniejszych współpracowników. Od tej chwili Kołłataj był jednym z najczynniejszych propagatorów zasad, których wyznawaniem drogę sobie do najwyższych godności chciał torować. Wystąpiwszy ze stronnictwa swojego dotychczasowego protektora, oświadczył się przeciw niemu, co było by nigdy nie nastąpiło, gdyby pod chorągwią miał dla siebie świetniejsze widoki. Pomimo to, starał się, o ile udać się mogło, stronników systemu rosyjskiego zbyt sobie nie narażać, ażeby na wypadek zerwania z patryotami i niepowodzenia, mieć furtkę do odwrotu otwartą. Dla tego nigdy otwarcie nie przemawiał ostro i obrażająco przeciwko Rosyi, że jednak potajemnie czynić to musiał, dowodzą mowy jego uczniów i współtowarzyszów.

W czasie sejmu konstytucyjnego zawakowało kanclerstwo koronne, które z kolei duchownemu dane być miało. Kołłataj, choć był tylko referendarzem, przed biskupami miejsce to i godność otrzymał. A że, przy rozdawaniu biskupstw wzgląd miano na kanclerzów

duchownego stanu, przeto biskupstwo nie mogło go minać, i osiągnięcia go w krótkce miał prawo się spodziewać. To też czynność jego w sprawie patryotycznego stronnictwa pobudką tą była kierowana jawniej i gwałtowniej wystąpił ze swemi zasadami, mniej ochraniał Rosyę i przez to zatorował sobie drogę do późniejszego przedjednania. Od tej chwili los jego został z losem patryotów związany, musiał więc jak najgoręcej pracować, wszelkimi środkami nad uzyskaniem zupełnej niezawisłości od Rosyi.

Charakter jego i rodzaj miłości, jaką miał dla ojczyzny, z tych danych poznać można dostatecznie. Nie potrzebuję nawet dodawać, że posługi swe opłacać sobie kazał, wedle możności; nawet od dwóch i trzech stron — jednocześnie jak i inni polscy sędziowie; o których już mówiłem. Wziął pod swą szczególną opiekę polskie miasta, aby prawo ich się tyczące, korzystne dla mieszczan, w sejmie przeprowadzić. Miasta te wiedzą najlepiej, co ich gotowizną kosztują te zasady liberalne z mocy których stan ich w przyszłości się miał polepszyć. Stronnicy Kollataja tłumaczyli tem jego przedajność, że dochody miał niewielkie (tylko 22,000 złt. pol.) a mimo to odpowiednio do godności swej utrzymywać się musiał. Z pism, które przygotowując reformę wydał, najsłynniejsze jest przeciw elekcyi królów. Jest ono zbiciem innego pisemka Seweryna Rzewuskiego za elekcyą. Oba po francuzku wydane były w Warszawie. Dar wymowy posiadał w wysokim stopniu, i rzadko się odzywał za projektem, którego przeprowadzenie nie było pewne.

Powierzchność jego nie była nieprzyjemną. Twarz miał nieco pełną, ale męskiego charakteru, rysy jego zdradzały umysł żywy i zręczny. Czarne, wielkie

oczy błyskały dowcipem i wydawały nie tyle przebiegłość wytrawnego polityka stanu duchownego, którym był, jak raczej niewzruszoną energję ministra - żołnierza, którym nie był wcale. Ciało zdawało się silne, krzepkie, widziane do pasa, ale reszta jego wczesną, a gwałtowną podagrą (nie miał wówczas nad lat 36 do 38) tak była zniszczoną, że z trudnością mógł się na nogach utrzymać, i ciężko opierając się na kiju z miejsca na miejsce poruszać.

Wizerunki innych tego stronnictwa członków znakomitszych, krócej nakreślę. Wybitniejszymi byli: Stanisław Małachowski, Kazimierz Sapieha, Sołtyk, Julian Niemcewicz, Weissenhoff, Mostowski, bracia Czacy, Wybicki, ks. Adam Czartoryski, ks. Józef Poniatowski, Wielhorski, Kościuszko i inni, którzy odznaczali się, jako tak zwani krzykacze, lub jako cisi propagatorowie patryotycznej idei.

Stanisław Małachowski, marszałek sejmu konfederacyjnego od korony, miał lat blisko sześćdziesiąt, i był jedynym tego wieku w całym stronnictwie. Aczkolwiek miał znaczny bardzo majątek, nie cisnął się do wysokich godności, i zachował przez to pewną niezależność, która w nim pojęcia swobody i władzy narodu uchwalała daleko lepiej, niż u wielu jego współziomków. Jego bogactwo i zasady ściągnęły nań głosy patryotów przy wyborze marszałka sejmowego; potrzebowano człowieka, który by koszta tego dostojęstwa mógł ponieść, a zasady ich pochwalał i do przeprowadzenia z miejsca swojego dopomagał. W istocie nie był Małachowski mężem wielkiej siły, ale tem łatwiejszym do prowadzenia. Działano nań szczególnie przez obu braci Czackich, krzepiono go, podtrzymywano

pochwałami, oraz głoszeniem jego sławy i przedstawianiem czci, jaką dlań miał naród, i tą drogą gdy była potrzeba, umiano go podbudzać. On i brat jego, kanclerz koronny Małachowski stali na przeciwnych zupełnie krańcach politycznych i nienawidzili się jak należało. Kanclerz był wysokiego wzrostu i nosił się po polsku, marszałek mały i chudy, chodził po francuzku. Wymowy nie miał i przemawiał nie pociągając weale ku sobie.

Książę Kazimierz Sapieha, marszałek litewski sejmowi konfederacyjnego, był młodym człowiekiem znakomych zdolności, ale oddany zmysłowości, której pokusom u stołu, przy kieliszku, w kobiecych towarzystwach i za kurtyną, niepomierne ulegał. Miał wszelkie wady i przymioty podobnych charakterów ognistych; lekkomyślność i zapal, siłę i exaltację ducha, dobroć i dzikie porywy nienawiści; pracowitość pośpieszna i lenistwo, na przemiany się w nim mieniały. Talentów nie używał wedle zasad, ale kierował się wrażeniami, które na nim jego miłość własna, fantazyja, żywość wywierała, lub wedle próśb, rad i nalegań osób, do których był przywiązany. Zwyczajem jego było całą noc przebalać, a nazajutrz rano wystąpić z dzielną mową na sejmie. Nie potrzebował więcej przygotowań nad świstek papieru, na którym główne sobie punkty zanotował. Wyrazy, które ten szkielec ożywić miały, same mu płynęły. W życiu towarzyskiem, dopóki go całkiem wino nie opanowało, błyszczał dowcipem i wesolością. Z tego widać jak użytecznym mógł być patriotom. Oprócz wpływu, jaki mu zdolność jego jako marszałka sejmowi nadawała, jego urząd jenerała artylerji, urodzenie, majątek (bardzo wprawdzie zawikłany

i zniszczony, ale utrzymujący się wekslami) — miłość i zaufanie, które posiadał na Litwie — pomagały mu także przymioty dobrego towarzystwa, dowcipnego człowieka, miłego kolegi, a z tem wszystkiem razem mógł czynnie rozpowszechniać zasady i idee nowe. Ważniejsze sprawy wszakże ostrożnie przed nim ukrywano, aby się z niemi, w stanie zbytniego ożywienia, nie wygadał. O nowej konstytucyi i jej przyprowadzeniu do skutku dowiedział się dopiero d. 3 Maja, gdy się ona dokonała.

Wzrostu był średniego, trzymał się i chodził z pewnem zaniedbaniem. Twarz miał dosyć miłych rysów, ale wyraz jej nieco ospały zdradzał nadużycia, których się dopuszczał. Nosił się po polsku.

Sołtyk, poseł krakowski, pochodził ze starożytnej rodziny, która oddawna wysokie stanowisko w Rzpiej zajmowała. Biskup krakowski, Sołtyk, wspomniany wyżej, był jego stryjem. Ten wślawił się patryotyzmem głośnym (którym w Polsce czynny udział w jakim bądź stronnictwie nazywają), żywą niechęcią ku Czartoryskim, przeciw panującemu królowi, Rossyi i współobywatelom dysydemtom. Pięcioletnia niewola w Rosyi, którą nań wybuehy gorliwości ściągnęły, i jego i rodzinę otoczyła aureolą męczeństwa; po śmierci biskupa familja wzięła w spadku nienawiść ku Rosyi. Uczucie to synowca skłoniło do połączenia się z patryotami, użyto zręcznie tego usposobienia i zyskano silnego, bogatego nieprzyjaciela Rosyi. To pewna, że mało patryotów, tak namiętnie, tak gwałtownie przyjęło wszystkie plany stronnictwa. Złożył im na ofiarę Sołtyk większą część swego majątku, wyczerpał się na podarunki, które składał ojczyźnie; całemu domowi swemu, od żony począwszy do ostatniego sługi, zaszczerpił ten

zapał i ogień gwałtowny... Żona jego służyła sprawie całym swym urokiem i wymową, zyskując patryotom przyjaciół i przyjaciółki, a gdy potrzeba przyszła, oddała ojczyźnie najmiłsze i najkosztowniejsze swe precjoza. Słudzy Sołtyka złożyli się między sobą, ażeby utworzyć fundusz dla utrzymania kilku żołnierzy, uzbrojonych przeciw Rosyi. Co miał w zbrojowniach oręża, co było po zamkach dział, do ostatniej sztuki oddał na wojnę przeciw Moskwie. Wystawił pewną liczbę żołnierza, którego nietylko odziewał i uzbroił, ale kosztem swym utrzymywał. W jego domu pierwsze szarpie przygotowywać zaczęto.

Był to mężczyzna lat blisko pięćdziesięciu, bardzo miłej powierzchowności, pełen wiadomości i talentów.

Julian Niemcewicz, Weissenhof, Mostowski, byli ludźmi młodymi, wszyscy między dwudziestu a trzydziestu laty; zapał ich objawiał się szczególniej piórem. O teatralnych dziełach Niemcewicza, które mu u narodu, skłonnego do przesady, imię Szakespearu polskiego zjednały, wyżej wspomniałem.

Wielkie wrażenie, jakie one wywierały, nie zawdzięczały rzeczywistej swej wartości, ale miejscowym usposobieniom narodu, aluzjom i zastosowaniom, w które obfitowały. Weissenhof pracował wiele jako członek konstytucyjnej komisji i współpracownik Gazety Narodowej. Tak samo Mostowski. Wszyscy trzej ulubionymi byli mówcami, a ziomkowie ich utrzymywali, że zwięzłość, wyrażistość, wytworność ciceronowską polskiemu językowi przyswoili. Matuszewicz, także człowiek młody, świetniał u swoich temiż samemi talentami.

Wybicki, deputowany od miast wielkopolskich na sejm, był od nich starszy, miał już około czterdziestu lat i znanym był dawniej w kraju jako dobra głowa i dobry pisarz. Znano go także jako patriotę, gdyż na sejmie, nie wiem którego roku, on sam jeden złożył protest przeciwko jakiemuś wnioskowi, od trzech mocarstw sąsiednich popieranemu. Znikł później dla ubezpieczenia osoby swej, i nie wrócił aż na początku sejmu konstytucyjnego. Przyjęli go bardzo radośnie patrioci, czynnym był z wielkim zapałem, pisał i mówił w sprawie reform. Dawniejsze pismo jego nosiło tytuł: „Listów patriotycznych“, i miało być żywo i dowcipnie prowadzone. Wspomniałem też o jego dziełach teatralnych,

Bracia Czaccy używani byli szczególnie dla działania na marszałka Małachowskiego, którego posiadali zaufanie i razem z nim pod jednym dachem mieszkali. Starszy z nich posiadał rozliczne wiadomości i wiele nauki, z której i w Niemczech dał się poznać, jako autor podróży po Polsce i spostrzeżeń z historyi naturalnej. (?)

Książę Czartoryskiego potrzebowano zwłaszcza dla reprezentacyi. Wiadomo, iż został wyznaczony posłem do Wiednia i Drezna. Godnem uwagi jest to, iż saskiemu dworowi teraz zalecał przyjęcie tej korony, którą przed trzydziestu laty, sam dla siebie, tak czynnie starał się mu odebrać. W innych pracach sejmu konstytucyjnego nie był nazbyt czynnym, a patrioci do końca całkiem mu dowierzać nie śmieli.

Książę Józef Poniatowski, Tadeusz Kościuszko, Wielhorski i Zabiello, wszystko młodzi ludzie, których duch rycerski ożywiał, nie będąc posłami, w naradach

izby udziału nie mieli. Gdy Rosyanie weszli do Polski, dano im dowództwo nad pojedynczemi oddziałami nielicznego, mało wprawnego, niestarannie utrzymanego wojska Rzptej, i pełni w nie ufności sądzili, że czterekroć silniejszemu, zahartowanemu, zwyciężkiemu wojsku podolają i pokonają je, tak jak przewodzczy ich stronnictwa, nową konstytucyę przeciwko trzem potężnym mocarstwom Europy, przeprowadzić pozornie potrafili.

Dnia 15 maja wyjechałem z Warszawy. Poranek zapowiadał burzę, ale koło południa zmieniło się na deszcz spokojny; nie mogłem więc okolicie stolicy widzieć dobrze, ale odżywiona zieloność odświeżyła i ukazała mi ją żywną. Piasek, który z drugiej strony Warszawy przebywać musiałem, tu się pokazał znowu przemieszany z gliną, co mu, przy deszczu, większą spójność nadawało. Droga była z tego powodu lepszą, jazda prędszą, chociaż zawsze nie tak szybką, jakby w podobnych okolicznościach na Litwie być mogła. Konie pocztowe tu lepsze; ale je też lepiej oszczędzają; pocztowi chłopcy nie tak ubodzy i nie potrzebują dla kilku groszy pędzić koni.

Do Raszyna, pierwszej stacyi, mil dwie, jechałem parę godzin. Jest to małe miasteczko, starannie utrzymaną obwiedzione murem, z nowym, ładnym kościołem i wielu porządnymi domami prywatnymi. Nadaje mu to pozór czysty, który przyjemne czyni wrażenie w porównaniu do litewskich miasteczek. To ma tylko

z niemi wspólnego, że rynek mały i czysty, ostawiony żydowskimi sklepikami, świadczącymi, że i tu cały handel drobny jest w rękę tych lichwiarzy.

Równina, którą się z Warszawy jedzie do Raszyna, rozciąga się jeszcze nieco po za miasteczko, i równie jest żyzna. Dopiero ku końcowi stacyi przerzynają ją małe zarośla i laski. Wjeżdża się nareszcie w nieduży las, i może dla tego starannie utrzymywany. Jak oko zasięgało, był on jedynym w okolicy, a na dwa lata by go nie stało, gdyby się z nim po litewsku obchodzono.

Za Żabią Wolą, najbliższą pocztą (cztery mile), droga i kraj wzgórkowaty, przejeżdża się znaczniejsze lasy. Tu znowu zaniedbanie, nieład i marnowanie drzewa nieznośne. Zdało mi się, że znowu był w litewskiej puszczy, z tą tylko różnicą, że tu wśród sosen i jodeł, brzozy, buki, klony obficie rosły, i las dalekō piękniejszym czyniły.

Miasteczko Mszczonów, w którym się stacya znajduje (2 mile), może iść o lepszą z litewskimi, o których pisałem, pod względem zasmolenia, ruin i nieczystości. Ale czego tam się nie znajduje, są to tak zwane ganki, przysienia, otaczające wszystkie domy, szczególnież na rynku, który cały pod tem pokryciem obejść można. Całość jest podobna do miasteczek szląskich, czeskich i morawskich, ale tam domy są po największej części murowane, a w Mszczonowie drewniane wszystkie, z nieciosanych balów i całkiem przez żydów zamieszkane. Do Mszczonowa okolica lesista, droga trochę cięższa — urozmaica ją tylko widok, zielone łąki między niemi, wśród których wioski po obu stronach strumieni jak przyklepione widać do ziemi. Wsie o wiele

porządniejsze od litewskich, niektóre z nich wapnem pobielane i z gruba tynkowane. Ogrody i pola otacza rodzaj rogatek, najprostszych jak być może; są to pnie jodłowe, których gałęzie tak poobcinano, że ich końce z boków sterczą... Zarzucają je w widły z podobnych pniaków urządzone — i zagroda gotowa.

Droga i kraj podobny ciągną się półtrzeciej mili aż do Chrzezonowicz, karczmy stojącej za drogą, przy której jest dom pocztowy. Stąd droga na przemian to lasami otoczona, to przerywana łąkami, o których mówiłem, to gdzieś tam większą lub mniejszą wioską Rawa (półtrzeciej mili), gdzie jest poczta, leży wśród takiejże doliny. Zdaleka miasto wygląda starem i okopconem, a zbliżywszy się, w istocie się takim okazuje. Niedaleko przed Rawą przechodzi granica Prus południowych, a w bramie stoją już pruscy żołnierze. Przy domu straży rozpytywano już tak pilno i regularnie o stan mój, charakter (jak oni go zowią), miejsce z kąd jechałem, dokąd — jakby w jakim starym brandenburgskim grodzie. Szczególne uczucie odzyskanego bezpieczeństwa i ładu obudziło się we mnie i przyjemne robiło wrażenie. Kto zna Polskę i chaotyczny stan jej, ten mnie łatwo zrozumie.

Znalazłem tu także pocztę pruską, ale ta tymczasowo listami się tylko trudniła; poczthalter był polak; on dawał konie, a pieniądze za nie odbierał pruski urzędnik. Ten kazał sobie już zapłacić za jakiegoś wagenmeistra, chociaż tu żadnego nie było, tak samo, jak i w wielu niemieckich krajach kazano mi płacić za drogi, chociaż one nie egzystowały.

Nie dziwiło mnie wcale, że urzędnicy pocztowi pruscy, w najściślejszem znaczeniu, umieli nie więcej

nad dwa słowa po polsku, bo przy tak szybkim obsadzaniu miejsc nie łatwo o ludzi, którzyby kraj nowy znali i nad dwa słowa język jego rozumieli — szczególnie gdzie i naczelnicy sami mowy tej nie znają. Dowód, że nawet w państwach, tak urządzonych doskonale jak pruskie, wszystkiego przewidzieć nie można

Listonosz ze wszystkich jeszcze pocztowych urzędników najwięcej umiał po polsku. Chcąc noc tę spędzić w Rawie, musiałem się żonie pocztmajstra, którego w domu nie było, dać zrozumieć, a zarazem prosić ją o wieczerzę. Myny i gesta nie starczyły. Wezwano tłumacza, a był nim ów listonosz wspomniany. Wyłożyłem mu po niemiecku moje żądania i pragnienia; on je po polsku wypowiedział gospodyni, ale ta śmiała się potrząsając głową. Spytałem drago-
mana o przyczynę tego znalezienia się. Albo ja wiem, odparł — co to jest! — Ależ, rzekłem, mówisz z nią po polsku.— No tak, odpowiedział — wprawdzie mówię po polsku, ale ona mojej polszczyzny nie rozumie, a ja pańskiej niemieczyzny dobrze nie zrozumiałem. — Po naiwnem tem wyznaniu z jego strony nie pozostawało mi nic więcej, tylko prosić go o postaranie się o żyda. Dopiero ten, gdyśmy go dostali, wybawił mnie z kłopotu i otrzymałem to, czego żądałem.

O Rawie nie mam nic więcej do powiedzenia nadto, com napisał już. Jest to rodzaj litewskiej osady z drewnianymi domy, krzywymi uliczkami i kupą brudu na nich. — Prawdziwie polskim jest rys, który przywiode.

Miasto ma trzy kościoły, wszystkie grożące upadkiem, chociaż jeden z nich jest jeszcze niedokończony. Dwa pierwsze, zrujnowane zupełnie, były powodem, że o trzecim pomyślano. Ten wyprowadzono aż pod

dach. Do koła stoi jeszcze rusztowanie, ale gnije; tymczasowo pokryto budowę, ale dach zgnił także. Pobożni mieszkańcy zbierają się wśród ruin starych kościołów i pod rusztowaniem nowego, do którego przystęp niebezpieczniejszy jeszcze niż do tamtych.

Że jednak w Rawie, wśród tych ruin, kościół żyje i kwitnie w całej sile, dowodzi historia nieszczęśliwej obłąkanej kobiety, która, jeśli się nie mylę, w przystępie szaleństwa, podeptała hostyę, i za to została skazaną z całą rodziną na spalenie. Wypadek ten trafił się właśnie w tym czasie, gdy na sejmie nową ustawę wprowadzić usiłowano. Wydanie dekretu podobnego nie zgadzało się wcale z zasadami konstytucyi; król więc wstawił się, i kobieta z rodziną od strasznej śmierci uratowaną została.

Z Rawy do Luboszyzna, półczwartej mili, droga prowadzi naprzemiany znowu lasami i dolinami, i wydaje się, jednostajnością swą, długą i nudną. Ze wsi tej, której położenie nie jest brzydkie, jedzie się do, Wolborza (półczwartej mili), gościńcem równie lesistym. Zbliżając się do stacyi, coraz gęstsze są otwarte doliny żyzne i wesołe, wśród których są dosyć porządne wioski. Przed Wolborzem droga znowu otwarta i wolna. Małe to miasteczko wygląda nazewnątrz ładnie i czystsze się wydaje od innych wielkopolskich, dziś południowo-pruskiemi zwanych. Ma wiele domów murowanych, ratusz z wieżą i parę niebrzydkich kościołów. Blisko miasta, na niewielkiem wzgórzu, stoi zameczek letni biskupów kujawskich, do którego dość dobrze utrzymana prowadzi aleja. Wystawiony w dobrym smaku, z prostotą, ma trzy główne i wiele gospodarskich budowli, otaczających obszerny,

trawnikiem pokryty dziedziniec. W medaljonie nad bramą głównego gmachu jest napis: *Amicis et genio.*

Z tego sądząc, biskup, który go położył, nie musiał być pospolitym człowiekiem. W istocie jest to jeden z najdowcipniejszych i najuczeńszych ludzi, a wyborny poeta; zowie się Krasicki. Do pałacu przytyka znacznej rozciągłości ogród, we francuzkim smaku urządzony, po obu stronach otaczają go piękne aleje lipowe, żywe płoty i szpalery. Po za nim znajduje się czysty staw, do którego przytyka park. Biskupa tu nie było, a całość wyglądała nieco opuszczona. Cały pałac i ogrody na czystym piasku założone.

Z Wolborza do Piotrkowa dwie mile, drogą z początku otwartą i wolną, potem przechodzącą zarośłami, które wkrótce w lasy się zmieniają i trwają prawie do stacyi. Pierwsze to miasto po Warszawie zdala w oko wpadające. Kościoły i wiele porządných domostw, na wzgórzach stojących, wydają się dobrze zdala, ale zbliżywszy się słupiec potrzeba na widok brudu, upadku, ubóstwa, które wśród przedmieścia zamieszkanego przez samych prawie żydów, uderzają. Znośniejsze się to wydaje w środku miasta, gdzie jak na polskie miasto niezwyczajnie liczne stoją domy muryrowane, wśród których widać gęste ślady pożarów i kupy smutne popiołów. Budowy mają charakter starożytny, domy w większej części z gotyckimi szczytami ostremi, szczególnież te, które piękny niegdyś rynek otaczają. Powierzchność przypomina zachodnio pruskie miasta Brunsbergę, Bydgoszcz i t. p. Miasto znalazłem ożywione, należy ono do najczynniejszych w tej

provincyi, a stanie się pod nowemi rządy, jeszcze bardziej ludnem i ruchawem.

Stąd do Mzurek, dwie mile, i dalej do Rozniatowicz (dwie mile) jedzie się po piaszczystej równinie, nieco gliniastej, bardzo żyznej, wśród której zboża, drzewa owocowe i inne rzeźwo rosną. Wsie też gęstsze tu niż gdzieindziej, ku końcowi stacyi znowu lasy, ale więcej liściowe niż iglaste, grunt niski i mokry. Wjazd do lasu wydał mi się pięknym, bo po deszczu słońce się na nowo pokazało. Z Rozniatowicz do Łęk dwie mile, droga podobna, lasem a lasem, to ciemnym to przejrzystym. Tak samo do Widawy. Musiałem te stacye przespać, aby jednostajnością się nie nudzić. O północy przybyłem do Widawy. Tu wszystko było pogrążone w najgłębszych ciemnościach. Ani pocztmajstra, ani czeladzi pocztowej, ani słybu ani widu; mój woźnica konie postawiwszy u powozu, sam też znikł. Wołałem i krzychałem na próżno, tylko ogromne psi-sko na łańcuchu, odpowiadało szczekaniem. Naostatek otwarły się drzwi, ukazało światło, i znowu nათყmias znikło. Począłem wołać znowu, żadnej odpowiedzi. Gdy omaackiem zbliżyłem się ku miejscu, w którym widziałem światło, drzwi się otwarły znowu i wysoki mężczyzna wyszedł weale nie wyglądający po polsku, bo w dużym trójgraniastym kapeluszu z długą szablą, klapiącą po niezmiernych butach palonych...

Idąc za nim wpadłem do czarnej izby i ujrzałem gromadę pruskich dragonów, do koła dymiącej lampy siedzących z kartami w rękę. Zapytałem o stajennych, o pocztyljonów? Gracze nie słyszeli mnie, a wspomniany wysoki mężczyzna, który powinien był

stać zewnątrz na szyldwachu, stanął naprzeciw mnie obojętny i rzekł. Co tam za stajenni? jakie pocztyljony? he? Co to tu za grubjanin? he! A izba stygnie?

To mówiąc drzwi mi zamknął przed nosem. Dobrze mi tak było! po com szukał polskiej poczty i służby u pruskich dragonów. Na szczęście mój woźnica nadszedł tymczasem ze światłem i zaprowadził do pocztmistrza. Znalazłem go na drugim końcu błotnistej dziedzińca, w stajni, dokąd się był schronił między rozmaite zwierzęta z całym mieniem, a szczególnie z zapasami jadalnemi i napojami. A że trochę po niemiecku rozumiał, dowiedziałem się od niego, że na tę noc komenda pruska z dowódcami swemi przybyła tu na nocleg, a jego do stajni wyrugowała. Musiałem obok niego zająć miejsce na łóżku, a krzyk mi oznajmił, że w naszym towarzystwie jeszcze jedua ludzka istota się znajdowała, o której bym całkiem nie wiedział, gdyby jej ciężar mój nie wydawał się za wielkim. Był to ładny chłopaczek od lat trzech do czterech mający, który się powoli z łóżka wygrzebał, a był to synek prawie siedemdziesięcioletniego pocztmistrza. Na pytanie moje gdzieby się matka znajdowała, dał mi do zrozumienia, że ją gdzieindziej wysłał, dowiedziawszy się, iż prusacy na noc przyjsć mają.

Po upływie godziny, odprawiono mnie nareszcie do następnej poczty, do Wielkiego, (trzy mile). Na drodze lasy i lasy. Ciagle jeszcze czas był burzliwy, chmurny, a pocztyljon nie wiele był winien, że od czasu do czasu zaczepiał budą o gałęzie, a raz mi ją nawet z nad głowy oszarpnął. O świcie przybyłem do Wielkiego.

Tu się znowu kraj przedemną otworzył, lasy się rozstały i z dala widok tylko opasały. Pola znowu okryły się świeżemi posiewy, a szczególnie bujną pszenicą. Okolica roztacza się doliną prawie równą żółtoliniastą, bardzo żyzną i pięknie uprawną. Wśród niej gęsto wsie przy wioskach, zamki, domy, obory szopy, dobrze zbudowane i utrzymywane. Trwało to do Naramieża (3 m.) potem do Sokolnik i Wieruszowa najbliższej poczty. Sokolniki są miasteczkiem z zamkiem, należącym do hrabiego Bnińskiego. Zamek o jednym piętrze, ale wewnątrz dobrze urządzone i utrzymany. Ogród przytykający nie wielki, ani wspaniały, ale miły i pożyteczny. Gościniec, który tędy przechodzi, dobrze utrzymany także i na ćwierć mili dalej drzewami wysadzony. Wieruszow małe, brudne miasteczko.

Stąd do Kępna, dwie mile, droga — niesypana, ale otaczający ją kraj otwarty, żyzny, wesóły, gdzie niegdzie laskami poprzecinany, starannie utrzymanymi wyglądającymi jak ogrodowe klomby. Kępno samo mile dość miasteczko, wjazd doń czysty, rynek obszerny, porządnymi domami otoczony, wiele ich po za rynkiem też stoi. Są zbudowane z cegły, ale choć ceglane podobają się, przejechawszy Polskę i Litwę, gdzie się tylko drewniane chaty spotyka.

Jesteśmy już na granicy Szlązka i wpływowi tego sąsiedztwa winniśmy, że okolica, lasy, pola, miasteczka lepiej zagospodarowane, porządniej, czystiej wyglądają. Widzieliśmy, że od Warszawy aż tu równina, którą przejeżdżaliśmy bardziej była piaszczystą i lekką ziemią niż czarnoziemem okryta. Ale zboża i na tych gruntach wybornie się udają. Wioski bez

porównania lepiej pobudowane niż litewskie. Domy w wielu miejscach o dwu piętrach. Chociaż są jeszcze drewniane, ale materyał nie jest pozostawiony w stanie naturalnym, próżnie pozalepiane są wapnem i starano się nawet nadać mu pewną ozdobę, wprowadzie nader pierwotną, bo je regularnie od góry do dołu pstro białemi plamami wapna ubrano.

Lasy są w większej części z wybornego, wzrosłego drzewa iglastego złożone. Hodowla bydła dobra, konie tylko, choć są większe i mocniejsze od litewskich, nie mają ognia i wytrwałości tamtych.

Bądź co bądź nabycie tej prowincyi dla Prus jest bardzo wielkiej wagi. Mieszkańcy niższych klas, chłopci i mieszczenie z tej zmiany są bardzo zadowolnieni, ale: szlachta, duchowni i żydzi wcale nie. — Lękam się, aby oni, przy wpływie, jaki na tamtych wywierają, nie starali się ich zaślepić na prawdziwe korzyści, i prędzej czy później, nie uczynili z nich mal-kontentów.



2-96

WYDZIAŁY POLITECHNICZNE KRAKÓW

BIBLIOTEKA GŁÓWNA



25177

L. inw.

Druk. U. J. Zam. 356. 10.000.

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000296957